

WOJCIECH

CHMIELARZ  
CHMIELARZ

ĆWIEK  
ĆWIEK

JAKUB

NIECH  
NIECH

TO

USŁYSZA  
USŁYSZA

Wydawnictwo  
ab  
two

WOJCIECH  
CHMIELARZ  
JAKUB  
ĆWIEK

**NIECH TO USŁYSZA**



Copyright © by Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97



## Rozdział 98

## Prolog

To nie tak miało wyglądać, pomyślał Marek. Co tydzień wypożyczał przecież te wszystkie filmy ze Schwarzeneggerem, Stallone'em czy Kurtem Russellem i wspólnie z Joasią oglądali, jak ci nieustraszeni herosi pokonują kolejne hordy wrogów. A potem zdejmował koszulkę, robił na podłodze kilka pompek lub podciągał się na zawieszonym na framudze drążku. Napinał mięśnie, a ona gładziła go po bicepsach, niczym jakiegoś Rambo. Naprawdę – czuł się wtedy jak jeden z bohaterów kina akcji. A teraz mógł tylko bezradnie patrzeć, jak ten człowiek zabija jego żonę.

To wszystko wydarzyło się tak szybko. Walenie do drzwi, jakby stało się coś złego. Wyjrzał przez okno. Zobaczył człowieka w policyjnym mundurze. Zaniepokojony zapytał, o co chodzi. Bał się, że ta wizyta ma coś wspólnego z jego interesami, z furami z Niemiec, które przywozili mu panowie o grubych karkach. Ale to, co usłyszał, było jeszcze gorsze. Pański syn, usłyszał. Proszę mnie wpuścić.

Chłopak miał dziesięć lat. Poszedł się bawić z kolegami. Nie chciał go puszcząć. Nie tak późno. Ale Joasia go uspokoiła. Jest czerwiec. Na dworze długo jasno. Nic złego się nie stanie. Uległ jej. A teraz żałował. To jedno imię dudniło mu w głowie. Otworzył drzwi, nie zastanawiając się nawet, kim jest ten policjant. Bo mimo że znał wszystkich, tego nie kojarzył. Do tego gość stał tak dziwnie, że nie było widać jego twarzy. No i w pobliżu nie dostrzegł żadnego radiowozu. A chyba powinien, przecież funkcjonariusz nie przyszedł do nich pieszo. Tyle że te wszystkie wątpliwości pojawiły się dopiero teraz. Kiedy było już za późno.

Mężczyzna po drugiej stronie ciągle był w mundurze, ale teraz na twarz miał nasuniętą kominiarkę. Wepchnął go do środka. W dłoni napastnika pojawił się nóż. Zanim zdążył zareagować, choćby krzyknąć, ostrze wbiło się trzy razy w jego brzuch. Jęknął. Chwycił jeszcze za materiał

policyjnego munduru. Chciał go szarpnąć, ale nie miał siły. Przez chwilę tak trwali, patrząc na siebie nawzajem. W oczach agresora dostrzegł najpierw strach. Jakby tamten przeraził się tym, co właśnie zrobił. Ale z każdą sekundą ten jego lęk ustępował miejsca satysfakcji, a potem podnieceni. I Marek zdał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Że tamtemu mało. Że on sam nie jest jedyną osobą, która zginie dzisiaj wieczora.

– Kochanie, co się dzieje?! – Dobiegł go przerażony głos Joasi.

Z trudem spojrzął za siebie. Ujrzał ją, piękną jak zawsze, jak idzie w ich stronę, a potem zamiera. Próbował przytrzymać napastnika, ale ten zerwał z siebie jego rękę jednym machnięciem ramienia. W tym momencie podłoga stała się śliska jak lodowisko. A jego nogi zrobiły się miękkie, jak z przeżutej gumy. Nie miał nad nimi żadnej władzy. Upadł na ziemię i mógł tylko patrzeć, jak fałszywy policjant, wciąż z tym zakrwawionym nożem w dłoni, biegnie w kierunku Joanny.

– Uciekaj – wyszeptał.

Wrzasnęła w panice i rzuciła się w stronę salonu. Obcy mężczyzna czał się tuż za nią. Przewróciła stojący przy ścianie wysoki zegar, żeby go spowolnić. Antyk liczący blisko sto lat, który przetrwał dwie wojny i dopiero teraz jego wnętrzności gruchnęły, jakby ktoś je próbował wyrwać. Joanna chwyciła tymczasem kolejne rzeczy, które wpadały jej pod rękę, i rzucała nimi w tamtego faceta. Rozbijały się szklanki, wazony, talerze.

– Pomocy! Pomocy! – krzyczała.

Leżąc tak na ziemi i przyciskając dłonie do wciąż krwawiącej rany, rozumiał, że nikt ich nie uratuje. Wybudowali się niedawno. Na wymarzonej działce pod lasem i nad jeziorem. Tam gdzie cicho i spokojnie. Gdzie rano budził ich śpiew ptaków, a do najbliższego sąsiada mieli ponad dwieście metrów. Wydawało im się, że to zaleta. Ale teraz oznaczało, że nikt nie usłyszy ich wołania o pomoc.

Joanna wyminęła wciąż idącego ku niej mężczyznę i uciekła z salonu. Biegła w stronę drzwi. Aż serce zabiło mu szybciej – pomyślał, że jej się uda. Że zdoła uciec z tego przeklętego domu. A kiedy będzie na zewnątrz, nikt już jej nie zatrzyma. Przynajmniej ona przeżyje.

Ale wtedy ich spojrzenia się spotkały. Zwolniła. Stała. Wyciągnął w jej stronę rękę. Próbował krzyknąć, żeby się nim nie przejmowała, lecz z jego gardła wydobyło się tylko coś na kształt bulgotu, z którego z trudem dało się zrozumieć to jedno słowo.

– Uciekaj.

Nie rozumiała albo nie chciała zrozumieć. Podeszła do niego. Chwyliła za ramię i próbowała podnieść, chociaż był od niej o niemal trzydzieści kilo cięższy.

Wtedy za jej plecami pojawił się fałszywy policjant. Szarpnął ją za włosy, pociągnął i rzucił na najbliższą ścianę. Chociaż trudno w to uwierzyć, próbowała się bronić. Próbowala dokonać tego, co było przecież jego zadaniem – walczyła o ich życie. Natarła na agresora z dziką furją. Uderzała go pięściami, wsadzała mu palce do oczu, a kiedy ją chwycił, gryzła. Napastnik krzyknął dwa razy z zaskoczenia i bólu, ale ona była słabsza, przerażona. A on miał nóż.

Jęknęła. Chciał wrzeszczeć, ale nie dał rady. Tylko otwierał i zamykał usta, jak ryba wyciągnięta z wody.

Pierwszy cios, potem kolejny i następne. Krew Joanny spływała na podłogę i tworzyła na niej kałużę, a mimo to jego żona ciągle walczyła. Aż do ostatniej sekundy. Aż do momentu, kiedy jej ciało upadło z głuchym hukiem na ziemię.

Zacisnął zęby. Nie zważając na ból, który palił mu ciało żywym ogniem, czołgał się w jej kierunku. Chciał jej dotknąć. Chciał po raz ostatni poczuć pod palcami jej miękką skórę. Chciał się pożegnać.

Facet zastąpił mu drogę. Klęknął naprzeciwko niego. Ciężko dysząc, wskazał ostrzem noża rozbity zegar.

– Patrz – warknął. – To jest ta godzina. To jest dokładna godzina twojej śmierci. Jak się z tym czujesz?

Wyciągnął słabnące ramię. Chwycił za kominiarkę napastnika i pociągnął, zdejmując mu ją z twarzy. Tamten się nie bronił – chciał, żeby było jasne, kim jest.

– Ty?! – jęknął słabo.

Wtedy obaj usłyszeli odgłos otwieranych drzwi tarasowych, a potem tupot dziecięcych stóp wbiegających do środka.

– Już jestem!!! Mamo, tato?!

Poczuł nagły przypływ sił.

– Uciekaj!!! – krzyknął.

Chłopiec – posłuszny temu instynktowi przeżycia, który u dzieci jest silniejszy, bo inaczej niż u dorosłych, jeszcze zupełnie pierwotny – rzucił się do ucieczki. Grzeczny dzieciak, pomyślał.

Napastnik przeskoczył nad nim, żeby popędzić za chłopcem. Ale on zdołał go jeszcze chwycić za stopę. Fałszywy policjant padł jak długi.

– Szlag! – wysyczał przez zaciśnięte zęby, a potem kopnął go w twarz.

Puścił jego nogę. Nie miał już siły. Na jego oczy opadała powoli szkarłatno-czarna zasłona. W uszach słyszał tylko szum, który cichł z każdą sekundą. Pomyślał, że jedno mu się udało. Że kupił synowi te kilka sekund. Może to wystarczy, by uratować mu życie. I z tą myślą umarł.

\*\*\*

– I co myślisz, Tobiasz? Szał, nie? – pyta Agnieszka.

Redaktor Radia Zet Tobiasz Ornowski stoi na lewo od realizatora i przypatruje się siedzącemu w studiu lektorowi, który odkłada właśnie ostatnią kartkę tekstu. Ornowski skubie wargę. Głupi i nieprzyjemny nawyk, ale nie potrafi się go pozbyć. Agnieszka tymczasem patrzy na niego wyczekująco.

– No, nieźle – mówi wreszcie Ornowski.

Agnieszka niemal podskakuje w górę z radości. Ma powody. Ornowski nie do końca wie, kto jest pomysłodawcą tego projektu. Ale to Agnieszka mu go przedstawiła i to Agnieszka walczyła o niego jak lwica. On sam nie był przekonany. Teraz jednak powoli zaczyna zmieniać zdanie.

– Powiem ci szczerze, że ja miałam ciary – mówi Agnieszka. – Szczególnie na końcu, jak się pojawił ten dzieciak. No moc. Jest moc.

Na jej policzkach aż pojawiły się rumieńce z ekscytacji. Ornowski myśli, że wygląda przez to uroczo: jak dziewczynka, której mama wreszcie pozwoliła przekłuć sobie uszy.

– I to by był początek? – pyta, przybierając chłodny, profesjonalny ton.

Agnieszka marszczy brwi. Dociera do niej, że trochę przesadziła z entuzjazmem. I że Ornowski wcale nie wygląda na specjalnie zachwyconego. Ciągle wpatruje się w siedzącego po drugiej stronie szyby lektora. Skubie sobie tę wargę, jakby chciał ją urwać. Przybiera nieodgadniony wyraz twarzy. Jak gość w restauracji, który zamówił egzotyczne danie o kuszącej nazwie, a kelner położył właśnie przed nim talerz z jakąś dziwną breją o nieokreślonym kolorze. Agnieszka uświadamia sobie, że sporo zainwestowała w ten pomysł. Wysiłku i czasu. I naprawdę uważa, że udało się jej przygotować coś wartościowego. Nie widzi powodu, by się tego wstydzić. Trudno, myśli, najwyżej Ornowski to uwali. Nie pierwszy to byłby taki przypadek i nie ostatni. Bierze głębszy oddech.

– Tak – mówi. – Od tego zaczynamy. I co myślisz? Bo moim zdaniem to może się udać. To może być naprawdę fajny, mocny projekt.

Tobiasz przez chwilę tkwi w bezruchu, a potem puszcza wreszcie wargę, zaś kąciki jego ust unoszą się w lekkim uśmiechu.

– Masz rację – stwierdza. – Były ciary. I to się może faktycznie udać. Robimy to!

## Rozdział 1

– Jak tutaj jest pięknie! – wyrzuca z siebie Maggie i jest w tym zachwycie szczerą.

– No, jest nieźle – potwierdza Ziemek, zbliżając się do niej ze szklanką, w której chlupocze bursztynowy płyn. Maggie ma nadzieję, że to sok jabłkowy, a nie whisky. Nie ma nic przeciwko alkoholowi. Chociaż teraz pije zdecydowanie mniej niż na początku kariery. Wtedy dała się porwać imprezom, nagły sukces uderzył jej do głowy. Ale już się uspokoiła. Kieliszek wina, może dwa od czasu do czasu wieczorem. Na przyjęciach ledwo umoczy usta. Zamiast balować do rana z szumiącymi w głowie procentami, woli zachować jasność umysłu, a potem porządnie się wyspać. Nie ocenia jednak innych. No ale oni oboje mają dzisiaj wieczorem pracować. A alkohol w tym nie pomoże.

– Tylko powiem ci, że jakbym ja to budował – kontynuuje Ziemek – to walnąłbym chałupę głębiej w las. Wiesz, żeby ze wszystkich stron były tylko drzewa. Jak w horrorze.

– Głębiej w las to chyba nie można – zauważa Maggie.

– Bo?

– Tam jest park narodowy.

Ziemek przystaje obok niej. Tak blisko, że stykają się ramionami. Maggie robi delikatny unik. Tymczasem on nachyla się do przodu, w stronę okna, jakby po raz pierwszy widział rosnące po drugiej stronie płotu drzewa.

– Park srark – rzuca lekceważąco i uśmiecha się szeroko, odsłaniając złoty ząb. – Trzeba po prostu komuś dać w łapę i się wszystko da załatwić, nie? No ale tak, chałupa fajna, po taniości kupiłem. A ile kasy poszło w remont, to głowa mała, malutka, maciupieńka. Mówię ci! Ale teraz jest błysk i pełen luksus. Jest beemka w garażu, jest jacuzzi, jest łóżko z francuskim materacem. Francuskim, czaisz? Żaden polski, żaden szwedzki

szajs, francuski! Wszystko ręcznie robione, w tej samej fabryce, która tam stoi od ponad stu lat. Rozumiesz, ferrari wśród materacy. I mówię poważnie. Tyle ten materac kosztował, co nowe ferrari.

– No i masz tutaj to studio, nie? – zauważa Maggie, żeby naprowadzić rapera na powód ich spotkania.

Ziemek podnosi szklanę. Upija z niej duży łyk. Do nozdrzy piosenkarki dociera charakterystyczny ostry zapach. Jej nadzieje okazały się płonne. Na pewno nie ma tam soku jabłkowego.

– No, mam – mruczy Ziemek. – Żeby lepić muzę w domu, a nie jeździć bez sensu.

– To może pójdziemy do tego studia i zajmiemy się kawałkiem dla Zetki? – proponuje Maggie. Póki jesteś trzeźwy, dodaje w myślach.

– A co ci się tak spieszy? – pyta rozbawiony Ziemek.

Maggie wzrusza ramionami.

– Późno jest.

Raper wybuchą głośnym śmiechem. Nie takim przyjemnym, który sprawia, że druga osoba też ma ochotę się roześmiać. Raczej przykrym, drażniącym. I jeszcze uderza się dwa razy w udo. Nie zauważa nawet, że bardziej niż wyluzowanego hiphopowca przypomina jednego z tych wąsatych wujów, którzy przy rodzinnym obiedzie opowiadają słabe dowcipy, a potem sami z nich rechoczą.

– Późno?! Może dla ciebie. Ja mam taki rytm dnia, nie? Przed szesnastą nie wstaję. Szkoda się męczyć. – Przerywa na moment, żeby pociągnąć ze szklaneczki. – Dopiero po dwudziestej zaczynam żyć, a główka to najlepiej pracuje po dwudziestej pierwszej. Wcześniej to, mówię ci, nie ma co do studia wchodzić. Nic z tego nie będzie.

– To czemu się umówiłeś ze mną na szóstą?

– Żeby jakiś wspólny fajny flow złapać, nie? Pogadać. Napić się czegoś. – Ziemek potrząsa znacząco szklaną. – Coś wypalić. Wiesz, wycząć, czy mamy tę wspólną energię. Czy nasze fale się na siebie nakładają.



– Fale?

– Mózgowe – mówi raper, jakby to było coś oczywistego. – A poza tym wiesz, pomyślałem, że ci dom pokażę, nie? Żebyś się tu swobodnie czuła podczas pracy. I to jacuzzi. No i materac.

Maggie czuje, jak równocześnie robi jej się niedobrze i gorąco ze złości.

– Żartujesz, prawda?

– No co ty. Ja do pięknych pań to z samą powagą i sercem na dłoni – mówi Ziemek, rozkładając szeroko ramiona. – To co, może najpierw wskoczmy do jacuzzi? Wypijemy tam trochę bąbelków. Czaisz? Bąbelki w bąbelkach! A potem bardzo dokładnie cię wytrę. Mam świetne ręczniki. Z Włoch przywiozłem. Z Mediolanu.

– Pewnie ferrari wśród ręczników, co? – rzuca zgryźliwie piosenkarka.

– Aż tak to nie, ale drogie były – odpowiada jej Ziemek.

Ten typ jest na tyle głupi, że nawet nie zauważył ironii, myśli Maggie.

– Co za porażka...

Wymija Ziemka. Przechodzi na środek salonu i podnosi swoją torbę. Rozpina zamek, grzebie trochę wśród wrzuconych tam rzeczy – kluczy, na wpół wypitej butelki z wodą, papierków po batonach, paczek chusteczek i kosmetyków. Aż w końcu odnajduje smartfona.

– Co robisz? – pyta raper.

– A na co ci to wygląda? – odpowiada piosenkarka, nawet nie odrywając wzroku od ekranu komórki. – Zamawiam ubera.

– Ale że jedzenie?

– Nie! Samochód! Normalny! Żeby mnie zawiózł do domu! – krzyczy piosenkarka. – I spotkamy się w studiu! W Warszawie! O normalnej godzinie! Jak ludzie.

Ziemek dopija to, co zostało w szklance, i odstawia ją przesadnie powolnym ruchem, równocześnie nie spuszczając Maggie z oka. Na jego twarzy maluje się szczere zaskoczenie.

– Ale co cię ugryzło? – pyta.

Maggie nie zamierza mu niczego tłumaczyć. Nie ma ochoty, poza tym czuje, że to nie ma większego sensu. Pozwoli, żeby zajęła się tym jej menadżerka. W końcu płaci jej za takie rzeczy.

– Cholera, dopiero za czterdzieści minut tutaj może być – mówi do siebie.

– To może jednak zostaniesz? – pyta Ziemek i robi kilka kroków w jej stronę, wyciągając ręce tak, jakby zamierzał ją objąć. Jednak groźny błysk w jej oku sprawia, że chłopak się zatrzymuje.

– Nie ma mowy! – warczy Maggie. – Wychodzę! W tej chwili!

– I gdzie pójdziesz? – pyta Ziemek i nagle chichocze, rozbawiony nie wiadomo czym. – Wieje, zimno jest. Do lasu pójdziesz? Wilki cię zjedzą.

– Wilków tutaj nie ma.

– To łosie.

– Zaryzykuję – mruczy pod nosem Maggie.

W tej chwili rozlega się dzwonek do drzwi, a już ułamek sekundy później ktoś w nie uderza z całych sił, jakby chciał je rozwalić.

– Co jest? – rzuca Ziemek. – Brama jest otwarta, że tak prosto do drzwi wali? To twój uber?

– Jeszcze nie zamówiłam – odpowiada mu Maggie.

– Dziwne. – Raper najpierw marszczy brwi w zastanowieniu, a potem klaszcze w dłonie i uśmiecha się szeroko, odsłaniając złoty ząb. – Wiem! Pewnie jakiś ziomek przyszedł, bo chce cię poznać. Czekał, Maggie, niczego nie zamawiaj, zaraz odpalimy melanz.

– Przecież mówiłam, że wychodzę!

Znowu ktoś wali pięścią w drzwi.

– Już idę! – krzyczy Ziemek, a potem wskazuje palcem na Maggie. – A ty poczekaj, pogadamy jeszcze!

Raper, co pewien czas podskakując, pędzi w stronę drzwi wejściowych. Maggie kręci głową z niedowierzaniem. Naprawdę będzie musiała sobie porozmawiać z menadżerką na temat projektów, które ta jej proponuje.

W tym kraju są setki hiphopowców, w tym dziesiątki fajnych, sensownych chłopaków, którzy znają znaczenie słowa „profesjonalizm”, a ona musiała ją władować akurat w projekt z Ziemkiem.

Maggie słyszy, jak raper otwiera drzwi.

– Co jest? – pyta chłopak.

A potem rozlega się głucho, nieprzyjemne łupnięcie. Coś jak uderzenie młotem w dojrzałego arbuza. I zaraz następne. Jakby ktoś rzucił o ziemię workiem ziemniaków. I wreszcie kroki. Dłoń Maggie zaczyna drżeć, jakby to wpięrw jej ciało zorientowało się, że dzieje się coś złego. Smartfon wysuwa jej się spomiędzy palców i upada koło torebki. Dziewczyna zmusza się, by obrócić się w stronę drzwi, i dostrzega tam ciemną męską sylwetkę. Ale to nie jest raper. To ktoś wyższy, potężniej zbudowany.

– Kim pan jest? Gdzie jest Ziemek? – pyta piosenkarka.

Postać milczy.

– Kim pan jest?! – powtarza Maggie.

– Lubię twoje piosenki – odpowiada mężczyzna.

Rusza w jej stronę.

– Co takiego?! Co pan robi?! Ratunku! – krzyczy piosenkarka. – Ziemek!  
Ratunku! – powtarza głośniej.

Ale nikt jej nie słyszy. Ziemek też nie.

## Rozdział 2

Naprzeciwko rozpościera się intensywnie zielony i niewiarygodnie gęsty las.

– Szkoda, że to tylko fototapeta – mruczy Edyta i wraca do pracy.

Dziewczyna siedzi w pokoju reporterów w redakcji Radia Zet. O tej porze jest tu sama. I bardzo jej to pasuje. Lubi wieczory, gdy wokół panuje cisza, a ona może się skupić na pracy. Czasami udaje się jej nawet zapomnieć o tym, że prędzej czy później będzie jednak musiała wrócić do domu.

– A już zaraz po serwisie informacyjnym rozpoczynamy kolejną urodzinową zabawę naszego radia – zaczyna czytać zmęczonym głosem. – Tym razem w mocno kryminalnym klimacie. Będzie strasznie, będzie krwawo, będzie dokładnie tak, jak lubicie. Zostańcie z nami!

Edyta przebiega wzrokiem po ekranie monitora. Marszczy brwi, a później mimowolnie gładzi wytarte klawisze komputerowej klawiatury. Zupełnie jakby to był fortepian, a ona szykowała się do koncertu w finale konkursu chopinowskiego.

– A po serwisie informacyjnym rozpoczynamy kolejną urodzinową zabawę Radia Zet. Tym razem w kryminalnym klimacie. Będzie strasznie i krwawo, czyli tak, jak lubicie. Zostańcie z nami! – czyta, przerywa, patrzy długo w tekst, a potem mówi cicho sama do siebie: – Chyba lepiej.

Ktoś puka. Zanim Edyta zdąży odpowiedzieć, drzwi się otwierają i do środka wsuwa się głowa trzydziestoletniej brunetki w czerwonej bluzie z kapturem.

– Skończyłaś już swój materiał? – pyta.

– Jeśli nic się nie wydarzy w ciągu następnych dwudziestu minut, to tak – odpowiada Edyta.

– To chodź na kawę.

– Poczekaj moment i posłuchaj tego. Będzie strasznie, krwawo, czyli dokładnie tak, jak lubicie. Czy raczej: będzie strasznie, krwawo, czyli tak, jak lubicie.

– No dla mnie to jedno i to samo.

– Ewelina, proszę!

Brunetka zastanawia się przez chwilę, a potem kręci głową.

– Sorry, Edzia, ale wychodzi na jedno.

– No dla mnie nie.

– Za bardzo się przykładasz. Zmieniłaś tylko jedno słowo, nie? Nikt się nie zorientuje. Ja ledwo to wyłapałam. Co to w ogóle jest?

Edyta wzdycha.

– Zapowiedź tego nowego programu, który robimy z okazji trzydziestolecia. Tego kryminalnego...

– I pisanie takich rzeczy zajmują się reporterzy?

– Jeśli akurat są na dyżurze, nie mają nic innego do roboty i starają się wykazać w pracy, bo zależy im na podwyżce? Tak. Zajmują się.

– No to staraj się tak dalej. Na pewno to ktoś zauważy – mówi z przekąsem Ewelina. – A teraz to ślij i idziemy na kawę.

Edyta po raz kolejny szybko sprawdza tekst. Upewnia się, że nie ma w nim żadnych błędów czy literówek, i wreszcie klika przycisk „Wyślij”. Nie wygląda jednak na zadowoloną. Już ma wstawać, kiedy leżący na biurku telefon zaczyna wibrować w rytm dzwonka. Edyta sięga po komórkę i krzywi się lekko.

– Łukasz – domyśla się Ewelina.

– Ano... Łukasz.

– To nie odbieraj. Powiesz, że byłeś w kiblu.

– Wiesz, że nie mogę... – mówi Edyta. Bierze głęboki oddech i odbiera telefon. – No cześć, kochanie... W pracy jestem... Z kim na dyżurze? Z nikim. Mówiłam ci przecież. To znaczy teraz jest tutaj Ewelina.

Ewelina na dźwięk swojego imienia krzywi się niezadowolona.

– Cześć, Łukasz! – krzyczy do telefonu, równocześnie pokazując w jego stronę środkowy palec. I nawiązuje do tego, że Łukasz też pracuje z nimi w radiu, jako realizator. – Szkoda, że z Edzią dyżury wam się nie pokrywają.

– No okej! – krzyczy Edyta do telefonu, jakby chciała zagłuszyć koleżankę. – To do zobaczenia w domu.

Rozłącza się, po czym rzuca telefon na biurko, jakby parzył ją w rękę.

– Nie powinnaś pozwolić się tak traktować.

– Podobno chciałaś się napić kawy? – pyta Edyta, ignorując słowa Eweliny. – Idziemy?

Wstaje z krzesła. Przeciąga się, żeby rozprostować kości i rozciągnąć wymęczone wielogodzinną pracą przy biurku mięśnie. Wychodzą wspólnie z pokoju reporterów, żeby zaraz znaleźć się w kuchni. Tam, przy stole, zatopiony w lekturze notatek, siedzi ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę młody szczupły mężczyzna. Ma nie więcej niż trzydzieści lat, czarne, krótko obcięte włosy i pociągłą twarz z lekkim, zadbanym zarostem. Na jednym przegubie nosi drogi zegarek ze stalową, lśniącą kopertą, a na drugim skórzane modne bransolety. Zdaje się nie zauważać dziennikarek. Nawet wtedy, kiedy Ewelina zaczyna demonstracyjnie głośno stukać naczyniami czy przesuwając je z jednego miejsca na drugie, niby szukając kubków. Edyta obserwuje koleżankę, która robi wokół siebie znacznie więcej zamieszania, niż wymagałyby tego dwie kawy, i uśmiecha się pod nosem. Bo trzeba przecież jeszcze znaleźć mleko i trzasnąć drzwiami lodówki, kiedy się je wyjmuje. Czy uderzać łyżeczką po brzegu kubka podczas mieszania. Żadna z tych czynności nie zwraca jednak uwagi siedzącego przy stole chłopaka.

Wreszcie kawy są gotowe. Edyta bierze swój kubek i rusza z powrotem w stronę pokoju reporterów.

– A ty gdzie idziesz? – pyta Ewelina.

– Do siebie.

– Przecież wysłałaś ten materiał. Siadaj na tyłku i odpocznij trochę.

Edyta wie, że nie przekona koleżanki. Szczególnie że ta już zajmuje miejsce przy stole. I siadając, bardzo głośno uderza kubkiem o blat. Na tyle mocno, że przy okazji wylewa sobie sporo kawy na bluzkę i spodnie.

– O cholera!

– Karma – rzuca Edyta, nawet nie próbując ukryć delikatnej złośliwości.

„Zołza”, mówi bezgłośnie Ewelina i biegnie po papierowe ręczniki. Zaczyna wycierać ubranie, ale i tak zostają na nim brązowe plamy. Dopiero wtedy mężczyzna zauważa je obie. Podnosi głowę, a na jego twarzy odmalowuje się szczere zaskoczenie.

– No cześć... – mówi Ewelina.

– Cześć – odpowiada tamten.

– Ewelina jestem.

– Artur.

Ewelina mnie mokre papierowe ręczniki w kulkę i wyrzuca je do kosza. A potem zakłopotana podnosi dłoń do ust.

– O kurczę! To ty jesteś tym pisarzem, nie?!

– Tak. To chyba ja.

– Edyta, patrz, to jest ten pisarz!

– Widzę – odpowiada reporterka i zaczyna się jej robić wstyd za Ewelinę, która robi scenę, jakby odwiedził ich co najmniej Mick Jagger.

– Ale się odstawiłeś! – rzuca Ewelina. – Jak do komunii, nie?

– A to źle? – pyta Artur.

– No dobrze. Tylko wiesz, że to jest radio, nie? Pracujesz głosem.

– Ale macie chyba kamery w studiu, prawda?

– No niby mamy – przyznaje Ewelina – i idzie transmisja, a jednak ludzie bardziej słuchają, niż oglądają. Pierwszy raz w radiu?

– No nie... Miałem wywiady. Ale to pierwsza własna audycja. I do tego taka ważna.

– Wcześniej nic nie prowadziłeś?

– Nie.

– A podcasty kryminalne? – włącza się do rozmowy Edyta.

Artur kiwa głową.

– Faktycznie. Ale to co innego, bo nagrywałem w domu, a nie w prawdziwym studiu. No i jednak trochę mniejsza publika. Słuchałaś ich?

– Na pewno słuchała! – krzyczy Ewelina. – Ona ma fioła na punkcie tych wszystkich zabójstw i morderców. Do tego nagrywa swój!

– Naprawdę? Jaki?

– „Mordercze Fiołki” – mówi Edyta z ociąganiem.

Artur wyprostowuje się gwałtownie, a w jego oczach pojawia się błysk uznania.

– Znam! Ty to robisz?! Jest świetny!

Pochwała brzmi szczerze, ale Edyta zamiast radości, odczuwa irytację.

– Chciałabym to samo powiedzieć o twoim – mówi, zanim zdąży się ugryźć w język. A potem, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Eweliny, idzie za ciosem. – Dwadzieścia minut na zaginięcie Iwony Wieczorek? Serio?

– Edzia, bądź miła! – mówi Ewelina, a potem zwraca się do Artura: – Przepraszam, ma kiepski humor dzisiaj. Problemy z chłopakiem.

Zanim Edyta zdoła odgryźć się koleżance, do kuchni wbiega kolejna kobieta: czterdziestoletnia blondynka, tak zdenerwowana, że aż czerwona na twarzy. Na widok pisarza podnosi ręce w górę, jakby wznosiła dziękczynne modły.

– Cześć, Agnieszka – rzuca Ewelina.

– Cześć, dziewczyny – odpowiada tamta, ale cała jej uwaga skupia się na pisarzu. – Panie Arturze! Tutaj pan jest! Zaraz wchodzimy na antenę. Proszę ze mną do studia. Szybciutko, szybciutko!

Młody pisarz spogląda na zawieszony na ścianie zegar. Zorientowawszy się, że wskazówki pokazują prawie dziewiątą, podrywa się z miejsca i pośpiesznie zbiera swoje notatki. Macha dziennikarkom na pożegnanie i wybiega za Agnieszką z kuchni.



– Fajny facet – mówi Ewelina, patrząc, jak oboje znikają na klatce schodowej.

– Możemy już wracać? – pyta Edyta. – Mam jeszcze trochę roboty.

## Rozdział 3

Agnieszka ciągnie za sobą Artura. Choć ona nosi buty na obcasie, pisarz ledwo za nią nadąża. Zjeżdżają windą na parter, a potem wpadają do znajdującego się tam studia.

– Znalazłam go! Był na trzecim piętrze! – krzyczy Agnieszka do znajdujących się w środku dwóch mężczyzn.

– A co pan tam robił? – pyta, lekko unosząc brwi, Tomasz Ornowski.

– Myślałem, że nagrywamy tam, gdzie były próby – odpowiada speszony Artur.

– Nikt panu nie przekazał, że ma pan przyjść tutaj? Zresztą nieważne. Dobrze, że pan jest. Baliśmy się, że nam się pan zgubił.

– Przepraszam, zaczytałem się, przygotowując się do programu – tłumaczy się pisarz. – Przeglądałem swoje kwestie. A telefon wyciszyłem, żeby nie rozdzwonił się na antenie.

Ornowski śmieje się krótko.

– Trema?

– Tak jakby.

– Proszę się nie martwić, będzie dobrze. Agę pan już zna, mnie pan zna, a tutaj siedzi Bartek. Bartek będzie pana realizował – mówi Ornowski i wskazuje na siedzącego przy konsolecie brodatego mężczyznę ze sporą nadwagą i koszulką z okładką jednej z płyt Iron Maiden. Brodacz odwraca się do pisarza i lekko kiwa mu głową. Artur robi krok w jego stronę z wyciągniętą ręką. Tamten wzdycha ciężko i z wysiłkiem, opierając się o konsolę, na której świecą się różnymi kolorami przyciski, podnosi się z krzesła. Wyciera dłoń o niebieskie sztruksowe spodnie i dopiero wtedy ściska dłoń pisarza.

– Czytałem książki – mówi. – Dobrze.

– Dziękuję.

– To zapraszam w takim razie do studia – odzywa się Ornowski.

Redaktor kładzie dłoń na plecach pisarza i delikatnym, ale stanowczym gestem prowadzi go dalej. Wchodzą do pomieszczenia o ścianach obitych szarą gąbką, która tłumi niechciane dźwięki. Jedną z nich pokrywa też sztuczny, niemal wściekle zielony bluszcz, na którym zawieszono logo radia.

– Urządzamy tutaj minikoncerty i inne kameralne wydarzenia. To takie nasze studio premium, dla specjalnych gości – mówi Tobiasz.

Usadza Artura przy drewnianym stole, na którym ustawiono włączony ekran komputera, ale bez stacji roboczej. Obok leży też kilka par potężnych słuchawek i stoją radiowe mikrofony. Naprzeciwko siebie pisarz widzi teraz szybę, a przez nią drugie pomieszczenie i siedzącego przy konsolcie realizatora.

– Usiądź sobie wygodnie – odzywa się Ornowski.

Artur wyjmuje notatki i kładzie je przed sobą, a w międzyczasie redaktor przybliżył do niego jeden z mikrofonów i wciska mu w dłonie słuchawki.

– Teraz tak... – mówi, zacierając ręce, Ornowski. – Na ekran komputera nawet nie patrzysz. Nie ma sensu. Wszystkim będzie sterować Bartek. Patrzysz na niego, on ci daje znać, kiedy wchodzisz, kiedy schodzisz, ile masz czasu. To profesjonalista, zęby zjadł na realizacji najbliższych audycji. Przeprowadzi cię przez to bezpiecznie, tak jak przedszkolanka dzieci przez ulicę, okej?

– Okej.

– Widzę, że się denerwujesz, ale wyluzuj. Za pięć minut zapomnisz, że jesteś na antenie. Widziałem cię na próbach, byłeś świetny.

– Wtedy nie mówiłem do milionów słuchaczy.

– Żadna różnica. Wtedy siedziałeś w studiu, teraz siedzisz w studiu. Nic się dla ciebie nie zmieniło. Na tym się skup.

– Robił pan to kiedyś?

– Czy prowadziłem audycję na żywo?

– No.

– Chłopaku, rozmawiasz z weteranem – mówi, uśmiechając się szeroko, Ornowski. – Pracuję w radiu od lat dziewięćdziesiątych. Czego ja nie robiłem. Newsy, serwisy, wejścia na żywo, pasma popołudniowe, poranne, wieczorne, audycje autorskie, korespondencje z Jugosławii, Czeczenii, Iraku. Na każdą wojnę jeździłem, dopóki żona mi nie zabroniła. Wtedy przestałem. Ale niewiele to pomogło.

– Dlaczego?

– Bo i tak się ze mną rozwiodła.

– Przykro mi.

– Moja wina – przyznaje Ornowski i rozkłada ręce. – Powiniennem posłuchać jej wcześniej. Na nasze problemy nałożyło się potem moje PTSD. No ale nie jesteśmy tu, żeby gadać o mnie, a żeby zrobić serię zajebistych audycji. Jesteś gotowy?!

– Tak.

– To zakładaj słuchawki i patrz na Bartka.

Ornowski klepie serdecznie Artura w plecy i zostawia pisarza samego. Wraca do Agnieszki i Bartka. Realizator zakłada już słuchawki i sprawdza coś w komputerze. Porusza przy tym ustami, jakby podśpiewywał pod nosem. Tymczasem Ornowski zaczyna skubać sobie wargę.

– I jak? – pyta zaniepokojona Agnieszka.

– Nie wiem – odpowiada Ornowski. – Jest mega spięty, aż się boję, że zaraz się z tego stresu zesra.

– Daj spokój!

– Nie takie rzeczy się na wojnie widziało.

– Nie jesteśmy na wojnie.

– No właśnie – rzuca wesoło Ornowski. – Tutaj jest gorzej!

Kobieta daje mu kuksańca w bok. Mężczyzna przesadnie syczy z bólu, bo cios nie jest mocny. Już otwiera usta, żeby jakoś zaprotestować przeciwko

takiemu traktowaniu, kiedy realizator daje im znać, by byli cicho. Naciska jakiś przycisk i rozlega się czołówka rozpoczynająca program.

– Artur, zaczynasz – rzuca Bartek.

Redaktor opiera sobie dłonie na łokciach i zbliża się do szyby oddzielającej studio nagraniowe od realizatorki. Po drugiej stronie Artur przełyka ślinę, patrzy w notatki i na mikrofon, jakby chciał się upewnić, że wszystko ciągle jest na swoim miejscu, i startuje.

– Dzień dobry państwu, a raczej dobry wieczór – zaczyna mówić. – Witam w *Zetce na tropie*, czyli nowym programie Radia Zet. Ja mam na imię Artur. Możecie mnie znać z mojego podcastu, możecie mnie znać z moich książek, przede wszystkim z bestsellerowego cyklu o profilerze Bergu. Ale pojawiając się tu dzisiaj nie po to, by opowiadać wam o kolejnych krwawych zbrodniach ani o moich książkach, ale by wspólnie z wami napisać kryminał. Właśnie tak! Razem stworzymy historię, którą później radio wyda w formie książkowej! A potem? Kto wie! Hollywood czeka. Będzie strasznie, będzie krwawo, będzie tak, jak lubicie.

Agnieszka wzdycha z ulgą. Artur początkowo mówił zbyt wolno, jakby się bał, że się pomyli. Nerwy ewidentnie go nie opuszczały. Ale z kolejnymi zdaniem nabierał coraz większej swobody.

– Chyba dobrze mu idzie – mówi kobieta.

Ornowski kiwa głową. W tej samej chwili zapala się lampka przy telefonie stacjonarnym realizatora. Zaskoczony Bartek podnosi słuchawkę, przez moment przyciska ją do ucha, a potem, coraz bardziej zdziwiony, marszczy czoło. Wreszcie zasłania głośnik dłonią i odwraca się do Tobiasza.

– Tobi... – rzuca.

– Co jest? – pyta Ornowski.

– Bo dzwoni ta... Maggie...

– Jaka Maggie?

– No, Maggie, piosenkarka.

Ornowski marszczy czoło w wyrazie zaskoczenia.

– Okej – mówi powoli. – A czego chce?

– Niby słucha naszego programu i chce w nim teraz wystąpić, bo była z kimś umówiona. Poza tym jest wielką miłośniczką kryminałów. I w ogóle mocno chaotycznie mówi. Przede wszystkim chodzi jej o to, żeby wejść na antenę.

Ornowski zerka na asystentkę. Ta kręci przecząco głową, dając do zrozumienia, że nic o tym nie wie.

– Pewnie ktoś z marketingu wpakował nas na minę – mówi Ornowski, a jego ręka znów zabiera się do skubania wargi. – Na coś się z nią umówił, a nam nie przekazał. Ale w sumie... Lubimy ją, prawda?

– I pisze dla nas piosenkę na trzydziestolecie – przypomina mu Agnieszka.

– Aaa, to ona? Dobra. W takim razie wpuść ją na antenę.

Bartek odkłada słuchawkę. Potem nachyla się do mikrofonu i mówi do niego kilka słów. Po drugiej stronie szyby Artur najpierw posyła mu pytające spojrzenie, a potem powoli kiwa głową. Podnosi tylko palec w górę, niemo prosząc o chwilę, którą wykorzystuje, by szybko napisać kilka słów na leżącej przed nim kartce.

– Ale szanowni państwo... – mówi pisarz, odkładając długopis. – Zanim skończę tłumaczyć zasady naszej zabawy, mamy już pierwszy telefon. Pierwszego gościa. A jest to... Maggie! Nie wiedziałem, że jest aż taką fanką kryminalnej tematyki, ale hej... Cześć, Maggie! Z czym do nas dzwonicz?

– O Boże... O mój Boże... – rozlega się głos piosenkarki. – Musicie mnie wysłuchać... Musicie mnie wysłuchać! On mnie zabije! Rozumiecie!? Jakiś facet mnie porwał i zabije mnie, jeśli mnie nie wysłuchacie!

## Rozdział 4

Przygotowując się do prowadzenia tej audycji, Artur słuchał radia właściwie non stop. Nie tylko Zet, także innych, konkurencyjnych stacji. Chciał zrozumieć to medium. Podpatrzyć, a właściwie podsłuchać, jak obecnie się je robi. Wiedział więc, że współczesne radio jest szczelnie wypełnione dźwiękami, które wylewają się gęstą, różnorodną falą z głośników. I dlatego to, co w tym momencie dotarło do słuchaczy, jest tak niezwykle: kilka sekund absolutnej ciszy.

Artur szuka pomocy po drugiej stronie szyby, w realizatorce. Wszyscy znajdujący się tam ludzie są równie zszokowani co on. Poruszają ustami, zadają sobie nawzajem jakieś pytania i coś na nie odpowiadają, ale nikt z nich nie patrzy na pisarza. On wie jednak, że musi coś zrobić. Te kilka sekund było darem od losu, chwilą na zebranie myśli i odzyskanie zimnej krwi. Ale to nie może tyle trwać. Cisza jest najgorszym, co może zdarzyć się w radiu. Artur chrząka, czując, że gardło ma suche jak pieprz. Mimowolnie chwyta się blatu stołu, jakby bał się, że jakiś niespodziewany podmuch wiatru rzuci nim o ścianę. A potem zbliża twarz do siatki osłaniającej radiowy mikrofon, mając nadzieję, że jego głos będzie brzmiał chłodno, profesjonalnie i stanowczo.

– Zostałaś porwana? – pyta pisarz.

Od razu karci się w myślach. Co za idiotyczne pytanie! Przecież przed chwilą sama to powiedziała! Zamiast wydobyć od niej jakieś nowe informacje, pchnąć akcję naprzód, po prostu po niej powtarza.

– Tak – odpowiada mu Maggie.

– Przez kogo?

– Nie wiem, kim jest ten człowiek. On tutaj stoi. Patrzy na mnie. Ma maskę na twarzy. Maskę z budzikiem.

– Budzikiem?

– Zegarkiem! Takim zabawkowym, jak z kreskówki! Jezu...

– Maggie, odetchnij głęboko. Raz, dwa, trzy...

Sam się dziwi, że jego głos jest taki spokojny. Zwraca się przecież zarówno do niej, jak i do siebie. Ma wrażenie, że całe studio wiruje. Skupia więc wzrok na logo radia zawieszonym na ścianie.

– Lepiej? – pyta.

Kolejne idiotyczne pytanie. Dziewczyna nie przewróciła się przecież na rolnkach, nie zemdląca czy coś takiego. Została porwana! Ale co innego miał powiedzieć? Może i napisał kilka kryminałów, może nagrał dziesiątki podcastów na temat najbardziej brutalnych i wstrząsających zbrodni, ale żadna z tych rzeczy nie nauczyła go, jak postąpić w takiej sytuacji.

– Nie wiem. Chyba... – odpowiada piosenkarka.

– Czy ten człowiek, ten, który cię porwał, działa sam?

– Tak... Tak mi się wydaje.

– Jest teraz z tobą?

– Stoi tuż obok. Patrzy na mnie właśnie. Tak bardzo się boję... Tak bardzo... Błagam... Niech ktoś mnie uratuje... Błagam! Zadzwońcie po policję!

– Maggie! Skup się! Czego chce ten mężczyzna? Dlaczego do nas dzwonisz?

Znowu kilka sekund ciszy. Tak gwałtownej i niespodziewanej, że Artur jest pewien, że piosenkarka się rozłączyła. Ale nie. Krótki, urywany oddech świadczy o tym, że ciągle tam jest.

– On powiedział, że jeśli chcecie usłyszeć historię, to ją wam opowie. Będzie dzwonić codziennie i opowiadać ją kawałek po kawałku. I powiedział...

– Tak? Co takiego?

– Powiedział, że moje życie zależy od tego, co zrobicie z tymi fragmentami.

– My?



– Radio Zet, słuchacze...

– Ale co mamy z nimi zrobić?!

– Nie wiem! – krzyczy Maggie. – Powiedział, że najpierw macie ich wysłuchać! A jeśli ich wysłuchacie, jeśli będziecie dość uważni, jeśli będziecie dość dobrzy, to już sami będziecie wiedzieć, co zrobić! Powiedział jeszcze...

– Co takiego?

– Że jeżeli nie pozwolicie mu opowiedzieć tej swojej historii, to on mnie zabije.

## Rozdział 5

Edyta i Ewelina idą radiowymi korytarzami. Ta pierwsza w dłoni trzyma kubek, w którym jest jeszcze sporo kawy. Chce już jednak wracać do pracy. Ewelina najpierw oponuje, ale szybko do niej dociera, że nie przekona upartej koleżanki.

– Fajny ten facet – mówi nieoczekiwanie Ewelina. – Ten pisarz. Całkiem do rzeczy.

– Może. Nie wiem. Nie zwróciłam uwagi.

Ewelina rzuca jej rozbawione spojrzenie, a potem uśmiecha się złośliwie.

– Pasujecie do siebie – wypala.

– Coś ty sobie dolała do tej kawy? – pyta podejrzliwie Edyta. – Wódy czy od razu poszłaś w tabsy?

– Pomyśl tylko! Ty robisz podkasty kryminalne, on robi podkasty kryminalne. Macie wspólne hobby. Tematy do rozmowy nigdy by się wam nie skończyły. Już widzę, jak sobie spacerujecie za rączkę po Łazienkach i rozmawiacie o zbrodniach Kuby Rozpruwacza albo o tej małej miss, wiesz której...

– JonBenét Ramsey!

Ewelina wyrzuca triumfalnie ramiona w górę.

– No właśnie!

– Na mózg ci chyba padło, wiesz? Udaru dostałaś. Powiedziałabym, że od nadmiaru pracy, ale powiedzmy sobie szczerze: ty się tutaj nie przemęczasz.

– Wiesz, że mam rację! To miałyby więcej sensu niż ty i Łukasz.

– Nawet tak nie mów!

Edyta rozgląda się na boki, jakby bała się, że ktoś ich podsłuchuje. Ale nie. O tej porze na szczęście radiowy korytarz jest pusty.

– A już na pewno nie mów tak przy Łukaszu – dodaje Edyta już trochę spokojniej.

– Edzia.

– Pa! Do następnej kawy!

Edyta otwiera drzwi pokoju reporterów i wchodzi do środka. Wie, że to paniczna ucieczka, że to uwłacza jej godności. I że później Ewelina będzie się z tego powodu z niej nabijać. Domyśla się, że koleżanka w ten sposób stara się jej pomóc. Wielokrotnie dawała Edycie do zrozumienia, co sądzi o jej związku z Łukaszem (nie ma przyszłości) i o samym zachowaniu jej partnera (nic dobrego). I że według niej Edyta już dawno powinna wyrzucić go za drzwi i zmienić zamki. A kiedy nie pomagały dobre rady i szczerze rozmowy przy winie, przerzucała się na złośliwe docinki. Co nie zmieniało faktu, że w takich chwilach Edyta uważała Ewelinę za zwykłą żołą.

Decyduje jednak, że zachowaniem koleżanki i obawami o to, czy ta nie palnie czegoś głupiego przy Łukaszu, będzie się martwić później. Teraz ma trochę spokoju, żeby zająć się materiałami, które szykuje na jutro. Krótkim reportażem na temat rapera Ziemka, który zgodził się nagrać kawałek na urodziny Radia Zet.

Nim zdąży się zabrać do pracy, telefon komunikuje jej, że przyszedł SMS. Jej ręka wędruje do komórki, ale zatrzymuje się w połowie drogi. Ma nadzieję, że to nie jest wiadomość od Łukasza. W tej chwili wolałaby, by to było cokolwiek innego. Alert bezpieczeństwa RCB, oferta od operatora, a nawet wiadomość od kolejnej firmy, która próbuje jej wcisnąć fotowoltaikę.

Ale oczywiście to Łukasz. „Co u ciebie?” – pisze. Edyta wie, że wcale nie interesuje go odpowiedź na to pytanie. Rozmawiali przecież przed raptem kilkoma minutami. W ten sposób ją kontroluje. Pewnie teraz siedzi z zegarkiem w ręku i sprawdza, ile sekund minie, zanim mu odpisze, i czy zmieści się w jakimś określonym przez niego przedziale czasowym. Czuje

wstręt do samej siebie, bo zamierza mu odpowiedzieć najszybciej, jak to możliwe.

– O Boże... O mój Boże... Musicie mnie wysłuchać... Musicie mnie wysłuchać! On mnie zabije! Rozumiecie!? Jakiś facet mnie porwał i zabije mnie, jeśli mnie nie wysłuchacie!

Edyta podrywa się z krzesła i wbija wzrok w zawieszony na ścianie głośnik, z którego non stop lecą audycje ich stacji.

– Zostałaś porwana?

Drzwi od pokoju reporterów otwierają się gwałtownie.

– Też to słyszysz? – pyta Ewelina.

Edyta mija koleżankę i wybiega z newsroomu. Pędzi w stronę windy. Zjeżdża na parter. Tam, gdzie jest studio, w którym Artur nagrywa program.

## Rozdział 6

– To jest naprawdę czy to jakaś akcja marketingowa? – rzuca Ornowski. – Agnieszka?

– Nie mam pojęcia! Nikt mi nic nie mówił!

– Na mnie nie patrz! – krzyczy realizator. – Ja tu jestem od przyciskania guzików!

– A skąd ona dzwoni?

– No z telefonu.

– Wiem, że z telefonu! – wrzeszczy wściekły. – Ale skąd?! Z Warszawy, z Łodzi, z Koziej Wólki?!

– No skąd mam wiedzieć, Tobi?! – odpowiada mu Bartek. – To jest konsoleta, a nie sprzęt służb specjalnych! Mogę ją pogłościć, ale nie namierzyć!

– Agnieszka?

– Marketing też nic nie wie.

Ornowski chwyta się za głowę. Dobra. To niewątpliwie kryzys. Ale był przecież już w gorszych sytuacjach. Jak wtedy w Iraku, kiedy wpadli w zasadzkę. Siedzieli wtedy przez pół godziny, kuląc się za rozwalonym samochodem, bali się nawet wychylić, żeby nie oberwać od kryjącego się gdzieś w oddali snajpera. Po trzydziestu minutach pojawili się Amerykanie i wydostali ich z tej pułapki. Przez ten czas Ornowski zdążył cztery razy pożegnać się z życiem i trzy razy obiecać sobie, że już nigdy nie pojedzie na żadną wojnę. Obietnicę tę oczywiście złamał.

Teraz jest w bezpiecznym studiu, w bezpiecznej Warszawie i nikt do niego nie strzela. Da sobie radę.

– Bartek, czyli nie jesteś w stanie ustalić, skąd dzwoni? – pyta już spokojniejszym tonem Ornowski.

– Mówiłem, to jest konsoleta, a nie...

– Sprzęt służb specjalnych – przerywa mu Ornowski, skubiąc wargę. – Wiem. Widzę. Ale szepnij do słuchawek Arturowi, żeby trzymał ją na antenie najdłużej, jak może. Niech wydobędzie z niej maksimum informacji.

– Chyba właśnie to robi.

– Świetnie.

– Czy w takim razie powinienem i tak mu powiedzieć?

Redaktor spogląda na siedzącego po drugiej stronie szyby pisarza. Artur nie jest dziennikarzem. Z tego, co Ornowski wie, nie miał żadnego szkolenia z postępowania w sytuacjach kryzysowych. Zresztą po co by mu ono było? Do tej pory siedział bezpiecznie zakopany w świecie, może i makabrycznych, ale jednak wymyślonych historii. Teraz natomiast faktycznie daje sobie radę. Jakby instynktownie wiedział, co powinien w takiej sytuacji zrobić.

– Nie. Póki mu idzie, to nic nie mów. Ale monitoruj go i podpowiedz mu coś, jeśli straci wątek.

– Dobra.

– Agnieszka! Zadzwoń, proszę, do tej Maggie.

Drzwi do studia otwierają się i do środka wpada młoda dziewczyna. Ornowski ją kojarzy. Jest jedną z reporterek. Rzadko wpuszczają ją na antenę. Krótco u nich pracuje. Pół roku, może rok. Ma na imię Ewa... Edyta... Jakoś tak. Zresztą nieważne. Tobiasz w pierwszej chwili chce jej kazać spadać z realizatorki, ale rezygnuje, bo dziewczyna ma dość rozumu, żeby nic nie mówić i trzymać się z boku. Uznaje, że dopóki nie będzie przeszkadzać, może zostać. Kto wie, może potem się przyda jeszcze jeden świadek tej chorej sytuacji.

– Nie odbiera – odzywa się Agnieszka.

– To zadzwoń do jej managementu. Jak to jest jakiś, kurwa, chory kawał...

– Sama wyrwę nogi z tyłka Maggie i każdemu, kto w tym maczał palce – kończy za niego Agnieszka.

– Dziękuję. Ktoś wie, gdzie ona mieszka?

– A po co?

– Żeby sprawdzić, czy nie siedzi sobie teraz bezpiecznie w domu, nie popija wina i nie śmieje się z tego, jaki świetny numer nam wycięła?

Agnieszka, już z komórką przyklejoną do ucha, zaprzecza ruchem głowy.

– Nie wiem, gdzie mieszka, ale wiem, gdzie powinna być – odzywa się nieoczekiwanie młoda dziennikarka z imieniem na „E”.

– Gdzie? – gorączkowo pyta Ornowski.

– U tego rapera Ziemka. W jego chacie pod Kampinosem. Chwalił mi się, że będą razem nagrywali piosenkę dzisiaj wieczorem. Zresztą to ma być jakiś numer dla nas. Na jubileusz. Dlatego też z nim gadałam. Wysłaliście mnie tam, żebym zrobiła z nim kilka dźwięków do *Siły muzyki*.

Tobiasz Ornowski szturcha Agnieszkę. Ta zasłania głośnik komórki otwartą dłonią.

– To prawda – potwierdza słowa dziennikarki. – Mieli dla nas nagrywać piosenkę. Ale nie wiem, czy na pewno dzisiaj.

– Na pewno – mówi dziewczyna.

– I ty wiesz, gdzie to jest? – pyta Ornowski.

– Tak.

– To jedź tam. – Redaktor podejmuje błyskawiczną decyzję. – Agnieszka...

-Tak?

– Jak skończysz, to dzwoń do tego Ziomka.

– Ziemka.

– Nieważne. Dzwoń do niego! To brzmi jak coś, co mógł wymyślić jakiś zjarany hiphopowiec. Ja biorę na siebie policję. Musimy jak najszybciej się z nimi skontaktować.

Kątem oka zauważa, że dziennikarka już idzie w stronę wyjścia.

– Ej, ty! – krzyczy za nią.

Edyta zatrzymuje się w progu studia.

– Potrzebujesz na taksówkę?

– Mam samochód!

– To jedź. I jeszcze jedno.

-Tak?

Ornowski waha się. To wygląda na kawał. Z każdą chwilą się co do tego upewnia. Nie wie, kto go wymyślił, nie wie, kto jest za niego odpowiedzialny, ale to głupi żart. Musi tak być. Gdzieś w głębi jego umysłu czai się jednak strach, że wcale tak nie jest...

– Uważaj na siebie – mówi.



## Rozdział 7

Maggie patrzy jak zahipnotyzowana na telefon leżący na wyciągniętej dłoni tamtego człowieka. Dłoni w czarnej skórzanej rękawiczce. Stary aparat. Pewnie więcej niż dziesięcioletni. Z popękanyim wyświetlaczem i brudną obudową. Wątpi, by dało się zrobić coś więcej niż zadzwonić czy wysłać SMS– a. Pewnie trudno odpalić na nim najprostszą przeglądarkę, już nie wspominając o Instagramie czy TikToku. Nie żeby teraz to był jej największy problem, ale pozwala myślom odpłynąć w tę stronę, bo wszystko jest lepsze, nawet takie głupoty, niż zastanawianie się nad tym, co się właśnie dzieje. I woli oglądanie z każdej strony tego telekomunikacyjnego zabytku niż patrzenie na człowieka, który ją osaczył.

To wszystko wydarzyło się tak szybko. Najpierw Ziemek poszedł otworzyć drzwi tego swojego dziwnego domu, do którego ją zaprosił tylko po to, by spróbować ją przelecieć. Od początku przeczuwała, że przyjazd tam to zły pomysł. Ale mieli już obsuwę w nagrywaniu piosenki, jej menadżerka naciskała i powtarzała, jaki to prestiżowy projekt i jak bardzo stacji radiowej zależy, więc w końcu uległa i wybrała się pod ten Kampinos.

Znowu odlatuje. Znowu jej się wszystko miesza.

Ziemek poszedł otworzyć drzwi. Usłyszała, że się z kimś szamocze, a potem czyjeś kroki. I zamiast rapera w salonie pojawił się ten człowiek. Wielki, potężnie zbudowany facet. Ale raczej jak budowlaniec, a nie bywalec siłowni. Jak ktoś, kto ani razu nie wyciskał sztangi, za to przez całe życie przenosił ciężary. A może tak się jej skojarzył, bo miał na sobie niebieski roboczy kombinezon. A na twarzy... Nie. Do twarzy jeszcze wróci. Teraz nawet nie potrafi o tym myśleć. Przypomniła sobie jednak brzmienie jego głosu.

– Lubię twoje piosenki – powiedział.

„O! To fan. Jak miło” – taka idiotyczna myśl naprawdę pojawiła się w jej głowie. Ale tylko na moment. Zaraz zgasła, jak iskra. Bo przecież wiedziała, że to żaden fan i że dzieje się coś złego. Zaczęła uciekać. Popędziła na tył domu, próbując przewrócić każdy mebel, który mijała, bo przecież tak zawsze robili na filmach. On pobiegł za nią. Był zaskakująco szybki jak na tak wielkiego człowieka.

Udało się jej dotrzeć do drzwi tarasowych. Otworzyła je szeroko. Uderzyło w nią chłodne wieczorne powietrze. Przed sobą widziała groźny czarny gąszcz kampinoskiej puszczy. Ale wiedziała, że jeśli uda się jej tam dotrzeć, to będzie bezpieczna. Skoczyła do przodu, lecz w tej samej sekundzie poczuła, jak mężczyzna chwyta ją wpół. Przytrzymuje. A potem wbija strzykawkę w jej ramię. Szamotali się jeszcze przez chwilę, a ona słabła z każdą sekundą, później mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, przed oczami zrobiło się ciemno i potem... potem obudziła się tutaj. A ten mężczyzna, na którego teraz bała się nawet spojrzeć, przekazał jej, co ma zrobić.

Siedzi na niewygodnym krześle. Nogi ma wolne, ale ręce z tyłu związane plastikową trytyką, która boleśnie wbija się jej w nadgarstki.

Kończy wypowiadać swoją kwestię. Potem rozlega się głos prowadzącego audycję. Jest w takim stanie, że nie potrafi zrozumieć nawet pojedynczych słów. Wypowiadane przez niego zdania zmieniają się w bezkształtny strumień dźwięków.

Tymczasem napastnik nachyla się w jej stronę. Jej nozdrza atakuje jego zapach. Ostra woń potu i taniego dezodorantu. Już lepiej by zrobił, gdyby zamiast tego tandetnego aerozolu użył kawałka mydła pod prysznicem.

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś – szepcze. – Jestem z ciebie bardzo zadowolony. Ale miałaś zrobić jeszcze jedną rzecz. Pamiętasz, o co cię prosiłem?

Maggie kiwa głową i mimowolnie podnosi wzrok. Wtedy ją widzi. Maskę, która przedstawia szeroko uśmiechnięty kolorowy budzik. Zasłania

całą jego twarz, tak że dostrzega tylko błyskające zza niej zimne, ciemne oczy.

– Zrób to – rozkazuje.

Dziewczyna bierze głęboki wdech. Czuje, jak do oczu zaczynają jej napływać łzy. Do tej pory jakoś się trzymała, ale teraz ten człowiek każe zrobić jej coś złego. Coś naprawdę, naprawdę złego.

– Na koniec... – mówi, czując, że z trudem nad sobą panuje.

– Na koniec? Co na koniec? – słyszy w słuchawce głos radiowego prezentera.

– Na koniec chciałam zaśpiewać piosenkę.

## Rozdział 8

Nie myśli o kuchni jak o sercu domu. Co więcej, każdy, kto tak twierdzi, jest dla niego głupcem. Ona jest czymś ważniejszym. Jego duszą. Przecież z jakiegoś powodu każda impreza kończy się właśnie w kuchni. To tutaj odbywają się najważniejsze rozmowy. To w kuchni najlepiej się myśli. To tutaj rozpoczyna się każdy dzień. Jedzenie jest jedyną tak intymną czynnością, którą wykonujemy publicznie. A przygotowanie posiłku dla siebie czy drugiej osoby nie jest tylko po prostu procesem karmienia. Jest przekazaniem całego skomplikowanego komunikatu. Jeśli dajemy sobie lub komuś innemu byle co, to takie właśnie mamy podejście do tej osoby – byle jakie. Z kolei posiłek, na którego przyrządzenie poświęciliśmy czas i energię, potrafi być wyrazem uczuć głębszych niż szacunek. Dlatego kiedy Maciek Łoś przygotowuje drugie śniadanie dla swoich synów, wkłada w to całe serce.

– Co im robisz?

Nie usłyszał, kiedy Zuzanna weszła. Jej kroki zagłuszyły dźwięki radia, które gra w kącie, ale którego właściwie nie słucha. Po prostu lubi ten szum w tle. Jej pojawienie się jest nieprzyjemną niespodzianką. Nie dlatego, że nie kocha swojej żony. Uważa, że ją kocha, a nawet więcej – czuje do niej pewną sympatię. Po prostu nie lubi, kiedy ktoś go zaskakuje. Mimo to robi wszystko, żeby nie dać nic po sobie poznać.

– Bento, rybko – mówi Maciek Łoś.

– Ale co w tym bento?

Nie czekając na odpowiedź, Zuzanna podchodzi do niego i zagląda mu przez ramię.

– Misie panda wykonane z ryżu i liści alg. Bardzo ładne. Naleśniki. Rzodkiewki. Chyba widzę trochę brokuł. I to jest...

– Wołowina gyu tataki – mówi Łoś. – Chociaż wołowina po japońsku to *gyu*, więc powinienem po prostu powiedzieć wołowina tataki.

– Nauczyłeś się tego w Japonii?

– Aha... W programie, w którym biegałem po lesie samobójców i zatrudniłem się na japońskim kutrze, żeby łowić tuńczyka.

– Wygląda pysznie – chwali go żona. – Ale oczywiście zdajesz sobie sprawę, że natychmiast zamienią się z jakimś kolegą na paczkę chipsów i kanapkę z żółtym serem?

– Przynajmniej ktoś tam zje coś zdrowego – mówi jej, wzdychając teatralnie.

Zuzia cmoka go w policzek. Potem siada z komputerem przy stole. Otwiera laptopa i zaczyna przeglądać maile.

– Napisali organizatorzy tej akcji charytatywnej... – odzywa się po chwili.

– Której, rybko?

– Tej, w której masz gotować na rzecz ukraińskich dzieciaków. Pamiętasz? Razem z dwiema kucharkami z Mariupola.

– Pamiętam już. Co chcieli?

– Pytają, czy nie będzie ci przeszkadzać, że będzie tam telewizja.

– A dlaczego miałyby mi przeszkadzać? – dziwi się. – To od początku nie miało być robione dla jakiejś telewizji?

– No nie... Był w to włączony jeden portal, ale potem... Poczekaj. Zaraz ci to sprawdzę.

Żona Łosia zabiera się do przeglądania maili. On zamyka pudełka bento i zaczyna sprzątać. Starannie wyciera drewniany blat, który jest doskonale wykonany i o który bardzo dba. Inaczej niż reszta rodziny. Plamy po napojach, resztki jedzenia i, najgorsza ze wszystkiego, rozlana woda – to spotykało jego blat na co dzień.

– To Radio Zet? – pyta Zuzanna.

– Tak, a co?

– Możesz pogłośnić? Koleżanka właśnie do mnie pisze, żebym posłuchała, bo tam się dzieje coś dziwnego.

Sięga po leżącego nieopodal pilota i spełnia prośbę żony.

– Na koniec... – Oboje słyszą przestraszony głos jakiejś młodej kobiety.

– Na koniec? Co na koniec? – pyta prowadzący.

– Na koniec chciałam zaśpiewać piosenkę.

I faktycznie zaczyna śpiewać a capella. Szybko rozpoznają melodię popularnego przeboju z połowy lat dziewięćdziesiątych. Łoś nie potrafi jednak przypomnieć sobie ani tytułu, ani nazwiska wykonawczyni. Ale to nie ma znaczenia. Całym sobą skupia się na słowach.

*Chciałbyś chociaż przez chwilę*

*Wstrzymać budzik bezlitosny*

*Nim opadnie cios ostatni*

*Niech odetchnie, niech odpocznie*

*Kolejne już rany zadane*

*Biedny stanasz się i opadasz z sił*

*Z jego objęć wyrwany*

*Byłbyś bardziej beztroski*

*Jest czymś niezrozumiałym*

*W noc czerwcową taki pośpiech*

Łoś niespodziewanie czuje na swoim ramieniu dłoń żony. Jego ciałem wstrząsa dreszcz. Odwraca się i widzi jej zmartwione, przestraszone spojrzenie.

– Maciek, strasznie pobladłeś – mówi Zuzanna. – Wszystko w porządku?

## Rozdział 9

Mocno naciska pedał hamulca. Samochód trąbi za nią, a potem wymija ją z lewej strony. Kierowca wozu specjalnie zwalnia, żeby dobrze się jej przyjrzeć i rzucić kilkoma obelgami. Edyta ma okna zamknięte, więc nic nie słyszy. Ale same jego gesty wystarczą, by zrozumiała, co chce jej przekazać.

– Spadaj, głąbie – mamrocze pod nosem dziennikarka.

Czy to był ten skręt? Żałuje, że nie włączyła GPS-a, ale była pewna, że drogę zna na pamięć. W nocy jednak ta podwarszawska miejscowość wygląda zupełnie inaczej niż za dnia.

– Chyba jednak nie tutaj.

Wrzuca kierunkowskaz i jedzie wąską uliczką, oświetloną tylko kilkoma ulicznymi lampami. Nachylona nad kierownicą, patrzy na domy to po jednej, to po drugiej stronie, szukając tego właściwego.

Dzwoni jej telefon. W pierwszej chwili nie chce odbierać. Myśli, że to ktoś z radia, że chcą jej powiedzieć, że skontaktowali się już z piosenkarką, wyjaśnili sobie całe nieporozumienie i Edyta ma wracać do redakcji. Tymczasem przydarza jej się coś najbardziej ekscytującego od miesięcy. Tak sobie wyobraża prawdziwe dziennikarstwo. Rozumie, że jest nowa, rozumie, że zanim dostanie poważny temat, musi odbębnić swoje, wykonując nudne zlecenia, których nikt inny nie chce, ale jej zdaniem trwa to zdecydowanie za długo. W końcu ma szansę się wykazać.

Mimo to odbiera. Bo co innego ma zrobić?

– Czemu cię nie ma w radiu? – słyszy od Łukasza zamiast przywitania.

Głos chłopaka sprawia, że się kuli, jakby ktoś właśnie rzucił w nią kamieniem. Dopiero po sekundzie dociera do niej, co powiedział. To pytanie sprawia, że aż ją piecze ze złości.

– Skąd wiesz, że mnie tam nie ma? – pyta.

– Nie zmieniaj tematu.

– Nie! To ty odpowiedz mi na pytanie! Skąd wiesz, że nie ma mnie na Żurawiej?!

– A ty czemu jedziesz do Kampinosu?

Łukasz dokładnie wie, gdzie jest. Śledzi ją? Zerka w tylne lusterko, ale nikogo za sobą nie zauważa. Zresztą nie, to byłoby niemożliwe. Nie mają drugiego samochodu. Poza tym jak by to miało wyglądać? Siedziałyby przez całą noc pod budynkiem radia i pilnował wyjścia, na wypadek gdyby... No właśnie... Co? Co się roilo w tej jego głowie? Co niby miałyby zrobić? No tak.

– Zainstalowałeś mi jakiegoś szpiega w telefonie, prawda? – pyta. – Śledzisz mnie! Nagrywasz moje rozmowy?!

– Nie nagrywam twoich rozmów! Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jesteś! Szczególnie że nie odpisujesz na moje SMS-y!

Faktycznie. Nie odpisała mu. Zapomniała. Ale co z tego? To aż tak wielki grzech? A poza tym... Nie! Znowu to sama sobie robi. Zaczyna przyjmować jego punkt widzenia. Jeszcze trochę i będzie mu się tłumaczyć.

– Nie masz prawa mnie szpiegować! Nie masz prawa!

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jedziesz?

– Wal się! – krzyczy. – Wal się! Wal się! Waaaaaal!

Rozłącza się, a potem zjeżdża na bok i się zatrzymuje. Rzuca telefon na siedzenie obok. Nie zwraca już uwagi na jego agresywny dzwonek. Zwiesza tylko głowę i szlocha cicho. Trwa to jednak najwyżej minutę. Przypomina sobie, po co tutaj przyjechała. Ociera łzy i podnosi wzrok. Mruga kilka razy zdumiona. Zaparkowała tuż przed domem Ziemka.

Dotarła na miejsce.



## Rozdział 10

Edyta wychodzi z samochodu, trzaskając drzwiami. Po dwóch krokach zawraca, żeby jednak zabrać telefon. Jest wściekła na Łukasza. I coś sprawia, że wścieka się też na własną komórkę. Z jednej strony chce upchnąć ją w schowku na rękawiczki i o niej zapomnieć. Z drugiej natomiast umysł podsuwa jej wciąż kolejne scenariusze: kto i w jak ważnej sprawie mógłby do niej dzwonić w środku nocy. Do tego przypomina sobie, że teraz bez smartfona to jak bez ręki. Te argumenty przeważają.

Zirytowana na samą siebie wsadza telefon do kieszeni spodni. Oczywiście od razu zaczyna ją gnieść. Projektanci kobiecych spodni jeszcze nie wymyślili, że mogłyby mieć one normalne kieszenie – a nie jakieś popierdółki, za małe i za ciasne, w których ledwo się mieści bilet komunikacji miejskiej.

Edyta podchodzi do bramy wejściowej. Dom Ziemka to dość spory budynek z drewnianych bali. Wygląda trochę, jakby przeniesiono go tutaj z Zakopanego. W środku pali się światło, więc chyba ktoś tam jest. Naciska dzwonek domofonu, a potem odsuwa się o krok, żeby znaleźć się w obiektywie zawieszanej nieopodal kamery.

Nikt nie odbiera. Nikt się nie odzywa.

Dzwoni po raz kolejny.

Chwila ciszy.

Rozlega się przerażające miauknięcie kota.

Edyta krzyczy...

Odskakuje przestraszona. A potem coś spada prosto na jej głowę. Coś ciężkiego, ciemnego i... futrzastego, bardzo przyjemnego w dotyku. Chwyta to w obie ręce, odsuwa od siebie i patrzy prosto w parę zielonych kocich oczu. Zwierzak próbuje się jej wyrwać, rozcina powietrze wysuniętymi pazurami, ale po kilku sekundach rezygnuje. Zwisa bezwładnie, jak

szmaciana lalka. Tylko dzikie pulsowanie jego serca zdradza, jak bardzo jest zdenerwowany.

Ostrożnie odkłada zwierzę na ziemię. Kot umyka i w mroku wygląda już tylko jak ciemna smuga.

– Co cię tak przestraszyło? – pyta, mimo że zwierzak nie ma jak jej odpowiedzieć.

Ponieważ wciąż nikt jej nie otwiera, zastanawia się, co dalej. Powrót do pracy nie wchodzi w rachubę. Bo co miałyby im powiedzieć? Że poddała się przy pierwszej przeszkodzie? Po jej trupie! Czuje, że to jest szansa, by wreszcie zasłużyć na poważniejsze traktowanie.

Spogląda w ciemne oko kamery.

– Wejdę teraz do środka, dobra? – woła. – Ale nie włamuję się! Po prostu chcę sprawdzić, czy wszystko jest u was w porządku.

Nie jest pewna, czy ktokolwiek ją usłyszał. Nie wie nawet, czy kamera łapie dźwięk. Ale ma nadzieję, że – jakby co – nagranie posłuży jako podkładka, że miała dobre intencje.

Chwyta za metalowe pręty. Podskakuje i łapie się górnej krawędzi. Znajduje oparcie dla stóp, podciąga się i przerzuca prawą nogę na drugą stronę. Przez chwilę tak balansuje, a potem zeskakuje, a raczej spada na drugą stronę. Ląduje tyłkiem na ziemi. Myśli, że w dzieciństwie powinna była poświęcić więcej czasu na zabawy na trzepaku. Może teraz lepiej by jej wyszły te akrobacje.

Słysząc warczenie.

Edyta najpierw zamiera, niepewna, czy naprawdę usłyszała to, co jej się wydaje. Potem ostrożnie zerka przez lewe ramię. Już wie, co tak bardzo przestraszyło kota. Trzy metry za nią stoi pies. A raczej ogromne, przerośnięte bydlę z nisko opuszczonym pyskiem, z którego wystają lśniące od spienionej śliny kły. Wszystkie jego mięśnie są napięte. Edyta nagle zdaje sobie sprawę, że psisko szykuje się do skoku. Że jeszcze sekunda,

może ułamek i te potężne szczęki zacisną się na jej delikatnej szyi. I że jeśli chce przeżyć, musi uciekać. Teraz!

Podrywa się z ziemi. Nie ma czasu na wymyślenie żadnego planu. Po prostu pędzi przed siebie. A pies za nią. Słyszy uderzenia jego ciężkich łap o ziemię. Jeszcze moment i będzie ją miał.

Skreca gwałtownie, pies skacze. Ona uchyla się dosłownie w ostatniej chwili. Zaskoczony zwierzę trafia w pustkę, a potem leci w dół, przewraca się przy lądowaniu i turla po ziemi.

Edyta zyskuje kilka sekund.

Dobiega do drzewa w ogrodzie. Dużego, rozłożystego kasztanowca. Skacze w górę, żeby chwycić się gałęzi na dole. Przez moment wydaje się jej, że źle wymierzyła. Że jej nie dosięgnie. Ale nie. Czuje korę pod palcami. Zaciska dłonie. Podciąga się. Pies startuje za nią, próbując ją ugryźć, choć bez przekonania. Jakby wiedział, że już mu umknęła.

Edyta wspina się na drzewo. Znajduje miejsce, gdzie może usiąść, nie ryzykując upadku wprost w paszczę rozeźlonego zwierza. Dopiero wtedy odzyskuje oddech. I zaczyna się zastanawiać, co ma teraz, u diabła, zrobić.

## Rozdział 11

– Nie, to nie był żart – mówi Ornowski do telefonu. – Przynajmniej nie z naszej strony! Nie! Nic takiego nie planowaliśmy! Żadnej takiej akcji! To przecież jest idiotyzm! Nie bawilibyśmy się w takie rzeczy! A nawet jeśli, to dano by wam wcześniej znać, żebyście wiedzieli co i jak!

Bartek i Agnieszka starają się schodzić Ornowskiemu z drogi, kiedy krąży po realizatorce jak lew po klatce. Artur, choć audycja się już skończyła, ciągle siedzi w studiu. Co pewien czas rzuca tylko pytające spojrzenie znajdującym się po drugiej stronie szyby ludziom, jakby nie był pewien, czy może już wyjść.

Redaktor nagle uderza pięścią w ścianę, a potem rzuca swój telefon Bartkowi. Realizator chwyta go w ostatnim momencie.

– Wrzuć to na głośnik, proszę – mówi zmęczonym tonem i od razu chwyta się za wargę.

– Ale jak? – pyta Bartek.

– Nie wiem! Bluetoothem czy innym srututem. Błagam, to ty jesteś techniczny, nie ja. Zaraz mi ucho odpadnie, jak będę ciągle przy tym telefonie siedział.

Realizator zabiera się do roboty i z głośników zawieszonych pod sufitem płynie męski głos.

– Halo? Słyszemy się?

– Słyszemy się! – odpowiada Ornowski do mikrofonu. – Coś nam na moment przerwało, panie komisarzu. Jakieś zakłócenie chyba i...

– A weźcie mi te zakłócenia i sobie wsadźcie w dupę! – mówi zirytowany policjant. – Mam to gdzieś! Mnie interesuje to, że odbieramy kolejne telefony od waszych słuchaczy, którzy zgłaszają nam porwanie jakiejś Maggie!

– No i dlatego natychmiast do was zadzwoniliśmy, żeby was uprzedzić! Tak jak mówiłem, to nie jest nasza wina. To nie jest żadna akcja, żaden kawał, żaden...

– No mam nadzieję! Bo jeśli przez to na alarmowy nie dodzwoni nam się świadek wypadku samochodowego albo katowania człowieka pod nocnym klubem, to ich życie wy będziecie mieć na sumieniu! Rozumiecie!?

– Tak, oczywiście.

– Jakoś nie sądzę. Bo jestem pewien, że jeśli coś takiego się zdarzy, to pierwsi rozpoczniecie nagonkę, że policjanci dają ciała i zamiast patrolować ulice, śpią po radiowozach.

Ornowski przewraca oczami.

– Panie komisarzu, pan wie, że nigdy czegoś takiego nie zrobiliśmy i nie zrobimy. Zawsze, kiedy trzeba, zachowujemy się odpowiedzialnie i w pełni z wami współpracujemy.

Przez kilka sekund w głośnikach słychać tylko oddech policjanta.

– To co to było? – pyta wreszcie.

– Nie mam pojęcia – przyznaje Ornowski.

– A kiedy będziesz wiedział, co sam wpuszczasz na antenę?

– Właśnie to ustalamy.

– To czekam. Ale wcale nie tak długo. Nasza cierpliwość ma swoją granicę.

Policjant kończy rozmowę. Ornowski opiera się o konsolę i zaciska zęby, jakby ktoś mu nagle wbijał tysiące igieł w plecy. Trwa tak przez kilkanaście sekund, a potem wskazuje na Artura po drugiej stronie szyby.

– Co on tam jeszcze robi? – pyta Ornowski.

– Chyba boi się wyjść – odpowiada Bartek.

– Dobra. – Redaktor macha ręką. – To niech siedzi. Policja pewnie będzie chciała go przesłuchać, więc dobrze by było, żebyśmy wiedzieli, gdzie on jest. Co u tej młodej? Dowiedziała się już czegoś?

– Nie. Jeszcze nie dzwoniła – odzywa się Agnieszka.

Ornowski zerka w jej stronę, na jego twarzy pojawia się grymas irytacji.  
– Agnieszka, to ty zadzwoń do niej, proszę! Słyszałaś tego z policji! Jak zaraz nie wyjaśnimy im, co tu się dzieje, to wjedzie nam do redakcji cały zastęp antyterrorystów!

– Niby dlaczego? – pyta realizator.

– Bo ja znam tego faceta – odpowiada mu Ornowski. – I to kawał złośliwego skurczybyka jest.

## Rozdział 12

Prawie spada z drzewa, kiedy telefon w jej kieszeni zaczyna wibrować. Pies rozszczękał się na dobre. Jakby dźwięk telefonicznego dzwonka dodatkowo go denerwował. Edyta wyjmując ostrożnie komórkę. Spogląda na wyświetlacz – praca. Czuje dziwną ulgę, że to nie Łukasz.

Ale i tak nie odbiera. Nie może. Nie w momencie, kiedy tkwi na tym drzewie, a pies na dole najwyraźniej dostaje ataku agresji. Do tej pory siedział spokojnie. Jakby wiedział, że Edyta znalazła się w pułapce i jedyne, co musi zrobić, to na nią poczekać. Cichnie dopiero, kiedy telefon przestaje wydawać z siebie melodyjkę.

Nagle Edyta wpada na pomysł. To moment olśnienia, jakby dwie kulki zderzyły się w jej głowie, a rezultatem było rozwiązanie problemu. Uruchamia alarm. To sprawia, że pies dostaje ataku szału. Chociaż trudno w to uwierzyć, ujada jeszcze mocniej niż chwilę temu.

Edyta opuszcza się na drzewie najniżej, jak może, żeby pozostać poza zasięgiem szczęk zwierzęcia. Pies biega pod drzewem, podskakuje i kłapie zębami, jakby jego ciało nie było napędzane samą siłą mięśni, ale jakimś potężnym mechanicznym silnikiem.

Dziennikarka chwytając się jedną ręką gałęzi, drugim ramieniem bierze zamach i rzuca telefon najdalej, jak da radę, do przodu. Pies pędzi za hałasującą komórką, a ona zeskakuje z drzewa.

Kiedy tylko jej stopy dotykają ziemi, dociera do niej, jaką głupotę zrobiła. Po pierwsze, straciła komórkę. Ma tam wszystkie kontakty, niezliczoną liczbę wiadomości, zdjęć, filmików i apek. Pies pogryzie jej telefon tak, że z dysku twardego zostaną strzępy. Po drugie, rzucanie telefonem jest idiotycznym pomysłem. Mogła po prostu dalej siedzieć na drzewie i zadzwonić po pomoc. Za góra trzydzieści, czterdzieści minut ktoś by po nią przyjechał. Po trzecie wreszcie, rzuciła telefonem w stronę

bramy. I w tym kierunku pobiegł pies. Czyli ona musi uciekać w drugą stronę. Do lasu. Tylko czy tam da radę pokonać ogrodzenie?

Pędzi na tyły domu. Alarm w telefonie ucichł, co jest oznaką, że pies już zdążył zdewastować lub skonsumować komórkę. Co teraz? Patrzy za siebie i widzi ciemny kształt, który się do niej zbliża w przerażającym tempie. Ile ma do lasu? Dwadzieścia metrów? Może więcej. Nie da rady. Dopadnie ją, zanim tam dotrze.

I wtedy kątem oka zauważa otwarte drzwi tarasowe. Wbiega do domu. Zatraskuje je jednym ruchem. W samą porę – pies był tuż za nią. Przez moment w jej głowie gości przerażająca wizja, że ta cienka tafla szkła go nie powstrzyma. Że skoczy do przodu, rozbije ją swoją twardą jak gład czaszką, a wtedy nie będzie już pomiędzy nimi nic, co mogłoby go powstrzymać.

Ale nie. Zatrzymuje się. Chodzi wzdłuż tarasowych drzwi i wścieka się, widząc ją po drugiej stronie. Co teraz?, pyta się Edyta w myślach.

Mogłaby przebiec przez dom. Wtedy od drzwi wejściowych do bramy miałyby około dziesięciu metrów. Jeśli pies zostanie po tej stronie, bez trudu je pokona. A kiedy już znajdzie się na ulicy, poszuka kogoś, kto jej pomoże.

Rusza w stronę drzwi. Przechodzi przez salon. Ledwo rejestruje ślady walki, która się tutaj rozegrała. Teraz liczy się tylko to, by wydostać się z tego domu, z tej przeklętej posiadłości, żeby uciec temu cholernemu psu.

Wchodzi do przedpokoju. Potyka się i upada, boleśnie dzwoniąc kolanami o podłogę. Zauważa go dopiero, kiedy jest tuż-tuż, kiedy ich twarze – jej przerażoną, jego zakrwawioną – dzieli ledwo dziesięć centymetrów. Patrzy wprost w martwe oczy Ziemka.

I zaczyna krzyczeć.



## Rozdział 13

– Edyta, a co ty tu robisz w ogóle? – Głos Eweliny, tak nagły i niespodziewany w pustej przestrzeni pokoju socjalnego, sprawia, że Edyta odwraca się gwałtownie, mało nie upuszczając trzymanego w dłoniach słoika. Przestraszona, wygląda teraz trochę jak dziecko przyłapane na szukaniu ciastek.

– Cukru szukam – odpowiada, usiłując jednocześnie zapanować nad nerwami. Z ulgą przyjmuje fakt, że nie załamał jej się głos. Być może to pierwszy sukces tego parszywego poranka.

– Wiesz, że nie o to pytam – odpowiada Ewelina. Jak przystało na prawdziwą przyjaciółkę, nie daje się zbyć, tylko przygląda się, mrużąc oczy. Jest coś zabawnego w tej ostentacyjnej podejrzliwości malującej się teraz na jej twarzy. Coś, co sprawia, że Edyta mimowolnie się uśmiecha.

– Ale naprawdę szukam. Chyba się skończył.

Dla potwierdzenia tych słów Edyta kładzie pusty słoik na blat i wykonuje gest tego czarnego chłopaka z memów. Dwie dłonie wyciągnięte przed siebie, wierzchem do góry, ramiona, jakby chciała nimi wzruszyć i zamarła w trakcie.

Ewelina parska i odwraca się w stronę krzesła.

– Możliwe, że się skończył, bo ci z policji słodzili, jakby jutra miało nie być – mówi, sięgając po torebkę przewieszoną przez oparcie. – Ale czekaj, sprawdzę, bo chyba wzięłam saszetkę z kawiarni... o, mam, dwie wystarczą?

– Tak, jasne, dzięki.

Ewelina podaje przyjaciółce wąskie papierowe torebki, a gdy tamta rozrywa je i wsypuje do kubka, znowu przygląda się jej uważnie. Nie wie, czego dokładnie szuka w jej twarzy, ruchach, bo nie ma pojęcia, co się zmienia w człowieku, gdy na własne oczy zobaczy trupa. Choć może Edyta

jest na to odporna? Może te wszystkie zbrodnie, o których czytała i mówiła w podkastach, zahartowały ją i takie rzeczy nie robiły na niej większego wrażenia?

Myśli, że w sumie są na tyle blisko, że może o to zapytać, więc otwiera usta, ale wtedy widzi kątem oka, że do kuchni wchodzi właśnie Robert Motyka. Jest wyraźnie zmęczony, ruchy ma delikatnie spowolnione, zupełnie jakby schodząc z anteny, przeszedł na tryb oszczędzania energii. Mimo to, gdy je dostrzega, zaraz uśmiecha się szeroko.

Jak wybudzony monitor pokazujący ostatni zapamiętany ekran, myśli Ewelina, odpowiadając na ten jego uśmiech swoim.

– Cześć, dziewczyny. Jak samopoczucie?

Edyta odwraca się, mierzy go wzrokiem i przez moment Ewelina ma wrażenie, że przyjaciółka rzuci zaraz jakimś sarkastycznym komentarzem. Czymś w stylu: „Świetnie, jak na dzień po ujrzeniu trupa”. Ale ona tylko wyjmuje swój kubek spod ekspresu i odsuwa się na bok.

– Mogę cię puścić pierwszego, jak chcesz – mówi. – Wyglądasz, jakbyś bardziej potrzebował.

Robert przegląda się w szklanej szafce, dotyka worów pod oczami.

– W sumie prawda – stwierdza. – Ale za kawę podziękuję. Jadę do domu odespać, tylko sprawdzam, bo chyba gdzieś tu zostawiłem...

Rozgląda się po pomieszczeniu, przesuwa kilka ulotek i znajduje kluczyki do samochodu. Podrzuca je, łapie i zamyka dłoń.

– ...a, tu są. Dobra, lecę. Na razie.

Jak gdyby nigdy nic, myśli oburzona Ewelina. Zaraz jednak dociera do niej, że przecież faktycznie mógł nie wiedzieć. Ci z *Dzień dobry* bardzo zwykle kładą się wcześniej, więc niekoniecznie znał szczegóły tego, co zaszło. Zresztą Ornowski prosił tych, co wiedzą, by w miarę możliwości nie rozmawiali na ten temat z nikim. Może Robert właśnie tego się trzymał.

Czeka, aż prezenter zniknie za rogiem, po czym podchodzi do Edyty, staje bokiem do blatu, opierając się na nim jedną ręką, i spojrzeniem zmusza przyjaciółkę, by ta na nią spojrzała.

– To powiesz mi teraz, co tu robisz?

– No chyba jeszcze ciągle pracuję, nie? – odpowiada Edyta zaczepnie. – Chociaż sądząc po tym, jak mnie dzisiaj niektórzy omijają szerokim łukiem, to już sama nie wiem.

Wzdycha i przewraca oczami, ale Ewelina nie daje się nabrać na te teatralne sztuczki.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Widziałaś trupa.

– Tak, a poza tym mało nie zagryzł mnie pies, straciłam telefon z całą masą kontaktów, a policjant, który mnie przesłuchiwał, to chyba jak był mały, wpadł do kociołka z krindżem.

Cichy do tej pory ekspres warczy nagle, a potem wypluwa cienki strumień kawy, zabarwiając wsypany do kubka cukier na brązowo. Ewelina zerka na niego, ale zaraz ponownie skupia wzrok na przyjaciółce.

– Chyba nie rozumiem, o czym mówisz. Jakim kociołkiem?

– No tym z *Asterixa*, gdzie Obelix... – Edyta zaczyna tłumaczyć, ale w połowie zdania orientuje się, że nie warto. Przechodzi więc do sedna. – Ten policjant najpierw myślał, że jestem jakąś panienką, którą sobie Ziemek zamówił na telefon. I tak właśnie mnie traktował. A potem, jak się dowiedział, że nie pracuję w agencji, zrobił się niby miłszy, ale tak, wiesz, ślisko. Pytał, czemu przyjechałam tam sama, czy mam chłopaka albo kogoś innego, kto mógłby się mną zaopiekować. Czujesz? Zaopiekować! Naprawdę tak powiedział!

Edyta potrząsa głową, bierze kubek z podstawki i wkłada do niego łyżeczkę. Miesza jak zawsze odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, ale to już od jakiegoś czasu nie budzi w Ewelinie zdziwienia.

– No to dzban jak nic. Ale wiesz, pełno takich. A skoro o chłopaku mowa, to jak w tym wszystkim Łukasz? Przejął się?

Edyta prycha i zaraz krzywi się z niesmakiem.

– O, i to bardzo – mówi z wyraźną drwiną. – Zanim wróciłam do domu, zdążył z tej troski przeszukać cały internet w temacie życia erotycznego tego Ziemka. Pierwsze pytanie, jakie mi zadał, to od jak dawna się z nim widuję.

Ewelina przymyka oczy i w myślach wolno liczy do pięciu. Tego się już nauczyła, że w rozmowach o chłopaku koleżanki może zabrać głos tylko po takim czasie. Bo nigdy, przenigdy nie może używać słów, jakie pierwsze przychodzą jej do głowy.

– On jest nienormalny, Edyta. Zwyczajnie nienormalny – stwierdza w końcu.

Edyta przestaje mieszać i wtedy właśnie Ewelina uświadamia sobie, że jeśli przyjaciółka weźmie go w tej chwili w obronę, to niezależnie od tego, co przeżyła, zaraz solidnie się pokłóca.

Ta jednak patrzy tylko przez moment smutnym wzrokiem na blat, po czym uderza łyżeczką o kubek i odkłada ją na bok.

– Przede wszystkim jest chyba ślepy – stwierdza. – Wmawiał mi, że jestem... znaczy byłam w jego typie. Tego Ziemka znaczy. I pokazał mi jakieś zdjęcia z sieci, ze ścianek, a na każdym zupełnie inna laska. W ogóle do siebie niepodobne. Mówię mu, że właśnie widziałam tego gościa martwego, ale on jakby nie słyszał. Mówi, że chodzi o oczy. Że wszystkie mamy takie same, z... jak on to powiedział? Figlarnym rozbłyskiem.

– Myślę, że powinnaś... – zaczyna Ewelina, ale urywa i kręci głową. – Myślę, że dobrze wiesz, co...

– Na pewno wiem, czego zdaniem Łukasza nie powinnam. Jechać tam. Wyobrażasz sobie? Powiedział, że w ogóle nie powinno mnie tam być.

Następny potencjalny punkt zapalny, uświadamia sobie Ewelina, ale tym razem nie odpuszcza.

– No dobra, akurat tutaj ma rację – stwierdza. – Przecież gdyby ten porywacz ciągle tam był... Nie wiem, co byś zrobiła, Edyta. Naprawdę. Tyle

razy, jak słuchałam tego twojego podcastu, potrafiłam bez trudu wskazać miejsca, gdzie to wszystko mogło się potoczyć inaczej. Trochę jak w filmach, kiedy aż chcesz krzyknąć do bohatera: „Nie leż tam, idioto!”. I ty też to musisz widzieć. A poleciałaś tam jak cholerna ćma do ognia.

Czeka na wybuch przyjaciółki, ale ta uśmiecha się tylko smutno, unosząc kubek.

– Wiesz co? Z dwojga złego to już wolę, jak na Łukasza narzekasz, niż jak bierzesz jego stronę.

## Rozdział 14

Artur był przekonany że rozmowa, na którą go zaproszono, odbędzie się w biurze, więc jest trochę zaskoczony wchodząc do studia, właściwie takiego samego jak to, w którym siedział wczoraj podczas audycji. Identycznie wygłuszone ściany, taki sam układ foteli, mikrofony sterczące z blatu i logo radia. Po jednej stronie stołu, przy laptopie i kubku z kawą, siedzi redaktor Tobiasz Ornowski. Drugi fotel odsunięto już dla niego i zwrócono lekko w stronę wyjścia, zapraszająco.

Artur zastanawia się, czy zacząć rozmowę od wspomnienia, że miał kiedyś taki sam czerwony kubek z logo stacji, który wygrał w jakimś konkursie, ale myśli zbyt długo i to Ornowski odzywa się pierwszy.

– Niech pan usiądzie, panie Arturze. Wody? – Wskazuje ręką na karafkę skrytą częściowo za mikrofonami. – Tylko od razu zaznaczam, że ciepła. Znaczą pokojowa, ale...

Przerywa na dźwięk telefonu. Spogląda na wyświetlacz, wycisza dźwięk i przez sekundę albo dwie wyraźnie się waha, czy odebrać. W końcu jednak podnosi smartfona z blatu.

– Przepraszam – zwraca się do Artura, po czym przesuwa zieloną słuchawkę. – Tak? No to chyba wiesz, gdzie ich przekierować, prawda? Mnie nie wolno udzielać żadnych komentarzy. Rozmawiam tylko z szefostwem i policją... Nie, tego nie musisz już dodawać... Dobra, to załatw to i dzwoń wyłącznie w ważnych sprawach teraz. Spotkanie mam.

Rozłącza się i odkłada telefon.

Artur w milczeniu obserwuje rozmówcę, czekając, aż telefon dotknie blatu.

– Rozumiem, że wycofują się państwo z projektu, tak? – pyta w końcu.

– Tak.

Prosto, czysto, bez zbędnych słów. Artur docenia tę zwięzłość, a jednocześnie w jakiś sposób drażni go ta pewność siebie rozmówcy. To poczucie, że nie musi niczego wyjaśniać, że może po prostu stwierdzić. Jedną sylabą jak ciachnięciem miecza zamyka temat wielomiesięcznej pracy. Dlatego teraz pisarz uśmiecha się półgębkiem, patrząc Dmowskiemu prosto w oczy. I wie jedno: tej ciszy, która właśnie zapadła, nie zamierza już przerywać jako pierwszy.

– Na ten moment nie widzę innego wyjścia, panie Arturze – odzywa się w końcu Ornowski. – Nie ma mowy, byśmy służyli za mównicę dla szaleńca. To terrorystyczne metody nacisku, a z terrorystami...

– ...się nie negocjuje, wiem. Ale powiedział pan „na ten moment”. Jak mam to rozumieć?

Ornowski wzdycha ciężko i jest w tym westchnieniu coś na kształt wyrzutu. Jakby był zły, że pisarz drażni.

– Tak naprawdę to nijak, panie Arturze, przepraszam – prostuje. – Chciałem złagodzić przekaz, ale w zasadzie to nie żadne „na ten moment”, bo w ogóle już tego nie widzę. Nie wyobrażam sobie, byśmy kiedykolwiek mogli to kontynuować. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nadal uważam, że pomysł jest bardzo dobry, a ten kawałek, który pan już napisał, znakomity. Ale kiedy nagle, tak jak wczoraj, zaciera się granica...

Raz jeszcze przerywa mu dzwonek telefonu. Tym razem redaktor od razu sięga po urządzenie.

– Przepraszam pana jeszcze raz. No, co tam?... Dobra, to wpuść i powiedz, niech chwilę zaczeka, zaraz przyjdę.

Tym razem po rozłączeniu się Ornowski przesuwając niewielki pstryczek z boku telefonu i przełącza urządzenie na tryb cichy. Dopiero wtedy odkłada go z powrotem na blat ekranem do dołu. Po namyśle dodatkowo go odsuwa, by nie kusił.

– Na czym skończyłem?

– Zatarta granica – podpowiada Artur.

– Widzi pan, chodzi mi o to, że nie da się wymazać tego, co się stało. – Ornowski sięga po kubek. Wyraźnie potrzebuje zająć czymś dłonie. – Do wczoraj to była zabawa, owszem, trochę makabryczna, jak to w kryminałach bywa, ale zabawa, wymyślanki. Jednak po tym, co się wydarzyło... no, już zawsze to będzie trochę prawdziwe, rozumie pan?

– Tak.

Tym razem to Ornowski się uśmiecha, patrzy i czeka. Artur daje mu na to kilka sekund, po czym dodaje:

– Rozumiem.

Ornowski wolno kiwa głową.

– Tylko żebyśmy mieli jasność, panie Arturze. Proszę nie brać tego do siebie. Tutaj nikt nie myśli, że to pana wina. Szaleńca może sprowokować dosłownie wszystko. Kiedyś, jak jeszcze byłem w wojsku...

– Przepraszam – wchodzi mu w słowo Artur. – Proszę wybaczyć, ale wolałbym teraz nie słuchać innych strasznych historii. Wystarczy mi ta jedna, w której brałem udział. I wiem, że to nie jest moja wina ani radia. Może nie jestem najlepszym podkasterem kryminalnym, ale coś tam jednak czytałem o tym i owym i wiem, jak działają tacy szaleńcy. O tym wycofaniu się z projektu rozmawiał pan z policją?

– Tak, wszystko z nimi teraz konsultujemy, oczywiście.

– I co oni na to? Nie obawiają się, że jeśli nagle ogłosicie, że facet traci swoją tubę, to on piosenkarkę po prostu zabije?

Ornowski odstawia kubek i mruży oczy. Otwiera też usta, ale zaraz je zamyka, wyciszając nagły przyływ emocji w kilku długich, spokojnych oddechach.

– Nie byliśmy jego tubą nawet przez chwilę, panie Arturze. To po prostu nieporozumienie, że...

Urywa, najwyraźniej w połowie zdania uznając, że nie musi się tłumaczyć. Że przecież nie po to się spotkali.



– Póki co nie będziemy tego ogłaszać – mówi zamiast tego. – Po prostu nie wpuścimy go już więcej na antenę.

– Wścieknie się – zauważa pisarz. – Zrobi jej krzywdę.

Redaktor zaplata ręce, opiera łokcie na blacie i pochyla się lekko do przodu. Następuje wyraźna zmiana w mowie ciała: teraz sprawia wrażenie polityka po szkoleniu z publicznych wystąpień.

– Jeżeli zrobi jej krzywdę, to tylko dlatego, że tego chciał. – Tobiasz mimowolnie przybiera mentorski ton, jakby właśnie szkolił młodego reportera z podstaw zawodu. – Jej życie nie zależy od nas, a od niego i od ludzi, miejmy nadzieję, kompetentnych, którzy jej w tej chwili szukają. Moją odpowiedzialnością, jedyną w tej sprawie, jest przekaz, jaki ślemy do naszych słuchaczy. Nie będę ich karmił bełkotem psychopaty. Nie będę tworzył żadnego cholernego precedensu.

– Przepraszam. Ma pan oczywiście rację, tak – mówi Artur, po czym spogląda na zegarek. – I jak najbardziej rozumiem decyzję radia w sprawie audycji. Teraz to nie byłoby w porządku.

Ornowski, wyraźnie uspokojony tymi słowami, odchyła się na fotelu.

– Będziemy musieli rozwiązać naszą umowę, panie Arturze – mówi. – Wszystkie formalności załatwi oczywiście dział prawny, odwołamy się do okoliczności niezależnych od nas i będzie pan mógł zachować zaliczkę, tak mi powiedziano. Będziemy też chcieli poprosić pana, żeby, no wie pan...

– Wiem, rozmawiałem o tym z policją. Prosili, bym wstrzymał się od publicznych wypowiedzi czy wpisów do rozwiązania sprawy. I oczywiście tak zrobię. Zamierzam współpracować na każdym polu. I nie chciałem pana zdenerwować, przepraszam.

Podnosi się z fotela.

Redaktor w jednej chwili robi to samo, po czym szybko obchodzi stół, wyciągając rękę. Jego uścisk jest mocny i stanowczy, ale w słowach, które wypowiada, słychać jakby niepewną nutę.

– Dobrze się pan wczoraj spisał, panie Arturze. Byłem naprawdę pod wrażeniem tego, jak udało się panu zachować zimną krew. Mam nadzieję, że dziś wieczorem, gdy ten szaleniec znowu spróbuje, będę mógł to powiedzieć o sobie.

– Jestem przekonany, że tak, panie Tobiaszu – stwierdza pisarz. – W końcu z nas dwóch to pan jest w tych sprawach zawodowcem.

## Rozdział 15

Edyta spędziła w studiu większość poranka, a wyszła z niego w bardzo złym momencie. Gdy jednak to sobie uświadamia, jest już za późno, by się wycofać. Idący w jej stronę Artur, ten cały pisarz, dostrzega ją z drugiego końca korytarza, unosi rękę i rusza ku niej.

Edyta patrzy, jak się zbliża, powstrzymując jednocześnie odruch, by się rozejrzeć i poszukać wzrokiem Łukasza. Jeszcze za wcześnie, by jej chłopak tu był, ale kto wie? Ostatnio robi się coraz mniej przewidywalny.

Tymczasem pisarz zbliża się już na tyle, by nie musieć krzyczeć.

– O, widzę drugie oko tego cyklonu, cześć – wita się. Ma trudną do odgadnięcia minę, coś jak niewyraźny półuśmiech.

– Cześć – odpowiada Edyta. – I chyba nie do końca rozumiem. O co ci chodzi z tym okiem?

Pisarz wzrusza ramionami, swobodnie, lekko.

Zachowuje się, jakby to był najnormalniejszy dzień, myśli reporterka. Jakby, cholera, nic się nie stało.

– No wiesz, oboje byliśmy tak jakby w centrum wydarzeń wczoraj. – Artur sięga ręką do karku i drapie się po nim. Sprawia wrażenie nieco zakłopotanego, że musi tłumaczyć żart. – Ja tutaj, w rozmowie na żywo, a ty, jak słyszałem, tam. Więc wygląda na to, że ten konkretny cyklon ma dwa oka i jednym jesteś ty, a drugim ja.

– Ciebie to bawi?

– Nie. Ale pomyślałem, że pewnie od rana wszyscy ci współczują, więc spróbuję inaczej, bo może masz już dość takich tekstów.

– Mogłeś skończyć na „cześć” – rzuca oschle Edyta. – To też byłaby odmiana.

Zaskakuje ją jego śmiech. I jeszcze mocniej potęguje rozdrażnienie. Podobnie jak jego gest wyciągniętych w obronie rąk. Dłonie szeroko, na

wysokości piersi, wnętrzami skierowane ku niej. Jakby opierał je na niewidzialnej ścianie.

– Ej, odpuść mi trochę, naprawdę się staram – prosi i zaraz uśmiecha się głupkowato. – O, wiem, co cię ucieszy. Właśnie mnie wylali z roboty.

– Mówisz o tej audycji? – upewnia się Edyta. – To chyba raczej zrozumiałe, że ją teraz zawieszają.

Artur kręci głową.

– Nie zawieszają, zamykają cały projekt – wyjaśnia. – Ornowski powiedział, że nie wyobraża sobie, by to kiedyś kontynuować, bo już zawsze będzie... naznaczone. I w sumie go rozumiem. Sam nie chciałbym tego robić dalej.

Dopiero teraz Edyta przygląda mu się z nieco większą uwagą. A może nawet z życzliwością? Wtedy też dociera do niej to, co tak naprawdę wcześniej powiedział.

– Ej, ale czemu właściwie miałyby mnie to ucieszyć? Znaczą twoje zwolnienie?

– No wiesz, przez to, co wczoraj mówiłaś o moim podkaście, pomyślałem...

– Ale tu chyba miałaś pisać coś na kształt książki, nie? O książkach nic...

Reporterka urywa, dostrzegając w odbiciu szklanych drzwi znajomą sylwetkę. Łukasz! Czyli jednak przyszedł wcześniej!

Przez głowę przebiega jej myśl, że zaraz ich zobaczy, a wtedy wystarczy mu jeden rzut oka i będzie już wiedział wszystko. Wszystko poza cholerną prawdą!

Jest na siebie zła, że tak reaguje, ale nie umie tego powstrzymać. Ma wrażenie, że świat zwolnił. Łukasz wchodzi na korytarz, lecz jeszcze ich nie widzi. Z kolei Artur już podąża spojrzeniem za jej wzrokiem, już wygląda, jakby chciał o coś zapytać. Edyta, wiedzona nagłym odruchem, łapie go za rękę i wciąga do studia, z którego chwilę wcześniej wyszła.

– Chodź, szybko! – mówi. – Coś ci pokażę.

## Rozdział 16

Pamiętaj, że jest szybki. Maggie powtarza sobie to w głowie jak mantrę, gdy dociera do niej dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Chwilę wcześniej usłyszała już jego kroki i wyobraziła sobie, jak ten facet zstępuje powoli po kamiennych schodach w tej swojej masce z namalowanym koślawo budzikiem, niczym w horrorze. Deski trzeszczą pod butami, w kącie kapie woda, a gdzieś nad jego głową niczym wisielec kołysze się goła żarówka na kablu.

Odrzuca te myśli, zostawiając w głowie tylko jedną.

Jest szybki. Pamiętaj, bo już raz cię tym zaskoczył.

Piosenkarka przesuwając językiem po spierzchniętych wargach i krzywi się, dotykając poparzonego miejsca. Jej nagroda za wczoraj, za to, że się spisała, śpiewając tę piosenkę. Uwolnione ręce i kolacja, a do niej kubek herbaty. Gorącej, ale czuła w gardle taką suchość, że mimo bólu nie potrafiła się wtedy powstrzymać.

– Usiądź przy stole.

Jego głos jest przytłumiony, bo mówi zza drzwi, jeszcze zanim je otworzy. Tak samo jak wczoraj przed kolacją i w nocy, gdy zawołała, że musi do łazienki. Zanim zasłonił jej oczy i ją tam zabrał – gdzieś na dole, bo nie wchodziła po schodach – kazał jej usiąść, a potem się odezwać, by wiedzieć, gdzie jest. To znaczyło, że nie ma tu kamer. A to z kolei znaczy, że mogła jednak sprawdzić szuflady tej stojącej w kącie komody. Chciała to zrobić od pierwszej chwili, kiedy tu jest, ale wciąż nie ma odwagi.

– Siedzę – mówi głośno i zaraz dodaje: – Siedzę przy stole.

Rzeczywiście siada, lekko bokiem, tak by w razie nagłego zrywu nie uderzyć się czy nie zaczepić o nogę przykręconego do podłogi stołu. Nie żeby teraz cokolwiek planowała. Ale też do tej pory zachowywał się przewidywalnie. I to, uznaje, jest jej szansa.

Zamek szczęka jeszcze raz i nagle drzwi się uchylają. Tylko trochę, ale wystarczająco, by mogła zobaczyć jego oczy i ten przeklęty budzik na masce. Bo znowu nosi maskę. Jakby wtedy się po prostu zapomniał i zamiast strasznym, odrealnionym Panem Budzikiem – jak nazywała go w myślach – na chwilę stał się zwykłym człowiekiem.

Teraz on upewnia się, że Maggie faktycznie jest tam, gdzie mówiła, po czym otwiera drzwi szerzej i kuca. Z podłogi podnosi talerz z kanapkami i kubek.

Maggie patrzy na te kanapki jak zahipnotyzowana. Ser żółty, pomidor, cebula pokrojona w kostkę i skropiona czymś brązowym. Czy to sos sojowy?

– Pomyślałem, że jesteś głodna – mówi jej oprawca. Jest jakiś nieobecny, jakby czytał kwestie, a nie faktycznie mówił. Ale barwę głosu ma miłą, głęboką.

– Tak, faktycznie jestem – odpowiada Maggie. – Dziękuję bardzo.

W rzeczywistości wie, że nic w siebie nie wciśnie, ale całą uwagę skupia teraz na kubku. Bo on znowu przyniósł jej herbatę!

Dziewczyna zerka w stronę drzwi, których nie zamknął. W półmrok, który się za nimi czai. Zerka na Pana Budzika. Stoi tak, że blokuje jej drogę, ale gdyby usiadł, gdyby...

Nie, to szalona myśl, nie zdążysz, upomina się. Jest za szybki!

Zmusza się jednak, by zlekceważyć ten głos. Zmusza, by uśmiechnąć się przymilnie, ręką wskazując na miejsce obok.

– Usiądziesz ze mną? – pyta. – Chociaż na chwilę. Boję się być sama.

Patrzy na nią, marszcząc czoło, ale w końcu stawia przed nią kanapki i kubek i siada.

Maggie dotyka ucha kubka. Nie jest gorące, ale bardzo, bardzo ciepłe.

Podnosi go jakby do ust i nagle chlusta prosto w te oczy, prosto na ten przeklęty budzik!

Natychmiast, jeszcze zanim jego ręce sięgną twarzy, zrywa się i pędzi.

Ale gdy biegnie, dociera do niej, że coś jest nie tak. Nie krzyknął z bólu! A krople, które kapnęły jej na palce, były ledwie letnie. Dociera do niej teraz, że pewnie po tym, jak się wczoraj poparzyła, tym razem dołał jej zimnej wody. To dlatego kubek był gorący, a herbata nie...

Myśli tak, ale nie zwalnia. Jest już przy drzwiach, już prawie przekracza próg. I wtedy czuje mocne szarpnięcie, a zaraz potem pchnięcie.

Uderza głową o framugę. Nie czuje nawet bólu. Zapada ciemność.

## Rozdział 17

– Czy my właśnie z jakiegoś powodu uciekliśmy przed tamtym facetem? – pyta Artur, wskazując kciukiem na drzwi za sobą.

Wygląda na rozbawionego. I rany, jak ją to wnerwia! Przechodzi przez pokój i siada w miejscu, gdzie zostawiła komputer. Wypina z niego słuchawki, by przełączyć urządzenie na zewnętrzne głośniki, a potem wyciąga z kieszeni wibrujący nowy telefon, który wzięła z radia jako zastępczy po stracie swojego. Nie odrzuca połączenia, czeka, aż minie, a potem przełącza w tryb „nie przeszkadzać”.

– To nie jakiś facet, tylko mój chłopak Łukasz – odpowiada w końcu.

– Czyli nie wydawało mi się? – upewnia się Artur. – Uciekliśmy przed nim?

Edyta tym razem milczy, udając, że skupia się na komputerze. W rzeczywistości jednak obserwuje pisarza kątem oka. Co teraz zrobi? Wkurzy się, że w coś go wmieszała? Albo przeciwnie, zacznie jeszcze bardziej dowcipkować?

Po namyśle uznaje, że żadna z tych opcji jej się nie podoba, więc jedyne, co może teraz zrobić, to zmienić temat. Zwłaszcza że faktycznie ma taki, o którym chce pogadać.

– Słuchałeś może nagrania z wczoraj? Tej swojej rozmowy z Maggie?

Pisarz kręci głową.

– Nie, w sumie raz mi wystarczyło. – Wzdryga się na samo wspomnienie, po czym podchodzi do niej i bierze sobie krzesło.

Edyta mimowolnie myśli o tym, że Artur ładnie pachnie. I że usiadł blisko. Czy za bardzo? Czy dla kogoś, kto by tu wszedł, wyglądałoby to podejrzenie?

Potrząsa głową, by odgonić myśl, i wklepuje w wyszukiwarkę wcześniej sprawdzaną frazę.



– A znasz piosenkę, którą śpiewała? – pyta.

– Jasne, to stary kawałek Bartosiewicz *Cała wstecz*.

– Właściwie to kawałek nazywał się *Zegar* – precyzuje dziennikarka. – Pochodzi z płyty *Szok'n'Show* wydanej w dziewięćdziesiątym piątym roku. Jeden z dwóch wielkich przebojów z tej płyty, obok *Szału*. No nie patrz tak, mój tata uwielbiał polską muzykę rozrywkową z tamtej dekady. A już Bartosiewicz szczególnie. Mam po niej imię.

– To musi być strasznie dumny, że tu teraz pracujesz, co?

Edyta zerka w bok, upewniając się, czy z niej drwi, ale nie dostrzega kpiarskiego uśmiešku czy niedawnej wesołości w oczach. Wygląda na to, że to nie była żadna złośliwość. Karci się w myślach za tę paranoję. Skup się teraz, napomina się. Skup i pokaż mu, co znalazłaś!

– A czy wtedy, gdy śpiewała, wsłuchiwałeś się w tę piosenkę? Znaczy w jej wersję tekstu?

Artur zdziwiony marszczy brwi. Spodziewała się takiej reakcji, ale i tak, widząc ją, czuje satysfakcję.

– Nie rozumiem, co to znaczy: jej wersję – mówi Artur.

– No to znaczy, że to nie była do końca piosenka Bartosiewicz. Maggie pozmieniała jej oryginalny tekst. Posłuchaj.

Przesuwa suwak na konsoli i włącza nagranie. Z głośników słychać nagle głos Maggie, od którego oboje mimowolnie się wzdrygają.

*Chciałbyś chociaż przez chwilę*

*Wstrzymać budzik bezlitosny*

*Nim opadnie cios ostatni*

*Niech odetchnie, niech odpocznie*

*Kolejne już rany zadane*

*Biedny staniasz się i opadasz z sił*

*Z jego objęć wyrwany*

*Byłbyś bardziej beztroski*

*Jest czymś niezrozumiałym  
W noc czerwcową taki pośpiech  
Ten zegar jest całkiem bezduszny  
Nie zna litości, nie wie, co to jest ból  
Śliska klamka z rąk się wymyka  
By pobiec, brakuje już tchu  
Gdy do przodu zegar rwie  
Zostaje tylko bieg  
I nie patrz wstecz!  
Zatrzymuję go, lecz drgnął  
Odpycha moją dłoń  
Ty nie patrz wstecz!  
Gdy do przodu zegar rwie  
Napieraj mocno  
I nie patrz wstecz!  
Nie, nie zgadzaj się, by on  
Dyktował każdy krok  
Więc cała wstecz!*

Edyta wyłącza nagranie i przełącza na plik tekstowy, który ma zapisany w folderze ze swoim imieniem. Widać w nim tabelkę z dwiema kolumnami, a w każdej podobny tekst w niemal takim samym układzie strof. W rubryce na samej górze po lewej widnieje napis „Maggie”, po prawej „oryginał”. Zmiany są zaznaczone na kolorowo.

– Pierwsza zmiana jest już w drugim wersie – mówi, wskazując poprawkę kursorem. – W oryginale jest „zegar”, a ona śpiewa „budzik”. Potem trzeci wers to już w ogóle poważna zmiana, bo zamiast „niech opamięta się miły”, jest złowieszcze „nim opadnie cios ostatni”.

W odbiciu monitora widać skupioną twarz Artura. Mężczyzna mruży oczy, przygląda się plikowi, mimowolnie porusza ustami, jakby sprawdzał

zgodność sylab w podmienionym wersie.

– Drugi wers to w ogóle dużo zmian – kontynuuje reporterka. – Nie ma „Wahadło z mosiądzu odlane, biedne słania się i opada z sił”, tylko „Kolejne już rany zadane, biedny słaniasz się i opadasz z sił”.

– Czekał – wchodzi jej w słowo Artur. – Teraz po zmianie to brzmi, jakby...

– ...ktoś obserwował dokonywaną właśnie zbrodnię i zwracał się do ofiary, tak! – kończy Edyta i zaraz wskazuje na kolejną poprawkę. – Wreszcie z końcem refrenu wjeżdża jeszcze znacznik czasu „w noc czerwcową”. W oryginale w ogóle tego nie ma.

Artur patrzy na tekst, stukając paznokciem o zęby. Czyta jeszcze raz, analizuje.

– Dobra, następne chyba wyłapałem – mówi w końcu. – Rozumiem, że w oryginale nie było nic o śliskiej klamce, co wymyka się z ręki?

– Słuszne spostrzeżenie. – Edyta przewija stronę rolką myszki, zupełnie nieświadoma, że uśmiecha się, kiwając głową. – W oryginale jest „Gdy wszystko z rąk się wymyka, by z zegarem biec co tchu”. Śliska klamka, w domyśle od krwi, i brak tchu sugerują ucieczkę kogoś rannego. A potem wchodzi refren i tam już w ogóle kawał tekstu o uciekaniu i niepatrzeniu wstecz, zupełnie zmieniający wydźwięk. Sporo zmian, nie?

Odwraca głowę zadowolona – pisarz jest wyraźnie pod wrażeniem. Czuje się z tym dziwnie. Z jednej strony nie umie sobie wytłumaczyć, dlaczego miałyby chcieć mu zaimponować. Z drugiej naprawdę czuje w tym momencie satysfakcję.

– Sama na to wszystko wpadłaś? – pyta Artur.

– Na te zmiany? W zasadzie to tak i nie. – Edyta odsuwa się od biurka, zaplata ręce na karku. – Jak mówię, dyskografię Bartosiewicz znam na pamięć. Wczoraj byłam zbyt roztrzęsiona, żeby o tym myśleć, ale rano przysłałam to sobie przesłuchać, poszukać w tym może jakichś dźwięków tłączy coś. Wiem, że policja to pewnie sprawdzi na tysiąc sposobów, ale

rozumiesz... I wtedy zauważyłam te zmiany w tekście. Dla pewności sprawdziłam w necie, bo ostatnio już imienniczki tak nie śledzę, pomyślałam, że może wypuściła jakąś nową wersję, muzycy tak czasem robią, że zmieniają tekst. I wtedy trafiłam na komentarze w sieci. Ludzie najwyraźniej naprawdę myślą, że to wszystko zabawa i część gry, więc zaczęli tropić. No i szybko wyłapali te zmiany w piosence, uznając, że to wskazówki do zabawy. Tyle tylko, że póki co nikt chyba nie wpadł na to, do czego prowadzą. To znaczy nikt oprócz mnie.

Artur mruży oczy i przekrzywia głowę.

– Chcesz powiedzieć, że ty wiesz?

– Ta piosenka nie jest przypadkowa! – Edyta znowu podsuwa się do biurka. – Jej tytuł, rok wydania, te zmiany w tekście, a zwłaszcza ten „czerwiec” i zastąpienie słowa „zegarek” „budzikiem”. Spójrz na to jeszcze raz!

Daje mu całe pół minuty, by mógł pochylony nad nią przeczytać jeszcze raz to wszystko, co wypisała. Myśli przy tym, że, cholera, on naprawdę ładnie pachnie. Orzeźwiająco, ale i słodko. Nienachalnie...

Skup się, dziewczyno, karci się w głowie. Nie myśl o pierdołach. To, co tu masz, może być dla ciebie przełomem!

– No i jak, domyślasz się już, panie podkaster? – pyta, gdy Artur wreszcie kończy studiować tekst. – Wiesz już, co to za sprawa?

## Rozdział 18

Pierwsze, co czuje, to ból. Zogniskowany w okolicach skroni, ale też rozlewający się żarem po całej głowie aż po kark, niczym lawa. Potem, przy pierwszym drgnieniu, próbie ruchu dopada ją mrowienie, silne i nieprzyjemne, tak że z miejsca ogarnia ją przerażenie, że to częściowy paraliż. Że od tego uderzenia coś w niej pękło, nastąpił wylew. Jej dziadek dostał wylewu, z którego nigdy już potem do końca nie wyszedł. Pod powiekami widzi teraz jego twarz, w połowie obwisłą, jakby ktoś nadtopił woskową figurę.

Sięga ręką do policzka. Dotyka go, a potem otwiera oczy.

On siedzi przy stole. Zwrócony do niej, łokcie na kolanach, dłonie splecione. Głowa pochylona, na twarzy wciąż ta przekłeta maska.

Widzi, że się obudziła. Wzdycha głęboko i słysząc w tym westchnieniu smutek, jakby rozczarowanie.

– Nigdy. Więcej. Rozumiesz? – mówi wolno, wyraźnie oddzielając wyrazy, jakby każdy był osobnym zdaniem. – Nigdy więcej tego nie rób. Bo będę ci musiał podać lekarstwo.

Maggie nie ma pojęcia, jakie lekarstwo on ma na myśli, ale samo to słowo, kontekst, w jakim się znalazło, sprawia, że w pierwszym odruchu chce przytaknąć, przeprosić. W ostatniej chwili, zaskakując samą siebie, zmienia zdanie.

– Dlaczego nie? Co? – pyta w założeniu gniewnie, ale w rzeczywistości nieco histerycznie. – Dlaczego nie?! Przecież i tak mnie nie wypuścisz! Zrobiłam to, co chciałeś, a ty nadal mnie trzymasz. Dlaczego? Co ja ci, do cholery, zrobiłam?!

Mężczyzna milczy. Patrzy. I robi to tak długo, że piosenkarka niemal traci już nadzieję na jakąkolwiek odpowiedź. Boi się, że tym wybuchem

przekroczyła jakąś granicę. Że porywacz właśnie podejmuje decyzję o jej losie.

– Pięknie śpiewasz – odzywa się wreszcie. Gdy mówi, maska porusza się na jego ustach, przez co przypomina trochę usta muppeta. – Ludzie lubią, jak ktoś pięknie śpiewa, i wtedy chętniej słuchają. A ja chcę, żeby słuchali, bo mam im coś ważnego do przekazania. Chcę, żeby ich to obchodziło, wiesz? Tak jak twoje piosenki. Chcę, by wszyscy o tym mówili. A wiesz, czego ludzie nie lubią?

Mówi spokojnie, miłym, ciepłym głosem, a ona dopiero w tym momencie zdaje sobie sprawę, że nie tylko przeniósł ją na łóżko, ale i okrył kocem. Musiał ją też tutaj zostawić na chwilę, bo teraz obok kanapek stał plastikowy kubek z sokiem i kawałek ciasta. Chyba sernik, ale trudno jej ocenić. Od uderzenia wciąż trochę rozmywa się jej obraz.

– Nie lubią, jak ktoś, kogo znają i kto jest fajny, umiera – kontynuuje mężczyzna. – A ty jesteś fajna, prawda? Dlatego nie chcę cię zabić. Chyba że znowu spróbujesz, rozumiesz?

Tym razem Maggie po prostu kiwa głową. A on chyba się uśmiecha pod tą maską, bo zegar na niej wyraźnie się naciąga.

– On mówi, że masz być kluczem do ich serc – dodaje. – Takim no, tym... wiolinowym.

## Rozdział 19

Od prawie pół minuty Edyta po prostu siedzi i patrzy na Artura. Jakby próbowała wniknąć pod fasadę tej jego pozbawionej wyrazu twarzy. Jakby chciała przejrzeć ją na wylot.

– Wydurniasz się teraz, prawda? – pyta. – Chcesz, żebym gadała oczywistości i się naprodukowała, a potem złapiesz mnie na jakiejś pierdółce, jeśli się pomylę, i będziesz się czepiał, żeby pokazać, że znasz tę sprawę lepiej, tak? O to chodzi?

– Nie, Edyta. – Artur kręci głową. – Naprawdę nie znam tej sprawy. Kompletnie.

– To jakim cudem ty w ogóle jesteś podkasterem truecrime’owym?

Czuje, że ją poniosło, że ten ton, poczucie wyższości w głosie to przecież też nie jest ona. Już chce przeprosić, wycofać się, ale on tylko wzrusza ramionami i uśmiecha się lekko.

– Do tego nie trzeba zdawać jakichś egzaminów, nie? – Robi minę, jakby nie tyle żartował, ile się upewniał, po czym dodaje: – Nie miałem sprawdzianów z przedmiotu „zbrodnie polskie przez dekady”. Zatem powiesz mi czy mam sobie googlować? Sprawa morderstwa Budzików, tak?

– Właściwie to Budzikowskich – precyzuje Edyta. – Ale tak, wszyscy mówią na nią sprawa Budzików. To wydarzyło się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym. Miejscowość nazywa się Jucha Mazowiecka...

– Idealna miejscowość na dokonanie zbrodni... – wtrąca Artur, ale pod ciężarem jej spojrzenia zaraz się wycofuje. – Dobra, przepraszam, nie patrz tak. Gdzie to jest?

– Niedaleko, z pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. Budzikowscy byli małżeństwem, on prowadził jakiś biznes samochodowy, a ona... No dobra, koniec. Przecież widzę ten głupi uśmiech! Jak masz zamiar sobie tak śmieszkować, to w ogóle sobie darujmy, co?

I znowu ten jego irytujący gest wyciągania rąk przed siebie. Poddaje się, dobre sobie.

– Naprawdę nie znam tej sprawy – zapewnia raz jeszcze pisarz. – A uśmiecham się, bo... Chodzi o to, że głos ci się zmienił. Brzmisz teraz jak we „Fiołkach”. Zawodowo i profesjonalnie. I myślę, że chciałbym tak, cholera, umieć. No ale mów dalej. On prowadził biznes samochodowy, a ona...

Urywa, chcąc, by dokończyła zdanie, ale Edyta nie podejmuje jego gry od razu. Nie chce, by miał wrażenie, że to on dyktuje tu warunki. Zanim się odzywa, w głowie liczy do trzech.

– Chyba nauczycielką albo... – zastanawia się przez chwilę. – Nie wiem, nie pamiętam teraz. Ale to nieważne akurat, bo to o te samochody raczej chodziło. Albo przede wszystkim o nie. Mieli tam warsztat dla warszawskich miastowych, taki do przerabiania przemyconych aut, wiesz, przebijanie numerów, malowanie, tego typu sprawy. Skala pewnie niezła, przede wszystkim te droższe marki, a przynajmniej tak o Budzikowskim pisał nasz pierwszy koronny, ale z nim to wiadomo, jak jest. W każdym razie mówił, że Budzikowski był fachowcem i naprawdę miał renomę. Wśród mafiozów znaczy.

Dźwięk z korytarza sprawia, że Edyta zerka w stronę drzwi, nagle przypominając sobie o Łukaszu.

Artur podąża wzrokiem za jej spojrzeniem i chyba domyśla się, o czym dziennikarka myśli, bo szybko przywraca urwany wątek.

– Jak rozumiem, do czasu? – pyta.

– No tak, bo któreś nocy, właśnie chwilę przed północą w sobotę, ktoś wpadł do nich do domu i dokonał rzezi. – Edyta na moment przymyka oczy i wygląda tak, jakby w archiwum umysłu skrytym pod powiekami przeglądała właśnie czytane kiedyś artykuły i akta dotyczące sprawy. – Zamordowali całą rodzinę i po prostu zostawili ciała tam, gdzie upadły. Znalazł ich dopiero listonosz, właśnie w poniedziałek. Jak w piosence. Nikt



nie wie konkretnie kto i za co. Znaczący wszyscy mówią, że gangsterskie porachunki, że Pruszków, jakieś przewały finansowe, ale z tego, co wiem, policja nigdy nie miała nawet jednego konkretnego podejrzanego. Sprawa do dzisiaj pozostaje nierozwiązana.

Artur kiwa głową, jednocześnie skubiąc dolną wargę, a ona łapie się na myśli, że widziała to chyba w jakimś starym serialu. Ciekawe, czy podłapał ten gest, myśląc, że to będzie fajnie wyglądało.

– Skąd wiadomo, kiedy zginęli? – pyta pisarz. – Znaczący, że przed północą?

– Właściwie to nie wiadomo tak dokładnie, ale podobno zegarek Budzikowskiego stłukł się w chwili upadku i zatrzymał właśnie na tej godzinie.

Pisarz daje spokój wardze. Zaplata ręce z tyłu i zaczyna się przechadzać po pokoju. I to już na pewno jest z jakiegoś serialu. Może *Colombo*? Albo czegoś równie starego?

Edyta uśmiecha się do tej myśli.

– Dobra, z tym zegarkiem to trochę naciągane – stwierdza Artur. – Ale faktycznie, jak tak teraz mówisz, to wszystko się zgadza. I co, twierdzisz, że nikt jeszcze na to nie wpadł? Znaczący oprócz ciebie?

– Nie widziałam nigdzie, żeby ktoś to podniósł, a przejrzałam komentarze na głównych portalach i trochę na fejsie, zwłaszcza na naszym. Też mnie to zdziwiło, z drugiej strony to może być jedna z tych rzeczy, że jak już na to wpadniesz, to wydaje ci się banalne, ale wcześniej wcale nie. No i wiesz, ja w ogóle myślałam, że to jedna z najbardziej znanych i zagadkowych zbrodni w naszym kraju, a teraz, gdy wychodzi, że ty nawet o niej nie słyszałeś, to muszę zrewidować ten pogląd.

Artur przystaje i patrzy na nią, jakby rozważał, czy to zaczepka i czy powinien w jakiś sposób na nią odpowiedzieć. Najwyraźniej jednak uznaje, że nie, bo wznawia spacer po pokoju.

– Co zamierzasz z tym zrobić? Powiesz komuś?

– W sumie to nie wiem. – Edyta wzrusza ramionami. – Po pierwsze, tak naprawdę nie wiem, czy mam rację, a przy takiej sprawie reporter jest trochę jak saper. Raz się wygłupię i skieruję na fałszywy trop...

– Jasne.

– No i po drugie, wiesz, jak to jest, znasz takie sprawy. Załóżmy nawet, że mam rację i że o to mu chodzi, to idąc za tym, co porywacz zostawił, robisz dokładnie to, czego chce. A kto wie, czy to nie jest jakaś pułapka? Czy jemu nie chodzi o to, by policja poszła śladem jakiejś starej, nierozwiązanej sprawy, żeby on mógł... no, sama nie wiem co.

Wzdycha raz jeszcze, patrząc na komputer i wodząc kursorem od jednego czerwonego wersu do drugiego.

– Kurde, sama nie wiem – przyznaje w końcu. – Doradź coś.

Artur znowu sięga ręką do ust, ale chyba się orientuje, bo powstrzymuje się w pół ruchu.

– Nie jestem najlepszy w doradzaniu, mówiąc szczerze – stwierdza. – Ale przemyślę i się odezwę. Dasz mi swój numer?

## Rozdział 20

Łukasz nienawidzi mieć racji. Nie dlatego, że to samo w sobie jest złe, ale dlatego, że z jakiegoś powodu nikt go nigdy nie słucha. Potem oczywiście zawsze wychodzi na jego, ale jakie to ma znaczenie po czasie?

Teraz też, ledwie wszedł do radia, czuje, że coś jest nie tak. I nie chodzi wcale o tę sprawę z piosenkarką, bo w sumie jeszcze nie wiedział: wierzyć w to czy nie wierzyć? Równie dobrze mogła to być dobrze skalkulowana ścierna. Kto wie, może jakaś jubileuszowa megawkrętka Nosela?

A że ta cała Maggie na to poszła? Celebryci robią dziś popieprzone rzeczy dla sławy. Jeżdżą na drugi koniec świata, jedzą robaki i tańczą w przebraniu Shreka, byleby tylko ktoś spojrział akurat na nich. Byleby jakiś reklamodawca uznał, że to akurat im warto dać wywrotkę kasy za gębę na billboardach.

Ale jego przeczucie nie dotyczy w ogóle tej sprawy. Wiąże się raczej z czymś, co zobaczył kątem oka w chwili, gdy wchodził. Dwie osoby udające się do studia. Czy jedną z nich była Edyta?

Łukasz nie rozumiał, po co w ogóle przychodziła dzisiaj do pracy, przecież nie musiała. Powiedział jej to zresztą, a ona się wściekła. Bo oczywiście troska to nagle coś złego, cholera jasna!

I jeszcze to, że niby ciągle ją kontroluje. Wyrzygała mu to wczoraj. Zawsze tak robiła po zawaleniu czegoś. Że to niby jego wina. A przecież gdyby ją tak kontrolował, to teraz poszedłby sprawdzić to studio, nie? Od razu by tam zajrzał i się upewnił.

Jak to było? Ufać, ale kontrolować?

Ale nie, nie zrobił tego. Nie podszedł tam ani razu. I nawet teraz, gdy wyszedł stamtąd ten cholerny pisarzyk, on wciąż stoi tu, na końcu korytarza i po prostu czeka, jak sytuacja się rozwiąże. Bo może sama przyjdzie i mu powie. A może...

– Dobra, chrzanić to! – nie wytrzyma.

Rusza w stronę studia. Szybkim, pewnym krokiem. Nie zamierza się ukrywać, czaić. Nie robi przecież nic złego!

Dociera do drzwi, zerka przez nie i zaciska zęby. Kasandra. Tym właśnie jest. Cholerną Kasandrą, która zawsze ma rację, ale nikt jej nie słucha!

Edyta siedzi tam sama, przy biurku. Ma rozpięty guzik koszuli, oddech jakby przyspieszony, włosy trochę w nieładzie. Wygląda na mocno podnieconą.

– Szlag! – Łukasz łapie za klamkę, ale przed naciśnięciem jej jeszcze się rozgląda. Kątem oka dostrzega tę wścibską Ewelinę, która właśnie skończyła rozmawiać z Szymonem Majewskim i rusza w jego stronę. Nie zamierza kłócić się przy niej, bo to babsko zawsze potem miesza Edycie w głowie.

– Nie warto.

– Pogadamy w domu – mówi cicho i rusza korytarzem przed siebie.

## Rozdział 21

– Przepraszam najmocniej, czy pan Artur? – dobiega go nagle z ulicznego gwaru i jazgotu.

Pisarz przystaje akurat przy wejściu do zakładu barberskiego, z którego wystawy szczyrzy się i puszcza oko brodata czaszka. Sekundę albo dwie rozgląda się, patrzy na ludzi wysiadających z tramwaju, na kolumnę samochodów stojących w korku. Wreszcie odwraca się i spogląda za siebie.

– Owszem, tak mam na imię... O, dzień dobry panu!

Mężczyzna przed nim ma na sobie beżową wiatrówkę, grafitowe spodnie trekkingowe i klasyczną bejsbolówkę z nakładającymi się na siebie literami N i Y. W dłoni ściska płócienną reklamówkę, a nieduża saszetka zamocowana na pasku zwisa mu wzdłuż biodra niczym kabura.

– Dzień dobry, nazywam się Maciek Łoś... – zaczyna mężczyzna.

Wygląda na nieco zakłopotanego, więc Artur uśmiecha się szeroko i poprawia przewieszoną przez ramię torbę z laptopem.

– Ależ wiem, kim pan jest, panie Maćku, jakże mógłbym nie? – mówi. – Dziś to w ogóle jest pan ulubieńcem internetu, ale ja śledzę pana karierę jeszcze od tamtych nocy kabaretowych, gdzie był pan chyba jedynym naprawdę zabawnym gościem. A jak robi pan dubbingi do bajek, to jestem w kinie chyba jedynym dorosłym bez dziecka, słowo daję! Król Julian i osioł ze Shreka to się mogą schować!

Stojący przed nim krępy mężczyzna wybucha śmiechem dokładnie tak, jak zwykł to robić publicznie. Unosi brwi, zabawnie marszczy nos i chowając głowę w ramionach, podryguje cały w rytm swojego chichotu.

Kilka osób ogląda się za nim, a jeden facet na rowerze zatrzymuje się i sięga po telefon, ewidentnie chcąc poprosić o wspólne zdjęcie. Ostatecznie zamiast tego robi fotkę z daleka, grzebie w urządzeniu, pewnie wrzucając zdjęcie w relację, i szybko odjeżdża.

– Trochę jednak mnie zaskakuje, że pan wie, kim ja jestem, panie Maćku – podejmuje Artur po chwili.

Łoś wzrusza ramionami.

– Och, ja też mam internet i słuchałem pana podcastów – wyjaśnia. – Swoją drogą, zupełnie nowe słówko dla mnie. Ale wie pan, kiedyś takie rzeczy, co je czasem robię w swoich programach, nazywały się majsterkowaniem. Dziś to lifehacki. Człowiek nie nadaża, choć próbuje. No ale zmierzam do tego, że słuchałem pana, a żona zachwalała mi pana książkę, ale wybaczy pan, nie pamiętam teraz tytułu. Mało czytam ostatnio, no i przyznam się panu, że strasznie się boję tych wszystkich spraw kryminalnych. Strach potem z psem po parku chodzić wieczorem. Ale obiecuję nadrobić.

– Będzie mi bardzo miło, choć proszę się nie zmuszać. – Artur jeszcze raz poprawia zsuwającą się torbę. – I w ogóle miła niespodzianka, nie wiedziałem, że jesteśmy sąsiadami.

– Bo nie jesteśmy, panie Arturze. Ale regularnie przyjeżdżam tu po skarby. – Jakby na dowód Łoś podnosi trzymaną w dłoni płócienną torbę, w której pobrzękują słoiki. – Kiszonki, panie Arturze, z tego bazaru, tu niedaleko. Jest tam taka starsza pani z Podlasia, pani Jadzia, która... tylko proszę się nie śmiać... chyba jest szeptuchą. Naprawdę to, co robi, to jakieś czary. Jej kiszony czosnek? Klękajcie, narody! Proszę, niech pan weźmie słoiczek.

Sięga do torby i przez kilka sekund błądzi w niej ręką, pobrzękując słoikami. Wreszcie wyławia jeden i podaje pisarzowi.

Ten jednak nie wyciąga ręki.

– Dziękuję, ale nie chciałbym...

– Nalegam, panie Arturze. Sam pan powie, że arcydzieło. – Potrząsa słoiczkiem i nagle zbiera mu się na chichot. – Jak to mawiają? Pierwsza działka gratis.

Artur wciąż się waha, ale widać wyraźnie, że Maciek Łoś, ulubieniec polskiego internetu, ani myśli odpuszczać. Porusza słoikiem, tak że zalewa, która ma w słońcu miedzianoherbaciany pobłysk, mieni się i blikuje. W końcu pisarz kapituluje.

– W takim razie dziękuję bardzo – mówi, przyjmując prezent. – I na pewno odwiedzę panią... Jadzie, tak?

– Tak, ale teraz już rzadko bywa, biedaczka. – Łoś wzdycha ciężko. – Plecy jej dokuczają, więc nie stoi na straganie, tylko się umawiamy, prawie jak na schadzki. Jak jest lato, to nawet mam czasem kwiatek w klapie marynarki. Ale do kurtki to by głupio wyglądało.

Milknie na kilka sekund, natomiast nietrudno się domyślić, że chce coś jeszcze dodać, więc Artur ani się nie żegna, ani nie pospiesza rozmówcy. Czeka.

Łoś w końcu odkłada torbę na chodnik, zdejmuje bejsbolówkę i przeczesuje przyklepane włosy.

– W ogóle to przepraszam, że tak zaczepiłem – mówi. – Ale słuchałem wczoraj Radia Zet, pana wstępu i potem całej reszty. I chciałem tylko powiedzieć, że fantastyczny pomysł miał pan z tą kampanią! Miałem, tak się składa, okazję poznać Maggie i powiem panu, że chociaż na muzyce to ja się nie znam, to zawsze twierdziłem, że to fantastyczna artystka. Ale jak ona to wszystko zagrała, ten strach, ta piosenka... No, *chapeau bas!* Istny Orson Welles, gratuluję! Zastanawiam się, jak wiele osób uwierzyło, że to było prawdziwe...

Urywa, widząc minę Artura. Jego oczy robią się wielkie jak spodki, dłoń z czapką wędruje ku ustom i przez moment sprawia wrażenie, jakby chciał się tą bejsbolówką powachlować.

– Jezus Maria – szepce Łoś. – To było prawdziwe porwanie?!

Artur rozgląda się, sprawdzając, kto jeszcze może ich słyszeć, po czym ostrożnie, wolno, kiwa głową.

– Ale proszę tego nikomu nie powtarzać, dobrze? – zastrzega. – Policja zabroniła mi mówić cokolwiek na ten temat.

– Oczywiście, oczywiście. – Maciek Łoś kiwa głową tak gorliwie, że kojarzy się Arturowi z jednym z tych piesków umieszczanych na deskach rozdzielczych pojazdów. – Ale proszę mi powiedzieć: wiadomo już, kto to? Jakies ślady, podejrzani? Czy może ten porywacz wysnuł jakieś żądania?

– Naprawdę, panie Maćku, wiem niewiele więcej niż pan. Tyle co na antenie.

– Oczywiście, tak – reflektuje się Łoś. – Zresztą jakie żądania, gadam jak na jakimś amerykańskim filmie. Oby tej biednej dziewczynie się nic nie stało.

Zakłada czapkę, potem ją poprawia i majstruje przy zamku kurtki. Ewidentnie nie wie, co zrobić z rękami.

– To jakiś jej wielbiciel? Albo, proszę wybaczyć, pański? Słyszałem, że podobno takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza pisarzom kryminałów. Znaczy nie chodzi mi o to, że jest pan współodpowiedzialny za szaleńca...

– Jest pan drugą osobą, od której to dziś słyszę – zauważa Artur. – I nie, nie sądzę, żeby to był mój czytelnik albo słuchacz Maggie. Gdybym miał zgadywać, to dla mnie raczej ktoś, kto chce coś ludziom przekazać. Jakąś historię. A teraz wybaczy pan... Spogląda na zegarek, przez co jego rozmówca automatycznie cofa się o krok.

– Tak, jasne, oczywiście. Przepraszam, w ogóle nie zapytałem, czy pan się gdzieś nie spieszy. Bardzo miło się rozmawiało. Nawet gdy temat, no wie pan...

– Wiem. I mnie również było miło, panie Maćku.

Pisarz wyciąga rękę, a Łoś ściska ją od razu. Dłoń ma ciepłą, miękką, ale uścisk silny i stanowczy. Jest niższy od Artura, więc żeby patrzeć mu prosto w oczy, delikatnie zadziera głowę.

– W ogóle, powiem panu, panie Arturze, że od początku tej rozmowy mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy. To możliwe?



– Pewnie tak. – Artur uśmiecha się uprzejmie. – Jak pokazuje dzisiejszy dzień, świat jest mały. Do widzenia, panie Maćku.

## Rozdział 22

Ciche pukanie, potem odgłos otwieranych drzwi. Ornowski stoi tyłem do wejścia, ale wie, że to Agnieszka. Pewnie jak zawsze uchyliła tylko i wsunęła głowę. Można się założyć, że jest blada i drży jej lewy kącik ust, jak zawsze, kiedy się denerwuje.

– To ona – słyszy jej przejęty głos.

Kiwa głową. Przymyka oczy i uzmysławia sobie nagle, że trochę brakuje mu kogoś lub czegoś, jakiejś siły, do której mógłby się teraz zwrócić o pomoc. Odwraca się.

– Dobrze, to tak, jak ustalone – mówi. – Ja z nią porozmawiam.

– Ale komisarz Bekier...

– Dzwonił chwilę temu. – Ornowski ostro wchodzi jej w słowo, choć w gruncie rzeczy cieszy się, że o tym pomyślała. Że dba o takie rzeczy. – Rozmawialiśmy z komisarzem i wszystko jest uzgodnione.

Mija asystentkę w progę, przechodzi przez korytarz i pewnym krokiem wchodzi do studia. Staje nad stołem, opierając knykcie o blat, i zawisa nad mikrofonem. Realizator zza szyby daje mu znak, że może mówić.

– Pani Maggie, nazywam się Tobiasz Ornowski, odpowiadam za realizację programu. Proszę mi powiedzieć, czy jest pani w jakikolwiek sposób ranna. Czy poza porwaniem stała się pani jakaś...

Słyszy szelest, trzask, a potem głos piosenkarki. Zaskakująco rzeczowy i konkretny, choć jednocześnie drżący od napięcia.

– Nic mi nie jest. Potrzebuję tylko, żeby mnie pan wpuścił na antenę.

Redaktor nabiera powietrza i powoli je wypuszcza, jeszcze raz układając w głowie następne słowa. Wie, jak są ważne, czuje ich ciężar. Zerka na przeszkloną ścianę, do realizatorki.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić – mówi w końcu. – Ani teraz, ani w przyszłości. Dopóki ten człowiek panią więzi...

– On mnie zabije! – Maggie wbija mu się w to zdanie ostrym, panicznym klinem. Nie ma już nic z rzeczowości, nic z niedawnego konkretności. Tylko strach. – Puszcz tu radio, słucha was i powiedział, że jeśli nie usłyszysz...

– Domyślam się, co pani powiedział – odpowiada Ornowski. I chciałby na tym skończyć, tu urwać, ale wie, że musi być stanowczy. – Domyślam się, ale mimo to odpowiedź wciąż brzmi: nie.

Słyszy jej płacz, od którego aż nim targa, więc zaciska pięści i opuszcza wzrok. Wie, że na niego patrzą. Wie, że decyzja, jaką podjęli, jest jedyną słuszną, by zapobiec podobnym sytuacjom w przyszłości. Lecz ta świadomość niczego w jego samopoczuciu nie zmienia.

– Błagam pana... – szepcze Maggie. – Ja...

– Bardzo mi przykro, pani Maggie. – Ornowski przerywa, czując, że łamie mu się głos. Odchrząkuje. – To z naszej strony odpowiedź ostateczna. Nie wpuszczymy na antenę...

Nie kończy, bo słyszy, że po drugiej stronie słuchawki coś się dzieje, jakiś rwetes. Ornowski podnosi głowę, patrzy na realizatora, jakby chciał się upewnić, czy to nie są zakłócenia na linii. Tamten kręci głową, że nie albo że nie wie. Stojąca za nim Agnieszka mimowolnie dociska pięść do ust.

– Tobie się wydaje, że to jest jakaś cholerna zabawa?! – Nagły krzyk wypełnia całe studio. – Że to jakieś wygłupy?! To poważna sprawa, do jasnej cholery! Ja tu wcale nie żartuję. Nie wierzysz, że ją zabiję? To ci mówię, że tak właśnie będzie! Jeśli zaraz nie wpuszczysz mnie na antenę, to poderżnę jej gardło. Usłyszysz bulgot, usłyszysz, jak się dusi, i to będzie twoja wina, słyszysz?! Twoja i każdego, kto tam z tobą siedzi, rozumiesz to?! Ludzie muszą się dowiedzieć! Ludzie muszą usłyszeć, co mam im do powiedzenia! Od tak dawna to wszystko było tajemnicą, ale teraz muszą się dowiedzieć!

Ornowski nie odrywa wzroku od mikrofonu. Usztynia kark, a pięści dociska do blatu tak mocno, że ból od knykci zaczyna promieniować ku

ramionom. Ale wie, że nie może teraz spojrzeć za szklaną szybę. Wie, że teraz, po tym, co usłyszał, nie może już zobaczyć niczyjej twarzy, niczyjego więcej strachu, poczucia winy i żalu. Niczego, co zaburzy jego osąd.

– Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić. Wysłucham pana.

– Świat się musi dowiedzieć, słyszysz?! Nie tylko ty! Wszyscy muszą usłyszeć...

– Nie wpuszczę cię na antenę!

Krzyk Dmowskiego zdumiewa nawet jego samego. Porywacza najwyraźniej też, bo również milknie. Cisza, która zapada, jest niemal absolutna, a do tego trwa i trwa. A mimo to realizator daje znak, że połączenie wciąż jest nawiązane.

– Zabijasz ją – mówi w końcu porywacz. Obojętnie, a może trochę z rezygnacją. Jakby wszystko już było przesądzone. – Właśnie w tej chwili ją zabijasz. W tym momencie!

– Tylko pan może to zrobić – odpowiada Ornowski. – I tylko pan będzie za to odpowiadał. Proszę ją wypuścić. Mogę pana wysłuchać albo znaleźć panu kogoś, kto zrobi to lepiej. Ale jedno jest pewne: nie ma cholerniej mowy, żebym wpuścił pana na pieprzoną...

Połączenie się urywa.

– Rozłączył się – mówi realizator. – Połączenie zostało...

– Przecież słyszę!

Ornowski odrywa się od stołu gwałtownie, jakby był do niego przyklejony. Łapie równowagę i wychodzi na korytarz. Czuje, że drży na całym ciele, że w głowie mu szumi, wszystko, od koniuszków palców po czubek głowy, mrowi go nieprzyjemnie. Jest mu niedobrze, a w ustach czuje metal i ziemię. Miedzianą kwaśność i gorycz błota.

– Chryste... A jeśli on... jeśli on naprawdę... – Agnieszka, która wyszła za nim, wyraźnie nie umie znaleźć słów.

– Jeżeli zadzwoni jeszcze raz, dajcie mi znać – rozkazuje Ornowski. – Będę tu, na korytarzu. Ja i tylko ja będę z nim dalej rozmawiał!

Agnieszka nie odpowiada, choć jest pewien, że wciąż tam stoi, za jego plecami. Że zbiera się, żeby zadać pytanie. A ponieważ znają się długo, Ornowski doskonale wie, jak ono zabrzmie.

– Czy na pewno zrobiliśmy dobrze?

– W takiej sytuacji nie ma dobrze, Agnieszko – odpowiada. – Ale zrobiliśmy to, co było trzeba.

## Rozdział 23

Wiedziała, że tak będzie, od momentu, kiedy weszła do domu. Czowała tę wibrację w powietrzu, tę cholerną ciszę przed burzą. Duchotę, przed którą najchętniej uciekłaby w jednej chwili, odwracając się na pięcie. Ale wiedziała, że to niczego nie zmieni, dlatego weszła, skorzystała z łazienki i przeszła do kuchni.

Teraz stoi tu, w jednej ręce trzymając łyżeczkę, w drugiej kubeczek z jogurtem, i patrzy ponad kuchennym blatem na salon, w którym Łukasz coraz mocniej się nakręca.

– To znaczy, że dla ciebie to jest w porządku, tak, Edyta? W porządku?! Chowasz się z jakimś facetem po kątach, dajesz mu się bajerować na oczach wszystkich i to jest dla ciebie normalne? Nic złego się nie dzieje?!

Dużo ją kosztuje, by zachowywać się normalnie. W środku cała aż chodzi z nerwów, a żołądek ma tak ściśnięty, że nie ma szans, by wcisnęła w siebie choćby łyżeczkę jogurtu. Ale na litość boską, nie ma najmniejszego zamiaru się tłumaczyć z tego, że rozmawiała z kimś w pracy!

– To albo na oczach wszystkich, albo się chowam po kątach – mówi, panując nad głosem. – Zdecyduj się.

Łukasz, który krąży po pokoju jak rozjuszony tygrys, zatrzymuje się gwałtownie i posyła jej wściekłe spojrzenie.

– Nie, Edyta, to ty się, do cholery, zdecyduj! – krzyczy. – Bo tak się nie zachowuje dziewczyna w stałym związku! Robisz problemy o to, że chcę wiedzieć, gdzie jesteś, że się martwię.

– Szpiegujesz mnie, Łukasz – mówi wciąż spokojnie, celując w niego łyżeczką. – To nie jest zwyczajne martwienie się. Martwiący się facet wysyła SMS-a, a nie instaluje programy szpiegowskie albo dzwoni po czterdzieści razy z rzędu.

– Gdybyś normalnie odbierała...

– ...to nie robiłabym niczego innego, Łukasz, tylko wisiąca z tobą na telefonie. Czy odbieram, czy nie odbieram, dzwoniś bez przerwy.

Patrzy na nią. Mruga, a potem nagle znowu zaczyna chodzić. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

– To jest niebywałe – mamrocze pod nosem, do siebie. – Normalnie nie... Czy ty siebie słyszysz w ogóle?! Edyta, czy ty siebie słyszysz?! Co ty, próbujesz wpędzić mnie w poczucie winy, że co, że się troszczę? Że mi zależy? Że traktuję to... nas poważnie, że traktuję?! O to ci chodzi?

– A traktujesz?

Łukasz znowu przystaje i tym razem uśmiecha się tym swoim obrzydliwym uśmiechem, który jemu wydaje się pewnie inteligentnie ironiczny, a jest zwyczajnie obleśny. Wytrzeszcza oczy jak żaba.

– A co, jedna rozmowa z panem grafomanem i nagle masz wątpliwości, tak? On ci to powiedział, tak? Że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, źle cię traktuję. Jak myślisz, ile takich naiwnych lasek wyrwał na taki tekst, co? Ile lasek przeleciał, wciskając im takie...

– Uwważaj... – Edyta ostrzega go, celując w niego łyżeczką.

I tego jest już dla Łukasza najwyraźniej za wiele, bo czerwienieje, zapowietrza się i wreszcie wybucha.

– Ja? Ja?! A ty uważałaś? To jest chyba najważniejsze pytanie, teraz. Czy ty uważałaś! Co ci w ogóle strzeliło do głowy, żeby zamykać się w jednym pomieszczeniu z obcym kolesiem?! Co ty sobie myślałaś...

Edyta wzdycha. Nie robi na niej wrażenia jego krzyk, tylko jest jej zwyczajnie smutno, że musi skłamać. Bo tego, że myślała w tym momencie właśnie o nim i o tym, jak uniknąć tej toczącej się awantury, powiedzieć przecież nie może.

– Wtedy myślałam wyłącznie o pracy...

– Tak, jasne. Oczywiście, że... – Łukasz próbuje się wciąć, ale Edyta mu nie pozwala i kontynuuje z naciskiem:

– ...ale teraz myślę, że chyba zwyczajnie jestem zmęczona i muszę odpocząć.

Nie zrozumiał. Dotarły do niego słowa, ale sens już nie. Edyta widzi to, gdy nagle jej chłopak wyrzuca ręce do góry i znowu rusza na tę swoją ścieżkę tygrysa.

– Naturalnie, jak tylko rozmowa schodzi na poważne tematy, to szanowna pani oczywiście nagle jest zmęczona, boli ją głowa. Ale pewnie, możemy to przełożyć na później, jeżeli tak sobie księżniczka...

– Nie o tym mówiłam, Łukasz. Jestem zmęczona tym. – Edyta wykonuje gest łyżeczką i gdzieś przez głowę przebiega jej, że to trochę ruch jak z *Harry’ego Pottera*, jakby rzucała czar za pomocą różdżki. Powstrzymuje uśmiech, gdy przypomina sobie cytat jednej z postaci. Słowa uszczęśliwionego małego trolla: „Zgredek jest wolny”.

I chyba tak właśnie czuje się w tym momencie, w tej konkretnej sekundzie. Wolna.

Nie jest to wyzwalająca wolność pierwszego oddechu po zbyt długim zanurzeniu. Raczej nagłe zwolnienie ucisku.

Łukasz milczy. Patrzy na nią, wolno mrugając, jakby właśnie dostał w twarz. Ściąga wargi i mruży oczy, lekko pochylając głowę do przodu.

Edyta widzi, jak jej chłopak zaciska pięści, i choć nigdy jej nie uderzył, teraz przez moment boi się, że przecież zawsze może być ten pierwszy raz.

On jednak zamiast tego otwiera usta. Potem zamyka i znowu otwiera. Nie jest już tygrysem. Jest cholernym karpem.

– Czy ty właśnie ze mną zrywasz? – pyta w końcu.

– Nie, ja tylko powiedziałam...

– Słyszałem, co powiedziałaś. – Łukasz cedzi słowa. – Pytam, czy to znaczy to, co myślę, że znaczy. Bo jeśli wydaje ci się, że po tym wszystkim, co zainwestowałem w ciebie, w nas, tak po prostu pozwolę ci odejść, to...

– Wyjdź.

– Co? – zapytał zaskoczony.



– Wyjdź, proszę – dopowiada Edyta. – Chcę zostać sama.

– Tak, oczywiście, sama. Jasne...

Znów ten obleśny uśmieszek. Edyta ma go serdecznie dość.

– Łukasz, proszę cię...

– Pewnie już cię wszystko swędzi, żeby zadzwonić do tego lamusa, co?

Pewnie to od niego masz ten telefon i on już tylko czeka ze swoim...

Edyta upuszcza łyżeczkę na blat i wychodzi z kuchni.

– Dobra, wiesz co? Chcesz, to zostań, ja wyjdę.

– Nigdzie nie wyjdiesz. Najpierw skończymy...

– Właśnie skończyliśmy!

Odwracając się do niego plecami, Edyta obawia się, że Łukasz może za nią skoczyć, złapać za przedramię i ścisnąć. Że lada chwila poczuje ból i to ostatecznie odrze ją ze złudzeń.

On jednak – widzi to w lustrze – tylko odprowadza ją wzrokiem, patrzy, jak bierze telefon, torebkę, jak podnosi ze stojaka sportowe buty, z wieszaka polar i wychodzi.

Na schodach Edyta narzuca polar, wsuwa stopy w buty, a potem schodzi na dół i uświadamia sobie, że nie ma pomysłu, dokąd iść. Że nie ma też siły. Jakby to wszystko, co się właśnie stało, pozbawiło ją energii.

Jest chłodno, a mimo to nie ma siły spacerować. Siada na najbliższej ławce i ukrywa twarz w dłoniach. Łzy, które płyną jej po policzkach, są też łzami wstydu, bo przecież wie, że patrzy na nią z okna. Myśli o zadzwonieniu do Eweliny, a on tylko na to czeka.

Aż podniesie telefon do ucha. Aż udowodni mu, że miał rację.

## Rozdział 24

Redaktor Tobiasz Ornowski siedzi w swoim domowym gabinecie, trzymając w dłoni szklankę wypełnioną whiskey i topniejącym z wolna lodem. Nie pił od czterech lat, dlatego teraz bierze go szybciej niż kiedyś, ale choć wzrok mu się rozmywa, a w głowie kręci, trzymana szklanka, grzechot kostek lodu dają złudzenie relaksu. Wmawia sam sobie, że odpoczywa, gapiąc się na mały wyłączony telewizor.

Z muzyką jest tak samo. Kocha jazz, ale dziś go nienawidzi, bo słuchać jazzu po pijaku to jak wejść w tym stanie na rollercoaster. Bo jazz wiruje, wwierca się i kręci, wznosi się i opada. Nie ma wzoru, nie ma schematu, więc nagle zwyczajnie nie wiesz, gdzie góra, gdzie dół.

Gdy jest trzeźwy, zwykle słucha tej muzyki, szukając w chaosie konkretnych dźwięków, za którymi mógłby podążyć. Rozkłada go sobie na kawałki, na warstwy, splata na nowo i w ten sposób daje się ponieść skojarzeniom, emocjom.

Dziś jazgotliwy chaos potrzebny jest mu wyłącznie po to, by wypełnić ciszę szumem jakichkolwiek dźwięków.

Słyszy głos Maggie powracający raz po raz. Czysto i wyraźnie, bo nie przytępił go alkohol, nie zagłuszyła muzyka. Jakby stała tu obok niego. Błaga go o pomoc. Mówi, że inaczej zostanie zabita.

– To nie jest moja wina – bełkocze Ornowski. Umysł wciąż się trzyma, ale język najwyraźniej już przepadł. – To nie...

Hałas z dołu otrzeźwia go niemal w jednej chwili. Redaktor powoli odkłada szklankę na blat, podnosi się wolno, łapiąc równowagę i jednocześnie mając nadzieję, że krzesło nie skrzypnie.

Gdzieś tam z tyłu głowy pojawia się myśl, że może przeciąg, że czegoś nie domknął, zapomniał, ale instynkt, któremu przez te wojenne lata nauczył się ufać, mówi mu, że nie. To dlatego nie przycisza muzyki, tylko

próbuję słuchać przez nią. Usłyszeć kroki na schodach, czyjś oddech. Cokolwiek, co potwierdziłoby, że nie jest w domu sam.

Świat przestaje się kręcić, obraz się wyostrza. Ornowski prostuje się i wolno rusza w stronę przedpokoju i sypialni. Kiedyś miał tam broń, ale zaczął myśleć o niej zbyt często, więc się jej pozbył. Wciąż jednak ma kij bejsbolowy, prawdziwy, amerykański, który dostał od jednego żołnierza z USA w Jugosławii.

Ostrożnie wychodzi z gabinetu i rusza wzdłuż balustrady. Jazgotliwe dźwięki zostają za nim, cichsze, jakby bały się opuścić pokój. Na wprost ma uchylone drzwi do łazienki, a od sypialni po prawej dzieli go z dziesięć kroków. Zerka ostrożnie przez balustradę i widzi coś, co mrozi mu krew w żyłach. Na dole leży rozbita doniczka. Ewidentnie nienależąca do niego i na pewno zrzucona stąd. Z góry.

Zamroczony alkoholem umysł potrzebuje dwóch sekund, by połączyć kropki, ale wtedy jest już za późno. Drzwi do łazienki otwierają się gwałtownie i wypada zza nich mężczyzna w masce z budzikiem. W rękach trzyma kij z sypialni i bierze nim zamach. Uderza.

Ornowski odruchowo próbuje zasłonić się ręką, przyjmuje cios na przedramię.

Ból promieniuje niczym prąd. Rozlewa się po ciele paralizem, sprawia, że wzniesiona do góry ręka opada teraz bezwładnie, niezdatna do użytku.

Napastnik cofa kij i uderza tym razem, niczym taranem, prosto w brzuch. A gdy targany torsjami redaktor gniewa się wpół, kolejny cios spada na jego plecy.

Tak powalony nie jest w stanie zareagować, gdy włamywacz przykłęka przy nim, dociskając do ziemi, i wyciąga strzykawkę. Ukłucie zlewa się z bólem, zupełnie jakby go nie było, ale pusta strzykawka znika zaraz w saszetce, którą napastnik ma ze sobą.

Mija krótka chwila i napastnik go puszcza. Ornowski odpływa, mając cały czas to paskudne wrażenie, jakby się dusił. Jakby nie mógł nabrać

tchu.

Gdy się budzi, znowu siedzi przy swoim biurku. Przed nim na blacie stoi ta sama szklanka, tylko płyn w niej jest jakby jaśniejszy, a kostki lodu mniejsze. Nie słycać już jazzu, za to na ekranie widzi obraz zatrzymany na stopklatce. Jakiś przedpokój, kawałek pokoju, obrazek na ścianie. Rozpoznaje go, bo przecież sam go kupił i niezdarnie zapakował w brązowy papier jako prezent. Chyba na urodziny.

Chce się ruszyć, ale nie może. Nie dlatego, że jest skrępowany, tylko potwornie bolą go plecy i głowa. Ręce i nogi ma zwiotczałe, czuje mdłości, słyszy szum w uszach, a w całym chaosie myśli pojawia się ta jedna, zupełnie teraz irracjonalna: czym go ten drań naszprycował?

Mężczyzna w masce z budzikiem przygląda mu się, przekrzywiając głowę. Kij trzyma na ramieniu, w każdej chwili gotów go użyć.

Czekał, aż Ornowski się ocknie, i teraz, gdy to widzi, uruchamia obraz na ekranie.

– Mówiłem, co się stanie, jeśli mnie nie wpuścisz – przypomina. – To twoja wina.

Na ekranie operator kamery wchodzi do pokoju. Tam na środku, na krześle rozstawionym na folii siedzi asystentka Ornowskiego, Agnieszka. Głowę ma odciągniętą do tyłu, ręce skrępowane za sobą, włosy wplątane w oparcie. Twarz jej rozbito tak, że trudno ją rozpoznać. Krew ze złamanego nosa zakrzepła na brodzie i częściowo na koszuli. Niewidzące oczy zwrócone są w stronę sufitu.

– Jutro zadzwonię do was znowu. I wtedy już mnie wpuścisz...

A potem odwraca się i wychodzi, zostawiając kij przy drzwiach.

## Rozdział 25

Sowa czy skowronek? Edyta kiedyś nie miała wątpliwości, jaka jest odpowiedź na to pytanie. Brzmiała ona – jakie to ma znaczenie? Lubiła wstawać wcześniej rano, kiedy jeszcze cały blok spał. Robiła sobie kawę, jadła śniadanie i pędziła jak na skrzydłach do pracy. A po powrocie do domu siedziała do późnej nocy, przygotowując lub montując swój podcast. Miała mnóstwo energii. I jak by to głupio nie brzmiało, naprawdę uważała, że każdy dzień jest nową przygodą. Nową szansą.

A teraz leży w łóżku, w skotłowanej pościeli, i szuka w głowie chociaż jednego powodu, żeby się podnieść. Czuje się jak nakręcana zabawka, z której wyciągnięto mechanizm i wyrzucono na śmietnik.

I wtedy dzwoni telefon.

Edyta podnosi się na łokciach i sięga po leżącą na nocnym stoliku komórkę. Model ze średniej półki, ale dostała go od radia po tym, jak ten straszny pies zjadł jej telefon na posesji Ziemka. Dlatego nie kręciła nosem. Marszczy brwi. Nie zna numeru, który wyświetla się na ekranie. Uznaje, że to na pewno jakiś telemarketer. Pewnie znowu chcą jej wcisnąć fotowoltaikę. Ale czy dzwoniłoby tak wcześnie? Odbiera.

– Cześć, Edyta, mam nadzieję, że nie obudziłem. – To Artur.

Na dźwięk głosu pisarza jej serce zaczyna szybciej bić. Nie z ekscytacji. Artur jej się nie podoba. Jasne, potrafi obiektywnie stwierdzić, że jest przystojny. Ale chemia pomiędzy nimi nie zagrała. Coś nie cyknęło. Jego feromony, jej feromony – żadnej reakcji. Czuje jednak do niego pewną sympatię. Ale nie z tego powodu wali jej serducho. Chodzi o Łukasza. Jeśli zorientuje się, że rozmawia z Arturem, zrobi jej kolejną awanturę. A na to ona nie ma ani ochoty, ani siły.

Wstaje z łóżka. Wystawia głowę z sypialni i rozgląda się po mieszkaniu. Widzi zapalone światło w łazience. Słyszy włączony prysznic i niewyraźny

śpiew swojego chłopaka. Łukasz jest jedynym facetem ze znanych jej, który faktycznie śpiewa pod prysznicem. Potrafi urządzać tam całe recitale. Kiedyś uważała, że to urocze, teraz ją to irytuje. Ważne jednak jest to, że ma czas, by porozmawiać z Arturem.

– Edyta, Edyta... – słyszy w słuchawce zaniepokojony głos pisarza.

– Jestem.

– Super, bo już się bałem, że coś nam przerwało.

– Skąd masz mój numer?

– No przecież sama mi podałaś, pamiętasz? Coś się stało? Dzwonię w złym momencie?

Edyta chwyta się za głowę. Faktycznie, przypomina sobie ich ostatnią rozmowę. Ale wtedy bardziej niż na jej treści skupiała się na tym, czy Łukasz ich nie przyłapie. A teraz historia się powtarza. Żeby jeszcze faktycznie robiła coś złego. Zerka w stronę łazienki. Drzwi są ciągle zamknięte. Łukasz rozpoczyna właśnie pewnie kolejny numer. Dziewczyna bierze głębszy oddech i chowa się do sypialni.

– Nie, nie... Wszystko w porządku. Przepraszam. O co chodzi?

– Odrobiłem pracę domową! – mówi podekscytowany Artur. – Poczytałem sobie o tych Budzikowskich i faktycznie, masz rację. To wstyd, że o nich nie słyszałem! Fascynująca sprawa! Aż się chce o nich podcast zrobić. To znaczy... Nie zrobię. Nie przed tobą. Bo to przecież twój temat.

– Jeśli ty byś to zrobił, to przynajmniej ktoś by cię wysłuchał – mówi zrezygnowana Edyta.

– Daj spokój. Przecież „Fiołki” mają słuchaczy.

– Aha... Wszystkich trzech.

– No i mnie.

– Ciebie już wliczyłam.

– Teraz przesadzasz. Ale mniejsza z tym. Chodzi mi o to, że poczytałem o tym. Przemyślałem, co mi powiedziałaś, i naprawdę uważam, że na coś trafiłaś. I pomyślałem sobie, że moglibyśmy w tym pogrzebać.

– Słucham?

– No, sprawdzić ten trop – precyzuje Artur. – Masz rację. Nie ma na razie sensu zawracać głowy policji, bo to może być fałszywe. Ale we dwójkę moglibyśmy się temu przyjrzeć. Kto wie, może na coś trafimy. Co ty na to?

Edycie kręci się w głowie. Myśli, że to jest to. Prawdziwe dziennikarskie śledztwo. Jej szansa, by zabłysnąć. Ale zaraz potem przypomina sobie Łukasza. Jeśli się dowie, że pracuje razem z Arturem, jego wybuch zazdrości będzie mieć siłę bomby atomowej.

– Nie. To nie dla mnie – mówi, chociaż przychodzi jej to z trudem.

– No daj spokój! Bez ciebie nie dam rady. Jesteś w tym lepsza ode mnie!

Robi się jej miło, bo słyszy w jego głosie, że on naprawdę tak uważa. Lecz odpowiedź może być tylko jedna.

– Przepraszam, ale nie.

Rozłącza się, zanim Artur zdąży się odezwać.

## Rozdział 26

Cisza jest aż bolesna. Jakby wszyscy się umówili, że zrobią, co mogą, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Głos wydobywali z siebie tylko w studiu. Wchodzili tam z opuszczonymi głowami, wzrokiem wbitym w podłogę lub kartki z notatkami. Robili to, co do nich należy, a potem wychodzili dokładnie w tej samej pozie. Ale w jakiś magiczny sposób plotki i domysły na temat tego, co się wydarzyło, i tak krążyły po biurze. Jakby przenosiły się z głowy do głowy.

Ewelina ma tego dość. Myśli, że jeśli to potrwa dłużej, to oszaleje do końca swojego dyżuru. Chce, a raczej potrzebuje, z kimś porozmawiać. Usłyszeć głos drugiej osoby. To jest wręcz fizyczny przymus. Jej ciało domaga się, żeby wyrzuciła z siebie te wszystkie obawy i emocje. Ewelina żałuje, że Edyty dzisiaj nie ma w pracy. To najbliższa jej osoba. Nie za bardzo wie, kogo jeszcze mogłaby zaczepić. Robi więc jedyną rzecz, która przychodzi jej do głowy – idzie po kawę.

Opuszcza swoje stanowisko w newsroomie. Widzi spojrzenie wydawczynie. Modli się o to, żeby zapytała ją, gdzie idzie. Ale ona wraca do pracy.

Ewelina idzie korytarzem. Po drodze widzi polityka, który nerwowo przygotowuje się do spotkania z Beatą Lubecką. Przechodzi do kuchni. Wtedy zdaje sobie sprawę, że zapomniała wziąć kubek. Już ma wracać, kiedy dostrzega stojącego przed ekspresem Tobiasza Ornowskiego. Jest posiniaczony i opuchnięty. Ewelina myśli, że w takim stanie nie powinien przychodzić do pracy. Ale przyszedł. I teraz stoi, wpatrując się bezradnie w kawowy ekspres.

– Trzeba wymienić wodę – mówi Ewelina.

Ornowski wzdryga się, kiedy ją słyszy. A w jego oku, tym, którego nie zasłania opuchlizna, pojawia się mgnienie strachu. Ewelina czuje wstyd, że



go zaskoczyła. Nie powinna.

– Pomogę.

Podchodzi do ekspresu. Redaktor odsuwa się o krok, żeby zrobić jej miejsce. Ona zaś wyjmuje zbiorniczek z wodą. Napęlnia go i wsadza z powrotem.

– Jaką zrobić? – pyta Ewelina.

– Czarną. Małą – odpowiada Ornowski. Ma dziwny głos. Nie zmęczony, bo aż wibruje od takiej nieprzyjemnej energii, ale równocześnie wyczerpany.

Ewelina sięga po suszący się obok kubek. Wsadza go pod kran ekspresu i naciska przycisk. Nic się nie dzieje.

– Pojemnik na odpadki się zapchał – tłumaczy.

Wyciąga tackę z fusami po kawie i wyrzuca je do śmieci. Przez chwilę szarpie się z tacą, która nie chce wrócić na swoje miejsce. Wreszcie się jej udaje. Naciska przycisk, z ekspresu zaczyna wylewać się kawa. Podaje kubek Ornowskiemu.

– Dziękuję.

Mężczyzna chce odejść. Ewelina zdaje sobie sprawę, że to jedyna okazja, by się czegoś dowiedzieć. Żeby zdobyć informacje z pierwszej ręki, a nie plotki podawane już dziesiątki razy z ust do ust.

– Podobno Agnieszka nie żyje! – wyrzuca z siebie desperacko.

Wypaliła z grubej rury. Uśmiecha się przepaszająco i się czerwieni. Czuje się teraz jak mała dziewczynka, taka, co przez przypadek powiedziała na środku klasy brzydkie słowo, którego nauczyła się w domu.

– Żyje – odpowiada jej Ornowski. – Jest w szpitalu. Kiepsko z nią, ale jej stan jest stabilny. Lekarze mówią, że z tego wyjdzie.

-A ty?

Redaktor marszczy brwi zaskoczony, a potem w jego oczach pojawia się iskierka wdzięczności. Ewelinie wydaje się, że może być pierwszą osobą, która go o to pyta.

– Jak widzisz – rzuca z fałszywą bez troską. – Stoję. Oddycham. Jakoś funkcjonuję. Chociaż przyznaję, obsługa ekspresu trochę mnie dzisiaj przerosła. To jakiś nowy model?

Ekspres stoi tutaj ten sam od lat.

– Chyba tak – mówi Ewelina. – Musieli niedawno wymienić.

To niewinne kłamstwo. Wydaje się jej, że producent go potrzebuje.

– Tak myślałem.

– Mogłeś wczoraj zginąć.

– Raczej nie. Jemu zależy na tym, żeby wrócić na antenę, a nie żeby nas pozabijać. Przynajmniej jeszcze nie.

– To co teraz zrobimy? Wiesz, kiedy znowu do nas zadzwoni?

Ornowski bierze łyk kawy. Jego twarz na moment wykrzywia grymas bólu.

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem.

## Rozdział 27

– Z kim rozmawiałaś? – pyta Łukasz.

Edyta instynktownie chowa telefon za plecami. Odwraca się w stronę chłopaka. Jest już ubrany, przez ramię ma przewieszoną torbę. Zdążył nawet wysuszyć włosy, chociaż jeszcze w kilku miejscach widać krople wody. Wszystko to znaczy, że skończył brać prysznic dobre kilka minut temu. Dlaczego tego nie usłyszała? I jak długo tutaj stała bez ruchu, z komórką w dłoni, pozwalając, żeby czas przeciekał jej przez palce?

– Z Ewelina.

Jest zaskoczona, jak gładko przychodzi jej to kłamstwo. Jak instynktowne jest i błyskawiczne. Nie odczuwa też najmniejszych wyrzutów sumienia z jego powodu. Jakby to, że okłamuje swojego chłopaka, z którym dzieli mieszkanie i teoretycznie przynajmniej plany na przyszłość, było najbardziej oczywistą i zwyczajną rzeczą na świecie.

– Z Ewelina? Naprawdę? Z nią zazwyczaj inaczej rozmawiasz.

– Podśluchiwałaś? – pyta Edyta. Świadomie przybiera bardziej agresywny ton. W powietrzu unosi się jeszcze napięcie związane z ich ostatnią kłótnią. Łukasz nigdy tak naprawdę nie wyjaśnił, skąd wiedział, że dziennikarka pojechała do Kampinosu. Edyta liczy trochę na to, że chłopak nie będzie miał ochoty na powtórkę z samego rana.

– Nie. Chodzi mi o sam ton.

Edyta wzdycha teatralnie.

– To już po tonie rozpoznajesz, z kim rozmawiam?

– Chodzi mi o to...

– Wiesz co? Jak tak cię to interesuje, to sprawdź se rejestr połączeń.

Wyciąga przed siebie komórkę. Jej dłoń drży, co sprawia, że podbrzusze zaczyna ją boleć ze strachu. Czy Łukasz to zauważył? Ten moment zdenerwowania i niepewności.

– No co? Czemu nie sprawdzasz? Telefon jest co prawda nowy, ale hasło jest to samo co w starym. Znasz je.

Na twarzy Łukasza odmalowuje się wahanie. Nie wie, jak się zachować. Jedną jego część aż się rwie, żeby wziąć komórkę. Zacząć w niej grzebać, sprawdzając nie tylko rejestr połączeń, ale też archiwum wiadomości, Messengera, WhatsAppa. Wszelkie możliwe aplikacje. Ma ten telefon co prawda ledwo chwilę, ale wyobraźnia już podpowiada mu, co tam może znaleźć. Druga się waha. Może z poczucia przyzwoitości. Może dlatego, że przeczuwa, że jeśli weźmie ten telefon, to przekroczy granicę, której przekraczać nie wolno. Kolejną zresztą. Ile razy już to zrobił? Za dużo, myśli Edyta. A mimo to ona ciągle z nim jest.

Nagle Łukasz macha lekceważąco ręką i poprawia sobie torbę na ramieniu.

– Idę do pracy – oznajmia.

Przez chwilę stoją naprzeciwko siebie. Łukasz wykonuje ruch w jej stronę, jakby się chciał nachylić i pocałować ją w policzek na pożegnanie, tak jak to kiedyś robili, ale w ostatniej chwili rezygnuje. Jego twarz wykrzywia się w jakimś dziwnym grymasie tęsknoty, rozczarowania i niechęci.

– Miłego dnia – mówi cicho.

Edyta zostaje sama. Przez chwilę chce rzucić tym przeklętym telefonem o ścianę. I pewnie by to zrobiła, ale przecież stacja nie zafunduje jej kolejnego telefonu. Myśli o tym, że jej związek zmienił się w pełną podejrzliwość i wzajemnych pretensji patologię. A potem przypomina sobie, że dla ratowania tejże patologii przed chwilą zrezygnowała z najciekawszej dziennikarskiej propozycji, jaką otrzymała w życiu. Tak, z tego śledztwa w sprawie Budzikowskich najprawdopodobniej nic by nie wyszło. Zdaje sobie sprawę, że jest duża szansa, że to mylny trop. Ale jeśli nie? Jeśli właśnie wyrzuciła do kosza okazję na wybicie się? I co w zamian dostała? Kolejną scenę!

Jest wściekła. Dlatego nawet nie myśli o tym, co robi. Po prostu wybiera numer.

– Tak? – rzuca Artur do telefonu.

– Zmieniłam zdanie. Robimy to!

## Rozdział 28

Edyta idzie ulicą. Mimo że od spięcia z Łukaszem minęła już prawie godzina, ciągle ogarnia ją wściekłość. Dawno się tak na niego nie wkurzyła. A zarazem jest zła na siebie. Bo ciągle myśli o tym, co jej chłopak zrobi. Teraz pojechał do pracy. Pewnie spotka tam Ewelinę. Czy zapyta ją o poranną rozmowę z Edytą? Oczywiście, nie wprost. Jednak nie jest idiotą. Spróbuje jakoś naokoło. Powie coś w stylu: „Cześć, Ewelina! Słuchaj, Edyta obśmiała się z tego kawału, który opowiedziałas jej dzisiaj rano. Ale coś zawałiła z puentą, jak mi go opowiadała. Możesz mi go powtórzyć?”.

Na co Ewelina zmarszczy brwi i powie, że wcale z Edytą nie rozmawiała, i wszystko się wyda. Łukasz pokiwa głową z tą swoją miną w stylu „wiedziałem!”, a po powrocie do domu zrobi jej kolejną awanturę.

A może nie? Może Ewelina wyczuje pułapkę? Nie będzie wiedziała, o co chodzi, ale są przyjaciółkami, więc będzie chronić jej tyłek.

– Ten o zajączku? – zapyta. – Jak przychodził do misia do sklepu i prosił o marchewkę, miś odpowiadał, że marchewki nie ma, a jak się to powtórzyło po raz trzeci, to powiedział, że jeśli zajączek jeszcze raz tu przyjdzie i zapyta o marchewkę, to miś mu przybije uszy gwoździami do ściany. Więc zajączek przychodzi następnego dnia i pyta, czy są gwoździe. Miś mówi, że nie ma. I dopiero wtedy zajączek pyta, czy jest marchewka.

– Przecież ten kawał jest stary i nieśmieszny – powie Łukasz.

– Edytę ubawił.

Chociaż nie. Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest jednak taki, że Ewelina w ogóle z Łukaszem nie będzie rozmawiać. Nie lubi go i ma o nim jak najgorsze zdanie.

– Cześć, Ewelina! – zacznie Łukasz. – Słuchaj, Edyta obśmiała się z tego kawału, który opowiedziałas jej dzisiaj rano. Ale coś zawałiła z puentą, jak

mi go opowiadała. Możesz mi go powtórzyć?

– Nie wiem, nie znam się, zarobiona jestem – odpowie mu jej przyjaciółka, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem.

Tak to właśnie będzie wyglądać, myśli Edyta i trochę ją to uspokaja. Obok przejeżdża stara ciężarówka. Edytę atakuje zapach samochodowych spalin. Mimo to po raz pierwszy tego dnia się uśmiecha.

Marszczy jednak brwi, kiedy niedaleko zatrzymuje się czarny samochód i włącza światła awaryjne. Podchodzi do niego i zagląda do wnętrza. Wtedy szyba się opuszcza i w środku Edyta widzi Artura.

– Mieliliśmy się spotkać na pętli – mówi dziennikarka.

– No ale zauważyłem cię po drodze, to się zatrzymałem. A co? Mam jednak jechać na pętlę i tam na ciebie czekać?

– Nie wygłupiaj się.

Edyta otwiera drzwi i wsiada. Nie rozpoznaje marki wozu. Zawsze była w tym słaba. Strasznie to stereotypowe, wie o tym, ale naprawdę nie ma głowy do tych wszystkich fordów, fiatów, volkswagenów czy mercedesów. Z Łukaszem kupili samochód używany. On siedział w internecie, czytał artykuły, przeczesywał serwisy aukcyjne. Ją interesowało tylko to, żeby auto jeździło i nie kosztowało za dużo.

Pomimo swojej nikłej wiedzy na temat motoryzacji widzi jednak, że samochód Artura jest raczej wysokiej klasy, w środku ciągle pachnie nowością, a skóra na siedzeniach błyszczy, jakby przed chwilą ją wypastowano.

– Tylko nie mów mi, że kupiłeś ten wóz za kasę z podkastu.

– No nie... Za książki.

– Jeszcze lepiej.

– To gdzie jedziemy?

– Póki co prosto. Potem będę cię kierować.

– Podaj adres. Mogę wbić w nawigację.

– Po prostu jedź.

## Rozdział 29

Maggie śpiewa. Ta piosenka nie ma słów. To tylko melodia. Dziewczyna pozwala, żeby dźwięki same do niej przychodziły, wpadały do jej głowy. Czeką, aż się tam rozgłoszą, aż poczują się bezpieczne, a potem pozwala, by ułożyły się w melodię. To ją uspokaja. Przerywa, kiedy dochodzi do niej odgłos otwieranych drzwi.

Wchodzi do środka. Pan Budzik. Stawia kroki powoli, ociężale. Jakby był zmęczony, a jego mięśnie zmieniały się właśnie w kamień. W dłoniach trzyma tackę, a na niej szklanekę z wodą i dwie białe tabletki.

Maggie boi się nawet głośniej odetchnąć i tylko obserwuje swojego porywacza.

Pan Budzik odkłada tackę na stół. Na moment zastyga ze zwieszoną głową. Później wyprostowuje się. Idzie w stronę otwartych na oścież drzwi. Staje przy progu. Sięga po klamkę. Znowu zastyga. Jest teraz odwrócony do niej plecami. Nie może jej widzieć. Piosenkarka myśli, że to wszystko jest bardzo dziwne, nienaturalne. Nagle do niej dociera. On ją sprawdza! Specjalnie porusza się tak wolno, specjalnie stoi tyłem. Chce się przekonać, czy znowu spróbuje ucieczki!

Maggie nic nie robi. Nie dlatego, że w ogóle zrezygnowała z planów wydostania się z tej przeklętej piwnicy. Rozumie jednak, że on jest od niej silniejszy i szybszy. Jeśli chce go pokonać, musi mieć plan. Musi być od niego sprytniejsza.

Pan Budzik zamyka drzwi i dopiero wtedy do niej wraca. Jego ruchy wydają się teraz bardziej naturalne, jakby jej bierność przyniosła mu jakąś ulgę. Zasiada po drugiej stronie stołu. Wykonuje dłonią gest, jakby zapraszał ją do siebie. Maggie podnosi się z materaca. Robi to ostrożnie, opierając się jedną ręką o ścianę. Od ciosu, który otrzymała podczas ostatniej próby ucieczki, ciągle jej się kręci w głowie. On to widzi. Podnosi



się, jakby chciał jej pomóc, ale ona powstrzymuje go ruchem ręki. Nie mogłaby znieść jego dotyku. Sama myśl, że chwyciłby ją za ramię, tak że poczułaby jego grube paluchy na swojej skórze, sprawia, że chce jej się wymiotować.

– Już dobrze – mówi piosenkarka i podchodzi do stołu.

– Aspirynę ci kupiłem. I coś do popicia przyniosłem.

Maggie zastanawia się, co teraz zrobić. Czy te tabletki to naprawdę niewinna aspiryna czy środek usypiający, a może jakaś trucizna? Ale czuje, że nie ma wyboru. Że to kolejna próba i jeśli teraz nie weźmie tych lekarstw, on to źle odbierze. Oczywiście, ma gdzieś uczucia porywacza. Ale musi być od niego sprytniejsza, powtarza sobie w myślach, sprawiać wrażenie posłusznej i uległej, bo tylko wtedy może liczyć na kolejną szansę. Dlatego bierze drżącą dłonią tabletki. Popija je wodą. A właściwie tylko udaje, bo chowa tabletki pod językiem. Mają paskudny, gorzki smak. Może to naprawdę aspiryna.

– Nie powinnaś uciekać – mówi Pan Budzik. – Ale ja nie chciałem ci zrobić krzywdy. Nie chciałem, żeby bolało cię tak mocno. Za to ty nie powinnaś uciekać.

Maggie przytakuje.

– Dlatego przepraszam – kontynuuje mężczyzna. – Nie powinnaś uciekać, ale przepraszam.

Maggie czuje, że musi mu coś odpowiedzieć, ale jeśli tylko otworzy usta, to wypadną te dwie tabletki. Jest już na dziewięćdziesiąt procent przekonana, że to aspiryna, ale te dziesięć procent niepewności nie pozwala jej ich połknąć. Mężczyzna wydaje się skrepowany jej milczeniem.

– Nie chcę, żeby stało ci się coś złego – mówi Pan Budzik. – Bo on ma plan, rozumiesz? On ma plan! To łebski facet jest!

Żeby potwierdzić swoje słowa, stuka się palcem w czoło. Piosenkarka zaś myśli, że nigdy nie lubiła ludzi, którzy mówią o sobie w trzeciej osobie.

– Jeśli wszyscy będą robić to, co on chce, to będzie dobrze. Bo ten plan to precyzyjna robota! Jak zegarek! Tik-tak, tik-tak! Rozumiesz?

Piosenkarka przytakuje.

– To dobrze... To dobrze... Jak tutaj schodziłem... Słyszałem, że śpiewałaś... Ładnie... Będziesz teraz śpiewać dalej?

W jego postawie, spojrzeniu dostrzega niemą prośbę. Maggie podnosi dłoń do ust. Udaje, że kaszle, wypluwając na wpół rozpuszczone tabletki w dłoń. Myśli sobie, że nie chce tego robić. Ale zaraz potem powtarza sobie, że musi być od niego sprytniejsza.

Dlatego zaczyna śpiewać.

## Rozdział 30

– To tutaj? – pyta Artur.

Wydaje się zaskoczony i lekko rozczarowany, patrząc na niski blok z lat pięćdziesiątych na warszawskim Mokotowie.

– Tutaj – potwierdza Edyta.

Wysiada z samochodu i bez słowa idzie w stronę klatki schodowej. Artur biegnie za nią. Edyta wie, że zachowuje się niegrzecznie, ale chce być przez chwilę arogancką żoną. Taką, która w pełni panuje nad sytuacją. Która decyduje o tym, co się teraz wydarzy.

– To gdzie właściwie idziemy?

– Do Jarka Błaszkwicza.

– Okej... Kim jest Jarek Błaszkwicz?

– Zaraz się dowiesz.

Artur przystaje.

– Ej! Ale nie tak się umawialiśmy! – protestuje. – Jeśli potrzebowałaś tylko podwózki, to trzeba było zamówić ubera!

Wie, że pisarz ma rację. Nie może się na nim wyżywać za to, że jej życie osobiste to jakiś koszmar, a Łukasz z ukochanego mężczyzny zmienił się w kogoś, kogo woli unikać, żeby nie wywołać nowej kłótni. Co nie jest łatwe, biorąc pod uwagę, że razem mieszkają.

– Dobra – zaczyna tłumaczyć. – Jarek Błaszkwicz to były dziennikarz Zetki. Pracował u nas przez jakieś dwadzieścia lat. Zajmował się głównie sprawami kryminalnymi.

– I ma coś wspólnego ze sprawą Budzikowskich?

– Aha! Szperałam w naszym radiowym archiwum, szukając jakiegokolwiek tropu. I znalazłam informację, że Budzikowski kontaktował się z Błaszkwiczem tuż przed śmiercią. Twierdził, że ma dla niego sensacyjny materiał.

– Na jaki temat?

– No tego właśnie nie wiem. Bo do spotkania Błaszkwicza z Budzikowskim nigdy nie doszło.

– Dlaczego?

– Tego się chcę dzisiaj dowiedzieć.

Już razem podchodzą do klatki schodowej. Edyta wybiera numer na domofonie. Przez długą chwilę nikt nie odbiera.

– Może nikogo nie ma – sugeruje Artur.

I w tej samej chwili słyszą, że ktoś podnosi słuchawkę.

– Kto tam? – rozlega się trzeszczący głos.

Edyta nachyliła się do domofonu.

– Dzień dobry. Jestem dziennikarką Radia Zet. Chciałam z panem porozmawiać o sprawie Budzikowskich.

– Nie ma o czym rozmawiać.

Rozlega się odgłos odkładanej słuchawki. Artur i Edyta patrzą po sobie. Żadne z nich nie spodziewało się, że ich wspólne śledztwo zakończy się tak szybko.

– I co teraz? – pyta pisarz.

Nagle drzwi się otwierają. Z klatki wychodzi starsza kobieta. Edyta i Artur chcą się wślizgnąć do środka, ale kobieta zastępuje im drogę.

– A państwo do kogo? – pyta.

– Ulotki! – rzuca Artur i potrząsa zarzuconym na ramię plecakiem, udając, że w środku są materiały reklamowe.

– A jakie ulotki?

– Z rabatami – precyzuje Artur, a na pomarszczonej twarzy kobiety pojawia się lekki uśmiech.

– A to proszę.

Wchodzą do chłodnego wnętrza klatki schodowej. Wbiegają na drugie piętro i odnajdują właściwe drzwi. Naciskają dzwonek.

Otwiera im mężczyzna wyglądający na około sześćdziesiąt lat. Ma długie, sięgające do ramion siwe włosy i kozią bródkę. Nosi czarną koszulkę na ramiączkach ze spranym logo heavymetalowego zespołu i szare dresowe spodnie.

– Co jest? – rzuca zirytowany.

– Ja z Radia Zet. Chciałam porozmawiać o Budzikowskich...

Mężczyzna kręci głową.

– Uparci jesteście – mówi. – Nie ma o czym gadać.

Zamyka im drzwi przed nosem.

– Chodzi o tę piosenkarkę Maggie – rzuca w ostatniej chwili Edyta.

Drzwi znowu się otwierają.

– Tę, co ją porwali? – pyta Błaszkwicz.

– Tak.

Były dziennikarz marszczy siwe brwi.

– No to wchodźcie.

## Rozdział 31

Gabinet Ornowskiego to prostokątne, dość wąskie pomieszczenie o przeszklonych drzwiach. Dlatego wyraźnie widzi zbierających się po drugiej stronie ludzi – reporterów, serwisantów, wydawców. Dział sportowy, ekonomiczny. Marketing. Dziewczyny, które zajmują się konkursami. Chłopaków od IT i realizatorów. Prowadzących pasma poranne, popołudniowe i wieczorne. Całą tę radiową załogę, dzięki której Zetka działa od trzydziestu lat jak dobrze naoliwiona maszyna. Niektórzy pracują tutaj od niedawna. Inni odchodzili i wracali już kilka razy. Są też tacy, którzy byli tutaj cały czas i nigdzie się nie wybierają. Wszyscy oni są dla Ornowskiego jak rodzina. A teraz wszyscy czekają na to, co im powie.

Problem polega na tym, że jeszcze nie wie.

Przenosi wzrok na ścianę. Niewiele ma tam ozdób. Kilka zakurzonych dziennikarskich nagród. Szczerze mówiąc, już nawet nie pamięta, od kogo je dostał, za co i kiedy. Większości z nich nawet nie odebrał. Nigdy nie lubił tych wszystkich medialnych imprez, gal i festiwali poklepywania się po plecach. Wolał biegać z mikrofonem. Nawet głupia uliczna sonda wydawała mu się ciekawsza niż branżowy raut. Zawiesił też trzy zdjęcia ze swoich wojen. Irak i dwa razy Afganistan. Nie lubi wracać myślami do tamtych chwil, ale zauważył, że te fotografie robią wrażenie. Szczególnie na młodych dziennikarzach. Zawsze dobrze podbić sobie autorytet u podwładnych.

Podnosi telefon i wybiera numer.

– Co tam? – rozlega się głos komisarza.

– Miałem zapytać o to samo – odpowiada Ornowski. – A konkretnie o to, czy...

– Mamy jakiś trop. Ale wiesz, że nie mogę ci powiedzieć jaki. Kurczę, nawet tego nie powinienem ci mówić.

– *Off the record.*

– Jak *off the record*, to też nie mogę ci powiedzieć.

– Czyli nic nie macie. Szkoda...

– Bo?

– Bo miałem nadzieję, że powiesz mi, że już go zatrzymaliście. Albo że to kwestia góra godziny, dwóch.

– Heh... – prychnął policjant. – Powiem ci szczerze, że kiedy zobaczyłem twój numer na komórce, też miałem nadzieję, że uderzasz do mnie z jakąś rewelacyjną informacją.

– Na przykład?

– Na przykład że ten drań do was zadzwonił i postanowił się przedstawić. Albo coś takiego...

– To nie Dzień Dziecka. Niestety...

Przez chwilę obaj mężczyźni milczą. Ornowski patrzy za okno, na ścianę budynku naprzeciwko. Orientuje się, że od dłuższej chwili skubie wargę. Zirytowany, chowa wolną rękę do kieszeni.

– Robimy, co w naszej mocy – odzywa się policjant. – Wiesz o tym?

– My też – mówi Ornowski.

Rozłącza się i rzuca telefon na biurko. Przymyka oczy i odchyła się na krześle do tyłu. Po minucie słyszy, że ktoś puka do jego drzwi, a potem wchodzi. Odwraca się, otwiera oczy i widzi w progu Beatę Lubecką.

– Wszyscy już są. Od jakiegoś czasu. Kiedy przyjdiesz?

– Dlaczego cię przysłali?

– Przecież wiesz. Bo lubię zadawać trudne pytania. Idziesz?

Ornowski podnosi się z krzesła. Beata cofa się o krok i otwiera przed nim szeroko drzwi. Szmer rozmów zebranych dziennikarzy i pracowników, które do tej pory docierały do jego akwarium, przypominając szum deszczu, teraz cichną. Wszyscy patrzą na niego wyczekująco. Redaktor myśli, że są chwile, kiedy tęskni za wojną.

## Rozdział 32

Jarek Błaszkwicz wpuszcza ich do swojego mieszkania. W środku unoszą się drobinki kurzu. Na wieszakach wiszą skórzane kurtki, a także, o dziwo, jeden różowy płaszcz przeciwdeszczowy. Trudno powiedzieć, skąd tu się wziął. Ściany zdobią oprawione w ramki bilety z koncertów zagranicznych heavymetalowych zespołów. Widać, że mieszka tutaj stary kawaler, a jednocześnie wewnątrz jest zaskakująco czyste. Edyta nie może się opędzić od myśli, że gdyby na miejscu dziennikarza znalazł się Łukasz, to wewnątrz tonęłoby w puszkach po słodkich napojach i kartonach po pizzy.

Błaszkwicz idzie do kuchni. Edyta patrzy pytająco na Artura, ten wzrusza ramionami. Ruszają za dziennikarzem. Wnętrze kuchni jest jasne. Na półce stoją książki kucharskie z przepisami na wegańskie dania. Stary dziennikarz zauważa jej zaskoczone spojrzenie.

– To mojej dziewczyny – tłumaczy. – Wyprowadziła się. Książki zostały... I w sumie teraz z nich korzystam. Kto by pomyślał, że tyle rzeczy można zrobić z fasoli. No dobra. Ale lepiej powiedzcie, co moi sąsiedzi mają wspólnego z zaginięciem tej piosenkarki.

– Pańscy sąsiedzi? – powtarza za nim zaskoczona Edyta.

– Budzikowscy. Strasznie wkurzający emeryci. On robił w SB, a potem...

– Nie chodzi nam o pańskich sąsiadów.

– Nie? Przecież... – dziwi się Błaszkwicz i nagle przerywa w pół słowa.

– A, czekajcie! Oni nazywają się Zegarki, a nie Budzikowscy. Budzikowscy to...

– Rodzina zamordowana w wiosce pod Warszawą w dziewięćdziesiątym piątym roku – wyjaśnia Edyta. – Kontaktowali się z panem tuż przed śmiercią. Budzikowski twierdził, że ma jakiś mocny materiał, którym chce się z panem podzielić, ale nigdy się z nim pan nie spotkał. Jesteśmy ciekawi: dlaczego?



Błaszkwicz gładzi swoją kozią bródkę, a potem wydyma usta.

– Już sobie przypominam – mówi. – Jest tak, jak wam mówiłem, nie ma o czym gadać.

– Dlaczego?

– Bo tak jak wspomniałaś, nie spotkałem się z nim.

– Ale dlaczego?! Ktoś pana zastraszał? Dostał pan jakąś wiadomość od jednej z grup przestępczych? Od Pruszkowa, Wołomina?

Dziennikarz uśmiecha się szeroko, jest wyraźnie rozbawiony.

– Nie rozpędzaj się tak! Po prostu nie miałem czasu.

Edyta czuje, że ten starszy mężczyzna nie traktuje ich poważnie. Już ma mu to wygarnąć, ale wtedy Artur kładzie jej dłoń na ramieniu w uspokajającym geście.

– Czyli dostaje pan kontakt od człowieka, który ma dla pana rewelacyjny materiał, ale nie jedzie się pan z nim spotkać, bo nie ma pan czasu? – pyta pisarz z niedowierzaniem, które graniczy z arogancją.

– Ile miałeś lat w dziewięćdziesiątym piątym? – odpowiada mu dziennikarz.

– Kilka.

– Czyli w pupie byłeś i kupkę widziałeś. Specjalnie nie przeklinam, bo nie jestem nawet pewien, czy jesteś pełnoletni. Nie chciałbym, żebyś czegoś się ode mnie nauczył.

– Jestem pełnoletni. I znam całkiem sporo brzydkich wyrazów. Nie musi się pan hamować.

– No, będę ci musiał uwierzyć na słowo – mówi dziennikarz i macha lekceważąco dłonią. – Rzecz w tym, młody człowieku, że wtedy mnóstwo takich ludzi do nas dzwoniło. I każdy miał rewelacyjny materiał. Jakbyśmy się z każdym spotkali, to nic byśmy innego nie robili. A wiesz, co było w takich materiałach? Wielkie nic. Okej, może jakieś drobnostki, które nikogo nie interesowały. Drobne przekręty. Albo opowieści jednego wariata z drugim.

– Ale Budzikowski naprawdę miał kontakty z grupami przestępczymi – zauważa Edyta.

– Wiem – przyznaje jej rację Błaszkwicz. – Wtedy też wiedziałem. Od razu go sprawdziłem przez swoje kontakty. Pomagał handlować lewymi furami. Może parę razy otarł się o wielki przestępczy świat. Ale to by było tyle. Facetowi mogło się wydawać, że coś wie, ale tak naprawdę to byłoby coś, co mogłoby zainteresować co najwyżej jakieś powiatowe pisemko... Sorry, wtedy powiatów nie było... Ale wiecie, o co mi chodzi. Nie mógł wiedzieć niczego, co nadawałoby się dla ogólnopolskiego radia. Nie miał żadnego wielkiego materiału. A i tak chciałem się z nim spotkać. Wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. Wyciągnąć rękę. Może nie miał materiału dla Zetki, ale mogłem go przecież skontaktować z kimś, kto by mu pomógł. Tylko zawsze wpadał jakiś ważniejszy temat, aż się dowiedziałem...

– ...że ich zamordowano – kończy za niego Edyta.

Dziennikarz przytakuje i drapie się po karku.

– Do dzisiaj żałuję, że nie znalazłem dla niego czasu – mówi. – Potem wyszło na jaw, że miał konflikt z jednym z pomniejszych gangsterów. Pokłócili się o kasę. Gangster próbował Budzikowskiego zastraszyć, zabił mu nawet kota i podrzucił truchło na wycieraczkę. Budzikowski najwyraźniej wpadł na pomysł, żeby nasłać na tego gangstera media.

Stary dziennikarz otwiera lodówkę i zagląda do środka. Edyta orientuje się, że on nie szuka tam niczego ani do jedzenia, ani do picia. Chodzi mu tylko o to, żeby się przed nimi na chwilę ukryć. Kiedy się odwraca, znowu przybiera ten zblazowany wyraz twarzy. Zdradza go jednak smutek w spojrzeniu.

– Co to ma wspólnego z tą porwaną piosenkarką?

Edyta przez moment się waha. Zerka na Artura, a ten kiwa głową. Zaczyna więc opowiadać. I widzi, jak oczy Błaszkwicza z każdą sekundą robią się coraz większe ze zdumienia.

## Rozdział 33

Ornowski wychodzi ze swojego pokoju i czuje, że natychmiast zaczyna go śledzić kilkadziesiąt par oczu. Próbuje sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni mieli tu takie zebranie. Nie chodzi mu tylko o liczbę osób, lecz także o wyczuwalne w powietrzu napięcie. Przychodzi mu do głowy jedna data – jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku. Zamach na World Trade Center. Nie chce porównywać tych dwóch wydarzeń. Wtedy to było coś, co zmieniło historię świata. To, co się dzieje teraz, dotyczy tylko ich. Ale przecież w ich małej zetkowej rodzinie i tak będą dzielić czas na to, co było przed, i na to, co było po tym zebraniu.

Zajmuje miejsce u szczytu wielkiego białego stołu. Spogląda po twarzach zebranych. Są niemal wszyscy zatrudnieni w Zetce. Niezależnie od tego, czy mają dzisiaj dyżur. Zauważa, że brakuje tej młodej dziewczyny. Tej, która była w radiu tamtej nocy i która znalazła Ziemka. Edyta, przypomina sobie jej imię. Przez moment zastanawia się, gdzie może być, ale szybko przestaje. Nie ma to przecież żadnego znaczenia.

– Wiecie, że kiedyś nie informowaliśmy o fałszywych alarmach bombowych? – pyta i od razu robi pauzę. Czeką, aż wszyscy zwrócą na niego uwagę. Sam myśli o wadze swojej decyzji. – Była taka ogólnopolska umowa. Wszystkie gazety, telewizje, radia... – opowiada. – Kurczę, różne rzeczy się wtedy działy. Mamy taką konkurencyjną stację, nie chcę jej nazwy wymieniać, ale naprawdę było wtedy na ostro. Oni nam różne świństwa robili, my im. To znaczy... Wtedy to ja u nich pracowałem, więc właściwie to różne świństwa my wam robiliśmy, a wy nam. W pewnym momencie byłem gotów pociąć wam opony w samochodzie. Nie mówię, że to zrobiłem, ale byłem gotów to zrobić!

Kilka osób się roześmiało. Większość jednak zachowuje powagę.

– Natomiast co do tej jednej rzeczy wszyscy byliśmy zgodni: nie informujemy o fałszywych alarmach bombowych – kontynuuje redaktor. – Bo wiedzieliśmy, że właśnie na tym sprawcom zależy. Na tym, żeby o nich mówiono. Odbieraliśmy im więc jedyną rzecz, na której im zależało.

Przerywa na moment. Widzi, że kilku starszych pracowników, tych, którzy pamiętają tamte czasy, kiwa głowami. Ci młodszy czekają z uwagą na ciąg dalszy.

– Wszyscy wiemy, co się wydarzyło w naszym radiu niedawno. Wiemy o porwaniu Maggie, wiemy o ataku na Agnieszkę, wiemy o ataku na mnie. I wiemy, czym ten świr nam grozi. Że jeśli nie wpuścimy go na antenę, to weźmie na celownik kolejne osoby spośród nas. Ciebie...

Tobiasz Ornowski mierzy palcem do kolejnych osób.

– Ciebie... Albo ciebie... I tym razem być może nie skończy się na szpitalu. Dlatego podjąłem decyzję... Nie wpuszczę drania na antenę.

Robi przerwę, żeby wszyscy mieli czas przetrwać tę informację.

– Bo to jest właśnie to, czego on chce! To jest to, czego żąda! Ale też wiem, że jeśli teraz mu ulegniemy, to znajdą się kolejni. Kolejni, którzy będą żądać tego samego. To jak z tymi wariatami od fałszywych alarmów bombowych. Odbieramy mu właśnie jedyną rzecz, na której mu zależy.

Ornowski opiera się dłońmi o stół, przy którym stoi. Przygląda się minom pozostałych osób.

– Na tym też polega dziennikarstwo, prawda? – rzuca. – Trochę o tym zapomnieliśmy w ostatnich latach. Ale to jest istota tego zawodu. Że od czasu do czasu następuje się na odcisk złym ludziom i wtedy trzeba zrobić to, co trzeba. Dlaczego? Bo ludzie nas słuchają. A to jest wielki przywilej. Oraz zobowiązanie. I to jest właśnie moment, w którym pokażemy, że robimy swoje. Że dajemy przykład.

Nie widzi, kto pierwszy zaczyna klaskać. Ale podchwytyją to kolejni. Przerywa to ruchem ręki. Nie zależy mu na aplauzie. Nie po to zwołał zebranie, by się lepiej poczuć.

– Wiem, że się boicie. To normalne. Rozmawiałem już z zarządem. Zgodziliśmy się ufundować nagrodę. Pięćdziesiąt tysięcy złotych dla każdego, kto dostarczy informacje, które doprowadzą do złapania tego psychola. Poza tym zatrudniliśmy firmę ochroniarską. Dostaniecie sygnalizatory alarmowe, które wystarczy tylko nacisnąć, żeby w ciągu kilku minut pojawił się patrol. Zostaniecie odpowiednio przeszkoleni, żebyście wiedzieli, jak się zachowywać w sytuacji zagrożenia. Zrobimy wszystko, by zadbać o wasze bezpieczeństwo. Będę jednak z wami szczery, nie wiem, czy jesteśmy w stanie przewidzieć każdy jego krok. Ale na tym polega wasza robota. To jest koszt dziennikarstwa. A teraz... Weźcie się wreszcie do pracy!

## Rozdział 34

Przed Edytą stoi czerwony zetkowy kubek ze świeżo zaparzoną herbatą. Powoli wodzi palcem wzdłuż firmowego logo. Niby zwykła rzecz, ale ludzie uwielbiają ten gadżet. W każdym konkursie, w którym się pojawia, mają tyle zgłoszeń, jakby te kubki były robione ze złota. Była zaskoczona, kiedy się o tym dowiedziała.

Łukasz siedzi przy komputerze. Ma założone słuchawki. Na ekranie migają wybuchy i strzelający do siebie nawzajem żołnierze. Chłopak jest całkowicie skoncentrowany na grze. Edyta natomiast woli się skupiać na audycji radiowej. Rozpoczyna się właśnie serwis informacyjny. Dziennikarka słucha tylko jednym uchem. Ważniejsze będzie to, co się wydarzy po nim. Czeka z niecierpliwością i chociaż to może dziwne, coraz bardziej się denerwuje.

Rozpoczyna się zwyczajna wieczorna audycja. Trochę muzyki, trochę gadania. Edyta nieświadomie podnosi dłoń do ust. Zagryza zęby na palcu wskazującym. Trochę boli, ale prawie tego nie zauważa. Czeka, aż coś się wydarzy. Aż prezenter powie, że przerywają program, bo mają pilny telefon. Albo co gorsza, ogłosi, że odnaleziono zwłoki piosenkarki. Nic takiego się jednak nie dzieje. Program toczy się normalnie.

– Co robisz? – pyta Łukasz.

Edyta ucieka ręką od ust. Przez przypadek przewraca dłonią kubek, a herbata wylewa się na stolik.

– Cholera... – mówi zdenerwowana.

– Wszystko w porządku? Nie oparzyłaś się?

– Nie. Wszystko w porządku. Przepraszam. Zasłuchałam się.

-W co?

Edyta wskazuje mu palcem na kilkuletnią wieżę stereo.

– Byłam ciekawa, czy ten facet zadzwoni – tłumaczy.

– Przecież nawet jakby zadzwonił, toby go nie wpuścili – mówi Łukasz. – Ornowski wyraźnie to powiedział.

– Tak, ale... Wiesz, zawsze jest jakaś szansa.

– Raczej nie. Nie było cię na tym zebraniu, ale Ornowski był bardzo stanowczy. Miał cały speech na ten temat. Przegadany moim zdaniem. No i w serwisach informacyjnych faktycznie mówili o tej nagrodzie, co ją mieli wyznaczyć.

– Nie boisz się, co będzie teraz?

Łukasz zerka na komputer. Chce wracać do gry.

– No dostaliśmy ten brzęczyk alarmowy – stwierdza. – Wisi na lodówce. Jakby coś się działo, to mamy go użyć. Ale nic się nie będzie działo. Niby czemu ten świr miałby przyjść akurat do nas?

Edyta nie chce mu przypominać, że akurat ona siedzi w tym od początku. Była przy pierwszej audycji, kiedy zadzwonił do Artura. To ona pojechała do Ziemka i znalazła jego zwłoki. A wcześniej uciekała przed tym wielkim psem. Boi się, że kiedy tylko wypowie ksywę rapera, wywoła kolejną scenę zazdrości.

– Nigdy nie wiesz, co takiemu siedzi w głowie – mówi.

– Jak tutaj przyjdzie, to ja cię obronię!

Łukasz pręży dumnie pierś. Edyta uśmiecha się w odpowiedzi. Myśli sobie, że ta chwila jest prawie normalna. A Łukasz kiedyś właśnie taki był. Troskliwy, a nie zaborczy. Chłopak zakłada z powrotem słuchawki na głowę i wraca do gry. Edyta idzie do kuchni po papierowe ręczniki. Tam czuje, jak wibruje jej telefon. Specjalnie go wcześniej wyciszyła. Przed wyciągnięciem aparatu z kieszeni zerka szybko do pokoju. Upewnia się, że Łukasz jest całkowicie pochłonięty grą. Dopiero wtedy odbiera.

– Słuchałem właśnie waszego radia – mówi Artur.

– Ja też. Nic się nie stało – odpowiada szeptem. – Po co dzwonicz?

– No właściwie tylko pogadać...

– Jestem zajęta.

- ...i potwierdzić jutrzejszy wyjazd.
- Potwierdzam – rzuca szybko. – Widzimy się jutro. A następnym razem wyślij po prostu SMS-a. Cześć.

Rozłącza się i na wszelki wypadek natychmiast usuwa połączenie z rejestru. Potem bierze ręczniki i idzie wytrzeć rozlaną herbatę.



## Rozdział 35

Mężczyzna na górze rzuca się, jakby uderzał całym ciałem o ścianę. Do tego wściekle przeklina. Maggie cała drży w rytm dochodzących do niej hałasów. Jakby jej ciało zmieniło się w jakiś cholerny automat perkusyjny. Nagle słyszy kroki na schodach. Pan Budzik do niej idzie. Piosenkarka wycofuje się pod ścianę. Wzrokiem szuka czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Jakiegoś noża, nożyczek, czegokolwiek ostrego, i dopiero po chwili dociera do niej, że przecież on wszystko zabrał. Idiotka, myśli sobie. I wtedy dostrzega taboret. Mogłaby go użyć. Mogłaby zdzielić nim Budzika po głowie. Rzuca się do niego, próbuje podnieść i orientuje się, że jest przytwierdzony śrubami do podłogi. Podobnie zresztą jak stół.

Błyskawicznie siada na taborecie, bo nie chce, żeby Pan Budzik zorientował się, co próbowała zrobić. Zmusza się nawet do przyjaznego uśmiechu. On wchodzi. Znowu jest bez maski. Twarz ma całą czerwoną, a rysy wykrzywione wściekłością. Zamyka za sobą drzwi, a potem chodzi wzdłuż ścian jej celi ze zwieszoną głową, jakby to on był tutaj uwięziony, a nie ona.

– Nie chcą cię wpuścić na antenę – warczy mężczyzna. Trudno go zrozumieć. – Nie chcą cię słyszeć. Nie interesuje ich to, co masz do powiedzenia! Nie interesuje ich moja historia!

Wali pięścią w ścianę z taką siłą, że jest pewna, że połamał sobie w niej wszystkie kości. A on nawet się nie skrzywił. Potem dociera do niej sens tego, co powiedział. Porwał ją tylko po to, żeby groząc jej śmiercią, przejąć antenę radia. Wyrzucić z siebie to, co w nim siedzi. Cokolwiek to jest. Skoro się nie udało, to jej nie potrzebuje. I ma teraz dwa wyjścia. Może ją albo wypuścić, albo zabić.

Przyszedł do niej bez maski. Nie zależy mu na tym, żeby nie widziała jego twarzy.

Podjął decyzję.

Piosenkarka jest pewna, że to już. Zaraz się na nią rzuci, zaraz ją zabije. Nie ma przy sobie żadnej broni, ale przecież może ją udusić gołymi rękoma. To wielki, silny facet. Nie ma z nim najmniejszych szans. Musi być od niego sprytniejsza. Musi być sprytniejsza!

– Ich nie obchodzi twoja historia, ale wiesz, kogo obchodzi? – pyta.

Pan Budzik zatrzymuje się i patrzy na nią wyczekująco.

– Kogo?

– Moich followersów.

– Oni też to mają gdzieś!

– Nie! Nie mają! – protestuje gorąco Maggie. – Nie będą mieli, bo ja im to opowiem. Oni mnie naprawdę słuchają! Ponad sześćset tysięcy fanów na Facebooku, ponad osiemset tysięcy na Instagramie. Teraz pewnie więcej, bo...

Przerywa. Nie powie mu przecież, że liczba jej followersów zwiększyła się z powodu porwania, chociaż jest pewna, że tak się właśnie stało.

– Ja mogę opowiedzieć twoją historię. A ludzie jej wysłuchają.

Pan Budzik opuszcza ramiona. Piosenkarka ma wrażenie, że jego wszystkie mięśnie się rozluźniają.

– Osiemset tysięcy? – powtarza z niedowierzaniem. – Tak dużo?

– Nawet trochę więcej – potwierdza piosenkarka.

– I oni naprawdę będą słuchać?

– Oni nawet potem będą to powtarzać! Udostępniać na swoich stronach, a ci, którzy tam trafiają, będą robić to samo. Dzięki temu usłyszą nas miliony ludzi!

Specjalnie zaczyna mówić o „nas”. Chce, by mężczyzna myślał, że grają w jednej drużynie, że mają wspólny cel.

– Czego potrzebujesz? – pyta ją Pan Budzik.

– Tylko telefonu!

Mężczyzna sięga do kieszeni podekscytowany i wyciąga z niego komórkę. Stary model Nokii, która ma pewnie z dwadzieścia lat. Aż cud, że działa.

– Nie. Takiego z kamerą i połączeniem z Internetem – tłumaczy mu dziewczyna. – Nie musi być nic wyjątkowego. Najtańszy model. Byleby była kamera i internet.

W jego oczach dostrzega gorzkie rozczarowanie i przez chwilę boi się, że go straciła. Ale nie. Mężczyzna się uśmiecha.

– Załatwię ci ten telefon z kamerą – rzuca i rusza do drzwi.

## Rozdział 36

Wchodzi do mieszkania z torbami w rękach. Teraz wszyscy mają w komórkach kamery i aparaty, a więc on, pierwszy smakosz Rzeczypospolitej, nie może się przecież pokazać w supermarkecie. Wystarczy, że wejdzie do jakiegoś dyskontu, natychmiast wszyscy go rozpoznają, zaczynają pstrykać fotki i powtarzać: „Panie Maćku, pan też tu kupuje!”. Dlatego od dłuższego czasu zakupy robi przez internet. Z tym że wiadomo: zawsze się coś skończy, czegoś się zapomni, coś trzeba dokupić. I wtedy po każdą, najmniejszą nawet rzecz musi jeździć na bazar. Albo odwiedza małe lokalne sklepiki, gdzie najczęściej nie ma nic, a jak jest, to drogie. Czasami marzy o tym, żeby po prostu wędrować wzdłuż sklepowych półek, pchając przed sobą wózek, jak zwyczajni ludzie.

No ale czasami może wykorzystać takie zakupy jako pretekst. Tak jak podczas spotkania z tym pisarzem. Zdobyć jego adresu zajęło mu trochę czasu, ale czego ludzie nie zrobią dla „najmilszego człowieka w Polsce”. Okazało się, że mają wspólnych znajomych, którym wcisnął bajkę o tym, że żona jest fanką Artura i chciałby zdobyć dla niej książkę z autografem. Warszawa była jednak małym miastem. A potem czatował pod jego klatką, udając, że przyjechał tam kupić kiszonki. Musiał po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o tej piosenkarce. Musiał wiedzieć, czy to wszystko nie jest ścierna.

Nie była. I nie wie, co to wszystko znaczy. Ma wrażenie, że ktoś sobie z nim pogrywa. To wszystko nie może być przecież przypadkowe.

Zamiera, kiedy docierają do niego dźwięki *Zegara* Edyty Bartosiewicz. Ta piosenka? U niego w domu? W tej chwili? To nie może być przypadek. Przypomina sobie, że jego synowie mają teraz dodatkowy francuski. Żona natomiast powinna być jeszcze w pracy. Odkłada cicho torby z zakupami i zastanawia się, co zrobić. Mógłby po prostu uciec, ale to nie leży w jego

naturze. Ludzie mogą sobie myśleć, że jest wesołym kuchcikiem, który myśli tylko o kolejnym posiłku i kieliszku z winem, ale nie zaszedłby tak daleko, gdyby nie miał w sobie odwagi. A teraz dodatkowo jest wściekły. Ktoś wszedł do jego domu. Ktoś zbrukał jego wnętrze tą piosenką.

Dlatego zaczyna się przekradać w stronę kuchni. Tam ma zestaw japońskich superostrzych noży. Z ich pomocą zrobi z napastnika filet mignon.

Wtedy słyszy czyjeś kroki na korytarzu. Chowa się za ścianę. Czekają. I wyskakują na obcego, równocześnie odpychając go z całej siły. Obcy leci do tyłu, przewraca się i krzyczy ze strachu i zdumienia. Łoś zna ten głos. Zamiera ze wzniesionymi pięściami. A potem rzuca się na podłogę i pomaga wstać swojej żonie.

– Skarbie, rybko, nic ci nie jest?

Podnosi Zuzannę, a potem całuje ją po rękach w geście przeprosin.

– Co się stało? – pyta kobieta. – Dlaczego to zrobiłeś?

Nie jest zła. Raczej zszokowana.

– Skarbie mój. Wszedłem do domu. Usłyszałem tę piosenkę i pomyślałem, że ktoś się do nas włamał. Nikogo przecież miało nie być!

– Wróciłam wcześniej. I pomyślałam, że dawno nie słuchałam Bartosiewicza. Naprawdę myślałeś, że jestem włamywaczem?

– Tak, rybko. To chyba ze względu na tę aferę z Maggie.

W chwili, gdy to mówi, dociera do niego, że popełnił błąd. Jego żona po pierwszym szoku była raczej rozbawiona i cała ta niezręczna sytuacja w sposób naturalny zmieniała się w kolejną barwną anegdotkę. Ale teraz wszedł na poważne tematy.

– Maciek, czy coś nam grozi?

– Nie, skarbie, oczywiście, że nie.

– Jesteś pewien? – pyta przejęta Zuzanna. – Przecież... To dlatego tak zareagowałeś na tę piosenkę? Dlatego myślałeś, że ktoś się do nas włamał! Coś wiesz!? Dostałeś jakieś pogrożki?

– Wszystko jest w porządku. Nic nam nie grozi. Przysięgam.

– Marcin też przysięgał. I wiem, że nie lubisz, kiedy go wspominam, ale Maciek, on mi też przysięgał, że nic mu się nie stanie. Przysięgał! I co? Nie żyje. On nie żyje!

Zuzanna zaczyna płakać. Łoś przytula żonę. Chce jej powiedzieć wiele rzeczy. Że nie jest Marcinem. Że nie pozwoli nikomu skrzywdzić swojej rodziny. Że jest gotów zabić każdego, kto stanie im na drodze.

Tak jak wiele lat temu zabił Marcina.

## Rozdział 37

– Jak schodzisz pod wodę, to wkraczasz w inną przestrzeń. – Marcin Cross mówi powoli, nachylając się po kolei w stronę każdego ze słuchaczy, patrząc każdemu, chociaż przez sekundę, prosto w oczy. – Wiem, że to brzmi jak banał, ale tak po prostu jest. Nagle otacza cię cisza. I wiesz, ta cisza jest czymś najbardziej niezwykłym. Świat robi się coraz bardziej szalony. Wszystko przyspiesza. Bombardują cię informacjami tak szybko i tak mocno, że nawet nie jesteś w stanie ich przeanalizować. A potem schodzisz pod powierzchnię i to wszystko się kończy. Liczysz się tylko ty, twój oddech i ten wielki piękny błękit.

Siedzący przy stoliku słuchali jak urzeczeni. Szczególnie jego narzeczona – Zuzanna. Facet potrafił robić wrażenie.

– Mam nadzieję, że tam pod wodą to przynajmniej jakieś smaczne rybki są – rzuca żartem Maciek Łoś.

Wszyscy przy stoliku się zaśmiali. Nawet Cross się uśmiechnął. Tylko Zuzanna nie. Zresztą jakby to zrobiła, to coś by to zmieniło? Maćka wkurzał ten podział, który powstał. On był błaznem. Tak było w studenckim kabarecie, tak jest teraz. Robi za tego, z którego się śmieją. Jest wesołą kuleczką, która pichci jakieś dania na gazowym palniczku w plenerze i opowiada anegdotki. Marcin natomiast to był ktoś. Kucharz awanturnik. Kulinarna wersja Indiany Jonesa. Był szczupły, wysportowany, świetnie gotował, jeździł na motorze i nurkował. Kobiety go uwielbiały, mężczyźni chcieli być tacy jak on.

I dlatego to on dostanie ten program. Po raz pierwszy stacja miała zainwestować w taki show takie pieniądze. A format był rewelacyjny. Połączenie reality show z audycją kulinarną. Samotny prowadzący rzucony gdzieś na koniec świata, podejmujący się różnych zwariowanych i niebezpiecznych zadań, a w międzyczasie gotujący na ekranie. Rejs

z japońskimi rybakami, żeby złowić tuńczyka, a potem go przyrządzić na antenie, spływ górską rzeką gdzieś na Alasce w poszukiwaniu łososia, wyprawa na tajgę, żeby odkryć sekrety kuchni tamtejszych plemion, dzięki której przeżywały srogą syberyjską zimę. Takie scenariusze mieli przygotowane producenci. To była ogromna szansa. Na końcu wyścigu pozostali tylko Łoś i Marcin. Ale decyzja już podobno została podjęta. Ktoś musiał tylko coś podpisać, coś przyklepać, przystawić pieczętkę i będą mogli to ogłosić. Marcin Cross zostanie najślynniejszym polskim kucharzem. Dostanie najlepszy kulinarny program na świecie, dostanie dziewczynę, która Łosiowi śniła się po nocach. Będzie mieć wszystko.

– Nic tak nie czyści głowy jak ten czas pod wodą – ciągnie Cross. – To piękna medytacja. Czujesz się wtedy częścią czegoś wielkiego. Twoje myśli, twoje emocje, twoje serce. To wszystko rozplywa się w wielkim oceanie.

Marcin pojechał nurkować na greckie wyspy. W poszukiwaniu Wielkiego Błękitu. Maciek wyruszył za nim. Nie był wtedy jeszcze tak znany. Nie musiał ukrywać swojej twarzy, bać się, że ktoś go rozpozna. Obserwował Marcina dyskretnie. Poczekał, aż tamten pewnego wieczoru pójdzie imprezować do greckiej tawerny. Włamał się wtedy do wynajmowanego przez niego domku i podmienił butlę na taką z większym stężeniem dwutlenku węgla. Ten gaz jest bezwonny, nie ma zapachu. Człowiek często nawet nie orientuje się, że coś jest nie tak. Po prostu w pewnym momencie zasypia. Maciek uważał, że zapewnił Marcinowi piękną i dobrą śmierć. A sobie wygrany casting do programu kulinarnego, karierę i wreszcie, chociaż tego do końca nie planował, żonę. Pojawił się u Zuzanny po pogrzebie, oczywiście gdy już minęło trochę czasu.

– Jak się trzymasz? – zapytał, kiedy wymienili przywitania i po raz kolejny skłamał, jak bardzo jest mu przykro i jak wspaniałym człowiekiem był Marcin.

– Cały czas o nim myślę. Prosiłam go, żeby nie jechał. Prosiłam, żeby na siebie uważał. Ale on mówił, że nie mam się czym przejmować. Że



wszystko zawsze sprawdza. Mówił mi, że do mnie wróci.

Łoś został u niej dłużej, niż planował. Przygotował jej posiłek. A potem przyszedł następnego dnia, znowu jej coś ugotował. I tak jeszcze wiele razy. Długo trwało, nim dostrzegła w nim kogoś więcej niż przyjaciela. Ale w końcu mu się to udało. Nie miał oczywiście żadnych wątpliwości. Gdyby miała wybór, natychmiast wybrałaby Marcina. Ale cóż, Marcin nie żył. Maciek go zabił. Co oznaczało, że wygrał. Zresztą tak jak zawsze. Ludzie mogli go uważać za wesołka, który gotuje na ekranie wymyślne potrawy i co chwila wybucha rubasznym śmiechem. Nie wiedzieli, że jeśli czegoś chciał, to był w stanie zrobić wszystko, przekroczyć każdą granicę, by to dostać. A do tego uchodziło mu to na sucho.

Przynajmniej do tej pory.

## Rozdział 38

Kroki na schodach. Otwierane drzwi.

– Idź pod ścianę – mówi Pan Budzik.

Maggie podnosi się z siennika i posłusznie wykonuje polecenie. Coś jest nie tak, myśli. Ostatnio, kiedy Pan Budzik ją odwiedzał, nie kazał jej stawać pod ścianą, gdy zamykał drzwi. Miała wrażenie, że udało jej się zdobyć jego zaufanie. Czyżby właśnie je straciła? Ale dlaczego? No i jego głos. Co prawda ton jest spokojny, ale aż wibruje od emocji. Niepokój skręca jej wnętrzności, a ona sama najchętniej teraz po prostu opadłaby na kolana i zaszlochała.

„Musisz być silna. Musisz być silna”, powtarza sobie w myślach. Zdobywa się nawet na uśmiech. Nie za szeroki, ale beztroski. Jakby znajdowała się właśnie na wakacjach w Toskanii, a nie w wilgotnej piwnicy nie wiadomo gdzie.

Porywacz staje przy stole. Zaczyna grzebać w kieszeni roboczych spodni i wreszcie wyciąga z nich telefon komórkowy. Nie rozpoznaje marki ani modelu. Podejrzewa, że to tani smartfon sprzed kilku lat. Lekko poobijany, więc pewnie kupił go w jakimś podejrzanym sklepiku. Ale ma kamerę, ma aparat, da się za jego pomocą połączyć z internetem. Oczywiście Maggie nie liczy na to, że zostawi jej ten telefon. Będzie musiała z niego korzystać pod jego nadzorem, ale nawet to daje już jakieś możliwości. Przede wszystkim będzie mogła się komunikować ze światem. Powiedzieć swoim bliskim, mamie, tacie, że żyje, że jest cała, że się trzyma. A potem pomyśli, co dalej. W końcu uda się jej stąd wydostać. Telefon komórkowy jest pierwszym krokiem na tej drodze.

– No masz – mówi Pan Budzik. – Weź. Kupiłem taki, jak mówiłaś, że potrzebujesz.

Wyciąga rękę z telefonem w jej stronę. Robi to tak nienaturalnie, tak sztucznie, że piosenkarka nie ma już żadnych wątpliwości: ma wobec niej wrogie zamiary. Maggie zdaje sobie jednak sprawę, że musi zrobić to, czego Pan Budzik od niej oczekuje. Każde inne zachowanie tylko bardziej by go rozzłościło. I dlatego wbrew sobie, czując, że popełnia błąd, przesuwa się o krok w jego stronę. Sięga po komórkę.

Pan Budzik zamachuje się. Rzuca telefonem o ścianę. Komórka przelatuje obok ucha Maggie i rozbija się na drobne kawałki. Dla niego to jednak za mało. Zaczyna ją deptać swoimi ciężkimi buciorami.

– Wiem, co chciałaś zrobić! – krzyczy mężczyzna. – Wiem o tych wszystkich metadanych w zdjęciach! Filmikach! On o wszystkim mi powiedział! Oszustka! Kłamczucha!

Piosenkarka zasłania twarz ramionami. Jest pewna, że ją uderzy. Żaden cios jednak nie pada. Mimo to nie ma już siły udawać. Po prostu osuwa się na ziemię. Szlocha. Nie jest w stanie nad tym zapanować. Nad swoimi emocjami, nad swoim ciałem. Czuje się upokorzona. Nie chce, żeby on ją oglądał w takim stanie. Wolałaby być posiniaczona, zakrwawiona, pobita. Teraz jest złamana.

– No już, już... – mówi cicho, zawstydzony i przestraszony. – Pewnie nie wiedziałaś...

Ku jej zaskoczeniu gładzi ją po włosach w niezdarnym geście pocieszenia. Rozumie, że to jej szansa. I pomimo łez, pomimo strachu, zażenowania, które rozszarpują jej wnętrze, zmusza się, żeby mu odpowiedzieć.

– Nie wiedziałam... – potwierdza gorączkowo, łykając łzy. – Moja menadżerka się tym zajmuje... Ja nie wiedziałam... Przysięgam!

– Rozumiem. Już wszystko dobrze. Już się nie gniewam. Poczekaj, pójde po zmiotkę. Posprzątam tutaj.

Wychodzi. Ona przez chwilę jeszcze klęczy na podłodze. Nie płacze, chociaż łzy ciągle wypływają z jej oczu. I wtedy dostrzega na podłodze

fragment rozbitej obudowy telefonu. Ledwie kilkucentymetrowy ostro zakończony kawałek plastiku. Bez zastanowienia podnosi go i chowa pod bluzką.

Nie dostała telefonu, ale dostała swoją szansę. Teraz musi tylko czekać na odpowiednią okazję.

## Rozdział 39

Jarek Błaszkwicz jest zaskoczony, że ten bar, ukryty gdzieś między wieżowcami w centrum Warszawy, ciągle istnieje. Nic się tam nie zmieniło od lat dziewięćdziesiątych. Nawet klientela ta sama, tylko o dwadzieścia lat starsza. Byli gangsterzy, ludzie, którzy lata temu trzęśli tym miastem. Teraz większość z nich jest po wyrokach. Uspokoili się. Znaleźli normalną robotę. Nie gonią już nikogo z bejsbolami. Nie grożą przestrzeleniem kolana. Skarżą się nad kuflami z piwem na problemy ze zdrowiem, żoną, dziećmi. Od czasu do czasu wspominają stare dzieje. Po przeciwnej stronie sali siedzą byli policjanci. Ta sama historia. Starsi, spokojniejsi, zmęczeni. Te dwie grupy udają, że się nie widzą, nie znają. Co najwyżej kiedy będą się mijać w drodze do kibla, kiwną sobie głowami na przywitanie.

Były dziennikarz siedzi dokładnie pośrodku. Popija wodę gazowaną. Nikt go nie zaczepia. Nikt nie chce z nim rozmawiać. Jest z tego zadowolony. Przyszedł tutaj tylko dlatego, że odezwał się do niego dawny informator. Nalegał na spotkanie. A Jarek z poczucia obowiązku wobec kontaktu sprzed lat, który podsunął mu kilka niezłych materiałów, ale też ze zwykłej ciekawości zgodził się. Jego informator spóźnia się już jednak ponad pół godziny. Dziennikarz kończy swoją wodę. Płaci i wychodzi. Rusza w stronę najbliższej stacji metra. Po kilku minutach spaceru dobiega go stukot kroków tuż za nim.

- Już wychodzisz? – słyszy zachrypnięty męski głos.
- Spóźniłeś się – odpowiada dziennikarz.
- Byłem tutaj wcześniej od ciebie. Obserwowałem z zewnątrz, czy jesteś sam. Czy nie przyprowadziłeś za sobą ogona.
- Paranoik jak zawsze.
- Ja to nazywam ostrożnością. I parę razy uratowało mi to tyłek.

Błaszkwicz stara się ukryć irytację. Za stary jest na takie gierki. Zabawy dużych chłopców.

– Czego chcesz? – pyta dziennikarz.

– Tak od razu przechodzisz do rzeczy?

– Czekałem na ciebie pół godziny. Wypiłem sporo wody. Pęcherz już nie ten. Jak zaraz nie znajdę kibla, to będzie kłopot.

– Och, na pewno masz w domu parę suchych spodni. Dobra, dobra. Chodzi o Radio Zet.

– Już tam nie pracuję.

– Ale znasz ludzi. Chodzi o tę porwaną piosenkarkę. Ogłosili, że dadzą nagrodę osobie mającej informacje, które mogą doprowadzić do złapania sprawcy. No i tak się składa, że ja mam takie informacje.

– Niby skąd? Nie jesteś już policjantem.

– Robię teraz jako prywatny detektyw. Rozmaite zlecenia mi wpadają. Słyszysz się różne rzeczy na mieście.

– To zadzwoń po prostu do Zetki. Na pewno podali jakiś numer.

– Nie ma szans! Za duża biurokracja. Zanim się dopcham do kogoś, kto potraktuje mnie poważnie... Potrzebuję kogoś, żeby pośredniczył w kontaktach z nimi. Kogoś...

– ...do kogo masz zaufanie? – kończy za niego dziennikarz.

– Raczej kogoś, kogo podejrzewam trochę mniej.

– Zadzwoń na numer, który podali.

– Jarek... Zrobiłem cię kiedyś w konia?

– Nie – przyznaje niechętnie Błaszkwicz.

– Dałem trefny cynk? Okłamałem?

– Nie.

– Ja naprawdę mam informacje na temat tej dziewczyny. I teraz tylko od ciebie zależy, czy trafią do właściwej osoby.

Jarek w pierwszej chwili chce mu poradzić, żeby poszedł na policję. Ale rozumie, że to nic nie da. Jego kontakt, były policjant Dawid Chrast, już

podjął decyzję. Chce tej nagrody. I Błaszkwicz niespecjalnie mu się dziwi. Prywatni detektywi nie zarabiają aż tak dużo.

– Chodzi o życie tej dziewczyny, Jarek – mówi Chrast.

Stary dziennikarz kręci głową. Nie wierzy, że dał się wciągnąć w tę historię.

– Odnowię swoje kontakty – mówi.

– Dobry chłopak.

Chrast klepie go w ramię na pożegnanie. Odchodzi szybkim krokiem. Po drodze schyla się po leżącą na ziemi hulajnogę elektryczną. Płaci komórką, wskakuje na nią i odjeżdża. Jarek zostaje sam. I myśli o dwóch rzeczach. Po pierwsze o tym, że znalazł się w środku afery, w której nie chce uczestniczyć. Po drugie o tym, że faktycznie bardzo chce mu się sikać.

## Rozdział 40

Edyta dostrzega go, gdy wyłania się nagle zza krzaków porastających niewielki skwer na środku osiedla. Widzi, jak pisarz mija ławkę, na której siedziała i płakała po kłótni z Łukaszem, jak unosi rękę do oczu, bo właśnie na krótkim odcinku ruszył niemal prosto pod słońce.

Właśnie z tego powodu Artur jeszcze jej nie widzi. Ona zaś czuje, jak z nerwów zaczynają ją swędzieć palce. Już prawie się odwraca, by obejrzeć się na okna mieszkania, upewnić, czy jej chłopak nie patrzy, ale wtedy właśnie Artur ją dostrzega i unosi rękę wyżej, w geście powitania.

Edycie nie pozostaje nic innego jak odpowiedzieć tym samym.

– Cześć! – wita się, gdy pisarz jest już blisko. Tylko jedno słowo, ale tak trudno je wyważyć. Sprawić, by było jednocześnie mocne, lekkie i w miarę neutralne w brzmieniu. By nie nasuwało nikomu na myśl żadnych głupich pytań.

I chyba się udało. Artur podchodzi, podają sobie ręce, a potem pisarz zaplata swoje z tyłu jak podstarzały spacerowicz i rozgląda się ostentacyjnie.

– Powiem ci, że ładne to twoje osiedle, takie... inspirujące.

– Kiedy mówi to autor kryminałów, to chyba nie brzmi... – Milknie, po czym wzdycha. – Tobie właśnie o to chodziło, tak?

Artur uśmiecha się tylko, wzrusza ramionami i puszcza do niej oko. Edyta łapie się na myśli, co by było, gdyby teraz zobaczył ich Łukasz. Odrzuca ją od siebie z energicznym ruchem głowy i odpowiada z trochę wymuszonym uśmiechem:

– Wybacz, nie załapałam od razu i zmarnowałam się taki wspaniały żart. Gdzie zaparkowałeś?

– Tam, gdzie się umawialiśmy – odpowiada. – Ale przyjechałam chwilę wcześniej, więc poszedłem się przejść. Sama rozumiesz, licznik kroków. To



cholerstwo uzależnia.

Aha, myśli Edyta. Czyli od dłuższego czasu łazisz po całym cholernym osiedlu. Wspaniale!

– W pewnym momencie zobaczyłem twój samochód i pomyślałem, że poczekam tu... – Przygląda jej się uważnie. – Edyta, wszystko w porządku? Wydajesz się nerwowa. Chodzi o Łukasza?

– Co?... A, nie, wszystko w porządku. Zastanawiam się po prostu, czy wzięłam co trzeba.

Artur wybucha śmiechem.

– Jedziemy na jeden dzień do wioski pod Warszawą, nie na półroczną wyprawę... Ej, patrz, o wilku mowa.

Wciąż rozbawiony pokazuje na coś za jej plecami i przez krótki moment Edyta myśli – nie, ma nadzieję! – że to kolejny głupi żarcik, lecz dociera do niej, że słyszy za sobą kroki, że niemal czuje tę tłumioną wściekłość, ciszę przed burzą, pauzę przed finałem piosenki. Ogląda się i widzi Łukasza. Faktycznie sunie ku nim, czerwony z wściekłości i zasapania. Z zaciśniętymi pięściami.

– A więc to jest ten twój służbowy wyjazd, tak?! – krzyczy już z daleka, nic sobie nie robiąc z przypadkowej widowni w postaci starszego pana przy śmietnikach, kuriera i palącej pod sklepem sprzedawczyni z pobliskiej Żabki. A może przeciwnie? Może właśnie nakręca go to, że inni patrzą i są świadkami rzekomej zdrady Edyty?

Reporterka robi krok w jego stronę. Trochę liczy na to, że mniejszy dystans między nimi sprawi, że jej chłopak przestanie się drzeć.

– Proszę cię, Łukasz, nie teraz...

Mężczyzna, z którym dziennikarka dzieli życie, ma jednak najwyraźniej inne zdanie na ten temat.

– Jakoś sobie nie przypominam, żeby ten koleś był zatrudniony w naszym radiu, Edyta. Nie było nikogo z ekipy, kto mógłby z tobą pojechać? Musiał akurat on...

– Odpuść, naprawdę, proszę cię. Możemy o tym porozmawiać wieczorem, ale teraz...

– A dlaczego nie teraz, Edyta?! Mnie się wydaje, że to idealny moment właśnie!

Edyta widzi, że Artur posuwa się do przodu, i w pierwszym momencie ma wrażenie, że chce stanąć między nimi, zasłonić ją. On jednak kolejnym krokiem odbija w drugą stronę, jak szachowy konik. Odciąga uwagę, domyśla się Edyta. Bo teraz, gdy się odezwie, skupiając ją na sobie, Łukasz będzie musiał odwrócić głowę w jego kierunku.

– Stary, nie ma co się gorączkować – mówi przy tym. – Jedziemy...

– Nie z tobą gadam, tak? Więc stul pysk.

– Łukasz!

Ten jeszcze przez dwie sekundy mierzy pisarza wzrokiem, po czym zwraca się ku Edycie całym sobą, nie tylko głową. Gdy to robi, promień słońca błyska na drobinkach śliny w kąciku jego ust.

– Co Łukasz, co Łukasz, do cholery?! – wrzeszczy. – Od kilku dni zachowujesz się dziwnie. Tajemnicze telefony, półsłówka. Dziś od rana latasz po mieszkaniu jak pieprzony skowronek. Uśmieшки, zerkanie na telefon, godzina w łazience. Myślę sobie: trochę dziwne przy tym, co się dzieje, co się odwalilo na antenie, co się stało z Agnieszką, z Ornowskim. Ale w sumie czemu się dziwiłem? Od kiedy zajmujesz się tym, co czują inni, co?!

Edyta rozgląda się dyskretnie i widzi, że zaczynają wzbudzać coraz większe zainteresowanie. Ma wrażenie, że zaraz się spali ze wstydu.

– Łukasz, naprawdę, wróćmy do mieszkania... porozmawiajmy.

Mówiąc to, wie jednak, że on nie zamierza rozmawiać. Jedyne, czego teraz chce, to wyrzucić z siebie wszystko tu i teraz. Powstrzymywanie go czy uspokajanie nie ma sensu. Tylko go nakręca.

W jego gniewnym głosie pobrzmiwają nutki hysterii.

– Jeszcze przez chwilę myślałem, że może tu faktycznie chodzi o pracę – mówi. – Że może wymyśliłaś sobie, że to będzie dla ciebie jakaś szansa, że się wykażesz. A ty jak zawsze zrobiłaś ze mnie debila, Edyta. Bo tu od początku chodziło o niego, nie? Jucha Mazowiecka! Czy to w ogóle jest prawdziwa miejscowość? Powiedz, odkąd go zobaczyłaś, miałaś we łbie cały ten cholerny wyjazd, nie?

– Zapędzasz się, stary... – odzywa się Artur, przypominając o swojej obecności.

Edyta daje mu znak nerwowym ruchem głowy, żeby się nie mieszał.

Łukasz z kolei sprawia wrażenie, jakby nie słyszał, i kontynuuje niezrażony.

– Na rękę jest ci cała ta akcja, nie? Świetny pretekst, by nie siedzieć w domu, tylko wyjechać gdzieś i na jakimś cholernym parkingu za miastem wskoczyć mu na...

– Dobra, dość!

Tym razem Łukasz odwraca się nagle, jednocześnie wyrzucając rękę do przodu. Robi to zaskakująco szybko, odbierając pisarzowi czas na jakąkolwiek reakcję. Łapie go za koszulę, wysoko, niemal przy samej szyi. Szarpie i przyciąga do siebie. Ich twarze dzieli teraz raptem trzydzieści centymetrów.

– Co dość? Co dość?

– Łukasz, zostaw go! – Edyta doskakuje do nich, ale Łukasz skręca się tak, że jedyne, co może, to uderzyć go w plecy. Co, podobnie jak jej apele i prośby, nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

– Co, nie wiedziałaś, że jest zajęta? Za mało było dla pana literata wskazówek, żebyś się domyślił...

Artur próbuje się odepchnąć, unosi ręce i teraz to on skręca się na bok, ale Łukasz ani myśli puszczać. Dłoń zaciśnięta na koszuli pisarza idzie w dół, za to łokieć unosi się w górę, niemal na wysokość twarzy. Wtedy następuje cios.

– Chryste, Łukasz!

Wściekły mężczyzna najwyraźniej orientuje się, co zrobił i jaką granicę w ten sposób przekroczył, bo nagle puszcza, unosi ręce, jakby się poddawał, i cofa o krok. Artur również się cofa, pocierając dłonią uderzony policzek.

– W porządku, Edyta, nic mi nie jest – mówi, po czym obciąga pogniecioną koszulę, wpychając ją w spodnie. – Ale szczerze mam nadzieję, że na tym koniec, bo jeśli będę musiał wcześniej pojechać na obdukcję, to nie zdążymy na spotkanie. Idziesz?

Edyta patrzy na tych wszystkich sąsiadów przyglądających się im teraz z bezpiecznej odległości i na nieco zdezorientowanego Łukasza. Wreszcie przenosi wzrok na Artura.

– Tak, chodźmy...

Gdy się odwraca, czuje na sobie spojrzenie partnera i wie, że jest ono pełne wyrzutu, tkwi w nim nieme pytanie, czy ona widzi i jest świadoma, do czego doprowadziła.

## Rozdział 41

Redaktor Tobiasz Ornowski wystawia głowę z gabinetu i dostrzega Jarka Błaszkwicza siedzącego na krześle przy stole. Zna go, bo pracowali jakiś czas razem, a przede wszystkim dlatego, że trudno pracować w Zetce i go nie znać. Gość był tak związany z tym radiem, że gdzie nie poszedł, zawsze wracał. Aż zaczęli go nazywać Lassie. Fachowiec, dobry gość, ale teraz potrzebny im tutaj jak świni lakierki.

Mimo to Ornowski nie zamierza go spławiać. Wzdycha, odchrząkuje w pięść i otwiera drzwi szerzej. Tamten wstaje, podchodzi. Podają sobie dłonie.

– Wejdz. – Redaktor przepuszcza gościa w drzwiach. – Tylko od razu mówię: jeżeli przyszedłeś tu jedynie z ciekawości, żeby dopytać, co się dzieje, to wylecisz stąd na kopach.

Dziennikarz się uśmiecha.

– Wielu już było takich?

– Co udawali, że mają jakąś wiadomość, a tak naprawdę przyszli wyłudzić informacje?

– Tak.

– Pytasz, jakbyś nie znał rynku.

Tym razem stary dziennikarz wzdycha.

– Ale ktoś z naszych? – upewnia się. – Ze starej gwardii?

Ornowski przygląda mu się przez kilka sekund, zastanawiając się nad sensem tego pytania. Jakie to ma teraz znaczenie? W końcu uznaje, że może jednak faktycznie ma.

– Nie, Jarek – odpowiada. – Z naszych nikt. Przepraszam, ale naprawdę nie mam teraz czasu na pogaduchy. Siadaj i mów, co masz.

Błaszkwicz rozgląda się, po czym zajmuje miejsce na jednym z dwóch foteli. Zakłada nogę na nogę, dłonie spleta na kolanie. Ornowski przygląda

się temu, sam oparty o biurko, z rękami zaplecionymi na piersi.

– W sumie to nie wiem, czy mam... – zaczyna gość, a widząc minę redaktora, szybko podnosi rękę. – Czekaj, nie rób min, tylko daj mi skończyć. Pracowałem kiedyś z takim gościem, nazywa się Chrast, Dawid Chrast. Policjant swego czasu, nieźle poinformowany i naprawdę umiał grzebać w tematach. Był taki okres, że sporo rzeczy zrobiliśmy razem i on tak, wiesz, naprawdę po psiarsku... jak zwęszył trop, to nie odpuszczał. Zresztą miał przez to kłopoty parę razy, miastowi to mu nawet grozili do tego stopnia, że mu żona dzieciaki zabrała i...

– Jarek, do brzegu. – Ornowski kręci palcami młynka. – Co to za gość? Dalej jest w policji?

– Nie, w tej chwili prywatnie już działa. Ma własną agencję detektywistyczną. Ale spotkałem się z nim. Mówi, że ma jakieś bardzo ważne informacje na temat tej sprawy z porwaniem i chciałby spotkać się z kimś, komu mógłby je sprzedać.

Redaktor wzdycha. No tak, sprzedać. Kluczowe słowo, które w tych okolicznościach budzi w nim tylko niesmak.

– Znaczy nie wiesz, czy to naprawdę ważne, tak? – pyta. – Zresztą mniejsza z tym, daj mi do niego numer.

– No i widzisz, bo to jest drugi problem. – Starszy dziennikarz drapie się po karku. – To straszny paranoik i nie będzie niczego załatwiał na telefon.

Ornowski mruży oczy. Jakby upewniał się, czy to nie jest aby jakiś niezrozumiały żart. Majewski tak czasem robił. Wkręcał cię nagle, w trakcie zwyczajnej rozmowy, w jakiś absurd, zawsze ze śmiertelnie poważną miną. Tylko oczy mu się śmiały.

Ale nie, Błaszkwicz wcale nie wygląda, jakby żartował.

– Chryste, chłopie. Mamy tu sajgon, a ja mam teraz tak po prostu wyjść i gadać z jakimś gościem, który bawi się w „wiem, ale nie powiem”?! – Odbija się plecami od biurka i rusza w stronę drzwi. – Dobra, serio, nie mam czasu, niech idzie z tym na policję albo nie wiem...

– Ja też nie wiem, Tobiasz. – Błaszkwicz podnosi się z miejsca. – Wierz mi, że też, cholera, nie wiem! Nie mam także stuprocentowej pewności, czy to naprawdę jest coś warte. Ale przypomniano mi niedawno, że już raz, kiedyś, zareagowałem nie dość szybko, i naprawdę nie chcę tego powtórzyć.

Ornowski zatrzymuje się w pół drogi.

– Nie wiem, o czym mówisz. Kto ci przypomniał? I co takiego?

– Była u mnie taka młoda reporterka od was, Edyta... – Stary dziennikarz szuka w głowie nazwiska, ale redaktor zbywa to machnięciem ręki.

– Tak, chyba wiem która. Była u ciebie? Po co?

– W temacie sprawy sprzed lat – wyjaśnia Błaszkwicz. – Ona chyba znalazła jakiś wspólny trop z tym, co się teraz dzieje, i... O, wiesz co? Jak tak teraz myślę, to chyba najlepiej by było, jakbyś to ją wysłał na to spotkanie. Ta dziewczyna ma dryg do tej roboty i nie da sobie wcisnąć kitu. Gdyby porozmawiała z Chrastem, na pewno by go do siebie przekonała.

Ornowski nie chce kłąć, ale ma już dość tej rozmowy. Z minuty na minutę robi się coraz bardziej niedorzeczna.

– Nie ma mowy, żebym teraz, kiedy radio jest terroryzowane przez jakiegoś świra, narażał reporterkę, wysyłając ją na podejrzane spotkanie z Bóg wie kim – mówi. – To kompletny, nieodpowiedzialny kretynizm, Jarek, i sam fakt, że przychodzisz do mnie z czymś takim...

– Zanim się zapędzisz, Tobiasz... – Błaszkwicz unosi rękę pojednawczo – ...i zanim wyjdę. Oddałem temu radiu prawie połowę życia, a ludzi stąd, nawet tych, których już nie poznałem, traktuję jak rodzinę. Gdyby istniał choć cień ryzyka, że ta rozmowa może być dla niej niebezpieczna, w życiu bym tego nie zaproponował. A ta dziewczyna i tak węszy. Nie wiem, ile z tego na twoje zlecenie, ale węszy. I tak ryzykuje. I wierz mi, bo sam taki byłem, nie odpuści. Albo coś znajdzie, albo faktycznie ktoś zrobi jej krzywdę po drodze. Więc mówię tylko... sprawdźcie to. Niech ona to

sprawdzi, bo ty faktycznie masz teraz za dużo na głowie. A jeśli istnieje cię szansa, że te informacje są coś warte i mogą naprowadzić ją na właściwy trop, to...

Urywa i wzrusza ramionami. Bo faktycznie nie trzeba tu niczego więcej dodawać.

Ornowski podchodzi do drzwi i je otwiera. Błaszkwicz zbiera się, podają sobie dłonie – uścisk na pożegnanie jest krótszy i mocniejszy niż ten przy wejściu.

– Dobrze, przemyślę to – decyduje redaktor. – Rozumiem, że kontakt przez ciebie? Czy mamy sobie wygoogłować tego detektywa?

Stary dziennikarz uśmiecha się.

– Przeze mnie. Macie mój numer. Nie zmienił się od dwudziestu lat.



## Rozdział 42

Jadą samochodem Artura, ale to Edyta prowadzi. Poprosił ją o to, a jej bardzo to pasuje, choć trochę boi się jechać drogim autem. Ma jednak czym zająć ręce, oczy, ma na czym się skupić. Noga z gazu, sprzęgło, sekwencja od jedynki do trójki, hamulec, bo czerwone, potem zielone i wszystko od nowa. Jak każdy kierowca, latami uczyła się wykonywać te wszystkie ruchy instynktownie, ale teraz na siłę zapycha umysł każdą pierdołą. Byle nie myśleć. Byle nie patrzeć na Artura, który irytująco grzecznie siedzi i gapi się przed siebie. Gdyby chociaż miał teraz nos w komórce.... Ale nie, po prostu siedzi i pompuje tę ciszę, tę niezręczność, niczym powietrze do balona. Lada chwila, myśli Edyta, zrobi się tu dla nich za ciasno.

W końcu nie wytrzymuje.

– Słuchaj, jeszcze raz przepraszam za niego, serio. On zwykle taki nie jest, tylko...

– Tak, wiem, Edyta. – Artur kiwa głową wpatrzony w drogę przed siebie.

– Oni wszyscy zwykle tacy nie są. Chyba na tym polega największy problem z takimi, nie?

Dziennikarka spogląda na niego zaskoczona. Zdecydowanie nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– O kim ty mówisz? Jacy oni? – pyta. – Ej, to naprawdę nie jest tak, że Łukasz w wolnych chwilach lata po domu w żonobijce i mnie leje albo coś. Jeśli tak myślisz, to... daruj sobie po prostu.

– Nie pomyślałem tak.

– Świetnie.

Znowu ta cisza, chyba jeszcze bardziej niezręczna niż wcześniej. Teraz nie tylko pęcznieje, nadyma się, ale i wibruje nieprzyjemnie ostatnimi wypowiedzianymi słowami.

– Przemoc domowa nie zawsze musi być tak prostacka w formie – stwierdza w końcu Artur.

Edyta zerka na niego.

– Jezu, serio? Wiem, jak wygląda przemoc domowa, Artur! Robiłam o tym kiedyś cholernie duży materiał! Rozmawiałam z dziewczynami, które... – Robi przerwę na oddech i szybką decyzję, czy chce o tym opowiadać. Uznaje, że nie, więc tnie temat. – Po prostu wiem, okej? I nie, w naszym domu nie ma niczego takiego, żadnych takich akcji. Czasem się ostrzej kłócimy. Ostatnio jest faktycznie trochę więcej napięć, to wszystko.

– Jasne. Przepraszam.

Artur znowu skupia się na widoku przed sobą, a ona wraca do myślenia o wykonywanych automatycznie ruchach. Czuje zawód, bo teraz, kiedy faktycznie zmilczał i odpuścił, uzmysławia sobie, że chyba jednak chce o tym pogadać. I to z jakiegoś powodu właśnie z nim. Nie z Ewelina, bo cóż nowego mogłaby jej powiedzieć przyjaciółka? Pogadać z obcym gościem, który lada chwila zniknie z jej życia, bo przecież nie zostaną parą, jak w jakimś tandetnym filmidle, ani tym bardziej przyjaciółmi, bo to jeszcze rzadsze. Będzie... zaraz, jak to śpiewał Gotye w kawałku, który brzmiał jak podróbka Stinga? Po prostu kimś, kogo kiedyś znała.

Na najbliższych światłach odwraca się do niego.

– Boli? Twarz w sensie – pyta.

– Niespecjalnie – odpowiada pisarz. – W zasadzie to uderzył w taki sposób, że nie zdziwiłbym się, gdyby to on sobie zrobił większą krzywdę tym ciosem. Miałem wrażenie, że coś mu w ogóle strzeliło wtedy w nadgarstku.

Edyta parska śmiechem, a Artur zaraz do niej dołącza. Ten śmiech jest trochę jak zabawny dźwięk towarzyszący spuszczeniu powietrza z balona. W samochodzie zaraz robi się jakby luźniej.

– No poważnie – kontynuuje rozbawiony pisarz. – Nie zdziw się, jak wrócisz wieczorem, a on będzie siedział z ręką obłożoną lodem. Pamiętaj

wtedy, żeby to odpowiednio ojojać.

– Co takiego?

Artur zwraca się ku niej, przykłada rękę do twarzy na wzór kreskówkowego Krecika i układa usta w zmartwione, zdziwione „O”.

– Ojojjoj.

Edyta aż się zanosi śmiechem. Do tego stopnia, że na moment traci kontrolę nad kierownicą i samochód na kilka sekund łapie poboczne. Wtedy przypomina sobie, że to cholernie drogi wóz, poważnieje.

– To nie jest zły facet, serio – mówi po chwili. – I te jego akcje, sceny... Kiedyś taki nie był. Tak naprawdę dzisiaj chyba pierwszy raz kogoś uderzył.

– Tak, to było widać.

– Przestań już. – Edyta znowu zaczyna się śmiać, ale tym razem Artur do niej nie dołącza. Po prostu wzdycha i siada prosto. Znowu skupia wzrok na widoku przed sobą, choć tym razem nie oznacza to urwania tematu.

– Ludzie się tak naprawdę nie zmieniają, Edyta – stwierdza. – Głęboko w środku są, jacy są, i czasem tylko okoliczności pozwalają im to lepiej lub gorzej ukrywać. Weźmy takich seryjnych...

– Świetnie, teraz jeszcze porównaj mojego chłopaka do Teda Bundy’ego.

– Nie zamierzałem, ale w sumie... – Pisarz zerka na nią. – Czym Łukasz jeździ?

Edyta spogląda na niego, widzi, jak próbuje zachować powagę i jak bardzo mu to nie idzie. Parskają niemal równocześnie i Edyta uzmysławia sobie nagle, że był to żart skrojony idealnie pod nią i pod tę jej krótką znajomość z Arturem. Dla ludzi interesujących się tym tematem klasyczny garbus Bundy’ego stanowi wręcz symbol, więc załapała aluzję w lot. Łukasz, który nigdy się tym nie interesował, nawet gdyby teraz z nimi jechał, nie odnalazłby się w konwersacji. Czyżby to był podryw?

Artur jednak szybko rozwiewa jej wątpliwość.

– Poważnie, Edyta. Nie chcę się wtrącać, bo ledwo się znamy, ale przecież sama wiesz, że to nie jest coś, co da się przeczekać. Takie rzeczy...

Milknie, gdy Edyta potrząsa głową, a potem przez krótką chwilę jadą w ciszy. Światła. Czerwone, zielone. Sprzęgło, gaz, sekwencja biegów. Za oknem kobieta z wózkiem, przed nią chłopiec na hulajnodze. Odwraca się, gdy mama mówi coś do niego, pewnie żeby uważał. Kolejne światła...

– Zraniłam go, mocno – mówi Edyta, myśląc jednocześnie „chrzanić to”.

– Jakiś czas temu jeden głupi wyskok, a potem jeszcze głupsze przyznanie się do wszystkiego w szczerzej rozmowie. Miałeś kiedyś taką prawdziwą szczerą rozmowę? Taką, w której oczyszczasz sumienie?

Artur marszczy czoło, wyraźnie się zastanawia. W końcu potrząsa głową.

– Nie, chyba nie.

– Więc nigdy w to nie idź. – Edyta uśmiecha się smutno. – *It's a trap!*

On również się uśmiecha, a gdy stają w kolejce przed rondem, odwraca się do niej, ewidentnie czekając, aż Edyta na niego spojrzy. Wtedy mówi:

– Rozumiem, że czujesz się winna, że zawałałaś, ale skoro już cytujemy *Gwiezdne wojny*, to z przebaczeniem po czymś takim jest tak: robisz to albo nie. Nie ma próbowania.

– Wiem.

– Mógł ci nie wybaczyć, ale skoro to zrobił, to nie może się zachowywać jakby nie. I to, że dziś uderzył kogoś po raz pierwszy, nie działa na jego korzyść, jak to przedstawiasz. Właściwie to jest nawet...

– Wiem! – Edyta nie zamierzała podnieść głosu. Samo tak wyszło. Jakby za nic nie chciała usłyszeć tego, co pisarz ma do powiedzenia.

Artur natychmiast milknie, ale tym razem się nie odwraca. Wciąż patrzy.

Edyta znowu się uśmiecha, choć nie chce. Ale nie ma teraz innej maski na szybko.

– Zmieńmy temat, dobrze?

## Rozdział 43

Maciek stoi w kuchni. Swoim królestwie spokoju. W miejscu, w którym, tak jak i w życiu, ma wpływ na każdy detal. Gdzie niczego nie zostawił swojemu biegowi. Stoi, słucha, jak żona krząta się za jego plecami, i gapi się na trzymany w dłoni nóż, leżącą przed nim deskę i drobno posiekany czosnek.

– Kochanie, powiedz, bo teraz nie umiem sobie przypomnieć – rzuca lekko, niby mimochodem. – Ten program, który mieliśmy kiedyś robić razem dla Radia Zet, pamiętasz? Było coś takiego...

Mówi głośno, by Zuzanna usłyszała go z drugiego pokoju.

– Tak, pamiętam – dociera do niego w odpowiedzi. – Takie poranne gadanie o różnych kulturach w oparciu o ich rytuały śniadaniowe. Wymyśliłeś nawet roboczy tytuł *Wstajesz i jesz*. Czemu pytasz?

Maciej słyszy, jak żona się zbliża. Wie, że pewnie zaraz podejdzie i dotknie jego ramienia albo pochyli się i pocałuje go w szyję. Jest od niego wyższa, ale jemu nigdy to nie przeszkadzało, bo boją się tylko ci niscy faceci, którzy pogodzili się z prymatem wysokich. On jest pewien swego, pewien siebie i jej. Teraz jednak nie chce, by go dotykała. Nie, kiedy w głowie ma natłok myśli. Kiedy ta przeklęta przerobiona piosenka, cała ta sprawa z nią związana, wgryza mu się w mózg.

– A, tak mi się przypomniało w związku z tym... no wszystkim. Całą tą akcją promocyjną. Pamiętasz, dlaczego to wtedy nie wypaliło?

– Zwyczajnie, wybraliśmy telewizję, tam były lepsze perspektywy. Przynajmniej tak to wówczas widzieliśmy...

Maciej ogląda się przez ramię i widzi małżonkę, elegancką, zadbaną kobietę, rozluźnioną i swobodną w bezpiecznej przestrzeni domu. To świadczy o mężczyźnie, myśli Łoś. Że daje swojej kobiecie bezpieczeństwo.

– A możesz to teraz umówić jeszcze raz? – pyta.

– Czekał, co umówić, bo nie rozumiem?

Uśmiecha się do niej, stara się mówić spokojnie, ale czuje wzbierający gniew. Bo co jest niby trudnego w tym, co właśnie powiedział?

– No, rybka, a o czym mówimy? Rozmowę z nimi.

Zuzanna marszczy brwi.

– Ale że jak? Że teraz? Przecież wiesz, co się tam u nich dzieje w tej chwili...

Łoś odkłada nóż i podchodzi do radia, po drodze wycierając ręce w ścierkę.

– Wiesz, co wiem? To, że audycje lecą normalnie i wszyscy robią swoje. A my mieliśmy dobry pomysł, skarbie. I to byłoby coś nowego dla mnie, dla nas, taki program radiowy. No i wiesz, jak lubię nowe wyzwania, prawda? Tę niepewność, czy się uda, czy dam sobie radę. Czy nic nie stanie...

Urywa, pilnując, by nie powiedzieć za dużo. Nie lubi słowa „przeszkoda”, bo zawsze kiedy je wymawia, ma wrażenie, że się zdradza. Że używa kodu z przeszłości, który powinien na zawsze pozostać tajemnicą. Jak to, że jego przeszkody zwykle mają twarze.

– Więc umów mnie z nimi – kończy.

– Ale... – zaczyna Zuzanna.

On nie chce tego słuchać, więc nieco bardziej stanowczo wchodzi jej w słowo.

– To „ale” mówi agentka czy żona? – pyta.

Widząc jej minę, znowu się uśmiecha, tym razem pojednawczo, po czym podchodzi do niej i wspina się na palce, by musnąć jej usta.

– Umów mnie – szepcze. – Proszę.

## Rozdział 44

To tylko słowa, myśli Maggie. To tylko kilka nieszkodliwych kłamstewek rzuconych w stronę złego człowieka, które – jeśli się nabierze – mogą ci uratować życie.

Wie to, lecz wciąż się wzbrania. Czuje wewnętrzny opór przed udawaniem, że jej oprawca, Pan Budzik, przerażająca, a zarazem groteskowa figura rodem z horroru, jest, jak ona, człowiekiem. Mimo to w końcu próbuje:

– Chyba cię rozumiem, wiesz?

Widzi, jak Pan Budzik podnosi głowę, zaskoczony, że się do niego odezwała. Przechyliła ją na bok, mruży oczy. Nic jednak nie odpowiada.

– Też kiedyś chciałam, żeby ktoś mnie wysłuchał – kontynuuje Maggie. – Jak byłam w szkole, strasznie się cały czas wstydziłam i... nie wiem, chyba dlatego właśnie to wszystko.

– Wszystko? – Jej oprawca przekrzywia głowę w drugą stronę. Tik-tak, jak wahadło zegara. – Jakie wszystko?

Maggie wzrusza ramionami.

– No, pisanie tekstów, śpiewanie. Cała ta moja „sława”. – Przy ostatnim słowie robi w powietrzu pazurki na znak cudzysłowu. – Tak naprawdę chciałam, żeby ktoś mnie wreszcie wysłuchał.

– Teraz cię słuchają. – Oprawca wciąż przygląda się jej z uwagą. – Te całe miliony słuchaczy. Followersi.

– Słuchają piosenek, które śpiewam – odpowiada piosenkarka. – Ale często jest tak, że ktoś inny je pisze i one nie są o prawdziwych rzeczach. Niektóre tak, ale zazwyczaj ci ludzie nie mają niczego ważnego do powiedzenia.

Próbuje się uśmiechnąć i trochę do niego przysunąć. To chyba najtrudniejsze, trochę jak zbliżanie ręki do płomieni, ale wie, że bez tego

się nie uda. Nie zbuduje żadnej więzi.

– Ty masz, prawda? Dlatego pozmieniałeś słowa w tamtej piosence. Dlatego chcesz wejść na antenę? Bo to, co chcesz powiedzieć, jest naprawdę ważne.

Mężczyzna wolno, z rozmysłem kiwa głową.

– Tak – stwierdza w końcu. – To naprawdę ważne. Ale to już bez znaczenia. I tak nikt nie słucha. Ja to wiem i on... też to zrozumie.

Dotyka się w głowę. Jak wcześniej. W to samo miejsce, skroń. Tam mieszka ten drugi, myśli Maggie. Ten, który wie o metadanych, który jest tym mądrzejszym. Który tu rządzi. Z nim pewnie by się nie dogadała, ale z tym tu czuje, że wciąż ma szansę. Oby się teraz nie przełączyli.

– A gdybyśmy napisali o tym piosenkę? – proponuje. – Razem, ty i ja.

Pan Budzik potrząsa głową i ucieka wzrokiem gdzieś w bok.

– Nie umiem pisać piosenek.

– Ale ja umiem. No i poprawiłeś ten tekst Edyty Bartosiewicz. To nie byle co.

– To on poprawił.

Znowu ten gest w skroń.

Maggie nie ma pojęcia, jak rozmawiać z kimś takim, ale przecież nie pierwszy raz w życiu idzie na żywioł.

– Zawsze możemy poprosić go o pomoc, prawda?

Nie wygląda na przekonanego.

– Uważa, że chciałaś nas oszukać z tymi metadanymi – przypomina, ale nie zbija tym piosenkarki z tropu. Maggie jest przygotowana na odparcie zarzutu.

– Nie będziemy podejmować decyzji bez niego. Jeśli coś napiszemy albo nagramy, to mu to pokażesz i on zadecyduje, dobrze? Niczym nie ryzykujesz. A może akurat się uda?

Pan Budzik waha się i w końcu kiwa głową.

– Dobra, możemy spróbować.



## Rozdział 45

Nawigacja doprowadziła ich do centrum wioski. Tam, pośrodku niewielkiego placu, z którego drogowcy znakami zrobili rondo, stoi gipsowa figurka Jezusa w czerwonym płaszczu i żółtej koronie. Edyta zjeżdża na bok i parkuje na ubitej ziemi zaraz za miejscem, gdzie kończy się zatoczka przystanku autobusowego.

– Stąd będziemy musieli już poszukać konkretnego domu – mówi. – Może zapytamy tamtych pod sklepem... Co, z czego się śmiejesz?

Pisarz wykonuje kolisty ruch palcem.

– Trochę to wszystko jak w amerykańskim horrorze, co? Środek jakiejś wioski na końcu świata, GPS nie pomaga, musimy pytać lokalsów spod sklepu o drogę do domu, w którym wydarzyła się zbrodnia.

– Jesteśmy z pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy – odpowiada dziennikarka. – A w Polsce, jak pytasz o coś pijaczków spod sklepu, to raczej *Ranczo* niż horror. Chodź.

Łapie za klamkę i wysiada, a potem czeka, aż Artur obejdzie auto. Razem ruszają pod sklep, skąd spogląda już na nich dwóch zaprawionych miejscowych.

Mężczyźni są w podobnym wieku i poza twarzami różni ich niewiele. Na takich jak oni, wyschniętych, spurpurowiałych od alkoholu, żylastych i brzuchatych, jest w boskiej odlewni jedna forma.

– O, zabłądzili? – rzuca z drwiną pierwszy. – W takie rejony to tylko przypadkiem.

– Albo hotelu szukają – zauważa drugi.

– Nie szukamy hotelu, tylko domu – precyzuje wciąż rozbawiony Artur.

– Uuu, domu? – dziwi się pierwszy. – Znaczy, że się warszawka znowu pcha na wieś? Spalinki zbrzydły, gnojóweczka zapachniała?

– A weź ty się z łaski swojej odpie... znaczy ten, odwal od państwa. – Drugi drapie się nad piersią, to patrząc na kolegę z wyrzutem, to przepraszająco na Artura i Edytę. – Grzecznie podeszli, jak z człowiekiem rozmawiają, a ten już, o. Sorry za kolegę. Tak już ma, jak go suszy.

Pisarz mierzy w niego palcem, jakby pijaczek właśnie podsunął mu pomysł.

– Na to akurat da się zaradzić – mówi. – Po piwku dla panów? Chwileczkę.

Nie czeka na odpowiedź, nie wymieniają z Edytą spojrzeń. Po prostu mijają dziennikarkę i znika w sklepie, zostawiając ją samą.

Najwyraźniej tyle z partnerskiego układu, myśli Edyta.

– Kumaty chłop ten pani facet – mówi pierwszy z mężczyzn z wyraźnym uznaniem w głosie. – A i autko niegorsze. Tylko szkoda, że obrączki nie ma. A może to dobrze akurat, he?

Słyszając to, ten drugi teatralnie klepie się w czoło i przewraca oczami. Trudno się oprzeć wrażeniu, że zachowuje się jak ambitny statysta naturszczyk ze slapstickowej komedii.

– A co ty się taki detektyw zrobiłeś nagle? – pyta. – I pani spokoju nie dajesz. Sąsiadka może będzie zaraz, na ten przykład, jak chatę po Gierasimiukach kupią. Albo...

– Nie chcemy kupować domu – wyjaśnia Edyta. – Szukamy miejsca, gdzie mieszkali Budzikowscy.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia, a wesołe dotąd, zalane twarze pochmurnieją. Ten, który dotychczas robił za jej obrońcę, teraz drapie się pod nosem.

– A na co to komu? – mruczy. – Po co to się grzebać w starym gównie?

– Chodzi o to, że mój... – Edyta zaczyna, ale zaraz urywa. Bo co powie? Chłopak? Narzeczony? Kolega? – Chodzi o to, że piszemy książkę.

– O Budzikowskich? – dziwi się pierwszy lokals, po czym zaraz macha ręką. – To było dawno, sprawa zamknięta. Pani wie, że ci, co tu kiedyś

gangsterowali, to teraz wielkie pany w Warszawie są? Biznesmeni. Na takich to nie ma sposobu, zawsze się wywiną. Więc po co drażnić? Cieszyć się, że o nas zapomnieli, i tyle.

– Ale my nie chcemy nikogo drażnić. Chodzi tylko o...

– Romans – wchodzi jej w zdanie Artur, który właśnie wyszedł ze sklepu.

– Bo ta książka to taki romans ma być. O gangsterskiej miłości. Proszę, panowie, wziąłem po jednym, ale tam jeszcze po jednym w lodóweczce czeka dla każdego z panów, jak się tu ładnie dogadamy.

Artur podaje każdemu z mężczyzn po zimnym piwie, po czym cofa się o krok.

Stoją teraz blisko, on i Edyta, ale się nie dotykają. Dobrze, bo dziennikarka miała przez chwilę obawę, że w ramach tej szopki Artur wpadnie na pomysł, by ją objąć albo coś.

– Romans, mówisz pan? – zaciekawia się drugi pijaczek. – O widzisz! Bo ja to nie, ale moja stara lubi takie rzeczy. I o czym to będzie?

Pisarz sięga ręką do wargi, skubie ją, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał, po czym rozgląda, czy nikt inny ich nie słyszy.

– To historia gangstera – mówi po krótkiej chwili – który chce odkupić dawne winy, więc nabywa dom, w którym kiedyś dokonał zbrodni, i przyjeżdża...

– Może już nie opowiadaj wszystkiego, co? Spiesz nam się, pamiętasz? To jak, panowie, pomożecie nam?

Mężczyźni wymieniają spojrzenia, ale sprawa jest już najwyraźniej przyklepana.

– No jak romans i jak piwko, to inna sprawa zupełnie – stwierdza ten pierwszy.

Stawia puszkę na schodku obok, podnosi się z wyraźnym trudem i otrzepuje tyłek. Potem robi krok w ich stronę i wyciąga rękę, wskazując jedną z ulic.

– Pojedziecie państwo prosto, za takim drzewem i przystankiem w lewo, w żwirówkę i w stronę jeziora. To ostatni dom po lewej będzie. Poznacie, od razu widać, że opuszczony.

– Przez ludzi opuszczony – mruczy pod nosem ten drugi.

Edyta odwraca się do niego, marszcząc czoło.

– To znaczy? – pyta. – Jakież zwierzaki się tam zaległy?

Pijak prycha.

– Ta, zwierzaki! Powiem tyle, że nocy to ja bym w tej chałupie nie spędził, choćby mi za to i takie auto dawali i taką kobitę jak pani, za przeproszeniem.

– A i w dzień strach – dodaje zgodnie ten pierwszy. – Dzieciaki to nawet drogi nadkładają, jak nad jezioro jadą, żeby nie mijać tego domu. Bo tyle lat minęło, a dziwnie jakoś. I ksiądz też nie pomógł.

Edyta potrzebuje chwili, by uświadomić sobie, do czego ci dwaj teraz zmierzają. A nawet gdy to do niej dociera, woli się upewnić.

– Mówią panowie o duchach? – pyta.

Nie kryje przy tym rozbawienia, co najwyraźniej trochę dotyka jej wcześniejszego odbiorcę.

– Pani się śmieje, ale ja stary już jestem, to wiem – mówi mężczyzna. – Zło to jak plama oleju jest. Choćbyś nie wiem co robił, do końca nie wywabisz.

– Kolega chce tylko powiedzieć, żeby państwo na siebie uważali. I nie siedzieli tam za długo, bo nieszczęściem i tragedią łatwo się zarazić.

– Jasne, dzięki. – Tym razem to Artur ucina rozmowę, dając jednocześnie znak Edycie, że powinni się zbierać.

Ta potwierdza skinieniem.

– Do widzenia – mówi.

Ruszają w stronę auta i gdy są już przy nim, Artur szczerzy się głupkowato.

– Mówiłem, że horror?

– Wciąż lepsze niż romans – śmieje się Edyta. – Wsiadaj.

## Rozdział 46

Pan Budzik patrzy na nią teraz jakoś inaczej. I Maggie oczywiście wie, że to złudne, bo w końcu wciąż jest tutaj zakładniczką i wciąż może umrzeć w każdej chwili. Ale teraz, dla odmiany, Pan Budzik faktycznie jej słucha. A to nowość, którą trzeba wykorzystać.

– Już mówiłam, że najprościej by było, gdybyś opowiedział mi całą historię od początku do końca – powtarza. – Ale tak, wiem... rozumiem, dlaczego nie możesz.

Kłamie, bo nie ma pojęcia, ale to przecież nieistotne. No i nie chce psuć chwili.

– Pokaż, co napisałeś – prosi go. – Trzeba to pewnie poukładać w piosenkę, dołożyć melodię, złapać jakiś rytm...

Pan Budzik się waha. Wyciąga do niej rękę z zapisaną kartką, ale zaraz ją cofa.

– A co, jeśli ludzie nie zrozumieją?

– Czasem nie trzeba niczego rozumieć, w sensie: tak głową. – Odruchowo powtarza jego gest wskazywania na swoją skroń, w połowie tego ruchu wzdryga się i cofa rękę. – Chodzi o to, że piosenkę trzeba poczuć, wiesz? Jak przemówi do serca we właściwy sposób, to ludzie sami zaczną szukać zawartej w niej prawdy.

Porywacz przygląda się jej z uwagą, w końcu jednak potrząsa głową.

– Popularne piosenki są zwykle o miłości – stwierdza. – Nie o tym, że ktoś kogoś zabija.

– Och, nieprawda. Znasz piosenkę / *Don't Like Mondays?* – pyta, po czym nuci kawałek.

– Znam.

– To piosenka, która opowiada o strzelaninie w szkole – wyjaśnia Maggie. – O tym, że pewna szesnastoletnia dziewczyna zaczęła strzelać do

uczniów, bo nie lubi poniedziałków i chciała jakoś ożywić ten dzień.

Porywacz marszczy czoło.

– Była nienormalna?

Każdy, kto chce zabijać innych, jest nienormalny, myśli Maggie. A już na pewno każdy, kto słyszy pieprzone głosy w swojej głowie. Przypomina sobie słowa zwrotki tej piosenki o krzemowym chipie w głowie Brendy Ann Spencer, który najwyraźniej się przepalił i sprawił, że zaczęła strzelać. Czy ten chip mieścił się w skroni? Jak u Budzika?

– Chyba tak – stwierdza w końcu piosenkarka. – Chyba była nienormalna.

Wyciąga do niego rękę, ale powoli, żeby go nie spłoszyć.

– Mogę zobaczyć, co napisałeś? Pomogę.

Porywacz wciąż się waha, ale tym razem podaje jej pomiętą kartkę.

– Dziękuję – mówi dziewczyna, bierze kartkę i od razu zaczyna czytać na głos.

*To była noc, z tych jasnych, bo księżyc w pełni*

*Odbijał się w jeziorze, więc były jakby dwa.*

*Żaby były niespokojne. One krzyczały, ostrzegały,*

*Ale nikt przecież nie słucha żab.*

– Za dużo o żabach, prawda? – pyta Budzik. Minę ma jak dziecko, które właśnie pokazało mamie swoje pierwsze opowiadanie. – Kto chce słuchać piosenek o żabach?

– To zależy – odpowiada Maggie. – Jeżeli myślisz, że żaby są w tej piosence ważne, to niech będzie o nich dużo. Poza tym podoba mi się „nikt przecież nie słucha żab”.

Robi jej się autentycznie niedobrze, gdy widzi, jak Pan Budzik się uśmiecha. Jak cieszy się z jej pochwały. Maggie pochyla się nad kartką,

byle na niego teraz nie patrzeć. Nie może mu przecież zwymiotować na to, co napisał! Czyta dalej.

*Ten człowiek był zły, miał ze sobą nóż.*

*Nie wszedł od ogrodu, choć wiedział, gdzie jest klucz.*

– To się nie rymuje, wiem – mówi porywacz. – Nóż i klucz się nie rymują. Zresztą on wcale nie musiał mieć klucza, bo drzwi do ogrodu były takie zasuwane. Ale chodzi o to, że później mówiono, policja mówiła, że pewnie wszedł od ogrodu, od strony jeziora i w ten sposób wszystkich zaskoczył. Że to jakiś turysta był. A to nie był turysta. No to pomyślałem, że to prawie rym i ładnie brzmi takie nóż i klucz, dlatego... Ale skreślę to, daj!

Sięga po kartkę, piosenkarka jednak w głupim odruchu odwraca się i odsuwa rękę. Ten ruch go dziwi, choć nie gniewa. Pan Budzik odpuszcza i siada z powrotem.

– Na razie niczego nie skreślajmy – prosi Maggie. – Przeczytam wszystko i pomyślimy, dobrze?

– Dobrze.

Widać po nim, że nie jest przekonany, ale ustępuje i coś w głowie dziewczyny każe jej odebrać to jako kolejny mały sukces. Jeśli uda się jej teraz utrzymać jego uwagę, to może zdoła przeciągnąć temat tak długo, aż ją znajdą. Tak! To jest ten pomysł, którego szukała. Grać na czas. Jak baśniowa Szeherezada.

Omija wzrokiem pokreślony kawałek i czyta dalej.

*Gdy wbija nóż, uśmiecha się tak, jak wszyscy lubią, gdy się uśmiecha.*

*I chyba mówi: tik-tak, tik-tak, grzebiąc nożem w bebechach.*



Mimowolnie krzywi się na te bebechy, a potem omiata wzrokiem resztę tekstu.

– Dobra, wiesz co? Poczekaj, potrzebuję chwili. Dasz mi długopis?

Pan Budzik przygląda się jej, marszcząc czoło. W końcu podaje jej ołówek.

– Dzięki.

Maggie przykłada ołówek do kartki i nagle ma atak paniki, bo pierwszy wers, już wcześniej gotowy, nagle gdzieś wyparowuje. Nie wie, co chciała napisać, nie pamięta, a przecież nie może tak siedzieć i gapić się w niezapisany papier. Zaraz jednak słowa zaczynają sływać. Pojedynczo, potem grupkami, schodzą się, aż są wszystkie. Teraz trzeba je już tylko poukładać. A to akurat Maggie robić umie.

Przepisuje wszystko i sprawnie tworzy drugą kopię na innej kartce, którą podaje porywaczowi.

– Dobra, mam coś takiego – mówi. – Podkreśliłam ci twoje linie. Melodię szybko załapiesz, a jak nie, to poćwiczmy, dobrze?

– Nie umiem śpiewać – odpowiada Pan Budzik, ale dziewczyna zmusza się do pocieszającego uśmiechu.

– Każdy umie – stwierdza. – A to jest twoja historia, prawda? Nie moja. No to już, spróbujmy.

Nabiera tchu i zaczyna śpiewać:

*Kolejna taka straszna noc, wiem!*

*Krzyk i szumy w głowie.*

*Tonę w czarnej wodzie.*

*Nie śpię...*

Ścisza głos, dając jednocześnie znak Panu Budzikowi, by wszedł z wokalem. Ten zaskakująco gładko wpasowuje się w melodię i rytm:

*Runął zegar, wstrzymał czas, wiem!*

*Biegnę, choć nie mogę,*

*Chyba dlatego nie śpię.*

Maggie patrzy, jak Pan Budzik coraz mocniej się angażuje, i mimowolnie się wzdryga. Bo w tej historii jest coś strasznego, coś prawdziwie strasznego. A on ma naprawdę ciepły i miły głos. I autentycznie wierzy w to, co śpiewa. Kiedy ostatni raz słyszała coś takiego? Skup się, mówi sobie. Musisz się skupić. Tylko to uratuje ci życie.

## Rozdział 47

W recepcji panuje małe zamieszanie. Wokół kontuaru gromadzi się kilka osób, więc Maciek Łoś przystaje tuż za szklanymi drzwiami na fotokomórkę i się rozgląda.

Widzi, że na kanapie po prawej siedzi akurat Pan Kanapka, czekając na klientów. Siedzi spokojny i pewny swego, prawdopodobnie dawno już wyrobił sobie w tym miejscu stosowną renomę. Uśmiecha się do Maćka, a ten zdaje sobie sprawę, że już się poznali. Kucharz miał kiedyś cykl krótkich programów o lunchach dla korporacji i testował różne kanapki. Był nawet plan, by zrobić z tego reality show – dostawcy kanapek mieli walczyć o klientów w *Kanapkowych wojnach*, ale ostatecznie temat upadł.

Nie chcąc się wdawać w pogawędki z Panem Kanapką, Łoś rusza na fotel po lewej, ale wtedy dostrzega drugiego recepcjonistę, który akurat wraca z łazienki. Tamten też go zauważa, a że akurat jest przy bramkach, daje mu znać, by podszedł, odbija kartę i odchodzi. Zwykły, bezinteresowny gest uprzejmości – przecież nie chciał nawet wspólnego zdjęcia.

Maciek wsiada do windy, wbija piąte piętro i przytrzymuje drzwi niewysokiej, drobnej brunetce, która uśmiecha się do niego znad telefonu w geście podziękowania. Uprzejmość zaraz owocuje, gdy okazuje się, że aby wejść do części radiowej, trzeba kolejny raz odbić kartę. Dziewczyna tym sposobem właśnie wchodzi i przytrzymuje mu drzwi.

– Pięknie dziękuję – mówi to już do jej pleców i przez moment zastanawia się, czy dziewczyna wie, że jest umówiony, czy tak po prostu go wpuściła.

Skreca w lewo, gdzie, jak mgliście pamięta, znajduje się pomieszczenie socjalne. Wcześniej jednak wchodzi do łazienki, a tam do jednej z kabin. Siada na desce, myśląc, że to dziwne, bo wcześniej czuł się tak niewyraźnie tylko na moment przed usuwaniem przeszkód, a przecież teraz przyszedł

tu tylko się czegoś dowiedzieć. Czyżby jego ciało, któremu nauczył się ufać, wiedziało coś więcej niż umysł?

Patrzy na swoje dłonie, przęłyka metaliczną w posmaku ślinę i czeka, aż mu choć trochę minie.

Wtedy właśnie słyszy, że ktoś wchodzi do łazienki. I zaraz ten ktoś zatrzymuje się zawołany przez kogoś innego.

– Przepraszam, Łukasz, nie? – pyta ten drugi. – Wybacz, że tak wpadam za tobą do łazienki, ale... ty jesteś narzeczoną Edyty, dobrze kojarzę? Bo trochę się ostatnio nie orientuję w tych relacjach.

– Tak, jej narzeczoną. Coś się stało?

– Nie mogę się z nią połączyć.

Łoś słyszy dźwięk odkręcania wody, brzęk czegoś, co bierze za łyżeczkę uderzającą o myty kubek. Kto myje kubek z łyżeczką w środku?!

– Rozumiem, że masz do niej jakąś sprawę?

– Tak, służbową i dość pilną.

– A konkretniej?

Jest w głosie tego młodszego chłopaka jakaś zadziorność podszyta podejrzliwością. Łoś nie ma wątpliwości, że facet jest zazdrosny. Pytanie tylko, czy również o tego mężczyznę, który go właśnie zaczepił.

– Wolałbym porozmawiać o tym już bezpośrednio z Edytą – mówi ten drugi. Ewidentnie przełożony i zdecydowanie mówiący teraz tonem kogoś, kto korzysta z tej zależności.

Mimo to Łukasz nie brzmi, jakby robiło to na nim wrażenie.

– Z całym szacunkiem, Tobiasz, ale wolałbym wiedzieć, co się dzieje. Ostatnio dużo jest takich tajemniczych spraw. Nagle wszyscy faceci wokół czegoś od niej chcą.

Maciek poprawia się ostrożnie na desce, przysłuchując się uważnie. W myślach chwali samego siebie za odruch pozostania w kabinie, bo czuje, że te informacje mogą być dla niego ważne. Nie widzi tych mężczyzn, ale próbuje ich sobie wyobrazić. I to rosnące napięcie między nimi. To, jak ten

starszy jest wyraźnie poirytowany. Słysząc, że maskuje to z coraz większym trudem.

– Może na przykład tego, żeby wykonywała swoją pracę? Jest reporterką, pamiętasz? Jak się ciągle coś dzieje, to reporterzy mają więcej roboty, do cholery. Tak to właśnie działa!

Mężczyzna urywa, a ukryty w kabinie Łoś wie, że to przerwa potrzebna na odzyskanie kontroli. Sam robił tak wiele razy, świadom, że ulubieniec publiczności nie może sobie pozwolić na wybuch. Nie w świecie, gdzie każdy nosi przy sobie małą kamerę.

– Słuchaj, Łukasz – podejmuje po chwili ten cały Tobiasz. – Ostrzegano mnie, że możesz zadawać dużo pytań, ale ja naprawdę nie mam na coś takiego czasu teraz. Nie interesują mnie wasze kłótnie, sceny zazdrości czy wszystko to, z czego w normalnych, spokojnych czasach ludzie śmieszkuje sobie przy ekspresie. Teraz liczy się czas, więc krótka piłka. Wiesz, gdzie jest Edyta czy nie?

Odpowiada mu cisza taktowana na trzy.

– Pojechała z tym całym pisarzem do Juchy Mazowieckiej – mówi w końcu Łukasz. – To taka wioska, z niecałą godzinę od Warszawy...

– Wiesz po co?

– No mówiła, że służbowo. Że to wszystko ma związek z jakąś starą sprawą czy coś. Ale rozumiem, że to nieprawda?

Starszy mężczyzna najwyraźniej nie ma zamiaru tego komentować.

– Jak się odezwie, powiedz jej, żeby się ze mną skontaktowała – mówi.

– Nie.

– Co nie? – W głosie Tobiasza pobrzmiwa wyraźne zaskoczenie. Możliwe, że już nawet pchnął drzwi i stoi teraz w progu, zawieszony w tym zdumieniu.

– Nie będę jej przekazywał żadnych informacji, dopóki nie dowiem się, o co chodzi – wyjaśnia Łukasz. – I nie pozwolę jej dodatkowo narażać.

Starszy mężczyzna wzdycha, a Maciek nagle mimowolnie wstrzymuje oddech. Jeżeli się nie myli, to ta rozmowa może być cenniejsza, niż się wydawało. Bo wszechświat właśnie dawał mu to, po co tu przyszedł.

– Mamy źródło, które ma podobno bardzo istotne informacje na temat tej sprawy. Możliwe, że przełomowe. Ale facet jest podejrzliwy i...

– I chce rozmawiać akurat z moją Edytą? Jak się nazywa?

– Na litość boską, człowieku! – wybucha starszy z mężczyzn. – Po prostu jak się do ciebie odezwie, przekaż jej, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? Tylko tyle. I zakręć wreszcie tę wodę!

Faktycznie szum wody cichnie, a zaraz potem słychać otwierane i zamykane drzwi. Łoś jest pewien, że to Tobiasz wyszedł, więc dziwi go, że właśnie jego głos słyszy po kilku sekundach potrzebnych na nawiązanie połączenia przez telefon:

– Jarek, tu Ornowski. Powiedz temu całemu Chrastowi, żeby podał jakiś konkretny termin i miejsce. Nie, na razie nie mogę namierzyć Edyty, a trochę nie mam czasu i... Naprawdę? Mógłbyś? To świetnie. W takim razie dzwoń do niej, a jak się skontaktujesz, dajcie znać, to potwierdzę jej, że to polecenie służbowe. Dobra, to w kontakcie, cześć.

Ornowski rozłącza się, po czym korzysta z pisuaru, wzdychając przy tym ciężko. Spuszcza wodę, myje ręce i wychodzi.

Maciek Łoś czeka. Ostrożnie wyciąga komórkę i wyszukuje w Google dwa słowa: „Chrast” i „agencja”. Wskakuje mu agencja detektywistyczna z siedzibą na Woli. Spogląda na zegarek, orientując się, że do umówionego spotkania został mu jeszcze kwadrans. Ale on już dostał to, czego potrzebował. Siedzenie tu dłużej nie ma sensu.

Wychodzi z kabiny, staje przed umywalką, patrzy na siebie w lustrze i się uśmiecha.

Cokolwiek się dzieje, wszystko będzie dobrze, myśli. Wszechświat mu sprzyja.

## Rozdział 48

Posesja Budzikowskich jest zaniedbana, ale zdaniem Edyty nawet w swoich najlepszych czasach nie mogła być specjalnie ładna. Ot, typowy przykład nowobogackiego budownictwa z lat dziewięćdziesiątych – z kolumnadą, wieżyczkami i łukami w oknach, a wszystko to unurzane w zachwaszczonym dziś polbruku.

Brama, która blokuje im wjazd na teren, jest uchylona, dziennikarka jednak i tak nie zamierza wjeżdżać na teren. Wykręca i na krótką drogę dojazdową dostaje się tyłem.

– Chcesz tam tak po prostu wejść? – pyta.

Artur wzrusza ramionami.

– A jaki masz inny plan? Zrobić zdjęcie z zewnątrz i wrzucić na Instagrama? Po coś tu chyba jesteśmy.

To, co mówi Artur, ma sens, ale nie rozwiewa do końca jej wątpliwości.

– Chodzi mi o to, że to jednak miejsce zbrodni.

– Sprzed prawie trzech dekad – zauważa pisarz. – Raczej nie zadcpeczesz żadnych śladów.

Edyta kiwa głową, bo w sumie Artur ma rację. Tyle lat lokalsi traktują to miejsce jako nawiedzone i omijają szerokim łukiem, a co miało zostać rozkradzione, pewnie już dawno leży gdzieś po okolicznych domach. Nie ma też spadkobierców, którzy upominaliby się o posiadłość, więc kto miałby wnieść oskarżenie?

Wysiadają. Mijają bramę i idą w stronę drzwi. Te również są otwarte i to, w przeciwieństwie do uchylonej bramy, budzi w Edycie autentyczny niepokój. Potęgują go ślady pęknięć wokół zawiasów – znak, że już nie raz, przy mocniejszym wietrze, drzwi uderzały to o framugę, to o ścianę.

Edyta myśli, że zwłaszcza nocą to musiał być upiorny dźwięk. Tępe uderzenia i odgłos pękającego drewna wokół zawiasów. Niczym pękające

kości...

– Edyta, chodź! – woła Artur. – Zobacz, ten ślad tutaj. Tylko uważaj na szkło.

Dziennikarka orientuje się nagle, że w chwili, gdy ona pogrążyła się w zadumie, jej towarzysz wyprzedził ją i już kuca przy wejściu, pokazując na coś pod stopami.

– Tu jest spartolona podłoga, zobacz. I w tej szczelinie to chyba krew, która wsiąkała w beton.

– Tak, to tu dokonano pierwszego zabójstwa, przy samych drzwiach. – Edyta również przykuca i przygląda się śladowi. – Gospodarz otworzył, najprawdopodobniej komuś znajomemu, i niemal od razu został zaatakowany nożem. Możliwe, że nie zdążył nawet krzyknąć.

– Na pewno poleciał na bok, a może został odepchnięty, bo osunął się po ścianie, patrz. Ten zaciek na tapecie tutaj wygląda jak ślad palców, jakby oparł się brudną dłonią i obrócił, o tak, przywarł plecami i zjechał na dół. – Unosi głowę, widzi, że Edyta już się podniosła i teraz sunie dłonią wzdłuż zawiasów drzwi. – Co tam sprawdzasz?

– No, jak to musiało wyglądać. Bo patrz, drzwi otwierają się na zewnątrz, tak? – Robi krok do tyłu i zaczyna inscenizować zajście, jednocześnie komentując. – Czyli podchodzi pan Budzikowski. Jest późny wieczór, ale on wie, że przyszedł ktoś znajomy. Skąd, skoro drzwi nie mają wizjera? Czyli jest opcja, że byli wcześniej umówieni.

– Ale mają, to znaczy miały to matowe szkło – zauważa pisarz. – Twarzy nie zobaczysz, więc może rozpoznał po sylwetce? Albo zapytał przez drzwi i ktoś się przedstawił, albo... No, jest dużo opcji w sumie.

– Dobra, tak, masz rację. – Edyta kiwa głową. – Ale idźmy dalej. Otwiera drzwi, tamten być może łapie za klamkę. Nie szarpie, bo w ten sposób pociągnąłby Budzikowskiego na zewnątrz i wtedy wszystko stałoby się przed wejściem. A on go wepchnął.



– Może faktycznie tam się to stało i ranny Budzikowski cofnął się do mieszkania?

– Nie. Gdyby cios padł na zewnątrz, byłaby krew w fudze między płytkami, przynajmniej trochę, a to znaczy... – Edyta urywa nagle i wskazuje na coś w głębi pomieszczenia. – Czy ta przewrócona szafka to zegar?

Oboje podchodzą, a szkło, skorupy talerzy i rozbitych kubków czy wreszcie zaschnięte grudy błota trzeszczą im pod stopami. Artur znowu się pochyla, by przyjrzeć się znalezisku. Wodzi palcami po krawędziach zegara. Delikatnie, w skupieniu, prawie czule.

– Tak, wygląda, jakby ktoś go szarpnął i przewrócił na bok. Tylko po co? No i chyba trzeba było dużej siły, żeby to obalić.

– Niekoniecznie. Zobacz, zegar nie był stabilny, miał podkładkę pod nóżki. Ktoś, kto o tym wiedział... Czekał, słyszałeś to?

Pisarz kiwa głową, najwyraźniej też słysząc dźwięk przypominający ciche kroki. Przykłada palec do ust i bardzo ostrożnie podnosi się z kucek. Daje znak Edycie, by została w miejscu, po czym powoli, skulony i najciszej, jak potrafi, rusza w stronę drzwi wejściowych.

Edyta obserwuje go uważnie, wodzi też wzrokiem po oknach. Przez moment ma wrażenie, że w jednym z nich dostrzega twarz, oczy, ale równie dobrze może to być złudzenie wywołane nerwami.

Artur tymczasem jest już przy drzwiach, już przekracza próg, wygląda na zewnątrz i właśnie wtedy rozlega się przerażający huk.

Ktoś do nas strzela, myśli spanikowana Edyta. Unosi ręce, by zatkać uszy, i jednocześnie widzi, jak z chwilą wystrzału Artur upada, lecąc do tyłu prosto na rozbite szkło.

Dokładnie tam, gdzie padł niegdyś gospodarz domu, przebiega przez myśl Edycie. Kolejny trup w tym samym miejscu.

## Rozdział 49

Tym razem detektyw nie każe na siebie czekać szczególnie długo i spóźnia się raptem dwie minuty. Błaszkwicz widzi go, jak wchodzi do kawiarnianego ogródka, rozgląda się i rusza w jego stronę, wyraźnie niezadowolony, że nie będzie mógł usiąść plecami do ściany, z widokiem na pozostałe stoliki.

Trzeba było przyjść wcześniej, myśli dziennikarz ze złośliwą satysfakcją. On siedzi w idealnym miejscu. I choć nie zależy mu na nim specjalnie, nie ma zamiaru się zamieniać. Patrzy tylko spokojnie i czeka, aż detektyw wreszcie się tu dopcha. W końcu tamten siada i bierze do ręki kartę.

– I co? – pyta Chrast, przemykając wzrokiem po zalaminowanym menu, po czym odkłada je na bok. – Powiedzieli coś?

– Tak – odpowiada Błaszkwicz. – Ale mogłem ci to powtórzyć przez telefon.

Chrast przewraca oczami, po czym pochyla się nad stolikiem, bierze kawę Błaszkwicza i zagląda do kubka. Bierze łyk.

– Zamówisz drugą – stwierdza. – Ja nie mam czasu.

Błaszkwicz otwiera usta, by to skomentować, ale po namyśle wzdycha tylko i kręci głową. Zwleka z odpowiedzią, aż Chrast odstawi filiżankę.

– Umówiłem cię z jedną dziewczyną z radia – mówi w końcu. – Ma na imię Edyta, jest reporterką...

– Ej, mówiłem ci, że potrzebuję kogoś wyżej, kogoś decyzyjnego.

Błaszkwicz kiwa głową.

– I dostaniesz, pod warunkiem że to, co masz do powiedzenia, jest w ogóle coś warte. Czekał, nie wstawaj! Źle to zabrzmiało, przepraszam. Ja cię oczywiście znam, wiem, że informacje od ciebie zawsze były sprawdzone. Ale moja rekomendacja jest w tej chwili niewiele warta. Jestem na emeryturze, tego faceta, co teraz tym wszystkim zarządza, znam

o tyle o ile. Porządny gość, porządny dziennikarz, ale... no to jest wyjątkowa sytuacja, sam przyznasz. Wiesz, ilu oni mają teraz ludzi, którzy mówią, że coś wiedzą?

To kluczowy moment, ale Błaszkwicz ma świadomość, że detektyw się nie wycofa. Grają tu w otwarte karty, uczciwie. Tego akurat nikt inny mu nie zaoferuje. Spokojnie więc obserwuje jego minę i emocje malujące się na twarzy rozmówcy. Wszystkie etapy godzenia się z sytuacją w ciągu raptem kilkudziesięciu sekund.

– No dobra – mówi wreszcie Chrast. – Założmy, że skontaktuję się z tą dziennikarką. I co? Jak to widzą dalej?

– Dasz jej coś... poczekaj! Nie denerwuj się tak. Dasz jej coś. Coś z tego, co masz. Ona to szybko sprawdzi i wróci do ciebie. Co ci mogę obiecać: będzie miała na tyle krótką ścieżkę dostępu, że gdy potwierdzi, że faktycznie coś masz, decyzje zapadną szybko.

Detektyw podnosi filiżankę, obraca ją w palcach i bierze kolejny łyk.

– W takiej sprawie każde korporacyjne „szybko” jest za wolno.

– To prawda – zgadza się Błaszkwicz. – Ale trzeba uważać na każdy fałszywy trop. I jeszcze raz: ja ci wierzę, znasz mnie. Za dawnych czasów szedłbym za tym, pewnie nawet sam bym ci zapłacił, a potem żarł tynk przez pół roku. Ale dzisiaj...

– Tylko nie chrzań mi o innych czasach. – Chrast krzywi się z pogardą. – Każde są inne, ale ludzie zawsze tacy sami. I tylko myślą, jak cię wystrychnąć na dudka.

Kolejne słowa, którym trudno zaprzeczyć, myśli Błaszkwicz, lecz zachowuje tę refleksję dla siebie.

– Czyli co mam powiedzieć tym z Zetki? – pyta. – Spotkasz się z tą Edytą czy nie?

Detektyw waha się i patrzy w kawę, jakby wróżył z fusów. W końcu dopija jednym haustem, odstawia filiżankę i wstaje.

– Nie, chyba nie – mówi. – Wybacz, że zawracałem ci głowę.

Zasuwa krzesło i już ma się odwrócić, by podjąć powrotną przepychankę, gdy nagle Błaszkwicz podrywa się z miejsca i łapie go za ramię.

– I co? I już? Tak to po prostu zostawisz i odejdziesz? Przecież mówiłeś, że to kluczowe informacje. Takie, które mogą coś zmienić.

Detektyw jest wyraźnie zdziwiony tą reakcją. Do tego stopnia, że nawet nie próbuje oswobodzić ręki. Spogląda tylko na zaciśnięte na swoim ramieniu palce, a potem przenosi wzrok na twarz Błaszkwicza.

– Informacje niczego nie zmieniają, Jarek – mówi spokojnie. – Miałem takiego kumpla we Wrocławiu w latach pięćdziesiątych. Dobry chłop, zaangażowany gliniarz z kryminalnego. Jak się zaczęły jazdy z miastowymi, to najpierw woził się z nimi jako szef wydziału, a potem ci z wojewódzkiej wzięli go do specjalnej grupy do przeciwdziałania zorganizowanej. Nadawał się, bo miał naprawdę dużo dobrych źródeł, kontaktów. Sporo trafnych, sprawdzonych informacji. I w tym nowym oddziale znalazł się wysoko, były nad nim tylko dwie osoby.

– Z czego jedna sprzedawała? – domyśla się dziennikarz.

Chrast kiwa głową.

– Pięć minut po złożonym raporcie wszystko, co przynosił, było już gównem warte. Nie liczy się, co wiesz, Jarek. Tylko komu to mówisz. A fakt, że góra z radia, zamiast się ze mną spotkać, wysyła do mnie jakąś lalę na dorobku...

– To ja ją zaproponowałem jako kontakt – wchodzi mu w słowo Błaszkwicz.

Kolejna rzecz, której detektyw najwyraźniej się nie spodziewał.

– Ty? Dlaczego?

– Bo ona tego nie zlekceważy, Dawid. Widziałem to w jej oczach, słyszałem w głosie. Ona jest taka jak ja kiedyś i potraktuje to poważnie. Co zrobiłaby góra, nie wiem. Może faktycznie by w to weszli, może zagraliby zachowawczo. Za to ta dziewczyna będzie drażnić, jątrzyć i grzebać

w sprawie. Więc jeśli przyszedłeś z tym do mnie, bo potrzebowałeś sojusznika i dojścia do radia, to ja dam ci kogoś, kto faktycznie coś zrobi. Porozmawiaj z nią. Rozumiem, że nie chcesz nikomu ufać. Tyle że jeśli to ma pójść dalej, to komuś musisz. I ja stawiałbym na nią.

Stary dziennikarz cofa rękę, siada i zaczyna wzrokiem szukać kelnerki. Nie ma już ochoty na kawę, ale chce dać rozmówcy czas. To nie pora na pojedynki spojrzeń.

Detektyw przygląda się mu z góry, trawiając to, co właśnie usłyszał.

– Dobra, pogadam z nią – stwierdza w końcu. – A ty będziesz pośrednikiem. Zastanowię się i podam ci czas i miejsce spotkania, okej?

– Jasne – odpowiada Błaszkwicz, po czym brodą wskazuje na pustą filiżankę. – I mam nadzieję, że kawa smakowała.

## Rozdział 50

Kobieta, która krząta się teraz po kuchni Budzikowskich, jakby była u siebie, wygląda trochę jak śmierć. Chuda, pomarszczona, zgarbiona, a w dodatku cała w bieli. I może to brzmi głupio, ale gdy weszła do domu, zaraz po tym, jak padł strzał i Artur runął na ziemię, Edyta pomyślała w pierwszej chwili, że to śmierć we własnej osobie. Dopiero potem zobaczyła strzelbę i domyśliła się, co się stało.

A jeszcze później Artur wstał i szczęśliwie się okazało, że nie jest nawet draśnięty. Po prostu wystraszył go huk i potknął się na progu.

W tej chwili kobieta wraca z kuchni z dwoma krzesłami i dostawia do tego, które znalazła i podstawiała już wcześniej. Siada.

– Jeszcze raz państwa przepraszam – mówi. Głos ma ciepły, głęboki. Nijak niepasujący do tego, jak wygląda. – Myślałam, że przyjechaliście się tu gzić.

– Gzić? – Edyta nie rozumie. Spogląda na Artura, a ten zaczyna się śmiać.

– Chodzi o seks – wyjaśnia. – Niektórzy tak na to mówią. Pani myśli, że...

– Już rozumiem, dziękuję. – Edyta posyła mu zirytowane spojrzenie.

Nie ma pojęcia, co go tak bawi. Siedzieli w domu, w którym wydarzyła się zbrodnia, w towarzystwie starszej kobiety z bronią, której prawie na pewno nie powinna mieć. Strzelała. Nawet jeśli faktycznie w powietrze, to nadal nie w ten sposób się załatwia takie sprawy. To nie jest cholerny Dziki Zachód!

Kobieta chyba czuje się trochę winna, bo zaczyna się tłumaczyć. Choć zdaniem dziennikarki nie brzmi to jak słowa wypowiedziane ze skruchą.

– Zobaczyłam z okna samochód, widzę, wysiada para, no to myślę sobie: następni! Wzięłam więc starą strzelbę po mężu, co to nią zwykle wrony

odganiem, i poszłam. Strzelam w powietrze, bo nikomu nie chcę krzywdy zrobić, a więcej nie trzeba. Jak te ptaszyska przebrzydłe, mówię państwu, zaraz się płoszą i uciekają.

– Często się to zdarza? – pyta Artur. – Takie sekswizyty?

Kobieta posyła mu nieco zaskoczone spojrzenie, po czym nagle klepie się w czoło.

– A, bo państwo pewnie nie dotarliście jeszcze na górę – mówi, jakby to coś wyjaśniało. Dopiero gdy dostrzega w ich oczach, że jednak nie, tłumaczy. – W sypialni to, za przeproszeniem, kondom na kondomie. Aż się dziwię, że oni się tak nie brzydzą. Tam kiedyś, jednej zimy taki bezdomny nocował, to wtedy przynajmniej pilnował i spokój był. A i mnie pomagał. Wiecie państwo, ja wdowa, syn kochany, ale zapracowany, to sama jestem.

– Pani tu od dawna mieszka? – chce wiedzieć Edyta. – W tej okolicy?

Starsza pani rozkłada ręce, jakby chciała zapytać, co to znaczy „od dawna”.

– Z pięćdziesiąt lat – mówi. – A wcześniej to też niedaleko, z kilometr może będzie. Ja to się, wiecie państwo, mało stąd ruszam. Mi tu dobrze, spokojna okolica, przynajmniej odkąd...

Urywa, wzdycha i kręci głową.

– Straszna tragedia, straszna.

– No i my właśnie w tej sprawie, proszę pani – mówi Artur. – Piszemy książkę. Może nam pani coś powiedzieć o Budzikowskich? Jakie mieliście relacje sąsiedzkie?

Musiał trafić z tymi relacjami, myśli Edyta, bo wyraz twarzy kobiety natychmiast się zmienił. Tylko na moment, lecz wystarczająco długi, by dało się zauważyć.

– A co? – pyta staruszka podejrzliwym tonem. – Z ludźmi na wsi gadaliście, tak? Naopowiadali wam?

Edyta widzi, że pisarz już otwiera usta, i z jakiegoś powodu jest pewna, że będzie chciał zaprzeczyć. Korzysta więc z tego, że siedzą blisko, sięga

ręką do jego dłoni i ściska, dając znak, by się nie odzywał.

– Troszkę rozmawialiśmy, tak – mówi. – Ale wolimy z obu stron usłyszeć. Żeby sprawiedliwie było.

– A co wam mówili? – Staruszka mruży oczy.

– A co mogli? – nie ustępuje Edyta.

Przez kilka sekund kobiety mierzą się spojrzeniami, lecz dziennikarka nie zamierza dać za wygraną. I w końcu wygrywa.

– No, nie żyliśmy w komitywie. – Starsza pani wzrusza ramionami. – Powiem pani, że ci Budzikowscy to byli tacy... nowobogackie cwaniaki, tak się mówi, nie? Przyjechali, ziemię wykupili i jeszcze chwalili się, ile to za nią dali. Że dwa razy więcej. No a potem, jak ten warsztat otworzyli, to się zaczęło zjeżdżać to całe tałatajstwo.

– Ten warsztat to gdzie? – pyta Artur.

Kobieta kręci głową.

– Na drugim końcu wioski – mówi. – Ale tam teraz hurtownia materiałów ogrodowych. Od syndyka odkupili, bo w ruinę szło. Za to kiedyś to cała gangsterka tu przyjeżdżała przez nich. Jak przy jeziorze wodę chlali, to się baliśmy nad wodę chodzić. Ja to szczęśliwa byłam, że syna mam, a nie córkę.

– A dlaczego? – drażny pisarz. – Wydarzyło się tu coś złego? Znaczy przed Budzikowskimi? Jakaś napaść?

– E, poważna to nie. – Kobieta macha ręką. – Burdy jakieś. Ale nic, co by zapowiadało... No wiecie państwo.

– A była tu pani wtedy? – pyta Edyta, chcąc włączyć się ponownie do rozmowy. Trochę ją mimo wszystko drażni, że Artur tak gładko przejął inicjatywę. – Może nam pani powiedzieć, jak to się stało?

– W samą noc to nie, bo w szpitalu leżałam ze zwichniętym biodrem – mówi kobieta, po czym zanosi się dziwnym, nieco zawstydzonym chichotem. – Głupia sprawa, jak stara baba pod prysznicem się



przewróciłam. Ale wróciłam, zaraz jak się dowiedziałam. A że Budzikowscy rodziny nie mieli, to mnie wzięli na oględziny zwłok.

Edyta zauważa, że od początku tej rozmowy kobieta ewidentnie nie wie, co zrobić z rękami. Teraz na przykład gładzi się po brzuchu, jakby była w ciąży.

– Straszne to było – kontynuuje sąsiadka. – A pogrzeb jeszcze gorszy. Grabarzy z innej gminy ściągali, bo u nas to nie miał kto trzech trumien obsłużyć naraz. A potem, jak wyszła sprawa z tą trzecią, to ci grabarze w karty grali o to, kto ją będzie niósł.

– Zaraz, przepraszam, jaka sprawa z trzecią trumną? – dopytuje Edyta, nagle mając wrażenie, że coś w tej rozmowie przeoczyła.

– No z tą młodego Budzikowskiego – wyjaśnia sąsiadka. – Tą, co pusta była.

Powiedziała to tak lekko i po prostu, jakby komentowała pogodę albo jakby to była powszechna wiedza. Oczywiście oczywistość, jak zwykle się mówić. Ale dla Edyty to zupełna nowość. Nigdzie w materiałach, które czytała na temat tej sprawy, nie słyszała o pustej trumnie. Zerka na pisarza, który też wygląda na mocno zaskoczonego.

– Chce pani powiedzieć... – zaczyna Artur, a starsza kobieta wchodzi mu w słowo.

– Że ciała chłopaka nie znaleziono. Wiadomo tyle, że był ranny, ale uciekł i rzucił się do wody. A potem się utopił.

– Skąd wiadomo? – pyta Edyta, po czym zaraz precyzuje: – W sensie z taką pewnością, że się utopił?

Kobieta na moment przestaje gładzić brzuch. Znowu mruży oczy, jakby szukała w tym pytaniu jakiegoś podstępu. W końcu raz jeszcze macha ręką.

– Ja się tam nie znam, ale policja...

Urywa, gdy słyszy dzwonek telefonu.

Edyta, przekonana wcześniej, że wyciszyła aparat, i niemal pewna, że to Łukasz, z miejsca robi się czerwona. Sięga do kieszeni i z ulgą stwierdza, że

dzwoni Błaszkwicz. Pokazuje wyświetlacz Arturowi.

– Przepraszam najmocniej, muszę odebrać.

Pisarz kiwa głową.

– Kontynuujcie beze mnie – prosi dziennikarka, po czym wstaje i od razu przykłada smartfon do ucha. – Halo? Już, chwileczkę, tylko wyjdę...

Artur czeka, aż zniknie za drzwiami, po czym podejmuje urwany wątek:

– Mówiła pani, skąd wiadomo, że dzieciak się utopił. Proszę kontynuować.

– No, ja wiem tyle, ile mówiła policja – odpowiada sąsiadka, wyraźnie już podenerwowana przebiegiem rozmowy i koniecznością mierzenia się z ich pytaniami. – Że w żadnym miejscu nie znaleziono śladu, jakoby wychodził na brzeg. A sprawdzono wszystko. No i nigdy się nie pojawił. Rodziny innej nie miał, na policję nie poszedł. A jezioro głębokie, wiry, wodne chaszczce... Zginął na pewno.

– Tak. – Artur skubie wargę. – Jednak trumna była pusta.

## Rozdział 51

Edyta stoi przy aucie i gapi się na ekran telefonu. Na nim raz po raz wyskakują kolejne powiadomienia to o nieudanych próbach połączenia, to o SMS-ach czy wiadomościach na Messengerze. Wszystkie od Łukasza. W krótkich rozbłyskach pojawia się tu i tam słowo „przepraszam”, ale Edyta nie zamierza tego czytać.

Zwłaszcza że widzi, jak Artur właśnie wychodzi z domu, żegna się z sąsiadką Budzików i rusza polbrukowym chodnikiem w stronę bramy i auta.

Edyta szybko kasuje powiadomienia z ekranu.

– Muszę tam wracać? – pyta.

– Nie, spokojnie, pożegnałem się w twoim imieniu. Czego chciał Błaszczkiewicz?

– Mówi, że mam się za półtorej godziny spotkać z jakimś jego kolegą, byłym policjantem, a teraz detektywem. – Edyta otwiera tylne drzwi i zdejmuje kurtkę, którą rzuca na siedzenie. – Podobno ma kluczowe informacje dla sprawy Budzikowskich, natomiast to paranoik i musi ze mną porozmawiać osobiście.

Artur, który właśnie obszedł auto i otworzył drzwi od strony pasażera, spogląda na nią ponad dachem.

– Dlaczego akurat z tobą?

– Bo z jakiegoś powodu oddelegował mnie do tego Ornowski. Właśnie skończyłam z nim gadać i potwierdził.

Wsiada, czeka, aż pisarz zrobi to samo, po czym uruchamia silnik.

– Nazywa się jakoś? – pyta pisarz. – Ten detektyw?

– Oczywiście – odpowiada Edyta. – I jak przystało na rasowego paranoika, pierwsze, co zrobił, to się przedstawił.

– Ale przecież nie rozmawiałś z nim, tylko z Błaszkwiczem. – Artur nie daje się zbyć. – A on chyba wie, jak się typ nazywa.

– No to sam go zapytaj. Numer masz.

Nie chce być niemiła, po prostu głupio jej się przyznać, że z tego wszystkiego zapomniała spytać o coś tak podstawowego. Teraz wkłada telefon w uchwyt i wpisuje szybko parametry parkingu, który wedle informacji Błaszkwicza ma być miejscem spotkania.

Artur patrzy na nią, jakby upewniał się, czy powiedziała to poważnie, po czym nagle łapie za klamkę i wysiada. Przez szybę Edyta widzi, że faktycznie próbuje się dodzwonić, ale chyba bez powodzenia, bo zaraz wraca z miną jeszcze bardziej pochmurną niż wcześniej.

– Okej, jedźmy – mówi.

– Już? Wszystko wiesz? – pyta dziennikarka.

Pisarz nie odpowiada, a gdy dziewczyna rusza i wyjeżdża na główną drogę, znika w swoim telefonie. Edyta myśli, że wygląda, jakby się na nią obraził za ten żart z paranoikiem. A może za to, że kazała mu zadzwonić? Może uraziła jego męską dumę, nie odpowiadając szczegółowo na jego wszystkie pytania, i teraz siedzi taki naburmuszony, wgapiony w telefon, jakby miał milczeć przez całą podróż.

A może jest też tak, myśli sobie, że facet nic nie zrobił, ale widzi, że jesteś zła, i daje ci czas, żebyś ochłonęła? Bo to faktycznie nie Artur jest tym chodzącym problemem, który ją rozprasza i zajmuje jej myśli, tylko Łukasz. I to ostatnio coraz częściej.

Dlatego gdy wjeżdża na główną drogę, to ona pierwsza przełamuje ciszę:

– No dobra. Wracając do rozmowy z sąsiadką, co nam to w zasadzie daje?

Artur nie odpowiada od razu, wciąż wpatrzony w ekran, jakby dopiero co go odkrył, i teraz Edyta jest już pewna, że jednak strzelił focha. Już ma mu coś na ten temat powiedzieć, gdy on podnosi głowę, odwraca się ku niej i uśmiecha potulnie.

– Przepraszam, sprawdzałem coś – mówi. – O co pytałaś?

Najwyraźniej już mu przeszło, myśli Edyta. Tyle dobrego.

– No, o tę rozmowę z sąsiadką i rewelacje na temat tego, że trumna była pusta – wyjaśnia mu dziewczyna. – Co o tym myślisz, co nam to daje? W tej sprawie. Bo wiesz, to świetna ciekawostka do podcastu, zwłaszcza gdybyśmy mieli na to coś więcej niż potwierdzenie od zwariowanej sąsiadki strzelającej do gzia... gzio... cholera, jak to będzie poprawnie?

Artur bezradnie rozkłada ręce.

– Na mnie nie patrz. Ja mam od takich rzeczy redakcję i korektę.

Edyta z uśmiechem przyjmuje to wyznanie, ale nie zamierza teraz zgłębiać tajników pracy pisarza.

– Dobra, mniejsza – mówi. – Założmy, że to prawda i faktycznie trumna jest pusta, dzieciak uciekł, a ślady prowadzą do wody. To nam daje tylko tyle, że nie zginął u siebie w domu, a się utopił. Z punktu widzenia sprawy to tak naprawdę żaden przełom.

– Może i tak. Ale wiele zależy od tego, co się stało potem. Znaczy z tym dzieciakiem.

– Nie myślisz chyba... – Edyta zerka na niego. – Ty serio sądzisz, że on to przeżył?

Pisarz drapie się po szyi.

– Na razie nic nie sądzę, tylko rozważam opcje – mówi. – Mam taką metodę pracy przy książkach: rzucam pomysł, który brzmi fajnie, i potem sprawdzam dla niego wszystkie za i przeciw.

– Uważasz, że ten pomysł brzmi „fajnie”? – dopytuje Edyta, kładąc wyraźny akcent na ostatnie słowo. – To na pewno jest określenie, którego chciałeś użyć?

– Och, nie czepiaj się słówek, wiesz, o co mi chodzi. I skoro mamy już rzucony pomysł, to sprawdźmy, jak działa.

Kładzie telefon na kolanach i podnosi rękę, szykując się do odliczania na palcach.

– To po kolei – zaczyna. – Dzieciak nie ginie, tylko opuszcza dom. Jest ranny, a zarazem przestraszony. Ucieka przed kimś, kto właśnie z zimną krwią zamordował jego rodziców.

– Skacze do zimnej wody... – przypomina Edyta, ale on kręci głową.

– Niekoniecznie zimnej. Pamiętaj, że to się stało w czerwcu, koło północy. Jezioro mogło być jeszcze nagrzane, a on pchany adrenaliną. No i nie wiemy, czy był poważnie ranny, prawda?

Edyta zastanawia się przez chwilę.

– No dobra – mówi w końcu – załóżmy, że woda nie jest zimna, a on nie jest ciężko ranny. I że naprawdę dobrze pływa. Jak słyszałeś, nigdzie nie było śladów, że wyszedł, a sprawdzono całe jezioro.

– Co to właściwie znaczy, że nie było śladów? – Artur zerka na nią z cwaniackim półuśmiechem. Jakby dokładnie na to pytanie czekał. – Jakich śladów szukali? Ile osób? I jak uważnie?

– No nie wiem, odcisków stóp, śladów krwi, połamanych pałek wodnych... nie no, cholera, masz rację, to zupełnie bez sensu.

Wbija kierunkowskaz i wyprzedza traktor zbłąkany po dawno minionym lecie, a Artur czeka cierpliwie, aż wykona ten manewr. Dopiero wtedy podejmuje wątek:

– No dobra, czyli załóżmy, że dzieciak jednak wyszedł na brzeg. Ma kilkanaście lat, właśnie zabili mu rodziców. Co robi?

– Szuka kogoś, komu może zaufać.

– A jeśli nie ma?

– Idzie na policję. – Edyta stuka palcami w kierownicę, myśląc intensywnie. – No chyba że z jakiegoś powodu nie może... Jezu, myślisz, że policja ma z tym coś wspólnego?! Że pracowali dla tych gangsterów i załatwili dzieciaka, kiedy do nich przyszedł?

– Nie wiem, ale... czekaj, skręć tutaj!

Artur wskazuje na najbliższy zakręt, umieszczoną tuż przed nim tabliczkę z napisem „cmentarz”, informacją o odległości – pięćset metrów –

i stosownym oznaczeniem, że nekropolia jest zabytkowa.

Edyta potrząsa głową.

– Artur, nie mogę, spotkanie mam z tym gościem. Z tym detektywem – mówi. Tamten jednak nie ustępuje.

– Spóźnisz się chwilę, to nic się nie stanie, a nie będziemy dwa razy jeździć, żeby to potem jeszcze raz sprawdzać. Skręcaj.

## Rozdział 52

Z płytkiej drzemki wyrywa ją odgłos kroków na schodach.

Maggie zrywa się z pośłania, siada i podciąga kolana pod brodę. Nasłuchuje z niepokojem, potęgowanym jeszcze przez wrażenie, że tym razem jej oprawca idzie jakoś inaczej, szybciej i głośniej. Czy jest na nią zły? A może coś się w nim zmieniło i tak właśnie chodził ten drugi?

Ten, który ogarnia, czym są metadane, i którego krzemowy chip już dawno się przepalił?

Czy to możliwe, że uznał wspólne pisanie piosenki za sztuczkę?

Słyszy szcęk klucza w zamku i odruchowo zamyka oczy. Zaraz jednak rozchyła powieki i wtedy widzi, że on idzie ku niej, w rękę trzymając dwie pętle z plastikowych trytytek.

– Znowu muszę wyjść i załatwić ważną sprawę – mówi do niej.

Maggie wzdryga się, bo nagle jest pewna, że to zdanie oznacza zrobienie komuś krzywdy. Poprzednim razem na pewno tak było i teraz też. Mimo to zmusza się do uśmiechu. Musi mu pokazać, że go akceptuje. Że jest po jego stronie.

– Rozumiem – mówi. – A myślałeś coś więcej o piosence? Może coś zmienić albo dodać? Może chcesz opowiedzieć dalej, co się stało, albo...

W odpowiedzi Pan Budzik podnosi wyżej plastikowe pętle.

– Muszę cię znowu związać – stwierdza.

– Nie musisz.

Widzi, że jej oprawca się zdziwił. Jakby faktycznie dowiedział się właśnie, że istnieje inna opcja, której wcześniej po prostu nie wziął pod uwagę. Maggie postanawia wykorzystać to jego zdziwienie i iść za ciosem.

– Nie musisz mnie wiązać, bo nigdzie nie ucieknę – wyjaśnia. – I to nie dlatego, że i tak jestem tu zamknięta, a tylko ty masz klucz. Chodzi o to, że... sama nie wiem, jak to powiedzieć. Boję się ciebie, oczywiście, bo mnie



zabrałeś i w ogóle, ale wiele zrozumiałam i chcę poznać twoją historię. Chcę napisać tę piosenkę wspólnie i chcę, żeby świat o tym usłyszał. Dlatego teraz chciałabym popracować pod twoją nieobecność. A ze skrepowanymi rękami nie dam rady.

Patrzy na nią, na te pętle i znowu na nią. Waha się. Więc dziewczyna dociska go jeszcze mocniej, siląc się na ten przekłety fałszywy uśmiech, od którego ściska ją w żołądku.

– Widzisz? Nie mówię, żebyś mnie wypuścił, żebyś mnie zabrał na górę. Proszę tylko, byś mnie nie wiązał, bo wtedy nie mogę pracować... a poza tym tak strasznie, strasznie się wtedy boję.

Pan Budzik opuszcza rękę, ale zaraz podnosi ją znowu.

– Już raz próbowałam uciec – przypomina. – I wtedy też mówiłaś, że się boisz.

– Tak. Ale to było na początku. Nie rozumiałam wtedy i myślałam, że, no... że chcesz mnie zabić. Że jesteś jakimś moim szurniętym fanem... który chce mieć mnie tylko dla siebie, choćby martwą. A potem zrozumiałam, że tobie wcale nie o to chodzi. Że nie muszę się bać, bo ty nie chcesz mnie skrzywdzić i wypuścisz mnie, gdy już świat usłyszy twoją historię. Dobrze mówię, prawda? Tak będzie?

Patrzy na niego, a gdy ten nie odpowiada przez długie sekundy, piosenkarka czuje, jak po jej ciele rozlewa się paralizujący strach.

W końcu jednak Pan Budzik wolno kiwa głową.

– Tak, wypuszczę cię. I nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Maggie powstrzymuje się przed westchnieniem ulgi. Zamiast tego znowu się uśmiecha.

– Widzisz? Teraz to rozumiem. Moje ciało jeszcze się trochę ciebie boi, dlatego drzę, ale w głowie już wiem, że nie jesteś złym człowiekiem. Robisz czasem złe rzeczy, tak myślę, przepraszam, ale naprawdę chodzi ci tylko o sprawiedliwość, zgadza się?

Pan Budzik znowu kiwa głową, raz po raz, wolno, mechanicznie, trochę jak w transie. A potem nagle spina się, wyciąga rękę z pętlami przed siebie i kroczy w jej stronę.

– Co ty robisz? – pyta nagle rozgniewany. – Próbujesz mnie teraz oszukać?! Przymilasz się?!

Idzie ku niej, wyraźnie zły, a ona próbuje się cofnąć, wbić w ścianę, wtulić w nią i zniknąć. W głowie ma chaos, myśli wrzeszczą rozedrgane, uciekają w popłochu. Przebija się tylko jedna: powiedz coś. Powiedz! Powiedz, żeby się zatrzymał!

– Nie próbuję się przymilać. Chcę tylko, żebyś pozwolił mi popracować nad naszą piosenką, do cholery!

Zaskoczyła samą siebie tym krzykiem. Ale najwidoczniej zadziałał, bo Pan Budzik zatrzymuje się i mruga gwałtownie, jakby się właśnie obudził. Potem wzrusza ramionami.

– Dobrze, nie zwiążę cię – postanawia. – Zamknę, ale nie zwiążę. A jeśli mnie oszukasz...

– ...to mnie zabijesz. Wiem.

Naprawdę to wie.

Ale wie też, że jeśli tego nie zrobi, czeka ją ten sam los. Widziała jego twarz. A ten drugi w jego głowie na pewno nie odpuści.

## Rozdział 53

Cmentarz, na który wchodzi Edyta i Artur, otoczony jest wysokim kamiennym murem, a wewnątrz bardziej przypomina zalesiony park niż typową nekropolię. Wszędzie drzewa, pod nimi masywne i majestatyczne rodzinne grobowce między rzędami pojedynczych grobów z krzyżami, płytami bądź pomnikami, zależnie od fantazji i zasobności portfela rodziny zmarłego.

Edyta lubi cmentarze, zawsze lubiła, ale ten z jakiegoś irracjonalnego powodu ją drażni. A może to dlatego, że się spieszą?

– Nie rozumiem, po co tu właściwie jesteśmy – mówi, przecierając palce mokrą chusteczką. Przed chwilą nieopatrznie oparła dłoń o jeden z nagrobków, który okazał się cały brudny od sadzy. – Co nam da zobaczenie ich grobów?

Artur idzie obok niej i rozgląda się na boki, raz po raz sprawdzając coś w telefonie.

– Mam pewien pomysł, zobaczysz – mówi. – Tylko czekaj... cholera, ten cmentarz jest większy, niż się spodziewałem.

– Może dlatego, że jesteśmy w części historycznej – zauważa Edyta. – Ta współczesna zaczyna się kawałek dalej. Mijaliśmy strzałkę. Tyle że, Artur, ja naprawdę powinnam już jechać na to spotkanie. Ten facet może mieć dla nas coś istotnego.

– Według GPS-a spokojnie zdążysz, a nie będziemy tu musieli wracać, mówiłem ci.

Edyta wzdycha. Do tej pory współpraca z pisarzem wydawała jej się dobra i pożyteczna dla obojga, ale teraz uzmysławia sobie, że to nie cmentarz ją drażni. To ten jego głupi upór.

– I tak nie musimy póki co – mówi. – W sensie wracać. Jesteśmy teraz tu, a nie w drodze do Warszawy, bo zachciało ci się bawić w detektywa

i robisz jakieś głupie tajemnice z nie wiadomo czego. Czego ty tam szukasz teraz w tym telefonie?

– No, zdjęcia tych grobowców mam. I zastanawiam się...

Dziennikarka podchodzi do niego i wyjmuje mu telefon z ręki. Trudno, najwyżej się obrazi, ale nie ma zamiaru marnować tu więcej czasu, niż to konieczne.

– Pokaż – mówi i przez krótką chwilę przygląda się zdjęciu. Kluczowy element dostrzega już na pierwszy rzut oka. – Rany, Artur, co ty, nie widzisz płotu za nimi? Płot, znaczy, że przy ogrodzeniu bardziej. Chodź. Swoją drogą chyba pierwszy raz widzę cmentarz, na którym w dzień nikogo nie ma. Puste alejki, żadnych starych bab wyrywających chwasty ani... O, zobacz tam. To chyba te groby, nie?

Przyspiesza kroku, skręca w jedną z bocznych alejek i już po chwili stoi przed trzema pomnikami ustawionymi jeden obok drugiego. Nie ma już wątpliwości, że to tu. Wielkie nazwisko bije po oczach z każdego z nagrobków.

Edyta zastanawia się przez chwilę, dlaczego nie leżą wspólnie. Zwykle rodziny, zwłaszcza jeśli ich członkowie umrą razem, spoczywają pod jedną płytą, no chyba że nie ma na cmentarzu odpowiednio dużych kwater. Ale tu przecież to nie jest problemem.

A potem dociera do niej, że dla nich to żadna różnica. A skoro nie mieli bliskich, i tak dobrze, że zadbano o solidny marmur.

Podchodzi bliżej, przygląda się datom na płytach. Urodzin różna na każdym, śmierci wszędzie taka sama. Obok zdjęcie, w kółku na porcelanie. U syna, Seweryna Budzikowskiego, jest ono częściowo zasłonięte krzakiem z grobu obok.

Edyta ma ochotę podejść i odsunąć te kilka gałązek, jak się odgarnia niesforny kosmyk włosów z twarzy, ale się powstrzymuje. Za to Artur, który właśnie dołączył, przyklęka i najpierw uważnie ogląda wypalone skorupy zniczy, a potem wodzi ręką po krawędzi płyty nagrobnej.

– Ej, ale żadnych głupot, dobra? – mówi Edyta.

Artur unosi głowę i spogląda na nią zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– No, nie zamierzasz, nie wiem, przychodzić tu w nocy i rozkopywać grobu jak w tej twojej książce?

Pisarz uśmiecha się, podnosi i otrzepuje rękę.

– Nie sądziłam, że czytasz moje książki.

– Tę z rozkopywaniem grobu czytałam. – Edyta podaje mu moką chusteczkę. – I nawet w książce uznałam to za przesadę, więc jak myślisz...

– Nie zamierzam niczego rozkopywać, Edyta – przerywa jej.

– To po co tu jesteśmy?

Pisarz mija ją i podchodzi do grobu, pod którym, jeśli wierzyć sąsiadce, spoczywa tylko pusta trumna.

– W sieci nie ma zdjęcia młodego Budzikowskiego, prawda? – pyta. – Chyba że się mylę, ale raczej nie. Byli tylko dorośli.

– No, możliwe. – Edyta zastanawia się przez kilka sekund. – Znaczy tak, ja również nie znalazłam, ale...

– No to już mamy. – Artur pochyla się nad grobem chłopca i robi to, o czym ona myślała wcześniej, czyli odchyła na bok gałązki zasłaniające zdjęcie. Potem wyciąga telefon, kadruje i robi zdjęcie zdjęcia. – Zobaczyłem na fotach grobów, że na wszystkich trzech są te porcelanowe zdjęcia. No i spójrz, całkiem dobra jakość, nie?

Edyta patrzy na podsunięty jej pod nos smartfon.

– No tak, niezła – potwierdza. – Tylko co z tego?

– No jak to co? – dziwi się pisarz. – Zrobimy zdjęcie, puścimy przez te programy do postarzania i zobaczymy, jak on może teraz wyglądać. Jeżeli to przez niego tyle się dzieje w radiu.

Edyta patrzy na niego, mrużąc oczy.

– Ty żartujesz ze mnie teraz, prawda? – upewnia się.

– Nie, dlaczego?

Edyta przewraca oczami.

– Artur, do cholery, jakie programy do postarzania, co my, jesteśmy w OSI?! – Nie wytrzymuje i podnosi głos. – Myślisz, że pójdziemy na policję ze zdjęciem z nagrobka i historyjką starej baby o pustej trumnie i dadzą nam dostęp do jakiegoś supersprzętu? O ile w ogóle jest coś takiego. W co wątpię.

– Jaki profesjonalny sprzęt, Edyta. Każdy telefon ma teraz apkę do odmładzania i postarzania. Wystarczy...

Urywa, widząc, jak zdenerwowana Edyta sięga do kieszeni i wyjmuje swój telefon. Przesuwa palcem kilka stron ekranów i znajduje wreszcie właściwą aplikację. Podsuwa mu ją pod nos.

– Mówisz o tym?

Artur kiwa głową, ale po jego minie widać, że nie jest już taki pewien swojego pomysłu. I bardzo, cholera, dobrze, myśli Edyta.

– Ściągnęłam kiedyś, jak była moda – mówi mu teraz. – I proszę, oto ja teraz, a oto co wygenerowała mi apka. A tu, dla porównania, jak naprawdę wyglądałam, gdy byłam dzieckiem. No ni cholery niepodobna, prawda?

– Masz w telefonie zapisane swoje zdjęcie z dzieciństwa? – pyta pisarz, czym doprowadza ją do wybuchu.

– Tu nie chodzi o to, Artur! Te aplikacje to ruskie gównno do wyciągania od ciebie danych biometrycznych, nic więcej. Jeżeli przyszedłoby tu tylko po to, to zmarnowaliśmy dobre pół godziny. A zważywszy na porę i korki, powiem ci, że nie wiem, jak ja to teraz nadrobię.

– Ja już mogę poprowadzić – zauważa. Po czym uświadamiając sobie, jak to zabrzmiało, szybko wyjaśnia: – Trochę lepiej znam to auto, może więcej z niego wycisnę.

Edyta chce w odpowiedzi rzucić jakąś złośliwością, ale dociera do niej, że to przecież nic nie da, nie ma sensu i potrzeby jeszcze zaogniać. Daruje więc sobie komentarz i spokojnie oddaje kluczyki.

Właśnie w tym momencie dzwoni jej telefon. Wyciąga go i spogląda na wyświetlacz.

– O, i jeszcze Błaszkwicz dzwoni, pięknie – mówi.

– Nie odbieraj. Oddzwonisz z auta, żeby słyszał, że jedziemy.

Edyta, która po pierwszych dwóch słowach już miała zareagować ostro, teraz celuje w niego palcem.

– Słusznie. Twój pierwszy dobry pomysł od godziny.

## Rozdział 54

Parking zmienił się, odkąd Chrast bywał tu regularnie, choć nawierzchnia wciąż była ta sama. Pozostawał żwirowanym placem na uboczu, z trzech stron otoczonym gęstym lasem.

W międzyczasie jednak droga zyskała nieco na znaczeniu, stała się ładniejszą alternatywą dla nudnych, zapchanych ekspresówek, więc ktoś wyraźnie zainwestował unijne pieniądze, dzięki czemu pojawiła się tu nawet jakaś infrastruktura.

Detektyw patrzy właśnie na te unijne inwestycje z wnętrza swojego starego volva. Myśli, że obok tej altany przydałby się jeszcze jakiś kącik dla dzieci. Na parkingach w Reichu takie widział. Jakieś koślawe koniki na sprężynach, huśtawki, a nawet konstrukcje z pajęczyną grubych lin. Cokolwiek, co mogłoby zająć gówniarzy na czas wypicia kawy z termosu.

Obserwuje parking, bębniąc nerwowo o kierownicę i raz po raz gapiąc się na telefon oraz na wjazd od drogi. W końcu nie wytrzymuje, wysiada i robi kolejną rundkę po placu. W połowie drogi zerka na zegarek i dzwoni.

Po trzech sygnałach słyszy głos Błaszkwicza.

– Halo?

– No i gdzie ta twoja dziewczyna? – pyta. – Spóźnia się.

– Poczekaj chwilę.

Detektyw słyszy w słuchawce gwar, który nagle cichnie, a potem szum wody, trzask zasuw i pogłos, gdy stary dziennikarz odzywa się znowu:

– Przepraszam, jestem na mieście, musiałem znaleźć spokojniejsze miejsce. A co do Edyty, to dopiero cztery minuty się spóźnia, daj spokój. Ty na nasze spotkania spóźniasz się więcej. Może korki jakieś...

No tak, myśli Chrast. Odpowiedź dokładnie taka, jakiej można się było spodziewać po starym dziennikarzynie. Bezużyteczna.



– Nie pierdol mi o korkach, Jarek, bo ja też na miotle nie przyleciałem – warczy. – Zresztą to nie jest godzina na korki, zwłaszcza tutaj. Przyznaj od razu, że albo cię olali, albo ktoś mnie tam u nich zwyczajnie robi w wała. Wycofali się albo mnie sprawdzają w papierach, wygrzebując, czy nie jestem aby wariatem albo coś...

– Może tak być, ale przecież to akurat żadna tajemnica, kim jesteś, nie? Prowadzisz legalną agencję, Dawid, można cię wyszukać w sieci. Dla nich to akurat dobrze, że nie jesteś szemranym typem, nie?

Detektyw milczy, przyglądając się samochodom przejeżdżającym nieopodal.

– Dobra, Jarek, mniejsza z nimi – odzywa się w końcu. – Ale ta dziewczyna... Mówiłeś, że ona jest taka jak ty. Ty byłbyś tu przed czasem, pół godziny byś tu na mnie czekał. To zupełnie nie jest... Moment, coś chyba podjechało. Czym ona jeździ?

– Nie wiem, zresztą jak była u mnie, to z...

– Poczekaj.

Detektyw odsuwa telefon od ucha, mruży oczy i uważnie przygląda się kierowcy niebieskiego forda mondeo. Tamten, łysy gość koło pięćdziesiątki, też go zauważa i wyraźnie się peszy. Schyla lekko głowę, robi wolną rundkę po placu, jakby po to się zjawił, i zaraz wyjeżdża.

– Dobra, nie myśl już o tej marce auta – mówi do telefonu Chrast – bo to i tak jakiś facet wpadł na jagodziankę. Żadnej nie zastał, to pojechał. Na czym to ja? Aha, ty byś już dawno był, bo tobie zależy...

– Słuchaj, jak ci się spieszy, to się rozłączmy i zadzwonię do niej, co? – proponuje dziennikarz. – Albo tobie dam numer, to sam się z nią skontaktujesz.

– Nie ma potrzeby dawać mi jej numeru – odpowiada Chrast. – Ale może faktycznie zadzwoń. Możesz jej powiedzieć, że czekam do piętnaście po i znikam. Nie będę pozwalał na takie...

– Dobra, jasne. – Błaszkwicz wchodzi mu w słowo. – Piętnaście po. Poczekaj, zaraz oddzwonię.

Rozłączają się i detektyw wraca do auta. Do obserwacji.

Jak za dawnych dni pracy w fabryce. Dni, do który których cały czas cholernie tęskni.

Żeby się nie roztkliwiać, patrzy na siedzenie obok, na pękatą żółtą kopertę formatu A4, w której znajduje się cała dokumentacja, jaką zebrał, i której wolał jakoś nie zostawiać w biurze czy w domu. Zastanawia się, co z tego pokazać teraz tej całej Edycie. To kluczowa kwestia: z jednej strony przedstawić jej coś interesującego, a z drugiej nie wystrzelać się od razu ze wszystkich informacji. Musi mieć później coś, co będzie mógł sprzedać, gdy już pozwolą mu rozmawiać z kimś poważnym.

Sięga do schowka. Wyjmuje nieco zleżałą, otwartą paczkę kwaśnych żelków, odwija i bierze do ust wesołego robaczka.

Na parking wjeżdża kolejny samochód, ale to znowu nie ta cholerna dziennikarka.

Chrast zerka na zegarek. Do końca doliczonego czasu zostało jeszcze jedenaście minut. I Bóg mu świadkiem, że gdy czas się skończy, po prostu stąd, kurwa, odjedzie!

## Rozdział 55

Właściwie to Maggie nie umie powiedzieć, ile czasu minęło, odkąd Pan Budzik wyszedł. Dziesięć minut? Piętnaście? Pół godziny? Nie ma tu żadnego zegarka, żadnej możliwości mierzenia upływu czasu. Wszystko się rozmywa.

Kiedyś słyszała, że tak właśnie mają psy. Kiedy wychodzisz z domu i je zostawiasz, to one nie wiedzą potem, czy nie było cię kilka minut czy kilka godzin, i dlatego właśnie po powrocie zawsze witają cię z takim entuzjazmem, jakbyś wrócił po latach.

Teraz Maggie ma wrażenie, że wraz ze swoim wyjściem człowiek z zegarkiem na masce, Pan Budzik, po prostu zabrał ze sobą czas.

Odkąd się ulotnił, ona siedzi w tym samym miejscu, na łóżku, wodząc wzrokiem po pomieszczeniu. Robiła to już wcześniej, ale teraz przygląda się uważniej, w konkretnym celu. Sprawdza, co może wykorzystać do ucieczki.

Rozważyła już większość opcji. Przyglądała się rurom wystającym z sufitu, czy da się je jakoś poluzować, wykręcić i zdobyć prowizoryczną broń albo dźwignię do podważenia czegoś. Albo może coś, czym udałoby się odkręcić taboret lub nogę stołu?

Omiotła wzrokiem podłogę, czy nie ma luźnych klepek, przyjrzała się drzwiom, zamkowi i zawiasom, a także framudze. Kiedyś w domu jednego kolegi były drzwi antywłamaniowe, ale zamontowane tak fatalnie, na piankę i słowo honoru, że kilkakrotnie uderzone barkiem pijanego desperata wpadły do mieszkania z kawałkiem ściany. Tu jednak nie mogła na to liczyć, bo te drzwi, choć zwykłe, osadzone były raczej mocno.

Tak, wcześniej sprawdziła już niemal wszystko, co mogła. Teraz zostały jej już tylko dwie opcje: ta cholerna komoda z wielkimi szufladami i zabite deskami piwniczne okienko.

Zwłaszcza komoda ją kusi. Do tej pory bała się tam zaglądać, obawiając się albo kamer, albo nagłego wejścia oprawcy. Teraz wie już, jest pewna, że żadnych kamer tu nie ma. I że Pan Budzik naprawdę wyszedł, tak jak wtedy. Zostawił ją samą w domu, w dodatku tym razem nie krępując rąk i nóg. Tyle udało jej się wywalczyć poniżaniem się, kłamaniem i podlizywaniem. Budowaniem cholernej więzi. Ma swobodę ruchów i świadomość, że jest sama w domu. Tylko czy to naprawdę jest jej szansa? Owca

– Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

Jej własny głos brzmi teraz dziwnie, obco. Może właśnie dlatego motywuje ją do wstania. Podnosi się więc powoli, zaskoczona, jak bardzo w ciągu tych chwil, odkąd wyszedł, zdążyła zeszywnieć. Całe jej ciało jest napięte, mięśnie obkurczyły się niczym wystawiony na słońce mokry kawałek skóry. Czuje ból w plecach i mrowienie w stopach, a w głowie narastającą panikę. W takim stanie nie będzie przecież zdolna uciekać!

– Uspokój się, odetchnij, sprawdź okno.

Powoli, nieco pokracznie, rusza w stronę zabitego deskami prostokąta. Ustawia się tuż pod nim i przygląda mu się. Jest wysoko, więc będzie potrzebowała na czymś stanąć, by do niego sięgnąć, ale to zdecydowanie stara farba i stare deski w miejscu, gdzie powinno być okienko. Nie zabezpieczył go specjalnie dla niej, więc jest szansa, że go również nie sprawdził, a przyjął za pewnik, że wszystko jest w porządku.

– Po kolei, skup się – mówi na głos. – Musisz mieć na czym stanąć i czym podważyć deski. Palcami tego nie zrobisz, a stół i taboret są mocno przykręcone.

Przez moment zastanawia się, czy ten obcy głos w jej głowie to ktoś inny. Czy aby nie popada w szaleństwo i teraz sama nie zaczyna mieć swojego odpowiednika, Pana Przepalonego Chipa. Uznaje jednak, że nawet jeśli, to słowa obcej, rozsądnej Maggie są logiczne, więc przynajmniej nie chce jej szkody. Najwyżej uciekną razem i potem będzie myśleć.

– Pomyślę o tym jutro, tak. Jak Scarlett O’Hara.

Podchodzi do komody stojącej w kącie. Wysuwa jedną z szuflad, a nawet próbuje wyszarpnąć, lecz ta jest solidnie zamocowana, więc nie ma mowy, by ją wyrwać. Ktoś silniejszy może, ale ani Maggie, ani ta druga w jej głowie, samozwańcza Scarlett, nie są w stanie tego zrobić. Sprawdza następną i kolejną, licząc, że któraś jest poluzowana, źle sklejona, ale to solidna stara robota.

W ostatniej na dnie leży jednak kilka szpargałów, jakieś stare rysunki, instrukcje obsługi, kilka zdjęć. Maggie podnosi je, zbiera w panice, martwiąc się w pierwszym odruchu, że teraz fotografie będą w złej kolejności i jej oprawca rozpozna, że tu buszowała. Zaraz się jednak uspokaja. Może po prostu je przeoczył, zapomniał, że tu są?

Piosenkarka nie może się powstrzymać i przegląda zdjęcia. Na większości widnieje mały chłopiec, najpewniej Pan Budzik z dawnych dni, w towarzystwie dwójki dorosłych, prawdopodobnie rodziców. Jego ojciec to łysawy mężczyzna, zawsze w rozchełstanych koszulach, o zarośniętej klatce piersiowej, chudy, jeśli nie liczyć niewielkiego zastałego brzuszka. Matka to drobna kobieta ze śmieszną natapirowaną fryzurą rodem z lat dziewięćdziesiątych. No i on, chłopiec. Tu z gitarą, tu z jakąś zabawką, z kijkiem do pieczenia kiełbasek nad ogniskiem albo ślęczący przy fortepianie.

Szczerbaty, potem nie, uśmiechnięty i naburmuszony. Z ojcem przy jakimś drogim samochodzie, z matką na szkolnej akademii, z obojgiem gdzieś nad morzem, cała trójka umorusana śmietaną z gofrów. Na tarasie, w towarzystwie jakichś ludzi obwieszonych złotem i wyglądających jak ruska mafia z taniego filmu. Chłopiec gra przed nimi na gitarze, w pozie jak do grania klasycznego. Skupiony, z przygryzionym koniuszkiem języka.

Fortepian i gitara, myśli Maggie. To dlatego tak dobrze sobie radził wczoraj z tym śpiewaniem. Kształcił się muzycznie!

Odwraca zdjęcia, licząc na jakiś podpis, ale nie znajduje żadnej adnotacji. Jeszcze raz przegląda fotografie, a potem zawija je i chowa z powrotem do szuflady.

Nie ma czasu na takie rzeczy, myśli i zaraz uzmysławia sobie, że przecież to już ustaliła. Nie ma czasu w ogóle. Nie w tym pomieszczeniu, nie w tym domu. Pan Budzik go zabrał.

– Dobra, uspokój się, bo wariujesz – napomina się.

I to kolejna słuszna uwaga, ale ma jedną wadę. Jeśli faktycznie się uspokoi i przestanie wariować, Scarlett, ten obcy rozsądny głos w jej głowie, zniknie.

Zamiast się więc uspokoić, obchodzi komodę i napiera na nią ramieniem. Musi ją przesunąć, jeśli chce dostać się do okienka. Musi na niej stanąć i spróbować wydłubać gwoździe, którymi przybito deski. Musi...

Próbuje, ale nic z tego. Komoda ani drgnie, a okienko jest za wysoko. Maggie uzmysławia sobie, że tylko marnuje czas.

Czas, którego nie ma.

## Rozdział 56

Błaszkwicz rozłącza się z Chrastem, nerwowym krokiem wchodzi do kuchni i nalewa sobie wody. Wypija ją na raz, odkłada szklanekę i wybiera numer Edyty. Czuje napięcie, ale sam nie wie, czy to nerwy, czy ekscytacja, że znowu jest w grze. Nawet jeśli tylko jako łącznik. Przykłada telefon do ucha, czeka. Jeden sygnał, potem drugi i trzeci, wreszcie szum świadczący o tym, że połączenie odebrano na zestawie głośnomówiącym.

– Tak teraz będziesz dzwonił co chwila i sprawdzał? – dobiegł go głos poirytowanej Edyty.

– Właściwie to nie powinno być takiej potrzeby, bo zgodnie z umową mieliście już być na miejscu od pięciu minut – ripostuje. – Ale z pewnych solidnie już wkurzonych źródeł wiem, że nie jesteście. Coś się stało? Daleko jeszcze?

– Według GPS jakieś dziesięć minut. Artur chciał ściąć i władowaliśmy się niepotrzebnie w ruch wahadłowy, nieważne. Czyli on już tam jest, tak?

Dziennikarz nalewa sobie kolejną szklanekę wody, ale na razie nie podnosi jej do ust. Zamiast tego, przyciskając telefon do ramienia, zalewa dzbanek z filtrem kolejną porcją kranówki.

– Jest, punktualny i wściekły. Mówiłem ci, że to paranoik. Ten smarkaty pisarz jest z tobą?

– Artur? – pyta Edyta, jakby jej otoczenie pełne było smarkatych pisarzy i musiała się dodatkowo upewniać. – Tak, jest i słyszy, co mówimy, jesteś na głośniku.

– Dzień dobry, panie Jarku.

– Się okaże, czy dobry – mruczy Błaszkwicz. – Nie wiem, jak zareaguje na to, że jesteście we dwójkę. Powiedziałem mu, że Edyta będzie sama.

– Trudno – odpowiada Edyta. – Myślę, że w tych okolicznościach szczególnie powinien zrozumieć, że nie chcę się sama spotykać z jakimiś

obcymi facetami na odludziu pod miastem. Jak w ogóle poznam tego detektywa? I jak on się właściwie nazywa?

– Dawid Chrast. A poznasz go najpewniej po tym, że podejdzie i się przywita. Jak mówiłem, on już tam jest, czeka i ma twój rysopis. I nie sądzę, żebyś na leśnym parkingu mogła się spodziewać tłumów.

– To fakt – zgadza się dziewczyna. – Dobra, to jedziemy, najszybciej jak się da.

– A ja dzwonię do niego, żeby jeszcze poczekał.

Rozłącza się i ponownie wybiera numer detektywa, ale przed połączeniem wypija kolejną szklankę wody. Stary nawyk, jeszcze z zetkowych czasów – kiedyś w ferworze walki zwyczajnie zapominał pić i zwykle w kluczowych momentach, gdy musiał powiedzieć coś na antenie, zasychało mu w gardle. W pewnym momencie uzmysłowił sobie, że z pełnym pęcherzem może mówić do radiosłuchaczy. Z głosem, jakby heblował deski, już nie.

Detektyw odbiera po pierwszym sygnale.

– No i? – pyta.

– Dobra, rozmawiałem z nią właśnie.

– I co?

Błaszkwicz uznaje, że na razie będzie się trzymał narracji, że Edyta jest sama. Jak już będą na miejscu, to wyjdzie, co wyjdzie, ale wtedy postawią go przed faktem dokonanym. Najwyżej Chrast później pomarudzi, trudno.

– Tak jak się spodziewałem, miała kłopoty na drodze – wyjaśnia. – Jakiś ruch wahadłowy gdzieś. W kwadransie się zmieści. Przepraszała.

– Wiesz, gdzie mam jej przeprosiny? – warczy Chrast. – Nie znoszę takiego traktowania. I żeby nie było wątpliwości: wciąż nie wiem, czy będę chciał jej cokolwiek przekazać. Poczekał, ale póki co jestem coraz mocniej przekonany, że to nie był dobry pomysł. Właściwie... Czekał, jakiś facet czegoś ode mnie chce.



Błaszkwicz słyszy teraz jakieś dźwięki tła, a potem przytłumiony głos Chrasta skierowany do kogoś innego.

– Coś się stało?

W odpowiedzi rozlega się dochodzący z kilku metrów przytłumiony męski głos.

– Ma pan sprawny lewarek?

– Tak, chyba mam, chwileczkę.

Błaszkwicz łapie się na myśli, że nie wie, dlaczego tego w ogóle słucha.

– To ja się może rozłączę, co? – proponuje. – Dacie mi znać po wszystkim.

– Nie musisz się rozłączać – oponuje detektyw. – Po prostu poczekaj chwilę.

Dźwięk, jakby odkładał telefon, a potem odgłosy kroków na żwirowym podłożu. Ktoś się zbliżył, podszedł i detektyw nie musi już krzyżeć.

– Proszę poczekać moment, muszę tu tylko odgrzebać, zaraz, to było... Ej, co ty... Co robisz? Ej!

Nagle głos się urywa, a zamiast tego słychać szeleszczące odgłosy i sapnięcia, dźwięki szamotaniny. Stary dziennikarz prostuje się odruchowo.

– Dawid? – mówi, zaciskając dłoń na telefonie. – Halo, co się dzieje?!

Zamiast odpowiedzi słyszy tylko dźwięk zerwanego połączenia.

– Cholera jasna! Chrast!

Natychmiast próbuje zadzwonić jeszcze raz, lecz detektyw nie odbiera.

## Rozdział 57

Niełatwo znaleźć miejsce do zaparkowania, ale Łoś szuka cierpliwie, bo nie chce ryzykować zatrzymania się w niedozwolonym miejscu. I nie chodzi tu tylko o mandat. Ostatnie, czego chce, to żeby ktoś zobaczył, a potem co gorsza posłał do brukowców, jak najmilszy człowiek w Polsce, którym to mianem okrzyknęły go kiedyś media, zajmuje bezprawnie niebieską kopertę albo miga awaryjkami na zakazie.

Mili ludzie nie robią takich rzeczy, dlatego woli zaparkować dalej i trochę się przejść. Zwłaszcza że z tego, co zrozumiał z tamtej rozmowy w toalecie, albo już ma czas, albo zaraz będzie go miał, bo ten detektyw, ten cały Chrast, ma umówione spotkanie.

Idealna okazja, by włamać się do jego biura i sprawdzić, co takiego ma do przekazania w związku z tą cholerną sprawą. Czy jest to coś nieszkodliwego, próba wybicia się na pojawiającej się okazji, czy może coś, co obciąża najmilszego z Polaków i ulubieńca tłumów?

Lepiej dla tego Chrasta, żeby nie to ostatnie, bo wówczas okazałby się on... przeszkodą. A Maciek, choć trochę odwykł od rozwiązywania problemów z przeszkodami, wie, że to jak z gotowaniem jajka w koszulce. Gdy już raz zrozumiesz, jak to działa, to udaje się za każdym razem.

Pogrążony w myślach dopiero po dłuższej chwili orientuje się, że dzwoni jego telefon. Spogląda na wyświetlacz i widzi, że to Zuzanna. Przewraca oczami, bo wie, dlaczego jego żona się z nim kontaktuje. Przystaje, daje sobie czas dwóch sygnałów, by przybrać odpowiednią maskę. Bo tak, dla niej ma specjalną. Wyjątkową.

Wzdycha i odbiera.

– Kochanie, to nie jest najlepszy moment w tej chwili, muszę...

– Czy ty zapomniałeś, że masz właśnie spotkanie w radiu? – słyszy rozdrażniony głos małżonki. – Dzwonili przed chwilą z pytaniem, kiedy

będziesz, bo czekają.

Wiedział, że dlatego dzwoni, spodziewał się tego, ale teraz udaje roztargnienie.

– A, to. Zapomniałem ci powiedzieć, rybko, to już nieaktualne.

Słyszy, jak żona się zapesza, i uśmiecha się na wspomnienie jej miny. Tak zabawnie wtedy cofa podbródek, otwierając usta, i jednocześnie robi wielkie oczy. Wygląda wtedy trochę jak żeńska wersja Salvadora Dalego na tym słynnym zdjęciu.

Notuje w pamięci, by umówić się z jakimś fotografem i zrobić żonie sesję. I tak, koniecznie jedna fotka z tą miną.

– Jak... co to znaczy nieaktualne? – pyta Zuzanna. – Przecież sam chciałeś, Maciek!

– Tak – zgadza się. – Ale przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że... Poczekaj chwilę. Tak?

Dzieciak, który stoi przed nim, ma ze czternaście lat i mało się nie zabił, hamując na miejskiej hulajnodze, gdy tylko zobaczył Maćka. Kucharz najchętniej kazałby spadać, ale wie, że nie może, że to wbrew jego zamierzeniom. Jego uśmiech, prezencja to maska, dzięki której pozostaje niewidzialny. Odmówi i na pewno ktoś to zapamięta. Dlatego nie wychodzi z roli.

– Czy mogę sobie zrobić z panem zdjęcie? – pyta chłopiec.

Łoś odsuwa telefon od ucha i pozuje, prostując się.

– Pewnie, ale tak szybciotko, bo się spieszę, dobrze?

Dzieciak odrzuca hulajnogę na bok, staje i obejmuje kucharza ramieniem. Ma ciepłą, wilgotną rękę i na pewno zostawi ślad na koszuli. Maciek stara się o tym nie myśleć, ale nie może się powstrzymać. Brzydzi go to. Potem chłopak trzaska kilka selfie z rzędu.

– Dziękuję bardzo! – ekscytuje się szczeniak.

– Nie ma sprawy, miłego dzionka! – odpowiada Łoś, po czym na powrót przykłada telefon do ucha, mając nadzieję, że żona już ochłonęła. – No, już

jestem, rybko. Co mówiłem?

– Powiedziałeś, że doszedłeś do jakiegoś wniosku.

– Aha, tak. – Udaje, że sobie właśnie przypomniał. – Doszedłem do wniosku, że przede wszystkim miałaś rację. Z tym, że nie należy im teraz zawracać głowy pierdołami. Oni naprawdę mają straszne zamieszanie w związku z tym, co się tam u nich dzieje, i nie ma co...

– Już im zawróciliśmy głowę, Maciek! – nie wytrzymuje Zuzanna. – Zadzwoiłam do nich, tak jak chciałeś, i umówiłam cię na to spotkanie. W ostatniej chwili, ale zgodzili się, bo to ty. A teraz pytają, o której będziesz, a ty mi mówisz, że po prostu zrezygnowałeś? Że się wycofujesz bez słowa? Nigdy wcześniej się tak nie zachowywałeś. Wiesz, w jakim świetle mnie to stawia jako twoją menadżerkę? No i co ważniejsze, w jakim świetle stawia ciebie?

Łoś przystaje, sprawdza numer na budynku. Tak jak się spodziewał, sądząc po dostępnych w sieci zdjęciach elewacji, agencja detektywistyczna Chrasta nie ma prestiżowej lokalizacji. Zwykły na wpół opuszczony biurowiec, gdzie mieści się salon tajskiego masażu, biuro rachunkowe i widać obdarte naklejki po socialmediowym start-upie. Wszystkie biura identyczne, w drzwiach najtańsze zamki. Tak, wszechświat wciąż mu sprzyja.

– W żadnym świetle mnie to nie stawia, kochanie, bo w radiu nie ma reflektorów – mówi, starając się o lekki ton. – To tylko dźwięk, pamiętasz? Nie ma zapachu, nie ma widoku, są tylko dźwięki. Co miałbym robić w tej audycji? Mlaskać?

Ma nadzieję, że to ją rozbawi, ale nie liczy na to przesadnie. I jak się okazuje, słusznie, bo Zuzanna, przynajmniej chwilowo, nie ma ochoty na żarty.

– Rozmawiać, Maciek. W audycji masz po prostu rozmawiać. I tak, wiem, próbujesz być teraz zabawny i uroczy, ale to nie jest konwersacja, którą odbędziemy na skrót. Martwię się o ciebie.

– Niepotrzebnie, rybko.

Wchodzi do budynku i niepewnie zerka w stronę biurka recepcji. Zauważa jednak, że nie dość, że nikogo tam nie ma, to jeszcze blat pokryty jest kurzem, a w głębi leżą jakieś stare pudła. Od dawna nikt tam już nie siedzi. Maciek podchodzi do tablicy z wykazem firm w budynku i znajduje agencję. Pierwsze piętro, pokój dziewiętnaście.

Łoś wchodzi na schody. Postanawia, że jeśli detektyw tam będzie, on uda, że ma do niego sprawę, i spróbuje wyczuć sytuację. Jeśli agencja będzie zamknięta, sprawdzi pozostałe pomieszczenia i jakoś dostanie się do środka.

– Martwię się, bo zachowujesz się dziwnie – kontynuuje jego żona, choć mogłaby już przestać. – Nie umiem tego określić, ale ostatnio jesteś jakiś taki, jakiś... No, inny jesteś. Bardziej nerwowy, spięty, chaotyczny.

Łoś wchodzi szybkim krokiem na schody, przeskakując po dwa stopnie. Konieczność trzymania aparatu przy uchu coraz mocniej mu doskwiera.

– Kochanie, porozmawiamy o tym później, dobrze? – prosi. – Jak wrócę do domu. Zadzwoń do tej Zetki, przeproś, powiedz, że coś mi wypadło. Nie wiem, nogę skręciłem na hulajnodze albo coś.

– Jesteś pewien, że nie możesz tam jeszcze podjechać? Zaczekają...

– Nie, kochanie, mówiłem ci, mam ważną sprawę, w dodatku w zupełnie innej części miasta.

– No właśnie nie mówiłeś. – Głos Zuzanny uderza w ten irytujący, pretensjonalny ton. – Rzuciłeś tylko teraz o jakiejś sprawie. Co się dzieje, dlaczego jesteś taki tajemniczy?

– Nie tajemniczy, tylko... Dobra, muszę kończyć, skarbie. Porozmawiamy później, dobrze?

Staje przed drzwiami, na których widnieje profil Chandlerowskiego detektywa w kapeluszu i napis „Agencja Detektywistyczna Chrast”. Chowa telefon, a potem naciska klamkę. Zamknięte. Puka, czeka i znowu puka.

A potem bierze się do dzieła.

## Rozdział 58

Edyta jest podenerwowana, więc za wszelką cenę próbuje skupić na czymś uwagę, byle tylko nie spoglądać ciągle na telefon czy zegarek. Przez chwilę więc przygląda się widokowi za oknem, zerka na monety i kwity wciśnięte w podłokietnik, papierki po cukierkach w niewielkiej kieszonce pod ramię.

W końcu nie wytrzymuje:

– Myślisz, że co on może mieć. Ten detektyw?

– Trudno powiedzieć – odpowiada Artur, po czym milknie na długie sekundy, jakby zasłuchał się w radiu. W końcu jednak dodaje: – Obawiam się, że w ogóle nie będzie to miało żadnej wartości. Może rozkminił to co ty z tą piosenką? A może przyniesie nam jakąś książkę pierwszego koronnego, w której będzie napisane, że kiedyś tam Budzikowski był tu i tu i pił z tym i tym.

Edyta wydaje z siebie cichy pomruk, który brzmi jak potwierdzenie. W rzeczywistości jest trochę rozczarowana. Drażni ją, że pisarz to bagatelizuje, i zastanawia się, czy dlatego od początku tak lekko podchodził do tego spotkania. Bo uważa, że marnują czas. Czy ona sama tak myśli? Czy stąd te nerwy?

– Ja chyba jednak spodziewam się czegoś lepszego po prywatnym detektywie – mówi po chwili, trochę do niego, ale bardziej do siebie. – W końcu facet z tego żyje, nie? Z tropienia spraw.

Artur zerka na nią, jakby upewniał się, czy to zdanie padło na poważnie. Widząc, że tak, wzrusza ramionami.

– Nie chciałbym cię rozczarować, ale na ile się orientuję, to detektywi żyją przede wszystkim z robienia sekretnych fotek niewiernym małżonkom. Ewentualnie z odzyskiwania dzieci z porwań rodzicielskich. To znaczy porywanie zwrotne.

Znowu na nią zerka, tym razem jakby upewniał się, czy dziennikarka zna ten termin.

Edyta zna, bo kiedyś czytała reportaż o takich sprawach. Pamięta, że zaskoczyła ją wtedy skala zjawiska.

– Tak, słyszałam o tym – mówi. – To w ogóle nienormalne jest, dziecko traktowane jak cholerny worek kartofli. Rozumiem, rodzicom się nie układa, ale żeby robić takie coś dzieciom?

Artur wbija kierunkowskaz i wyprzedza dwójkę rowerzystów jadących obok siebie. Mamrocze coś niewyraźnie na ich temat, w raczej niemiłym tonie, i dopiero gdy zostawia ich za zakrętem, wraca do rozmowy.

– Wiesz, pomijając patologię, to myślę, że zwykle sprowadza się to jednak do tego, że każdemu rodzicowi wydaje się, słusznie lub nie, że to on wie, co dla dziecka jest najlepsze. I czasem faktycznie tak jest. Weźmy twojego ojca...

Edyta spogląda na niego wyraźnie zdziwiona.

– Co z nim?

– No, nadał ci kiedyś imię po Bartosiewicz i dzięki temu dziś mogłaś wpaść na trop najważniejszej sprawy w swojej karierze! Przypadek? Nie sądzę.

Edyta parska śmiechem.

– Jesteś durny!

Artur wzrusza ramionami, ale uśmiecha się pod nosem wyraźnie zadowolony z tego, że choć na chwilę oderwał myśli towarzyszkę od czasu spóźnienia.

Akurat wyjeżdża z zabudowanego i chce przyspieszyć, lecz z bocznej drogi w ostatniej chwili wbija przed niego jakiś SUV i zamiast od razu przyspieszyć, rozpędza się powoli, zmuszając pisarza do przyhamowania.

– Noż cholera! Jakby nie mógł poczekać.

Tymczasem telefon, który Edyta trzyma w dłoni, raz po raz sprawdzając godzinę, wibruje nagle, więc dziennikarka spogląda na ekran. Widząc

nazwisko Błaszkwicza, przewraca oczami. Rozumie, że facet chce pomóc, że się zaangażował, ale powoli zaczyna już mieć go dość. Odbiera.

– Jarek, naprawdę nie robimy tego specjalnie. Jedziemy, tak?

– Jak daleko jesteście od tego parkingu? – pyta Błaszkwicz.

– Nie wiem, chwila jeszcze. Nic nie poradzę na światła i pieprzoną śmieciarkę, która zablokowała pół drogi! Artur naprawdę robi, co może, ale jak nie urok, to cykliści...

– Coś się tam stało – przerywa jej starszy kolega i Edyta ma wrażenie, że jego głos jest zmieniony. Pojawia się w nim jakieś napięcie, nerwowość, której nie było tam wcześniej.

– Czekaj, bo chyba nie rozumiem. Gdzie się stało?

– Na tym parkingu. Rozmawiałem z Chrastem i ktoś tam do niego podszedł po lewarek, a potem nagle były jakieś zakłócenia, zamieszanie i się rozłączył.

Umysł Edyty błyskawicznie analizuje wszystkie warianty. Od słabej sieci, przez opcję, że detektyw zwyczajnie się wkurzył, po te najgorsze, że... no, faktycznie coś się stało. Coś w związku ze sprawą.

– No dobra, ale oddzwaniałeś do niego? – pyta. – Próbowałeś...

– Tak, nie odbiera. – Błaszkwicz znowu jej przerywa. – I nie wiem, Edyta, ale mam złe przeczucia. To naprawdę nie brzmiało dobrze.



## Rozdział 59

Gdy Błaszkwicz skończył rozmawiać z policją, ci kazali mu siedzieć w domu. Powiedzieli, że ktoś do niego pojedzie, by przyjąć jego zeznanie, jeśli zgłoszenie o zajściu na parkingu się potwierdzi. Skłamał wtedy, że nie ma go w domu i że będzie dopiero za dwie godziny. Bo tyle mniej więcej czasu potrzebował, by podjechać na Wolę, do agencji Chrasta.

To był impuls, ta odpowiedź. Policjantka zapytała go, czy jest w domu, a on pomyślał o tym wszystkim, co się teraz wydarzy. O tym, że policja pojedzie na ten parking, że sprawdzi, czy faktycznie jest tam ciało. Dopiero wtedy zgłoszą temat i być może ktoś pojedzie do agencji i do domu detektywa. Wtedy już, istnieje szansa, że będzie się spieszyć, ale i tak może być już za późno. Bo potencjalny zabójca, kimkolwiek był, będzie miał nad nimi przewagę kilku godzin.

Nad nim nie. Błaszkwicz, jak sprawdził, miał do agencji bliżej, niż wynosiła droga z parkingu. Niewiele bliżej, ale jednak. I gdyby się teraz sprężył, mógłby być tam przed zabójcą. Mógłby sprawdzić, czy Chrast nie ma gdzieś kopii tego, co wiozł na spotkanie. Przecież to miał być tylko wycinek całości.

Dlatego właśnie Błaszkwicz skłamał policji. A teraz siedzi w samochodzie, bębniąc nerwowo o kierownicę i przeklinając w myślach te cholerne zmiany świateł, tych kierowców wciskających się w ostatniej chwili na pas przed nim i opóźniających mu zjazd z zakorkowanej arterii, Chrasta, że musiał się tak upierać przy miejscu na odludziu. Jeżeli zginął, zabiła go jego własna paranoja. Bo jak mawiają, to, że masz paranoję, nie znaczy, że nikt nie chce cię zabić.

Przede wszystkim jednak dziennikarz jest wściekły na samego siebie. Bo chciał pomóc. Zaangażował się w to wszystko, żeby uratować czyjeś życie. A zamiast tego...

– No żeż cholera jasna! – krzyczy, wydostając się zza zakrętu i dostrzegając korek.

Zjeżdża na pobocze i nie przejmując się reakcjami innych kierowców, rusza gwałtownie, wzbijając pył i kurz. Dojeżdża do świateł, nie bacząc na czerwone, skręca w prawo i mało nie wbija się przy tym pod nadciągającego transita. Kierowca dostawczaka trąbi, krzyczy coś i klepie się w czoło, krzywiąc groźnie. Ma rację, bo wina leży całkowicie po stronie Błaszkwicza.

Na skrzyżowaniu są kamery, więc Jarek na pewno za to odpowie, ale to nie teraz. W tym momencie liczy się tylko to, żeby zdążyć do agencji Chrasta przed zabójcą. Żeby śmierć detektywa – o ile faktycznie zginął – nie poszła na marne.

I w końcu faktycznie dojeżdża na miejsce. Parkuje na awaryjnych pod samym wejściem do agencji i wypada z auta. Po chwili wraca, otwiera bagażnik i przez chwilę grzebie w nim, aż znajduje raketę do tenisa. Wozi ją już od tak dawna i obiecuje sobie od tylu lat, że w końcu dojedzie z nią na korty. Ma nadzieję, że w razie potrzeby poradzi sobie z wymachem.

Wchodzi do środka, mija recepcję i wbiega na schody. Bywał tu już wcześniej, bo kiedyś w tym miejscu ówczesna żona Chrasta prowadziła gabinet kosmetyczny i to właśnie na jego zapleczu wymieniali się czasem informacjami. Dziennikarz nie ma pewności, czy detektyw przejął tamten lokal, ale chyba można tak założyć. Najwyżej się wróci.

Na ostatnim schodku Błaszkwicz przystaje, wyrównując oddech. Zagląda za winkiel, a potem wolno podchodzi do pokoju numer dziewiętnaście. Widzi szyld z profilem detektywa w kapeluszu i uśmiecha się mimowolnie. Zaraz jednak poważnieje, widząc wyłamany zamek. Mocniej zaciska rękę na rączce rakiety i pcha delikatnie drzwi, gotowy w każdej chwili odskoczyć.

To, co robi, jest głupie i wie o tym, ale w tych okolicznościach jedyne, co mu przychodzi do głowy, to że sprawca był tu wcześniej, jeszcze przed

wyruszeniem na parking. Inaczej by przecież nie zdążył, nie ma mowy! Błaszkwicz miał bliżej, a i tak skrócił dojazd o pięć minut. Na trasie z parkingu Google Maps pokazywało dodatkowe minuty opóźnienia w rosnącym korku.

Chyba że sprawców jest dwóch, dociera do niego nagle, kiedy już drzwi są na wpół otwarte. Mimo to raz jeszcze poprawia uchwyt i wchodzi powoli do agencji.

To włamanie! – krzyczy głos w jego głowie.

To niebezpieczne! – krzyczy inny, równie spanikowany.

Ale Błaszkwicz robi jeden krok, potem kolejny. Widzi prosty gabinet, biurko, za nim wąski regał, na którym stały kiedyś segregatory. Teraz wszystkie leżą na podłodze, z szafki stojącej pod drukarką wysypują się luźne dokumenty, a szuflady sterczą z biurka niczym kieszenie dzinsów wywalone na drugą stronę.

Dziennikarz odwraca się i widzi, że dwa fotele w kącie mają rozbebeszone poduchy. W jednej z nich wciąż jeszcze sterczy nożyk do papieru, a wokół wałęsają się kawałki gąbki.

Spóźniłem się, myśli Błaszkwicz. Mimo to przechodzi dalej, w stronę drzwi do drugiego pomieszczenia, niewielkiego aneksu z kuchenką i toaletą, gdzie spotykali się z Chrastem na tajne pogaduchy. Te drzwi są zamknięte, więc przekłada raketę do drugiej ręki i łapie za klamkę. Pcha ją w dół i wtedy...

Nagle szarpnięcie. Drzwi otwierają się do wewnątrz i Jarek zaskoczony wpada do środka, tracąc równowagę. Wychylony do przodu dostrzega ruch, sylwetkę, postać, widzi, jak wznosi się obciążona czymś ręka, a potem nagle opada prosto na jego głowę. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie ma czasu na reakcję. Czuje uderzenie, które obala go na ziemię, a potem kolejne, gdy wali głową w szafkę.

Upada, próbuje się obrócić, unieść ręce, lecz przed oczami ma już tylko mgłę i mrok. Może to krew, która zalewa mu oczy?

W uszach szum, w palcach mrowienie, na języku metaliczny posmak.

W tym powidoku dostrzega napastnika i zanim kolejny cios sprawi, że zapadnie w ciemność, zdąży jeszcze pomyśleć, że to przecież niemożliwe.

## Rozdział 60

Tym razem, gdy słyszy jego kroki, już się nie spina. W ogóle ma wrażenie, że już nie ma w niej strachu, że wypalił się wraz z nadzieją na ucieczkę. Bo jeżeli coś jej dał ten czas siedzenia tu samotnie, ze świadomością, że nie ma go na górze, to właśnie poczucie beznadziei.

Nie jest w stanie stąd uciec. Nie ma takiej drogi, z której mogłaby skorzystać. Może ktoś inny, silniejszy, sprawniejszy albo mądrzejszy czy bardziej zdeterminowany dałby radę, ale ona spróbowała wszystkiego i... no nie. Nie wyjdzie stąd inaczej niż za jego zgodą, za jego łaską. A to znaczy, że najprawdopodobniej nie wyjdzie stąd wcale.

Dlatego teraz w pierwszej chwili przyjmuje jego kroki z obojętnością. Zaraz jednak, gdy mimowolnie wyteżę słucho, dociera do niej, że znowu idzie jakoś inaczej. Jakby wolniej, ciężiej.

Chwilę potem słyszy, że jest już za progiem. Rozlega się szcęk zamka, a potem otwierają się drzwi i najpierw pojawia się jego głowa. Tym razem nie każe jej usiąść przy stole. Zapomniał? Czy może po prostu bardziej jej ufa?

– Wszystko w porządku? – pyta jej oprawca.

Maggie patrzy na tę jego głowę z niedowierzaniem. To pytanie jest tak absurdalne, że z trudem powstrzymuje wybuch histerycznego śmiechu. Jednocześnie wie, że on pyta serio, więc kiwa głową.

– Tak, w porządku – odpowiada. – Napisałam kilka linijek, ale nie jestem z nich do końca zadowolona. Pokażę ci je i powiesz, co myślisz, dobrze?

– Dobrze, powiem ci, co myślę – mówi dziwnym, nieobecny głosem. Jakby zaspanym? Rozkojarzonym? – Ale to później. Jesteś głodna?

Otwiera drzwi szerzej i zatrzymuje się w progu. Wtedy Maggie zauważa, że Pan Budzik stoi jakoś krzywo, trochę jakby oszczędzał nogę albo osłaniał

bok. Nie może być też pewna w tym świetle, ale ma wrażenie, że widzi plamę...

Chryste, on jest ranny, myśli. Jest ranny i osłabiony.

Wraz z tą myślą wraca nadzieja, ale i strach. Piosenkarka czuje nagłą falę mdłości i zawrotów głowy, która uderza znienacka i sprawia, że kobieta prawie osuwa się na ziemię.

Musisz się opanować, powtarza sobie. Nie możesz wzbudzić jego podejrzeń.

– Szczerze mówiąc, to tak, jestem głodna – mówi. – Nawet bardzo. Skończyło mi się też picie.

Oprawca kiwa głową i mocniej chwyta się framugi.

– To zaraz coś przyniosę, a potem trochę odpocznę. Potrzebuję odpocząć. Ale najpierw muszę zrobić parę rzeczy.

Odwraca się i już ma zniknąć za drzwiami, gdy Maggie zbiera się jednak na odwagę:

– Mogę ci pomóc.

Pan Budzik ogląda się na nią, tym razem mocno wspierając się na framudze. Wygląda na zaskoczzonego, a przede wszystkim faktycznie jest zmęczony i osłabiony.

– Z czym? – pyta. – Z czym chcesz mi jeszcze pomóc?

Czy on powiedział „jeszcze”? Maggie nie chce przykładać do tego pojedynczego słowa za dużej wagi, nie chce pompować go nadzieją, ale to dzieje się samo. Bo wygląda na to, że skoro tak mówi, to zauważył, co robi. Odczytał zgodnie z intencją.

Postanawia iść w to dalej.

– Wydaje mi się... to znaczy wyglądasz...

Nie wie, jak mu to powiedzieć, i znowu nie jest pewna, czy to dobry krok. Ale nie ma też pojęcia, jak się z tego miejsca cofnąć. Więc mimo wszystko próbuje:

– Wyglądasz, jakbyś był ranny. Mogę ci to opatryć.

Mężczyzna patrzy na nią uważnie. W końcu chyba po raz pierwszy tak naprawdę się uśmiecha.

– Dlaczego miałabyś chcieć to zrobić?

Tu Maggie odpowiada bez zastanowienia:

– Bo jak umrzesz tam na górze, to nikt nie będzie wiedział, że tu jestem. Umrę razem z tobą.

Pan Budzik wciąż się uśmiecha. Sprawia wrażenie, jakby się zastanawiał, czy to, co właśnie powiedziała, to żart.

– Nie umrę – mówi w końcu. – To nie jest poważna rana. Ale dziękuję.

Łapie za klamkę. Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie miał już na nic siły, i Maggie zastanawia się przez jedną krótką chwilę, czy to właśnie nie jest jej szansa od losu. Czy nie powinna się teraz rzucić, odepchnąć go i pognać po schodach. Może uda jej się wykorzystać element zaskoczenia. Może zdąży...

A może to tylko test, słyszy w głowie. Pamiętasz całą tę sytuację z herbatą?

To nie jest jej głos, to Scarlett przypomina o swojej obecności. Głos rozsądku, głos pani „pomyślę o tym jutro”.

Ale jest też inny, trochę jakby wypadkowa obu głosów w jej głowie. Bo może to rzeczywiście test, ale jeśli tak, to po co? Może sprawdza, czy nie zamierza stąd uciec, bo zyskała w jego oczach i teraz chce w jakiś sposób zaufać jej bardziej? Co, jeśli teraz spisz się jak należy, a on nagrodzi ją zabranieniem jej na górę, a może w ogóle wypuszczeniem na wolność? Zrobiła przecież wszystko, by pokazać mu, że jest po jego stronie.

– Zaraz przyniosę ci jedzenie i picie – mówi jej oprawca. – A potem, jak odpocznę, przyjdę przeczytać piosenkę. Ale najpierw muszę rozpalić małe ognisko.

– Ognisko? – dziwi się piosenkarka.

Pan Budzik kiwa głową i znowu się uśmiecha. Za każdym razem wygląda to tak, jakby dopiero się tego uczył.

– Tak, ognisko. Mam co nieco do spalania.



## Rozdział 61

Porywacz zostawia za sobą otwarte drzwi. Maggie powoli przekracza próg piwnicy. Ciągłe nie ma pewności, czy nie popełnia błędu. Czy to nie jest jakaś kolejna próba, której jest właśnie poddawana. Ale chyba nie. Bo on po prostu wyszedł, nie oglądając się nawet za siebie. Jakby stracił nią całe zainteresowanie. Dziewczyna wspina się po stromych schodach na górę. Nogi jej drżą ze zdenerwowania. Podpiera się o zimną kamienną ścianę. Otwiera kolejne drzwi i mruży oczy, porażona początkowo słonecznymi promieniami. Jej celę na dole oświetlała tylko łysa żarówka. To światło jest inne. Ostrzejsze, a zarazem przyjemniejsze. Jednocześnie głaszcze ją i rani. Myśli, że za nim tęskniła.

Kiedy już przyzwyczajają się do słońca, rozgląda się dookoła. Farba wraz z tynkiem odchodzi płatami od ścian, odsłaniając nadkruszone cegły. Pod sufitem widać wielobarwne plamy grzybów. Drewniana podłoga pokryta jest kurzem, a deski skrzypią pod każdym jej krokiem. Najgorsze jest jednak powietrze – zatechłe i wilgotne. Aż nieprzyjemnie nim oddychać. Meble mają co najmniej dwadzieścia, trzydzieści lat i wyglądają tak, jakby zostały przyniesione ze śmietnika. Budynek, w którym jest przetrzymywana, to jakaś ruina. Potencjalna katastrofa budowlana.

Pan Budzik klęczy przed żeliwnym piecem. Z jego dłoni spływają w dół strużki czerwonej, gęstej krwi. Otwiera drzwiczki. W środku buzuje ogień, który oświetla jego bladą twarz i krople potu na jego czole. Wrzuca do środka żółtą kopertę, z której wystają luźne kartki, fotografie, a także pendrive'y. Wkrótce do wilgotnego zaduchu dołącza ostry smród topionego plastiku.

Maggie rozgląda się dalej i wtedy dostrzega uchylone drzwi na zewnątrz. A za nimi szopy, drzewa, które uginają się pod podmuchami wiatru. Szare jesienne niebo, a właściwie jego skrawek, nagle staje się jedną

z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziała w życiu. Przede wszystkim zaś obezwładnia ją obietnica przestrzeni, tego, że mogłaby po prostu iść przed siebie i nie zderzyłaby się po kilku krokach z chropowatą ścianą.

Intuicja każe jej odwrócić się do Pana Budzika. Ich spojrzenia się spotykają. Następne sekundy ciągną się boleśnie. Od wolności dzielą ją ledwo dwa, trzy metry. To jest jej szansa, ta chwila, na którą czekała. Maggie zdaje sobie sprawę, że być może nie dostanie kolejnej. Ale on również to wie. Jego wzrok wędruje od jej twarzy do na wpół otwartych drzwi. Czoło przecinają głębokie zmarszczki, kiedy szacuje, czy zdoła dogonić piosenkarkę, jeśli ta zacznie uciekać. W jego oczach pojawia się błysk wątpliwości. Nie jest pewien. Może mi się udać, myśli tymczasem Maggie. Naprawdę może mi się udać.

– Co tam palisz?

Mówi to tylko po to, żeby przerwać ciszę. Żeby zyskać jeszcze tę sekundę, dwie na złapanie oddechu, na uspokojenie myśli, na wydobycie z siebie wszystkich sił.

– Nieważne.

I wtedy Maggie podejmuje decyzję.

– Gdzie masz bandażę?

Pan Budzik wskazuje jej wiszącą na ścianie szafkę. Maggie otwiera drzwiczki, tak stare i zaniedbane, że niemal wylatują z zawiasów. Wyciąga bandażę, opakowanie gazy, plastry i podchodzi do porywacza. W środku widzi jeszcze strzykawki, opakowania z ketaminą, relanium i jakimiś lekami weterynaryjnymi.

Półotwarte drzwi zostają daleko za jej plecami. Nie zdoła już do nich dobiec.

## Rozdział 62

– Naprawdę to, że zerkasz co pięć sekund na telefon i wzdychasz, nie sprawi, że magicznie dotrzemy na miejsce szybciej – mówi Artur, zaciskając ręce na kierownicy.

– Jesteśmy spóźnieni – odpowiada mu Edyta. – Powinniśmy tam być dwadzieścia minut temu!

– Zaraz będziemy. Poza tym przypominam: to ten facet ma sprawę do ciebie, a nie my do niego. Wyluzuj.

– Jarek mówił, że coś się tam stało.

– Mówi, że wydaje mu się, że coś się stało. Facet mógł się po prostu rozłączyć. Albo upadła mu komórka. Cokolwiek.

– Ale słyszałeś, jak brzmiał. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Bo mu się udzieliła atmosfera. To spotkanie na leśnym parkingu, sekretne informacje...

– Możesz przynajmniej przyspieszyć?

– Nie chcę łamać przepisów.

– Bo co? Boisz się, że sarnę potrącisz?

– Śmieję się, ale trzy miesiące temu jedna wybiegła kumplowi pod koła. Samochód rozwalony, jakby w ścianę walnął. Za naprawę dał tyle, że w sumie nowy mógłby sobie kupić. W sensie używany, ale nowy. Już nie wspominając o tym zwierzaku.

Edyta właśnie ma mu wytknąć, że kiedy jechali w tamtą stronę, to Artur żartował z niej, że jedzie jak jakaś emerytka. I wtedy nie przejmował się ani ograniczeniami prędkości, ani sarnami, danielami, lisami, dzikami czy jakimikolwiek innymi leśnymi stworzonkami. Ale pisarz naciska pedał gazu i samochód przyspiesza.

Po kilku minutach docierają wreszcie na miejsce spotkania. To leśny parking na kilkanaście samochodów. Jeden z tych bardziej zadbanych. Stoi

na nim drewniana wiata z ławami i stołem, gdzie zmęczeni kierowcy mogą przysiąść, zjeść kanapki i napić się kawy. Niedaleko zaś trzy czarne kubły na śmieci. I nawet niebieski toi toi, żeby odwiedzający nie musieli załatwiać się w krzakach. Zaparkowano tu tylko jeden samochód – stare, kanciaste, srebrne volvo. W środku jednak nikogo nie ma.

Zatrzymują się niedaleko. Pod kołami ich wozu wzbijają się kłęby kurzu.

– To on? – pyta Artur.

– Nie mam pojęcia – odpowiada dziennikarka.

Oboje wychodzą z samochodu. Artur odgina się najpierw do tyłu, potem na boki, jakby uprawiał gimnastykę. Potem patrzy w stronę volva.

– Nikogo tu nie ma.

– Przecież widzę – warczy Edyta.

Boi się, że informator zniecierpliwił się i odjechał. W sumie mu się nie dziwi. Sama by tak zrobiła. Nie rozumie, czemu wcześniej pojechali na ten cmentarz. Wiadomo, Artur chciał jej pokazać grób. I faktycznie warto było zrobić zdjęcie temu nagrobkowi. Ale równie dobrze mogliby to załatwić już po spotkaniu! Przychodzi jej na myśl, że to kwestia charakteru pisarza. To złoty chłopiec. Nie ma jeszcze trzydziestu lat, a już jest jednym z najpopularniejszych podkasterów w kraju i autorem bestsellerów. Wszystko mu zawsze wychodzi. Przyzwyczyił się, że to ludzie na niego czekają, a nie on na ludzi.

Edyta podchodzi do srebrnego volva. Sprawdza tablicę rejestracyjną.

– Warszawskie blachy – mówi.

– Czyli to pewnie on. Bo kto inny miałby tutaj przyjechać z Warszawy o takiej porze?

– To gdzie w takim razie jest?

– Może poszedł... no, sama wiesz... – Artur wskazuje palcem na niebieski toi toi. – A może po prostu chciał pospacerować. Pooddychać świeżym powietrzem. Pewnie zaraz wróci.

– Pewnie... – mówi Edyta bez przekonania.

Zauważa, że drzwi po stronie kierowcy są otwarte. Daje znak Arturowi. Pisarz marszczy brwi i niemal niedostrzegalnie kiwa głową. Oboje na moment wstrzymują oddech, a potem, jakby na znak, obchodzą volvo z obu stron.

Wtedy go dostrzegają. Leży na ziemi. Zakrwawiony mężczyzna z szeroko otwartymi oczami i półotwartymi ustami, jakby był zaskoczony tym, co go spotkało. Edyta szybko rejestruje kolejne szczegóły. Pomięta odzież, szeroko rozłożone ramiona, zaciśnięta pięść, a w niej nóż sprężynowy. Jego ostrze jest czerwone. A na podłodze samochodu telefon.

– Facet rozmawiał z Jarkiem przez komórkę, kiedy ktoś się do niego zakradł – zaczyna mówić Edyta. – Wyciągnął z samochodu i zaatakował. Napadnięty próbował się bronić, udało mu się nawet zadać jeden lub dwa ciosy, ale został zaskoczony i nie dał rady odeprzeć ataku. Widzisz tę ścieżkę krwi? Prowadzi na przeciwległy koniec parkingu. Pewnie tam zatrzymał się napastnik. Ziemia jest piaszczysta, miękka. Może uda się tam znaleźć bieżnik opon jego samochodu.

Przez moment sama się sobie dziwi, że myśli tak szybko, tak chłodno, tak analitycznie. A potem dociera do niej, że nikt jej nie słucha. Artur odbiega kilkanaście metrów w bok, pod sam las. Teraz klęczy, opierając się o pień sosny i wymiotuje. Podchodzi do niego. Głaszcze go po ramieniu. Artur oddycha głęboko. Wyjmuje chusteczki i ociera usta. Podnosi głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Ciebie to nie rusza? – pyta.

Edyta przypomina sobie ciało Ziemka. Ten moment, kiedy się przewróciła i padła na ziemię tuż obok niego.

– Chyba się przyzwyczyłam – odpowiada dziewczyna.

Kąciki ust Artura unoszą się w górę w niezdnym, wymęczonym uśmiechu.

– Powinniśmy zadzwonić po policję – mówi pisarz.

– Powinniśmy.

## Rozdział 63

Porywacz wrzuca do pieca ostatnie dokumenty i zdjęcia. Płomienie pożerają je chciwie. Zamyka drzwiczki. Na jego twarzy odmalowuje się ulga. Jakby właśnie zrobił coś bardzo ważnego, jakby wykonał jakieś istotne zadanie. Piosenkarka podaje mu rękę i pomaga podnieść się z ziemi. Trzyma go potem pod ramię, chce go zaprowadzić te kilka kroków do krzesła, ale on się wyswobadza za pomocą jednego, stanowczego, ale delikatnego ruchu.

– Nie trzeba – mówi Pan Budzik.

Stawia ciężko kroki. Siada. Drewniane oparcie trzeszczy pod jego ciężarem. Niezgrabnie, jakby miał problem z zapanowaniem nad swoimi kończynami, zdejmuje zieloną kurtkę i rzuca ją na zakurzoną podłogę. Piosenkarka kuca przed nim, żeby przyjrzeć się obrażeniom. Jego prawe przedramię jest całe zalane krwią. Gdzieś pomiędzy jej zasychającymi strugami można dostrzec głęboką, poszarpaną ranę, a w niej żylaste węzły mięśni i upiorną biel kości. Dziewczyna potrzebuje kilku sekund, żeby przyzwyczaić się do tego widoku.

– Musisz być silna – powtarza sobie cicho. To jest jej mantra. To jest jej modlitwa. A potem mówi głośniej: – Trzeba to zszyć. Powinieneś jechać do szpitala.

– Poradzimy sobie. Zabandażuj to.

– Dobrze byłoby to przynajmniej odkazić. Masz może wodę utlenioną albo...

– Poradzimy sobie, mówiłem! Bandażuj!

Maggie wzdryga się, kiedy Pan Budzik na nią krzyczy. Mężczyzna zauważa to i się zawstydz. Rumieńce na chwilę odganiają upiorną bladość jego twarzy. Gładzi jej policzek lewą dłonią, odgarnia kosmyk włosów za ucho.

– Przepraszam... – mówi cicho. – Po prostu zabandażuj, proszę. Potem to ogarniemy.

– Dobrze.

Piosenkarka kładzie na ranę gazę. Jest za mała, nie pokrywa jej całej. Ale nie ma drugiej. Potem bandażuje przedramię mężczyzny. Stara się być ostrożna i delikatna, ale porywacz i tak co chwila krzywi się z bólu. Opatrunek natychmiast zmienia barwę z białej na czerwoną.

– Będę cię musiał znowu zamknąć... Tam na dole...

Maggie kończy wiązać bandaż. Dokładnie go ogląda, chcąc się upewnić, że się zaraz nie zsunie.

– Rozumiem.

Lewą ręką ciągle podtrzymuje ranne przedramię porywacza, ale prawą dłoń chowa pod bluzkę. Tam, pod paskiem, odnajduje kilkucentymetrowy szpikulec – plastikowy fragment rozbitej obudowy komórki.

– Nie musisz się bać – odzywa się znowu mężczyzna. – Wkrótce do ciebie wrócę.

– Wiem.

Porywacz jeszcze raz gładzi ją po policzku. Jego palce są brudne, a dłonie szorstkie.

– Dobra z ciebie dziewczyna – mówi.

I właśnie wtedy ta dobra dziewczyna wbija mu plastikowy szpikulec prosto w oko.

## Rozdział 64

Była wtedy w liceum. Miała osiemnaście lat. Tamten chłopak chodził do jej klasy. Wysoki, całkiem przystojny, ale wyjątkowy buc i cham, którego nie cierpiała. Podobnie zresztą jak jej koleżanki. Nieustannie się przechwalał. Opowiadał, jak traktował kolejne dziewczyny i czego z nimi nie robił. Maggie była pewna, że większość z tych opowieści wyssał z palucha. Albo z jeszcze gorszego miejsca. Ale imponował jej kolegom z klasy. Co jest tylko kolejnym dowodem na to, że faceci dojrzewają później od dziewczyn. Przede wszystkim umysłowo. Wołali na niego Krasny.

To była lekcja WF-u, którą akurat mieli wspólną. Czerwiec, więc nikt się niczym nie przejmował. I te zwykłe nastoletnie przekomarzanki, które rozpoczęły się od wulgarnego kawału, a skończyły na kłótni, która płec jest lepsza. Ze standardowym zestawem argumentów każdej ze stron. A Krasny powtarzał, że to faceci są silniejsi, zwinniejsi, szybsi...

– O, uważaj. Na pewno jestem szybsza od ciebie – rzuciła wkurzona.

– Jasne, jasne.

– Jestem! Jaki masz czas na sto metrów?

Krasny machnął lekceważąco ręką.

– Byle jaki, bo mi się nie chciało biegać – przyznał. – Nie miałem motywacji, nie? Ale jakbyśmy się ścigali, tobyś tylko mój tyłek oglądała.

– No to się przekonajmy. Jedno okrążenie wokół bieżni.

– Tak. Bo mi się chce teraz pocić...

– Tchórzysz?

– Nie tchórzę...

– No to zakład? Jedno okrążenie wokół bieżni.

Rzuciła mu wyzwanie przy wszystkich. I ona, i on wiedzieli, że teraz nie może jej odmówić. Nie po tym, jak aż tak się zaangażował w całą tę kłótnię.



– O co? – zapytał Krasny.

– Jak wygram, to przyznasz... Nie! Zrobisz sobie koszulkę z napisem, że dziewczyny są lepsze od chłopaków, i będziesz w niej chodził po szkole. Przez cały dzień – powiedziała Maggie.

– No dobra. A jak ja wygram...

– To przyznam, że chłopacy są lepsi.

– Nie! Jak wygram, to pokażesz mi cycki.

Był to wulgarny i chamski tekst. Typowy dla Krasnego, który po prostu chciał ją zastraszyć. Ale ku jego szczeremu zdumieniu zgodziła się.

Stanęli na linii startu. Krasny szczerzył się szeroko, pewny siebie. Ona była skoncentrowana. Ktoś dał sygnał i wystrzeliła do przodu. Szybko zostawiła go za sobą.

Była wtedy niesamowicie wysportowana. Uprawiała taniec od szóstego roku życia. Ludziom się wydaje, że taniec to coś prostego. Jeden krok w bok, jeden krok w tył i cza, cza, cza. Ale to wymagające i wycieńczające zajęcie. Rozwijające koordynację, kondycję i właściwie wszystkie partie mięśni. Miała osiemnaście lat. Trenowała od dwunastu. Była w życiowej formie.

I dlatego nie rozumiała, jak to było możliwe, że Krasny wyprzedził ją na ostatnich trzydziestu metrach. Z niedowierzaniem patrzyła na jego plecy. Krzyknęła zdesperowana. Przyspieszyła jeszcze, wykorzystując ostatki sił, ale ledwo po kilku krokach poplątały się jej nogi i padła jak długa na bieżnię.

Krasny nawet się nie zatrzymał. Dobiegł truchcikiem do mety. Przybił piątkę z kolegami, a potem wrócił do niej z całą grupą. Podnosiła się z ziemi. Cała jej koszulka była czerwona od mączki. Czuła ją nawet pomiędzy zębami. Miała zdarte kolana. W oczach szklily się jej łzy.

To było niemożliwe. Jej ciało składało się tylko z kości, ścięgien i mięśni. W jaki sposób dał radę ją wyprzedzić?!

– To kiedy pokażesz mi swoje cycuszki? – zapytał Krasny, szczerząc zęby.

Stała przed nimi wszystkimi. Przed całą klasą, bo do chłopaków dołączyły wkrótce dziewczyny. Czuła na sobie ich rozbawione spojrzenia. Słyszała chichot. Sięgnęła pod T-shirt, zdjęła stanik, a potem podniosła wysoko bluzkę. Stała tak przez kilkanaście sekund, odwracając się to w lewo, to w prawo, żeby wszyscy mogli się jej przyjrzeć. Łącznie ze stojącym gdzieś z tyłu wuefistą.

– Zadowolony?

Opuściła bluzkę i pomaszerowała do szatni.

Dlaczego zaatakowało ją właśnie to wspomnienie?

Bo znowu wydawało jej się, że da radę. Znowu była pewna, że pokona mężczyznę. I to pomimo tego, że ten mężczyzna był od niej szybszy, silniejszy, sprawniejszy. Dlaczego zawsze popełniała ten sam błąd?

Wbiła Panu Budzikowi ten kawałek plastiku w oko. Mężczyzna wrzasnął. Ale zamiast się zatoczyć, zamiast się przewrócić, chwycił ją natychmiast za przeguby. I teraz trzyma. Jego twarz wykrzywia grymas wściekłości, z ust pryska ślina. Podrywa się w górę i Maggie wie już, że to koniec, że zaraz zginie.

Wszystko dlatego, że tak jak wtedy jest zbyt głupia, by się ukorzyć i przyznać, że jest za słaba.

– Nie jestem – myśli.

Zamiast próbować się wyrwać, pozwala się pociągnąć. Uderza w mężczyznę barkiem, całym ciężarem swojego ciała. Jest od niego o kilkadziesiąt kilogramów lżejsza, w normalnych warunkach nic by to nie dało, roześmiałyby się może. Ale teraz drań ma cholerny kawałek plastiku w prawym oku. Jest oszołomiony i zaskoczony. Dlatego traci równowagę. Nie na tyle, by się przewrócić, ale na tyle, by zrobić kilka kroków do tyłu. I uderza plecami o rozgrzany piecyk. Wrzeszczy z bólu.

Piosenkarka wykorzystuje okazję i wyrywa się oprawcy. A potem robi to, co powinna była zrobić także wtedy Krasnemu.

Kopie Pana Budzika prosto w krocze.

## Rozdział 65

Maciek Łoś wbiega po schodach na górę. Pokonuje po dwa, trzy stopnie naraz. Co przy jego wieku i jego tuszy jest jednak nie lada wyczynem. Od dawna nie ćwiczył. Zresztą po co miałyby to robić? Całą karierę zawodową oparł na wizerunku wesołego sybaryty. Kogoś, kto jest w stanie pokonać wszystkie przeszkody, wspiąć się w niedostępne rejony Andów, żeby spróbować tamtejszej odmiany sera, i zaprzyjaźnić się z miejscowymi, ale nigdy nie pójdzie na siłownię. A bieżnia wydaje mu się równie idiotycznym wynalazkiem co finger spinner. To, że nikt już nie pamiętał, czym jest to drugie, tylko udawało, że miał rację.

Dociera do drzwi swojego mieszkania w starej kamienicy na Powiślu. Budynek miał nieprzyjemną historię. Roszczenia do niego kupili od właścicieli dość szemrani ludzie. Przejęli nieruchomość w niejasnych okolicznościach. Potem brutalnymi metodami pozbyli się dotychczasowych lokatorów. Maciek trochę się bał, że kiedy ludzie dowiedzą się, gdzie mieszka, zaszkodzi to jego wizerunkowi. Ale odnowiony budynek był tak cudowny, że nie potrafił się powstrzymać przed zakupem. A dwupoziomowy apartament stanowił spełnienie jego marzeń o luksusie i prestiżu.

Tylko ta cholerna winda. Czasami trzeba było na nią czekać całe wieki. Dlatego teraz ryzykuje zawał serca podczas wspinaczki na swoje piętro. Kiedy wreszcie tam dociera, opiera się o ścianę i łapie oddech.

Sięga do kieszeni po klucze. Kiedy je wyciąga, wyślizgują się z jego spoconych, drżących dłoni.

– Szlag.

Schyla się, by je podnieść.

– Witam, sąsiedzie!

Zerka przez ramię. Z mieszkania naprzeciwko wychodzi właśnie Marcel. Facet pod czterdziestkę. Też ma dwupoziomowy apartament. Nie wiadomo po co, skoro mieszka sam. Pracuje w jakiejś instytucji finansowej, robi tam nie wiadomo co i zarabia nieprzyzwoicie dużo.

– Cześć – odpowiada Łoś.

– Dzisiaj coś wcześniej. Będzie pichcone? – pyta mężczyzna z niezdrowym entuzjazmem w głosie.

– Będzie.

– Super, super. Musimy się w końcu na tego grilla umówić!

– Ale to chyba w sezonie.

– Jasne, że w sezonie – potwierdza sąsiad, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Ale powiem ci, sąsiedzie, że mam kontrahentów, którym bardzo by zaimponowało, gdybyś któregoś wieczora robił u mnie na spotkaniu za tego... szefa kuzyna.

– *Chef de cuisine.*

– Właśnie. Pomyśl o tym, sąsiad.

A potem na pożegnanie klepie Maćka w ramię, chociaż kucharz nigdy nie dał mu powodów do takiej zażyłości, i zbiega po schodach na dół.

Maciek wreszcie otwiera drzwi i wchodzi do środka.

## Rozdział 66

Alarm! Zupełnie o nim zapomniał. Jego żona twierdzi, że przesadza, przecież mają domofon przy bramie, a na dole siedzi ochroniarz. Ale on wiedział swoje. Nie potrafiłby zmrużyć oka, gdyby nie miał własnego systemu bezpieczeństwa. Za dużo widział w życiu, za dużo sam zrobił, by spać spokojnie. A teraz stoi przed terminalem i wpatruje się tępo w numeryczną klawiaturę. Irytujące pipczenie informuje go, że kończy mu się czas na wpisanie kodu. Zaraz wydarzą się dwie rzeczy. Po pierwsze, zostanie wysłany sygnał alarmowy do firmy ochroniarskiej. Po drugie, włączy się syrena. I wszyscy w kamienicy usłyszą, że coś się u niego dzieje.

– Jaki był ten kod...

Pustka w głowie. Ma jeszcze dwie sekundy, góra dwie. Jego dłoń wędruje do klawiatury i wciska klawisze. Bez udziału świadomości. To się chyba nazywa pamięć mięśniowa. Jeden, dziewięć, dziewięć, pięć.

– Oczywiście!

Jeden, dziewięć, dziewięć, pięć.

– Dlaczego ustawiłeś ten kod? – zapytała go kiedyś Zuzanna.

– Tak jakoś mi się wcisnęło – skłamał.

Prawda była taka, że była to data, której nigdy nie zapomni. A przynajmniej tak mu się wydawało do tej pory.

Mniejsza z tym. Truchtem biegnie do sypialni. Otwiera szafę. Podsuwa krzesło. Wchodzi na nie. Z górnej półki ściąga walizkę. Rzuca ją na łóżko i otwiera. Wrzuca po kolei bieliznę, skarpetki, koszule, spodnie i swetry. Nie za dużo. Tyle, żeby starczyło na kilka pierwszych dni. Z szafki z dokumentami wyjmuje paszport. Potem idzie do regału z książkami. Zajmuje całą ścianę, a i tak musieli ograniczać ich liczbę. Znajduje tam półkę z książkami kucharskimi. Wyjmuje tę z przepisami wegańskimi.

Otwiera ją. Wnętrze jest wydrążone. I tak nigdy z niej nie korzystał. W środku zamiast przepisów znajduje się skrytka, w niej dolary i euro. Wysokie i niskie nominały. Maciek Łoś bierze te wszystkie pliki banknotów. Wrzuca je pomiędzy ubrania, a potem zamyka walizkę.

– Co się dzieje?

Niemal podskakuje ze strachu. Jego żona stoi w drzwiach sypialni. Spojrzeniem domaga się odpowiedzi.

– Co ty tu robisz? – pyta Łoś.

– Dzisiaj pracuję z domu. Przecież ci mówiłam.

– I włączyłaś alarm?

– Przecież sam mi kazałeś.

Faktycznie. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Zawsze jej to powtarzał. I to, że nie darowałyby sobie, gdyby coś im się stało. Kiedy wyjeżdżali, ustawiał alarm tak, żeby reagował na ruch. Gdy byli w domu, czujniki reagowały, kiedy ktoś otwierał okna lub drzwi wejściowe.

– Maciek, coś się stało? Dlaczego się pakujesz?

Na jej twarzy maluje się nieufność. Maciek rozumie, że musi jej coś powiedzieć, ale jak na złość, podobnie jak wtedy przy alarmie, w głowie ma pustkę. Nie rozumie tego. Do tej pory kłamstwo przychodziło mu równie naturalnie co oddychanie. Teraz nie jest w stanie wydusić z siebie słowa.

I nagle myśli sobie, że mógłby ją po prostu zabić. Że to rozwiązałoby sprawę. W końcu i tak się wszystko sypie. Jeden trup więcej, jeden mniej. Co za różnica?

Robi krok w jej stronę.

## Rozdział 67

Maggie nie ogląda się za siebie. Po prostu wybiega z tego przeklętego budynku. Potyka się na progu, przewraca na ziemię. Kamyki boleśnie wbijają się jej w spód dłoni, ale ledwo to zauważa. Natychmiast się podrywa.

Dom, w którym ją więziono, straszy oderwanym tynkiem i dziurami w eternitowym dachu. Z jednej z nich wyrasta niewielkie drzewko, które zgina się wesoło na lewo i na prawo jak metronom w rytm uderzeń podmuchów wiatru. Szyby są brudne, a okiennice tak stare, że zostało na nich tylko wspomnienie białej farby.

Budynek ma niewielkie podwórko otoczone drucianą siatką. Po jej drugiej stronie rośnie gęsty las. W przeciwieństwie do domu siatka jest porządna, niedawno założona i solidna. Na jej szczycie wije się drut kolczasty. W głowie Maggie pojawia się myśl, że porywacz przygotował to więzienie specjalnie dla niej, by utrudnić jej ucieczkę. Szybko jednak orientuje się, że się pomyliła. Dla niej była tylko piwnica. Siatka i drut kolczasty jest dla innych istot.

Dokładnie naprzeciwko dostrzega rząd kojców. A w środku, za kratami, niespokojnie drepczą psy. Maggie nie rozpoznaje rasy. Ale są wielkie, a ich pyski pełne groźnie lśniących kłów. Psy wyglądają jak mieszanka pitbulla z rottweilerem i małym buldogiem. Nawet z tej odległości widzi, jak pod ich skórą napinają się mięśnie. Jest ich co najmniej dziesiątka. Może więcej. Wszystkie śledzą ją uważnie wzrokiem. Ale to wszystko, co mogą zrobić, bo kojce są zamknięte.

– Trafił mi się cholerny kynolog – szepcze.

Biegnie do bramy. Jest zamknięta na łańcuch i grubą kłódkę. Na jej szczycie również zamontowano drut kolczasty. Mimo to próbuje się na nią wspiąć. Szarpie drutem, żeby zrobić sobie przejście, ale jest solidnie



założony. Osiąga tylko tyle, że rani sobie ręce. Odpada od bramy i spada na ziemię.

Odwraca się akurat w momencie, kiedy Pan Budzik wychodzi z domu. Mężczyzna natychmiast ją zauważa. Jego twarz w połowie pokryta jest krwią. Wykrzywia mu ją obłęd. Na jej widok uśmiecha się jednak szeroko. I ten uśmiech jest najbardziej przerażającą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziała.

Zamiast w jej stronę, idzie w stronę kojców z psami. Nie spieszy się. Wie, że nie ma jak uciec.

Maggie zaczyna szarpać bramą. W jedną i w drugą stronę. Udaje się jej utworzyć niewielką szczelinę pomiędzy jej skrzydłami. Wcisną tam ramię. Brama natychmiast znowu się zamyka. Miażdży jej mięśnie w uwięzionej ręce. Dziewczyna pomaga sobie drugą ręką i nogami, żeby powiększyć szczelinę i wcisnąć tam resztę ciała. Przydały się te wszystkie diety, do których zmuszała ją menadżerka.

W tym czasie Pan Budzik dochodzi do kojców. Otwiera je jeden po drugim. Psy wybiegają na zewnątrz.

– Bierzcie ją! – wrzeszczy.

Bydlaki już pędzą w jej stronę. Wąż po kilkadziesiąt kilogramów każdy. Maggie z całych sił napiera na skrzydło bramy. Szczelina się powiększa. Prześlizguje się przez nią w ostatniej chwili. Jeden z psów jest przy niej. Zdołał wsadzić pysk w szczelinę, gdzie jeszcze przed chwilą były jej nogi. Kopie go z całych sił prosto w nos.

Pies skowycze i cofa się. Jego ciemne oczy patrzą na nią zaskoczone i urażone, jakby nie wierzył w to, co się przed chwilą stało. Jakby nie potrafił zrozumieć, czemu został uderzony. Szczelina się zamyka. Inne zwierzęta skaczą na siatkę.

Mężczyzna stoi ciągle przy kojcach. Wrzeszczy coś w jej kierunku, ale Maggie nie rozumie ani słowa. Zresztą nie miałoby to żadnego znaczenia. Podnosi się i pędzi przed siebie, przez las. Wkrótce w oddali słyszy

charakterystyczny szum – dźwięk przejeżdżającego samochodu. Droga!  
Biegnie w jej kierunku. Ale zaraz do jej uszu dochodzi ujadanie.

Psy ruszyły w pogoń.

## Rozdział 68

– Chyba nie powinni nas tak trzymać – mówi Artur.

– Niby jak? – odpowiada Edyta.

– Razem.

– Dlaczego?

– Moglibyśmy teraz przecież uzgodnić zeznania. Gdybyśmy mieli coś na sumieniu, nie? Żeby potem na przesłuchaniu trzymać wspólny front.

Siedzą na tylnym siedzeniu radiowozu. Pierwszego, który pojawił się na miejscu, po tym jak zadzwonili na sto dwanaście. Policjanci, którzy przyjechali, jeden wąsaty facet po czterdziestce i towarzysząca mu kobieta, niewiele starsza od Edyty, nie byli zachwyceni, kiedy zobaczyli zwłoki. Przez chwilę wyglądali tak, jakby zastanawiali się nad tym, czy nie wrócić do samochodu, odjechać i udawać, że nigdy ich tutaj nie było. Zostawić ten bałagan do posprzątania komuś innemu. Ale ostatecznie wykonali kilka telefonów, otoczyli volvo ze zwłokami taśmą, odebrali od nich zeznania, a wkrótce na miejscu pojawiły się posiłki.

– Tam jest chyba kamera. – Dziennikarka wskazuje na urządzenie zawieszona niedaleko lusterka.

– Myślisz, że jest włączona?

– Nie wiem.

– No i pytanie, czy nagrywa dźwięk.

– Też nie mam pojęcia.

Pisarz jest nieprzyjemnie podekscytowany. Jakby nagłym przepływem energii chciał przykryć to, że jeszcze niedawno wymiotował w krzakach jak student po juwenaliach. Ona sama natomiast jest wyczerpana. Oczy same jej się zamykają. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i zasnęła. Przeszkadza jej w tym gadanie Artura.

– No to tak to wygląda. Widziałaś coś takiego kiedyś?

Teraz przyklejał głowę do okna, jak dzieciak, który pierwszy raz leci samolotem. Ogląda pracujących na zewnątrz policjantów. Miejsce zbrodni zostało już zabezpieczone. Zwłoki ukryto pod foliowym namiotem. Technicy w białych kombinezonach krążą dookoła wozu, szukając śladów. Jeden z nich sprawdza ostrożnie wnętrze samochodu. Jest jeszcze fotograf, który biega to tu, to tam i robi zdjęcia do dokumentacji.

– Widziałam – potwierdza Edyta.

– No tak, Ziemek – przypomina sobie Artur.

– Nie tylko. Jeździłam jako reporterka trochę. Najczęściej do wypadków drogowych. Jasne, to nie zabójstwa, ale wyglądało podobnie.

– Ja tylko słyszałem o tym od ojca.

– Jest policjantem?

Artur nagle traci rezon. Odkleja się od szyby. Opiera się o siedzenie, pozwala, żeby jego głowa delikatnie uderzyła o zagłówek.

– Był – mówi po kilku sekundach milczenia. – Zmarł niedawno.

– Bardzo mi przykro.

– Spoko. Nie wiedziałaś.

– Opowiadał ci o swojej pracy?

– Ta...

– Pewnie to lubił, co? Opowiadać synowi, jak łapał złodziei i innych groźnych przestępców. To dlatego zacząłeś nagrywać podkasty kryminalne?

Artur zastanawia się przez dłuższą chwilę nad odpowiedzią.

– Chyba tak – mówi. – Miałem dobrą podbudowę, żeby zająć się tematem. Zacząłem opowiadać historie. Tym się właśnie zajmuję. Opowiadaniem historii. I czasami myślę, że tylko to potrafię.

Nie kontynuują tej rozmowy. Artur wraca do oglądania tego, co się dzieje za oknem. Nie odzywa się więcej. Edyta przymyka powieki. I wkrótce faktycznie zasypia. Wcześniej jednak myśli o Łukaszu. O tym, że policjanci może zamknęli ich razem z Arturem w radiowozie, ale wcześniej

zabrali im komórki. Edyta jest przekonana, że chłopak do niej teraz wydzwania. I bardzo się wkurza, bo przecież ona nie odbiera. Z jakiegoś powodu ta myśl poprawia jej humor.

## Rozdział 69

– Panie Krzysztofie, ale to na pewno dobra droga? – pyta Doda.

– Na pewno, pani Doroto – odpowiada kierowca.

– Bo GPS pokazuje, że trzeba jechać inaczej.

– GPS srepees. Pani Doroto, ja pani nie uczę, jak ma pani śpiewać, proszę mnie nie uczyć, jak mam samochód prowadzić.

– Gdzieżbym śmiała.

Krzysztof zerka w tylne lusterko i zauważa, że Dorota Rabczewska, szerzej znana jako Doda, lekko się uśmiecha. Trochę się obawiał, kiedy po raz pierwszy miał ją wieźć. Tyle się o niej naczytał w Internecie, w komentarzach pod tymi wszystkimi artykułami. A okazało się, że to fajna, miła dziewczyna. Dobrze mu się dla niej pracowało i kiedy tylko była okazja, chętnie ją woził.

– Tego GPS-a to jeszcze nie było na świecie, kiedy ja już jeździłem po Polsce, pani Doroto! – rzuca Krzysztof. – Pani zobaczy. Jeszcze szybciej będziemy w Warszawie, niż ten cały GPS mówi. Będzie mi pani dziękować.

– Wierzę.

– Ludzie zrobili się zbyt leniwi, pani Doroto – ciągnie kierowca. – Tylko w telefonie siedzą, nie chce im się samodzielnie myśleć. Co im telefon podpowie, to robią.

– Tutaj akurat pan ma rację.

Mówiąc to, Doda demonstracyjnie chowa telefon do torebki.

– Sama się łapię na tym, że komórka mi mózg czasami zastępuje – odzywa się piosenkarka. – Ale pilnuję się. Powtarzam sobie, że to tylko narzędzie. A nie może być tak, że młotek ręką kieruje, nie?

– Ano.

– Zresztą...

Doda wygląda przez okno.

-Tak?

– Ładnie tutaj. Nawet jakbyśmy mieli jechać dłużej, to tutaj ładnie jest. Czasami warto nadłożyć drogi, żeby napatrzyć się na las.

– Święte słowa, pani Doroto... O cholera!!!

Krzysztof skręca nagle kierownicą. Samochodem szarpie tak gwałtownie, że Doda, pomimo zapiętych pasów, uderza głową o szybę. Dopiero teraz zauważa dziewczynę, która wybiegła z krzaków na drogę i którą w ostatniej chwili wyminęli.

– Widziała pani! No wariatka! Samobójczyni! Naćpana pewnie!

Doda się odwraca. Przez tylną szybę widzi dziewczynę, od której się oddalają. A która pomimo to biegnie za nimi. Macha rękoma. Ma na sobie brudne ciuchy, obszarpane. Jej włosy są w nieładzie, jakby od kilku dni nie widziała prysznic.

– Zatrzymaj się!

– Pani Doroto! – protestuje kierowca.

– Zatrzymaj się!

Krzysztof wciska pedał hamulca. Doda jeszcze przez moment przygląda się biegnącej w ich stronę dziewczynie.

– Wsteczny.

Krzysztof już nie próbuje protestować. Odwraca się, patrzy na drogę za nimi i wykonuje polecenie Dody. Wkrótce twarz tajemniczej dziewczyny z lasu znajduje się na wysokości okna pasażera.

– Maggie? – pyta z niedowierzaniem Doda.

Dziewczyna chwyta za klamkę od drzwi. Zaczyna nią z całych sił szarpać. Jeszcze trochę i ją wyrwie. Uderza w szybę. Po brudnych policzkach lecą jej łzy.

– Wpuść mnie! Wpuść mnie! Wpuść mnie! – krzyczy.

– Panie Krzysztofie!

Kierowca łapie wreszcie i otwiera. Piosenkarka wskakuje do środka i natychmiast zamyka za sobą drzwi. Kilka sekund później pierwszy pies

wyłania się z lasu. Skacze na wóz. Za nim pojawiają się kolejne. Cała sfora.

– Jedź! – wrzeszczą teraz razem Doda i Maggie.

Kierowca naciska pedał gazu i samochód rusza z piskiem opon.

– Dziewczyno, co się z tobą działo? Nic ci nie jest? – pyta Doda.

Ale Maggie nie zdąży nawet odpowiedzieć.

– O cholera! – krzyczy kierowca i samochód uderza w coś ciężkiego.



## Rozdział 70

Łukasz otwiera drzwiczki mikrofalówki. Wkłada do niej pizzę i włącza odgrzewanie. Potem odkręca zimną wodę i pozwala, by opłukała mu dłoń. Wciąż go boli po porannej bójce. Chociaż w chwilach szczeroci jest gotów przyznać, że to była raczej samotnina.

Próbuje sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni się bił, i wychodzi mu na to, że to były czasy podstawówki. Nie pamięta nawet dokładnych okoliczności. Jedynie to, że wrócił do domu z krwią lecącą z nosa.

Jest teraz na siebie zły. Myśli sobie, że powinien był mocniej przyłożyć temu pisarzynie. Przez chwilę rozkoszuje się, wyobrażając sobie, jak rozbija mu wargi albo wali go w brzuch tak konkretnie, że facet zgina się w pół raz po raz jak szwajcarski scyzoryk. Ale potem przypomina sobie, że tamten przecież nic takiego nie zrobił, i natychmiast psuje mu się humor. Zdaje sobie sprawę, że to idiotyczne. Minęły już czasy jaskiniowców. Nie rozwiązuje się problemów za pomocą pięści i maczug. Mimo to świadomość, że nie zrobił tego, co trzeba, że nie potrafi się tak naprawdę bić, sprawia, że czuje się gorszym mężczyzną.

Podchodzi do zawieszzonego w przedpokoju lustro. Patrzy na swoją twarz, którą pokrywa niechlujny kilkudniowy zarost. Podnosi koszulkę i widzi spory brzuszek, który pracowicie sobie wyhodował, zajadając się pizzą, hamburgerami i pijąc słodkie napoje na przemian z piwem. Po raz pierwszy przyznaje przed sobą, że się zapuścił. I nic dziwnego, że Edyta woli schludnego, szczupłego pisarza od niego. W końcu mają tyle wspólnego.

Planował się oświadczyć Edycie. Kupił nawet pierścionek i zaczął przygotowania. Miała być romantyczna kolacja i wspólne wyjście na koncert ich ulubionego zespołu. A potem dowiedział się o zdradzie i wszystko szlag trafił. Pierścionka jednak nie oddał. Od kilku miesięcy

nieustannie nosi pudełko w kieszeni, bo boi się, że Edyta przypadkiem gdzieś je znajdzie.

Teraz to pudełko z pierścionkiem zaręczynowym pali go żywym ogniem.

Ktoś do niego dzwoni. Wyciąga komórkę z kieszeni i odbiera, nie patrząc nawet na wyświetlacz. Zdaje sobie sprawę, że to był błąd, kiedy słyszy zirytowany głos Eweliny.

– Gdzie jest Edyta?

– Żadnego przywitania? Żadnego cześć? – odpowiada jej złośliwie.

– Cześć. Gdzie jest Edyta? Nie mogę się do niej dodzwonić od kilku godzin.

– Nie mam pojęcia – przyznaje Łukasz.

– Daj spokój! Przecież wiem, że zamontowałeś jej te różne ustrojstwa. Po prostu powiedz mi, czy u niej wszystko w porządku.

Świadomość, że ona wie o nadajniku GPS, który potajemnie zamontował w samochodzie, żeby kontrolować Edytę, dziwnie go ubodła. Czuje gniew, bo Edyta nie powinna tego zdradzać Ewelinie, i równocześnie wstyd.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – mówi zdenerwowany. – Nic mnie to nie obchodzi. Pewnie gdzieś z tym pisarzem się włóczy. I pewnie świetnie się bawią.

– Dałbyś na chwilę spokój z tą zazdrością, co?

– Spokój, spokój?! Ty pamiętasz, co ona mi zrobiła? Gdzie wtedy byłaś ze swoimi dobrymi radami? A może ją jeszcze dopingowałaś, co?

– Doskonale pamiętam, co ci zrobiła. Ale to było ponad rok temu!

– A co to zmienia?

Wszystko w nim buzuje. Jest gotów do kolejnej wymiany ciosów po falach telefonii komórkowej, ale Ewelina przez dłuższą chwilę po prostu milczy.

– Po co ty w ogóle z nią jesteś? – Jej głos z trudem przebija się przez szum w jego głowie.

– Słucham?

– Po co z nią jesteś? – powtarza pytanie Ewelina. – Skoro nie potrafisz zapomnieć tego, co się stało. Jeśli nie potrafisz jej wybaczyć. To po co z nią jesteś?

– Wiesz co? Wal się, Ewelina.

Rozłącza się.

Mikrofalówka krótkim piśnięciem oznajmia zakończenie pracy. Łukasz wraca do kuchni. Wyciąga ze środka gorącą jeszcze pizzę i wrzuca ją na talerz. Odkłada go na kuchenny blat. Długo przypatruje się plackowi z podwójnym serem i pepperoni, a w końcu otwiera szafkę z koszem i wyrzuca tam swoją kolację.

Znowu ktoś do niego dzwoni. Teraz nie popełnia tego samego błędu. Sprawdza wyświetlacz, chociaż jest pewien, że to Ewelina chce kontynuować kłótnię. A zamiast niej pojawia się imię Edyty. Łukasz przez chwilę wpatruje się w wibrujący w jego dłoni telefon. A potem, z pełną świadomością tego, co robi – odrzuca połączenie.

## Rozdział 71

To były sekundy. Może nawet ich ułamki. Decyzje, z których Maggie nawet nie zdawała sobie sprawy.

Samochód rusza tak gwałtownie, że wbija ją w siedzenie. Psy zostają z tyłu. Ogarnia ją fala ulgi.

– Dziewczyno, co się z tobą działo? Nic ci nie jest? – pyta Doda.

Maggie nie odpowiada, bo nie jest w stanie wydusić z siebie słowa. Koszmar ostatnich dni wreszcie się skończył. Jest wolna. Wróci do domu. Zadzwoi do rodziców, do bliskich. Powie, że wszystko w porządku, że już jest bezpieczna. Potem przygotowuje sobie ciepłą kąpiel. Zanurzy się w miękkiej, delikatnej pianie. Przymknie powieki.

Nie. Tego akurat nie zrobi. Wizja przeszłości nagle rozwija się jej przed oczami. Już wie, że ledwo wejdzie do wody, zaraz z niej wyskoczy. Pobiegnie do drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte na wszystkie możliwe zamki. A potem zamiast wracać do łazienki, raczej schowa się pod kocem i będzie tak trwać, trzymając w dłoniach ostry nóż do steków. I tak już będzie zawsze. Przy każdym wyjściu, przy każdym wywiadzie, na każdym koncercie będzie rozglądać się trwożliwie dookoła, szukając jego twarzy lub tej upiornej maski. Nigdy nie będzie mogła czuć się bezpieczna.

– O cholera! – krzyczy kierowca.

Pan Budzik wyskakuje z lasu kilkanaście metrów przed ich maską. Kierowca chce go wyminąć, ale Maggie, niespodziewanie dla samej siebie, rzuca się do przodu. Jakoś wciska się pomiędzy boczną szybę, a fotel kierowcy. Chwyta za kierownicę. Ciągnie ją w lewo. Rozpędzony samochód uderza w porywacza, a ten odlatuje w bok, jak szmaciana lalka. Kierowca wciska hamulec. Piosenkarka leci do przodu. Uderza głową w przednią szybę.

Na moment traci przytomność.

Kiedy otwiera powieki, ledwo co widzi i słyszy pisk w uszach. Przeciera oczy. Pomaga na wzrok, ale nie na słuch. Dłoń Maggie jest cała czerwona od krwi płynącej z rozbitego czoła.

Kierowca kurczowo zaciska palce na kierownicy. Jego twarz jest blada jak papier, pod nosem szklą się kropelki potu.

– Co ja zrobiłem? – powtarza. – Co ja zrobiłem?

Maggie z trudem wraca na miejsce pasażera z tyłu. Wszystko ją boli – mięśnie, ścięgna, kości. Krew ciągle cieknie z jej rozbitej głowy, plami skórzaną tapicerkę.

Sięga do klamki.

– Nie otwieraj drzwi! – krzyczy Doda.

Maggie robi to i tak. Wysiada z samochodu. Asfalt ulicy wydaje się jej niespodziewanie twardy. Chwieje się, jakby nogi miała z gumy. Myśli sobie, że teraz pewnie przypomina te tańczące na wietrze dmuchane ludziki, które Amerykanie stawiają przed salonami samochodowymi. Mimowolnie chichocze.

– Maggie, wracaj do samochodu!

Piosenkarka obchodzi auto. Przypomina sobie nagle o psach. Spłoszona zaczyna się rozglądać dookoła, ale nie widzi żadnego zwierzęcia. Wszystkie pewnie uciekły w las albo wróciły do swoich kojców.

Doda wyskakuje z samochodu. W dłoniach trzyma wojowniczo parasolkę. Jest gotowa bronić nią dziewczyny, gdyby ktokolwiek ich zaatakował. Maggie to rozczuła. Właściwie to przecież tylko raz zamieniły kilka słów na jakiejś branżowej imprezie. Prawie się nie znają. Doda mogłaby spokojnie siedzieć w samochodzie i nikt nie miałby o to do niej pretensji.

Maggie idzie w stronę porywacza. Ten leży na środku jezdni, kilka metrów od samochodu. Jedna jego noga odgięta jest pod koszmarnym kątem. Druga drży, jakby prowadziła jakieś niezależne życie i próbowała właśnie oderwać się od reszty ciała. Znoszone jeansy są ciemne od krwi.

Mężczyzna słyszy zbliżającą się Maggie. Nie jest jednak w stanie się poruszyć. Strzela tylko jednym okiem w jej stronę. Drugie to ciemna jama. Jego klatka piersiowa unosi się z trudem.

Maggie klęka obok.

– Nasza piosenka – szepcze Pan Budzik.

-Tak?

– Chciałem, żeby ludzie ją usłyszeli. Żeby mnie usłyszeli.

– Wiem.

– Zaśpiewasz mi ją teraz?

W jego spojrzeniu widzi błaganie i uciekające życie. To jego ostatnie chwile. Ostatnia prośba.

– Nie – odpowiada Maggie.

Wstaje. Idzie z powrotem do samochodu.

– Zadzwoń po pogotowie? – pyta Doda.

Maggie odwraca się i patrzy na leżącego na jezdni mężczyznę. Jego oczy są zamknięte. Noga przestała się ruszać.

– Chyba już nie trzeba – mówi.

## Rozdział 72

Edyta siedzi na ławce przed blokiem. Jest jej zimno. Za lekko się ubrała. Ale wychodziła rano, kiedy świeciło słońce. Teraz trwa późna noc. Jesienny chłód z łatwością pokonuje materiał jej kurtki i bawełnianą bluzę. Nie ma rękawiczek, więc zmarzły jej palce. Prawie ich nie czuje i ledwo potrafi nimi poruszać.

Patrzy na ekran komórki. Jest wygaszony, ale wie, że gdyby go uruchomiła, pojawiłby się rejestr połączeń do Łukasza. Dzwoniła do niego kilkakrotnie, od kiedy policja ich zwolniła. Nie odebrał.

Wydaje się jej to trochę zabawne. Do tej pory to on ją prześladował telefonami. Tylko że ona z nim rozmawiała. Odpowiadała na każdego SMS-a. Rozumie jednak, że to zły znak. Że kiedy wróci do domu, czeka ją... Nawet nie jest pewna co. Kolejna awantura? Jeszcze gorsze ciche dni? Dlatego teraz siedzi sama na ławce.

Dzwoniła też kilka razy Ewelina. Wysłała tony pytań, co się z Edytą dzieje. Od niej z kolei dziennikarka nie odebrała. Nie miała siły na rozmowę z przyjaciółką. Obiecała sobie, że napisze do niej na Messengerze, by dać znać, że wszystko w porządku. Do tej pory jednak tego nie zrobiła.

– Czy jest okej? – słyszy głos za sobą.

Odwraca się gwałtownie. Telefon wypada jej ze zgrabiących palców.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć! – mówi pospiesznie Artur.

– Co tutaj robisz?

– Wróciłem do samochodu po tym, jak cię odwiozłem, ale coś mnie tknęło i przyszedłem z powrotem tutaj. Nie poszłaś do domu, siedzisz na tej ławce – tłumaczy pisarz.

– Czyli kryjesz się gdzieś tam w cieniu i obserwujesz mnie od, nie wiem... kwadransa?

– Nie kryję się! Stałem tam koło lampy! Wystarczyło, byś podniosła głowę! Poza tym martwiłem się o ciebie.

– Ze względu na to, co się stało dzisiaj?

– Ze względu na to, co się stało dzisiaj – potwierdza.

Artur pochyla się. Podnosi z ziemi telefon, ogląda go najpierw i dopiero potem jej oddaje.

– Chyba jest cały. Dlaczego nie wracasz do domu? – mówi.

– Myślałam o tym, co się wydarzyło.

Cieszy się, że siedzą daleko od latarni i kiepsko ją widać, bo kłamstwo ma wymalowane na twarzy.

– Coś dzisiaj odkryliśmy – mówi Artur. – Coś ważnego. Powinniśmy iść dalej tym tropem.

Edyta nie potrafi w sobie wzbudzić entuzjazmu pisarza. Myśli, że jeśli coś odkryli, to kolejnego trupa. Kusi ją, by przypomnieć Arturowi, jak rzygał w krzakach na jego widok.

Telefon zaczyna wibrować w jej dłoni. Edyta spogląda na wyświetlacz. To Ewelina. Tym razem dziennikarka odbiera.

– Cześć – mówi.

– Edyta! Jesteś! Dzięki Bogu, tak się o ciebie martwiłam! Już miałam na policję dzwonić! Masz dawać znać, że z tobą wszystko w porządku, jeśli z tobą wszystko w porządku!

– Spokojnie, Ewelina. Wyluzuj. Wszystko okej. Nie musisz tak panikować. Stało się coś?

– Znasz Jarka Błaszkwicza, prawda?

– No znam.

– Ktoś go zaatakował i trafił do szpitala. Walczy teraz o życie. Wiem, że on już u nas nie pracuje, ale podobno coś dla nas robił i Ornowski teraz chodzi cały w nerwach. Każe wydzwaniać do wszystkich dziennikarzy, żeby sprawdzić, czy są cali, a do ciebie nie dało się dodzwonić, choć próbowałam. Nawet do...



– Ewelina! – przerywa jej Edyta.

-Co?

– W którym szpitalu leży Błaszkwicz?

## Rozdział 73

– Cholera... – mówi Artur, rozglądając się na lewo i na prawo.

-Co?

– No niby środek nocy, a nie ma się gdzie zatrzymać.

– To wjazd do szpitala, a nie parking – mówi Edyta.

– Też racja. Dobra. Wsiadaj, idź do niego, a ja poszukam gdzieś tutaj wolnego miejsca.

Jest noc. Przyjechali do szpitala, w którym według informacji Eweliny leżeć ma Błaszkwicz. Edyta wyskakuje z samochodu i nie rozglądając się, rusza w stronę wejścia do budynku. Przebiega przed ruszającą karetką, która teraz zatrzymuje się gwałtownie.

– Gdzie leziesz?! Życie ci niemiłe?! – wrzeszczy na nią wściekły kierowca.

Dziennikarka macha ręką na przeprosiny. Facet tylko kręci z niedowierzaniem głową. Potem, nie oglądając się za siebie, Edyta wbiega na izbę przyjęć.

Pomimo późnej pory w szpitalnej izbie przyjęć jest dużo ludzi. Jakieś starsze małżeństwo siedzi przy ścianie, trzymając się za ręce. Wyglądają zupełnie spokojnie i normalnie. Tylko półprzymknięte oczy mężczyzny i jego ciężki oddech wskazują na to, że jest coś nie tak. Wkrótce podchodzi do nich pielęgniarz w zielonym fartuchu. Kilka krzeseł dalej kobieta tuli swojego kilkuletniego syna, który płacze cicho, trzymając się za przekrzywioną rękę, najprawdopodobniej złamaną. Jego ojciec chodzi od ściany do ściany i co pewien czas rzuca wściekłe spojrzenie w stronę punktu przyjęć. Pracująca tam pielęgniarka daje mu znak, że zaraz ktoś się nimi zajmie.

Edyta nie przygląda się reszcie ludzi. Nie ma czasu. Zamiast tego zaczyna się zastanawiać, jak odnajdzie Błaszkwicza. Nie jest nikiem

z rodziny. Nie ma więc szans, żeby ktokolwiek jej powiedział, gdzie przebywa stary dziennikarz ani co się z nim dzieje. Zresztą nawet gdyby była, z powodu późnej pory nie zostałaby wpuszczona na oddział.

Właśnie. Oddział. W głąb szpitala prowadzą drzwi na magnetyczną kartę. W odruchu desperacji i pewnej bezczelności staje obok lekarza, który właśnie wchodzi do środka. Mężczyzna sprawdza coś na komórce. Edyta ma więc nadzieję, że nie zauważy, że ktoś wchodzi razem z nim. Czeka ją jednak rozczarowanie.

– Kim pani jest? – pyta lekarz.

Edyta przez moment stoi jak sparaliżowana.

– Tutaj nie wolno – mówi ostro lekarz.

– Ja przyszłam sprzątać – odzywa się Edyta, udając wschodni akcent. Zdaje sobie sprawę, że jej imitacja jest obraźliwa nie tylko dla każdego Ukraińca czy Ukrainki, ale nawet dla kogoś, kto kiedykolwiek odwiedzał nasz sąsiedni kraj.

– A gdzie identyfikator?

Edyta rozkłada bezradnie ręce.

– Pierwszy dzień. Identyfikatora nie ma.

Lekarz przez chwilę przygląda się jej podejrzliwie, a potem otwiera szerzej drzwi, pozwalając jej wejść do środka.

– Co tutaj za burdel jest... – mruczy mężczyzna. – Wie pani, gdzie ma iść?

– Tak, tak.

Prawie puszcza się biegiem na wypadek, gdyby lekarz chciał jej jeszcze zadać jakieś pytania, ale niepotrzebnie – już stracił nią zainteresowanie i wrócił do przeglądania dokumentów w telefonie.

Edyta idzie przed siebie. Stara się zachowywać pewnie i nie zwracać na siebie uwagi, ale wkrótce orientuje się, że nie ma takiej potrzeby. Nikt z personelu się nią nie interesuje. Wszyscy są zbyt zajęci obowiązkami. Najwyraźniej założyli, że skoro pokonała drzwi, to ma prawo tutaj być.

Dziennikarka zagląda do kolejnych sal, gdzie leżą pacjenci, szukając Błaszkwicza. W większości światła są już zgaszone. Wszyscy śpią. Pracuje tylko medyczna aparatura.

– Hej, mała!

Zatrzymuje się i cofa o kilka kroków. Pokój jest ciemny. Widzi tylko zarysy łóżek.

– No wchodź – słyszy znajomy głos.

Wsuwa się do pokoju Jarka. Zamyka za sobą drzwi.

– Mogę zapalić światło? – pyta Edyta.

– Jeśli musisz.

Dziennikarka naciska przełącznik na ścianie. Pokój zalewa ostre światło z jarzeniówek wiszących pod sufitem. Wreszcie może się przyjrzeć dziennikarzowi i dociera do niej, że gdyby sam jej nie zawołał, nigdy by go nie rozpoznała. Jego głowa jest cała pokryta grubym opatrunkiem. Oczy opuchnięte, ledwo je widać. Przypominają teraz dwie fioletowe piłeczki.

– Mam nadzieję, że przyniosłaś fajki – rzuca Błaszkwicz.

## Rozdział 74

Maciek Łoś widzi to wszystko tak dokładnie. Niczego by się nie spodziewała. Wystarczyłyby tylko dwa kroki w jej kierunku. Potem zacisnęłyby mocne dłonie na jej szyi. Pewnie nawet nie zdążyłaby zareagować. Ludziom się wydaje, że uduszenie kogoś to taka trudna sprawa. Że to zawsze walka, szamotanina, sapanie, zapasy i wysiłek. Cóż, faktycznie, jeśli robi się to źle. Sekret tkwił w tym, że w duszeniu nie chodziło o chwycenie za gardło, ale ściśnięcie tętnic szyjnych, które doprowadzają natlenioną krew do mózgu. Trzeba mieć do tego szerokie i silne dłonie. Łoś może i nie miał kondycji, ale jako kucharz spędzał długie godziny, krojąc, szatkując, ugniatając i tak dalej. Po takim zaciśnięciu osoba duszona straciłaby przytomność w ciągu kilku, góra kilkunastu sekund. Później trzeba by było ją jeszcze trochę tak przytrzymać, upewnić się, że umarła, a nie tylko zemdłała. W końcu żaden dusiciel by nie chciał, by niedoszła ofiara ocknęła się po minucie czy dwóch.

Zuzanna by się nawet nie broniła. Byłaby zbyt zaskoczona. Tylko wpatrywałaby się w niego szeroko otwartymi oczami, a jej usta poruszałyby się niemrawo, wypowiadając różne głupie pytania: co robisz, dlaczego? Patrzenie, jak uchodzi z niej życie, nie sprawiłoby mu przyjemności. Naprawdę ją przecież kochał. Ale pewnie przyniosłoby mu pewną ulgę. Pozwoliło wyrzucić z siebie trochę tego okropnego napięcia, które sprawiało, że bolały go całe plecy.

Potem nawet nie musiałby się kłopotać z ciałem. Przecież i tak planował uciec, wynieść się z kraju. Mógł więc je po prostu zostawić w sypialni. No, może ukryłby je pod łóżkiem albo wsadził do szafy. Nie chciał w końcu, by przez przypadek znaleźli ją ich synowie. Taka trauma była im zupełnie niepotrzebna.

Niczego takiego jednak nie robi. Ona wciąż patrzy na niego wyczekująco. Maciek bierze więc oddech i zaczyna się rozpakowywać. Zwitki banknotów chowa gdzieś między swetrami tak, by tego nie zauważyła. A potem wychodzi z sypialni i przez resztę dnia udaje, że nic się nie stało. Wkrótce ze szkoły wracają ich synowie. Zuzanna traci więc okazję do zadawania pytań. Maciek wie jednak, że temat wróci. Postanawia więc wykorzystać czas, by przygotować jakieś wytłumaczenie swojego zachowania. Tym razem uznaje, że będzie szczery. No, może nie do końca, ale w jego opowieści ma być więcej prawdy niż zazwyczaj.

Właściwy moment przychodzi wieczorem. Znajduje Zuzannę w ich sypialni. Siedzi przy toalecie, wmasowuje w twarz kolejną porcję kremów. Słyszy, jak on wchodzi. Spogląda na niego, ale nic nie mówi.

– Spanikowałem, rybko – odzywa się pierwszy.

Zuzanna zamiera. Potem odkłada tubkę z kremem na bok.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.

– A śledził cię? – pyta zaniepokojona.

– Nie, rybko. Jak teraz o tym myślę, to chyba nie. Wtedy myślałem, że tak.

– To ma coś wspólnego z tą porwaną piosenkarką?

Maciek kiwa głową, udając skruszonego.

– Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale w tej wsi, skąd pochodzę... – Łoś zawiesza na chwilę głos. – Kojarzysz nasz dom?

– Tak, oczywiście.

– A ten na posesji obok?

– Tę opuszczoną rudere?

Łoś potwierdza skinieniem głowy.

– Kiedyś nie była opuszczona. Mieszkali tam ludzie. Rodzina. Dobrzy ludzie. Zostali zamordowani. Wszyscy. Dwójka dorosłych i ich syn. Do dziś nie wiadomo dlaczego. Do dziś nie złapano sprawcy. A ja przez całe życie

zastanawiałem się, co by się stało, gdyby ten człowiek, który to zrobił, wybrał nasz dom, a nie ich.

Niewiarygodne, ale udaje mu się wymusić z siebie kilka łez. Czuje, że wszedł na zupełnie nowy poziom kłamstwa.

– Mój Boże... – szepcze Zuzanna.

– Wstyd przyznać, ale przez całe życie zmagalem się z tego powodu ze stanami lękowymi. Chodziłem do psychiatry. Dlatego tak zależało mi na tym programie przygodowym. To też była droga, żeby zmierzyć się z lękami, przezwyciężyć je. Wydawało mi się, że to zaleczyłem. Ale ta sprawa z Maggie... Poruszyła coś we mnie, rybko. To chyba przez tę piosenkę, którą śpiewała w radiu. Zawsze mi się kojarzyła z tym morderstwem. Bo ci nasi sąsiedzi... nazywali się Budzikowscy.

Uznał, że ziarno prawdy dobrze zrobi całej opowieści. A teraz czas na wielki finał.

– Spanikowałem, Zuza. Po prostu spanikowałem. Nie wiedziałem, co się dzieje.

Zuzanna podbiega do niego i mocno go przytula.

– Nie wiedziałam – mówi. – Przepraszam... Nie wiedziałam...

W swojej głowie Maciek Łoś słyszy oklaski zachwyconej widowni.

## Rozdział 75

– Niestety nie mam fajek – mówi Edyta.

Jarek Błaszkwicz poprawia się na szpitalnym łóżku. Jego ruchy są powolne. Wygląda na zmęczonego i dziennikarce przez moment wstyd, że zakłóca mu odpoczynek.

– No nic – mówi mężczyzna. – Przyzwyczaiałem się, że życie to pasmo gorzkich rozczarowań. Ornowski cię przysłał? Nie wiedziałem, że aż tak się o mnie troszczy.

– Nie.

– Nie? To tylko potwierdza moją tezę o tych gorzkich rozczarowaniach... to może chociaż czekoladki przyniosłaś?

– Też nie.

– Wy, młodzi... Nic was nie uczą o życiu i kindersztubie.

Edyta dopiero po chwili orientuje się, że dziennikarz żartuje. To z powodu tego wielkiego bandażu i opuchlizny, która sprawia, że Błaszkwicz ma mimikę egipskiej mumii.

– No siadaj, siadaj.

Edyta przysuwa sobie krzesło.

– To po co przysłaś? – pyta stary dziennikarz.

– Pomyślałam, że mam szansę na dobry materiał. Na wyłączność.

Teraz jest pewna, że Błaszkwicz się uśmiechnął. Edyta przełyka ślinę.

– Poza tym ten detektyw, z którym umówiłeś nam spotkanie... nie żyje. Ktoś go zabił.

– Szlag...

– Potem dowiedziałam się, że ty też zostałeś zaatakowany, wylądowałeś w szpitalu, i pomyślałam...

– Że te dwie sprawy się jakoś łączą?

– Bo się łączą, prawda? To nie może być przypadek.



Dziennikarz kiwa głową i od razu się krzywi. Ten prosty ruch sprawił mu ból. Edyta zastanawia się, na ile poważne są jego obrażenia. Niby wszystko wydaje się okej. Na pewno nie walczy o życie, jak przekazała jej Dorota, ale potem przypomina sobie, że z głową nigdy nic nie wiadomo. Myśli też sobie, że Błaszkwicza kilka godzin temu ktoś próbował zabić. Na zewnątrz przed pokojem powinien siedzieć policjant i go pilnować. Jak na amerykańskich filmach. A ona tu weszła bez trudu. Przecież mogłaby być mordercą, który zamierzał dokończyć swoje dzieło! Na samą myśl ciarki przechodzą jej po plecach.

– Widziałeś kogoś? – pyta. – Człowieka, który cię zaatakował?

– Tak... I miałem okazję mu się dobrze przyjrzeć.

– Naprawdę? Jak wyglądał? Kto to był?

Błaszkwicz zagryza wargi. Wbija wzrok w przestrzeń przed sobą, jakby widział tam osobę, która usiłowała go zamordować.

– Maciek Łoś – mówi. – To on mi tak przyłożył.

## Rozdział 76

Edycie udaje się utrzymać powagę przez dobrych kilka sekund. W końcu jednak nie wytrzymuje i parska śmiechem.

– Że co? – pyta.

Błaszkwicz mruga, kompletnie zaskoczony jej reakcją. Ma wrażenie, jakby nie załapał jakiegoś żartu.

– To, co powiedziałem. Wydaje mi się, że urządził mnie tak Maciek Łoś – powtarza na wszelki wypadek.

– Ten celebryta? – upewnia się Edyta. – I rozumiem, że walnął cię wielką chochlą, tak? Wyjął z gaci jak Królik Bugs czy inna postać z kreskówki, a jak ci nią przyłożył w łeb, to zobaczyłeś gwiazdki? Czy małe śpiewające ptaszki?

– To cię bawi?

Edyta nagle poważnieje.

– A to nie był żart? – pyta. Przygląda mu się teraz uważniej. Potrzebuje chwili, by spod tych wszystkich bandaży, w tym słabym świetle wyczytać cokolwiek z oczu doświadczonego kolegi po fachu. – Czeka, ty naprawdę myślisz, że uderzył cię telewizyjny kucharz?

Brzmi teraz tak, jakby zrobiło jej się nagle bardzo głupio, więc dla odmiany to Błaszkwicz próbuje się uśmiechnąć. Nie wychodzi, bo szerszy grymas wywołuje u niego syk i impuls bólu.

– Głupie, nie? – mówi po chwili. – Ale wtedy, cholera, właściwie to nawet teraz, dopóki nie powiedziałem tego na głos, mógłbym przysiąc, że to prawda. Chociaż jak tak teraz myślę, to... cholera, może mi się złało w jedno. Zobaczyłem jakiś billboard z reklamą, a potem...

Edyta kiwa głową.

– To się nazywa pamięć asocjacyjna. Twój mózg odtwarza rzeczy, których nie pamiętasz na podstawie skojarzeń.

– Znaczy co? Ktoś mnie stłukł, w domyśle na kwaśne jabłko, kwaśne jabłko to potencjalne danie, danie to kucharz i tak doszedłem do celebryty? To chcesz powiedzieć?

– Miałam raczej na myśli bitki albo rozbijanie tłuczkiem schabu, ale reszta się zgadza.

Tym razem oboje zaczynają się śmiać i przez chwilę jest tak, jakby znali się od lat. Jakby nie było między nimi dziennikarskiej różnicy pokolenia, jakby połączyły ich wspólne dyżury, a nie zbrodnia i porwanie. Trwa to tylko kilka sekund, ale ten śmiech zostawia ich oboje innymi, niż byli jeszcze przed paroma sekundami. Tak przynajmniej wydaje się Edycie.

– Ale już poważnie: co dokładnie pamiętasz? – pyta.

Błaszkwicz chce odpowiedzieć, lecz nagle spogląda w stronę drzwi. Edyta ogląda się i dostrzega wchodzącego Artura.

– Cześć. – Pisarz w geście przywitania podnosi rękę. – Przepraszam, miałem problemy z dostaniem się do środka.

– Ja też. Musiałam udawać nowo zatrudnioną ukraińską sprzątaczkę. A ty jak wszedłeś?

Artur rozkłada ręce.

– Wiem, ile się zarabia w służbie zdrowia. A w holu mają bankomat.

Następnie robi krok do przodu i przygląda się leżącemu na łóżku dziennikarzowi.

– Jak się czujesz? – pyta. – Bo wyglądasz, powiem szczerze, dość gównianie.

– Mentalnie nie lepiej. – Edyta puszcza do dziennikarza oko. – Na ten moment wydaje mu się, że załatwił go Maciek Łoś.

– Co takiego?

– No właśnie tak samo zareagowałam – odpowiada Edyta, po czym sięga do kieszeni po wibrujący telefon. Zerka na wyświetlacz i wzdycha głośno.

– Przepraszam. Muszę to odebrać.

Wychodzi na korytarz, zostawiając mężczyzn samych. Artur patrzy za nią, po czym podsuwa sobie niewielki stołek i siada przy łóżku. Rozgląda się, po czym pyta ściszym głosem:

– To o co chodzi z tym Łosiem?

Błaszkwicz się krzywi i ostrożnie poprawia na łóżku, podciągając nieco wyżej.

– Sorry, ale chyba nie chce mi się już drugi raz opowiadać – stwierdza. – Edyta mnie wyśmiała.

– Bo sam przyznasz, że brzmi to trochę tak, jakbyś powiedział, że widziałeś odcinek *Reksia*, w którym ten dostał wścieklizny i zagryzał dzieci.

Dziennikarz próbuje wzruszyć ramionami, ale to jeszcze głupszy pomysł niż próba uśmiechu. Zaciska zęby i syczy z bólu. Jest mu z tego powodu absurdalnie głupio, ale szczęśliwie akurat w tym momencie Edyta wraca, chowając telefon, i skupia na sobie uwagę pisarza.

– Co się stało? – pyta Artur. – Kto to był?

– Ewelina. Mówi, że Maggie się odnalazła.

Błaszkwicz natychmiast zapomina o bólu.

– Uciekła? – pyta.

– Tak. I podobno ten, kto ją porwał, nie żyje.

– Co to znaczy „nie żyje”? – pyta cicho Artur.

– No, zwykle chodzi o to... – zaczyna Edyta, ale pisarz ostro wchodzi jej w słowo.

– Dobra, daruj sobie te żarty – mówi. – Widzę, że jesteś w świetnym humorze, a nie wszystko jest dobrym tematem do kpin.

Edyta patrzy na niego, jak podnosi się z krzesła, nie do końca pewna, co powinna w tym momencie powiedzieć. Myśli, że faktycznie może trochę przesadziła. No ale za kogo on się uważa, żeby ją w ten sposób pouczać?

Chce mu wygarnąć, ale Artur już rusza w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz?

– Zadzwoń. Nie będę się w takich sprawach opierał na radiowych plotkach.

Rzeczywiście wychodzi i jeszcze przez moment odgłos jego kroków niesie się po korytarzu. Edyta wpatruje się w drzwi, czekając, aż stukot ucichnie, po czym siada na zwolnionym przez niego krzeselku.

– No co? – warczy, czując na sobie pełne skupienia spojrzenie Błaszkwicza.

– Jak wróciłaś, miałaś taką dziwną minę. Taką samą, jak gdy usłyszałaś, że napadł mnie... no sama wiesz kto.

– Nie mów o nim jak o Voldemorcie.

– O kim?

Edyta ma przez moment ochotę wytłumaczyć, już nawet otwiera usta, ale odpuszcza. Nawracanie mugoli to ostatnia rzecz, jaką powinna się teraz zajmować.

– Ewelina powiedziała coś jeszcze – mówi zamiast tego. – I myślę, że gdyby nie to, że jest tyle ofiar, pomyślałabym, że to faktycznie jakaś cholerna radiowa ustawka. Wiesz, kto ponoć uratował Maggie?

Starszy dziennikarz mimo obrażeń aż podnosi się na łokciach.

– Kto?

– Doda.

## Rozdział 77

Maggie celowo wybrała krzesło, nie fotel, który zaproponował jej poprzedni policjant. Od razu wiedziała, że jest podekscytowany rozmową z nią. Może fan, a może po prostu podjarło go, że będzie spisywał zeznania kogoś znanego? W każdym razie podziękowała. Fotel był głęboki, a ona nie chciała siedzieć niżej od rozmówcy.

Teraz jednak, gdy już prawie dziesięć minut przebywa tu, mając za towarzystwo jedynie stary komputer ze sprężynową klawiaturą i niedopity kubek kawy, poważnie rozważa, czy się nie przesiąść. Tylko boi się, że na wygodniejszym miejscu zwyczajnie zaśnie. A boi się spać. Boi się niespokojnego morza, jego czarnej toni, resztek strasznych wspomnień unoszących się na falach.

– Dzień dobry, pani Maggie.

Piosenkarka ogląda się gwałtownie. Nie usłyszała otwieranych drzwi, a teraz w progu widzi dojrzałego mężczyznę o przenikliwym spojrzeniu i zmęczonej twarzy z kilkudniową ciemną szczeciną.

– Dzień dobry – odpowiada Maggie, uświadamiając sobie, że widziała już tego mężczyznę kilka razy wcześniej i ma wrażenie, że to ktoś ważniejszy niż ci, z którymi rozmawiała. On uśmiecha się do niej półgębkiem i w tym grymasie widać od razu, że nie jest to twarz nawykła do tego typu wygibasów.

– Nazywam się Bekier, prowadzę tę sprawę – mówi. – Czy czuje się pani na siłach, by jeszcze chwilę porozmawiać?

Obchodzi biurko i siada na krześle. Maggie śledzi uważnie każdy jego ruch.

– Ale o czym? To znaczy wydawało mi się, że właśnie złożyłam zeznania.

Policjant kiwa głową, nie patrząc na nią, tylko w monitor. Ruchem myszki wybudza komputer, wpisuje hasło.

– Tak, oczywiście. Po prostu po lekturze raportu nasunęło mi się jeszcze kilka pytań, które pomogłyby... – Odwraca się i patrzy na nią przenikliwie.

– Po prostu pomogą w śledztwie.

– Chce pan powiedzieć, że mi nie wierzycie? – Maggie poprawia się nerwowo.

– Bynajmniej, pani Maggie. Spokojnie. To naprawdę tylko kilka dodatkowych pytań. Możemy?

Znowu odwraca się do komputera, wznosi ręce nad klawiaturę niczym pianista szykujący się do wykonania trudnego utworu.

– Skoro uważa pan, że to konieczne...

– Tylko od razu proszę o wyrozumiałość, piszę na komputerze wolniej niż kolega.

– Rozumiem.

Oboje czekają w milczeniu, aż uruchomi się edytor tekstu.

– Dobrze, możemy zaczynać – mówi wreszcie Bekier. – Wpisuje kilka słów jako tytuł, przeskakuje do następnej linijki i odwraca się do Maggie. – Zeznała pani, że w trakcie napaści dokonanej w posiadłości pana Ziemka, czyli – sprawdza w dokumentach i krzywi się na widok trudnego nazwiska

– Ireneusza Szczodrowskiego, napastnik miał na twarzy maskę z budzikiem. Zgadza się?

– Tak.

Komisarz notuje coś szybko.

– Potem jeszcze raz wspomina pani o budziku – podejmuje po chwili. – Ale od pewnego momentu mówi już pani o jego minach, reakcjach na konkretne sytuacje. Czy mam rozumieć, że wtedy już nie miał maski?

– Tak. Za którymś razem po prostu zszedł na dół z odsłoniętą twarzą.

– Co pani wtedy pomyślała?

Maggie czuje dreszcz na wspomnienie tamtego momentu, tamtej myśli. Jest tak realna, świeża, jakby piosenkarka znowu była w tamtej piwnicy, doświadczając tamtego strachu.

– Pomyślałam, że mnie zabije – mówi.

Komisarz kiwa głową, jednocześnie notując. Naciskane klawisze sprężynują głośno.

– Dlatego podjęła pani próbę ucieczki?

– Raczej dlatego, że byłam uwięziona – odpowiada Maggie. Przez moment myśli, że to mogło zabrzmieć jak złośliwość. Ale komisarz tylko znowu kiwa głową, a do tego uśmiecha się krzywo pod nosem.

– Tak, przepraszam, to było źle zadane pytanie – stwierdza. – Czy strach, że napastnik pokazał twarz, był bezpośrednim powodem, dla którego podjęła pani pierwszą próbę ucieczki?

– Tak, myślę, że tak. Spanikowałam.

Bekier i to notuje, ale tym razem myli się, bo międli pod nosem przekleństwo i szybko coś poprawia.

– Zeznała pani również – podejmuje, wciąż wpatrzony w monitor – że oprócz momentu porwania i tego incydentu podczas próby ucieczki napastnik nie stosował wobec pani przemocy fizycznej, tak?

– Raz spał mnie trytytkami, gdy wychodził – przypomina sobie Maggie.

– Za mocno, ale nie sądzę, by chciał sprawić mi ból.

– Mhm, raz, tak? – Policjant spogląda na nią. – Ale podczas pani pobytu opuszczał dom dwa razy?

– Tak. I dwa razy chciał mnie skuć.

– Dlaczego za drugim razem nie skuł?

– Wyprosiłam, by tego nie robił – mówi Maggie i tym razem wspomnienie tamtej chwili przyprawia ją o mdłości. Przełyka ślinę. – Powiedziałam, że chcę dokończyć naszą piosenkę.

– Tę, w której mieliście opowiedzieć jego historię o wiejskiej zbrodni sprzed prawie trzech dekad?

– Tak.

Komisarz odwraca się ku niej i zaplata ręce w piramidkę.



– Z ciekawości: czy próbowała pani wpleść w tę piosenkę jakieś wskazówki dla nas? To znaczy dla policji?

– Myślałam o tym, ale... – Maggie waha się przez krótką chwilę, czy mówić dalej, i w końcu wyjaśnia: – Widzi pan, on się zachowywał, jakby nie był sam, jakby było ich dwóch.

Policjant marszczy czoło. Sprawdza coś w leżącym na stole raporcie.

– Nie wspominała pani o tym wcześniej – zauważa. – Słyszała pani albo widziała kogoś drugiego?

– Nie, to raczej... Jakieś rozdwojenie jaźni albo coś.

– Może pani rozwinąć tę myśl?

Maggie wzrusza ramionami.

– No, najpierw wydawało mi się, że mówi o sobie w trzeciej osobie. Zawsze mnie to drażniło, więc zwracałam na to uwagę. Ale potem on zaczął... na przykład zmieniał mu się nagle nastrój i wydawało się, że jak jest zły, to wie inne rzeczy. Gdy zaproponowałam mu zrobienie zdjęć i wrzucenie ich na mój Instagram, on się najpierw zgodził, a potem wpadł w furję, że próbowałam go oszukać używając metadanych. No i ciągle wtedy pokazywał na swoją skroń.

Kopiuje zapamiętany gest.

Komisarz kiwa głową.

– Dobrze, rozumiem – mówi. Zamierza obrócić się do komputera, ale się rozmyśla. – Załóżmy jednak na moment, że po prostu jest ktoś drugi. Czy napastnik mówił o nim coś więcej? Wygląd, imię? Może mu się coś wymyśliło.

Maggie potrząsa głową.

– Nie pamiętam niczego takiego.

– A w jego opowieści? Nie było kogoś, kto by pasował na taką drugą osobę?

– W tej historii, którą opowiedział, nikt nie przeżył.

Komisarz kiwa głową, a ona przygląda mu się z uwagą. W końcu zbiera się na odwagę.

– Mogę teraz ja o coś zapytać?

– Pewnie, proszę.

– Czy... czy gdybym nie uciekła, byłaby szansa... Znaczy, czy mieliście w ogóle jakiś trop?

Bekier podnosi ręce nieco wyżej, tak że złączone palce zasłaniają mu teraz nos. Mruży oczy, a potem nagle odsuwa dłonie od twarzy i znowu uśmiecha się gorzko.

– Pies, którego pani oprawca zostawił na posesji pana, no... Ziemka, pochodził z prowadzonej przez niego pseudohodowli. Poszliśmy tym śladem, dotarliśmy do środowisk kibolskich, z którymi współpracował. Mieliśmy już tożsamość sprawcy i namierzenie miejsca jego pobytu to była kwestia godziny, może dwóch.

– Och... – wzdycha Maggie niepewna, co właściwie czuje w związku z usłyszaną przed chwilą informacją. Trochę jakby ktoś właśnie uruchomił w jej głowie śniegową kulę myśli.

– Ale powiem pani – kontynuuje komisarz – myślę, że gdyby nie ten pomysł wspólnego pisania piosenki, który kupił pani czas... cóż, moglibyśmy zwyczajnie nie zdążyć. Jestem pod wrażeniem pani opanowania.

– Dziękuję.

Komisarz rozplata dłonie, kładzie je na blacie i wstaje.

– W zasadzie z mojej strony to tyle... – Urywa i zatrzymuje się w pół kroku. – A nie, jest jeszcze jedna rzecz.

– Tak? – Maggie spogląda na niego zaniepokojona.

– Mojemu koledze powiedziała pani, że śmierć porywacza to nie był wypadek. Że to nie tak, że wyskoczył przed koła...

Maggie prostuje się na krześle, czuje, jak zaciska się jej gardło.

– Tak – mówi. – Celowo szarpnęłam za kierownicę. Chciałam, żeby to się skończyło.

Policjant przez chwilę się nie odzywa, tylko patrzy jej z powagą w oczy.

– I skończyło się – stwierdza w końcu. – Tym, że ten człowiek wyskoczył pod koła pędzącego samochodu. To takie ładne zakończenie tej historii i tak jest w raporcie. Po co komplikować sobie życie?

## Rozdział 78

Artura nie było dobre dwadzieścia minut, a teraz, gdy się zjawia, ma w rękach dwa kubki kawy. Jeden podaje Edycie.

– Dla ciebie, Jarek, nie brałem, bo nie wiem, czy ci służy.

– W porządku – odpowiada Błaszkwicz, choć zapach go nęci i po prawdzie chętnie by się napił.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – pyta Edyta.

Pisarz upija łyk kawy.

– Wyszedłem na zewnątrz pogadać przez telefon – mówi. – A potem znowu nie chcieli mnie wpuścić. Wiecie już coś więcej?

– Na razie niewiele – przyznaje Edyta. – Jarek dzwonił po swoich źródłach w policji i na razie dowiedział się tyle, że porywacz to NN. Żadnych dokumentów, żadnych śladów w kartotekach. Podobno były też jakieś zdjęcia, ale Maggie nie jest pewna, czy ich nie spalił po tym, jak przyszedł ranny i niszczył jakieś dokumenty. Mówi, że to mógł być porywacz jako dziecko.

– Myślimy, że to, co palił, to mogły być te materiały od Chrasta – dopowiada Błaszkwicz. – Te, które przywiózł na spotkanie. Zniszczył je, a jego współnik...

Artur unosi wolną rękę, jakby usiłował w ten sposób zatrzymać dziennikarza.

– Zaraz, po kolei. Jaki współnik? I o jakich zdjęciach mówiła ta piosenkarka?

– No, doszliśmy wspólnie do wniosku, że albo musiał mieć współnika, albo się teleportował – wyjaśnia Błaszkwicz. – Bo jeżeli zaatakował Chrasta na parkingu, to nie było fizycznej możliwości, by dotarł do agencji na Woli...

– ...przebrał się za Maćka Łosia – podrzuca Edyta, a pisarz zerka na nią z ukosa i potrząsa głową zniecierpliwiony, po czym zaraz znowu przenosi wzrok na dziennikarza.

– Dobra, naprawdę dajmy spokój żartom – prosi. – I co to znaczy, że nie miał możliwości? Nawet jakby jechał szybko?

– Wpisz w Google jego trasę – odpowiada Błaszkwicz. – Zobacz odległość i zastanów się, czy o tej godzinie mógł jechać szybko. A żeby być tam przede mną, musiałby naprawdę zasuwać.

Artur faktycznie sięga po telefon, ale się rozmyśla. Wierzy na słowo albo nie chce odkładać kawy. Zamiast tego bierze kolejny łyk.

– Okej, no dobrze. Czyli zakładamy współnika. A te zdjęcia?

– No, tu niewiele wiem, bo przy moim źródle padło to ledwie mimochodem – przyznaje stary dziennikarz. – Ale ponoć Maggie widziała zdjęcia, na których był porywacz jako nastolatek.

Pisarz błyskawicznie zerka w stronę Edyty.

– Czy to mógł być Seweryn Budzikowski?

– A skąd ja mam wiedzieć? – dziwi się reporterka. – Nie widziałam tych zdjęć.

– Odbijam myśl. Ale cholera, to może być nasz trop, nie? Seweryn Budzikowski, który mści się po latach za zbrodnie dokonane na jego rodzinie.

– Jasne, ale na kim się mści. Na Maggie?

– Może na mnie? – sugeruje Błaszkwicz. – Może chodzi o to, że nie zdołałem wtedy pomóc.

– Nie, Jarek. – Edyta kręci głową. – Nie sądzę, by chodziło o ciebie.

– A ja myślę, że może jednak trochę tak – mówi nagle Artur i Edyta zerka na niego wyraźnie zaskoczona.

– Jak to? Co masz na myśli?

Pisarz bierze większy łyk kawy, po czym odstawia kubek i zaczyna przechadzać się po sali.

– Zobacz, Budzikowski odezwał się kiedyś do Radia Zet. Myślisz, że tylko do nich? Bo ja sędzę, że próbował uderzyć wszędzie. Ale wszyscy na podstawie tego, co usłyszeli, uznali, że to nie jest materiał na ogólnopolską antenę, tak?

– No, ja również tak pomyślałem – przyznaje Błaszkwicz.

– Tak, uznałeś, że to nie dla Zetki. A jednocześnie próbowałeś działać. Nie zostawiłeś ich.

Stary dziennikarz zastanawia się przez chwilę, po czym wolno kiwa głową.

– No, faktycznie.

Artur celuje w niego palcem, po czym rusza dalej na przechadzkę po sali.

– Więc wyobraź sobie, że to, co zostaje w pamięci takiego młodego Seweryna, to że ktoś dokonał zbrodni i że jedynie w Radiu Zet mimo wszystko się tym zainteresowano. Dlatego kiedy teraz chciał, by go usłyszano, to...

– ...zgłosił się do Zetki – podejmuje Edyta i zaraz z ekscytacji klaszcze w dłoń. – To ma sens! Tylko co wspólnego ma z tym Maggie? Dlaczego mści się na niej?

Artur patrzy na nią i tym razem pozwala sobie na półuśmiech.

– A myślisz, że na niej? – pyta. – Wydaje mi się raczej, że to ma być jego tuba. Używa kogoś, kto obchodzi ludzi, żeby obeszła ich jego historia. Dlatego tak się zdenerwował, gdy nie wpuszczono go na antenę. Bo na tym opierał się jego plan.

– Ich plan – przypomina Błaszkwicz. – Pamiętaj, że najprawdopodobniej ma pomocnika.

Artur macha ręką zniecierpliwiony.

– Może tak, może nie – rzuca, po czym zwraca się do reporterki. – Dobra, Edyta, masz siłę jeszcze raz pojechać do Juchy? Myślę, że trzeba trochę mocniej przycisnąć tę sąsiadkę w temacie Seweryna. Może chłopak wrócił? Nie miał gdzie pójść, a pamiętaj, to był czerwiec, a to znaczy, że

mógł spokojnie spać po krzakach, podkradać jajka i żywić się owocami. Może kobieta pamięta coś tajemniczego z tamtego czasu? Jakież kradzieże?

– Jasne. Tylko musiałabym wziąć swoje auto, a... – Dziennikarka urywa i potrząsa głową. Ostatnie, o czym chce teraz mówić, to że jej zazdrosny chłopak śledzi jej samochód. Jakie to ma w tym momencie znaczenie? – Dobra, ogarnę. A ty co zamierzasz?

– Spróbuję jakoś dopchać się do Maggie i z nią pogadać – odpowiada pisarz. – No i pokażę jej zdjęcie nagrobka.

## Rozdział 79

Tobiasz Ornowski już ma otworzyć drzwi, kiedy nagle, gwałtownie i znikąd wpadają mu do głowy strzępy ostatniej rozmowy, jaką przeprowadził z piosenkarką. Znowu słyszy jej krzyk, płacz wściekłego porywacza, komunikującego mu, że swoją decyzją właśnie ją zabija. Na to wszystko nachodzi szum, odgłos walącego w piersi serca, przed oczami powidoki i mroczki. Wszystko wraca jak każde ohydne wspomnienie z tamtych cholernych wojen.

Przystaje i bierze kilka głębokich oddechów. Przypomina sobie rozmowy z terapeutką, ćwiczenia, które mu zaleciła. Wycisza się, a w końcu wyciera spocone ręce w dżinsy i gdy otwiera drzwi, gdy patrzy na piosenkarkę czekającą przed drzwiami, całą i zdrową, znowu jest sobą. Profesjonalistą. Uśmiecha się.

– Proszę, pani Maggie – mówi i od razu odsuwa się na bok. – Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się tutaj pani. To znaczy chodzi mi o to, że tak szybko...

Maggie mija go w progu. Wchodzi do gabinetu, kładzie torebkę na fotelu, ale nie siada.

– To z panem rozmawiałam, prawda? – pyta. – To pan zdecydował, żeby nie wpuścić mnie na antenę.

Ornowski spodziewał się tego pytania, ale i tak gdy je teraz słyszy, robi mu się nieprzyjemnie.

– Tak. To była moja decyzja – odpowiada. – Jeśli pani chce na mnie odreagować, zrozumieć. Ale jeśli pani chce, mogę też na spokojnie wyjaśnić...

– Ani jedno, ani drugie nie będzie potrzebne – przerywa mu piosenkarka. – Jest dla mnie jasne, dlaczego pan to zrobił, i myślę, że to była dobra decyzja.



– Cieszę się – odpowiada Ornowski z autentyczną ulgą. – Przede wszystkim zaś cieszę się, że tak to się skończyło. Jeśli mogę być szczerzy...

– Tak, proszę.

Mimo pozwolenia Ornowski się waha. W końcu jednak uznaje, że to ważne. Dla niego. Może i dla niej, jeśli podziela tę myśl.

– Czuję dodatkową ulgę, wiedząc, że ten człowiek nie żyje. Miałem z nim osobistą styczność...

Artystka mruży oczy i przygląda się mężczyźnie tak, jakby dopiero teraz dostrzegła opuchliznę na jego twarzy.

– To jego sprawka? – Wykonuje ruch ręką, jakby próbowała zakreślić w powietrzu owal głowy rozmówcy.

– Tak, ale jeszcze bardziej, niż mnie pokieroszował... Wie pani co, chyba nie powinniśmy o tym rozmawiać, przepraszam. Przeżyła pani tak dużo i to teraz ostatni temat, na którym powinna się pani skupiać. Ten człowiek nie żyje. Nikogo już więcej nie skrzywdzi.

Na te słowa piosenkarka nie odpowiada od razu. Przygląda się redaktorowi w milczeniu. W końcu kiwa głową.

– Tak – dodaje, wzmacniając gest słowem.

Na długie kilkanaście sekund zapada cisza, która jednak nie jest niezręczna. Wręcz przeciwnie, potrzebna, by niczym w niezasypany dół zapadły się w nią wszystkie drobne kwestie związane z porywaczem i jego losem.

Gdy ten czas mija, Ornowski odzywa się pierwszy:

– Proszę mi powiedzieć, z czym pani do mnie przychodzi. Mogę jakoś pomóc?

– W zasadzie to tak – stwierdza piosenkarka. – Bo widzi pan... gdy tam byłam, Pan Budzik...

– Tak się przedstawił?

– Tak go nazywałam, bo miał budzik na masce, którą nosił. W każdym razie on, my... napisaliśmy wspólnie piosenkę.

– Rozumiem. Ma pani na myśli tę przeróbkę *Zegara* Edyty Bartosiewicz? Maggie kręci głową.

– Nie, tę napisał sam. Później, gdy tam byłam, napisaliśmy jeszcze jedną. Wspólnie – wyjaśnia. – To w zasadzie jego historia, ale opowiedziana także trochę przeze mnie. Gdy wróciłam do domu, teraz, po przesłuchaniach, poprawiłam ją trochę, co nieco zmieniłam i...

Bierze głębszy oddech i na moment przymyka oczy. Ornowski jest przekonany, że wie, co ona w tej chwili czuje. Miał to samo, zanim otworzył drzwi.

– ...i chciałabym, żeby puścił ją pan na antenie.

Spodziewał się tej prośby na moment, nim padła, ale i tak, gdy ją słyszy, czuje ukłucie. Bo wie, co musi odpowiedzieć.

Bierze głębszy oddech.

– Pani Maggie, proszę wybaczyć, ale nie mogę. To nadal jest głos porywacza...

– ...który nie żyje – zauważa Maggie.

– Owszem, nie żyje – zgadza się Ornowski. – Ale inni żyją. Tacy, którzy usłyszą, a za dzień, miesiąc czy pięć lat mogą pomyśleć, że to jest sposób. Że nawet jeśli umrą, to ich unieśmiertelni. Jeżeli teraz pokażemy, że dajemy głos porywaczom, mordercom, terrorystom...

– Tylko że to już nie jest jego głos, panie producencie – oponuje artystka.

– To moja piosenka. Jak mówię, przerobiłam ją, by była właśnie moim głosem. By...

Przerywa, by zebrać myśli. Ornowski wie, jakie to ważne, więc nie zamierza przerywać.

– Widzi pan, myślę, że to był mój oprawca, ale i ofiara – odzywa się w końcu Maggie. – Czegoś albo kogoś, nie wiem. Ale rozumiem jego potrzebę wykrzyczenia tego, wyśpiewania. Opowiedzenia historii. Pisałam z nim ten tekst i przez chwilę to faktycznie była jego opowieść, natomiast wczoraj przepisałam ją i teraz jest moja. Opowiada o mnie i o tym, co

czuję. Owszem, są w niej echa jego historii i bólu, ale tylko na zasadzie pewnych podobieństw. Tak to już jest, że my zwykle, nawet jak mówimy o kimś, to jednak o sobie.

– My? – nie rozumie Ornowski.

– Artyści.

Przez kilka długich sekund patrzą na siebie i Ornowski ma to samo uczucie co za każdym razem, gdy spotyka kogoś, kto również był kiedyś na tych samych frontach co on. Kto widział to samo okrucieństwo, zajrzał za brudne kulisy świata.

Wie, że oboje są teraz w tym samym klanie. Ludzi, którzy już nigdy nie prześpią spokojnie całej nocy.

– Muszę to skonsultować – stwierdza w końcu Ornowski. – Ma pani przy sobie tę piosenkę?

Znowu ten smutny uśmiech na jej twarzy.

– Mam. Na pendrivie też.

## Rozdział 80

No dobra, myśli Jarosław Błaszkwicz, gdy wreszcie zostaje sam, a jego organizm przestaje reagować szokiem na środki przeciwbólowe – to naprawdę brzmi głupio. Pomysł, że tam, w agencji, zaatakował go osobiście ulubieniec polskiego internetu, jest równie absurdalny jak to, że porwaną piosenkarkę ratuje diwa polskiego popu.

– A jednak to drugie się zdarzyło.

Uświadamia sobie, że powiedział to na głos, więc na ile może, rozgląda się po sali, czy nikt go nie słyszał. Uspokojony wraca do wypowiedzianej myśli. No tak, zdarzyło się, że Doda uratowała Maggie. Ale czy jedna taka niezwykła okoliczność zaraz usprawiedliwia drugą? Co na to statystyka?

Była kiedyś, przypomina sobie, taka anegdota o pilocie, który wsiadając do samolotu, zawsze miał ze sobą bombę. Gdy go w końcu złapano i zapytano, dlaczego to robił, podał im wyliczenia, jakie jest prawdopodobieństwo, że na pokładzie samolotu znajdą się równocześnie dwie bomby.

Uśmiecha się na tę myśl, ale ten celebryta nie daje mu spokoju. Bo przecież go, cholera, widział! Czy to naprawdę możliwe, by skutkiem obrażeń dwa obrazy zlały mu się w jedno? Żeby twarz celebryty z plakatu wkleiła się w rzeczywistą osobę? Trochę jak te dziwne filmiki, które zaczynają krążyć po internecie. Jak to się nazywa? Deepfake?

Sięga po telefon i przegląda aplikacje. Jedna z nich od dawna leży odłogiem, ale nie dlatego, że Błaszkwicz nie wie, jak jej używać. Instagram. Jedna z jego dziewczyn była w tym całkiem dobra. Do tego stopnia, że to tam właśnie znalazła swoją nową wielką miłość, dla której go zostawiła. Ale zanim to się wydarzyło, nauczyła go podstaw. Jak choćby wyszukiwania po hashtagach.

Jarek nie wie, dlaczego wpisuje teraz hasztag z imieniem i nazwiskiem kucharza. Może po prostu chce utwierdzić się w przekonaniu, że taki miły gość jak on nie może być jednocześnie człowiekiem, który włamał się do agencji, a potem jeszcze próbował go zabić? Na pewno jednak nie szuka niczego konkretnego. Zresztą co miałyby znaleźć pośród tych wszystkich memów, zdjęć z wniebowziętymi fanami, screenów ze śniadaniowych telewizji i całej reszty. Przecież...

I nagle zamiera.

Na czwartym wyświetlonym zdjęciu widzi kucharza z jakimś chłopakiem. Celebryta jest ubrany w trekkingowe spodnie i jasną kurtkę, tak jak Błaszkwicz zapamiętał napastnika z agencji. Uśmiecha się, obejmując chłopaka, a obok nich leży przewrócona hulajnoga. Najważniejsze jednak, że Błaszkwicz rozpoznaje okolicę w tle. To dosłownie rzut kamieniem od agencji!

– To nie może być przypadek – mówi na głos. – To nie może być, cholera, przypadek!

Tylko skąd wiedział? Przecież Chrast był paranoikiem. O tym, że ma jakieś materiały, wiedziało zaledwie kilka osób. Błaszkwicz, Edyta, Artur i...

Zamyka Instagram i szybko znajduje numer. Wciąż jest osłabiony, a emocje wcale nie pomagają. Zaczyna go boleć głowa, czuje też, że obraz trochę mu się rozmywa. Mimo to wybiera z listy kontaktów właściwy numer. Tobiasza Ornowskiego.

Odczekuje dwa sygnały, po czym słyszy głos redaktora:

– Cześć, rozumiem, że już do ciebie dotarły dobre wiadomości?

Błaszkwicz potrzebuje kilku sekund, by zrozumieć, o czym mowa.

– Chodzi ci o uwolnienie Maggie i śmierć porywacza? – upewnia się. – Jeśli tak, to owszem. Bardzo się cieszę.

– No, ja również – mówi Ornowski, lecz w jego głosie nie pobrzmiwa za wiele radości. – Ale jeśli w takim razie dzwonisz w sprawie tego, o czym

gadaliśmy, to jeszcze nie rozmawiałem z Edytą. Jeśli jednak okaże się, że to, co dostała od twojego kolegi, jest dobre, być może zdecydujemy się to kupić, by teraz, możliwie na spokojnie, przeprowadzić śledztwo.

Jarek czuje na plecach zimny dreszcz i już otwiera usta, by opowiedzieć o losie detektywa, ale uznaje, że to nie jest właściwy czas na tłumaczenie i odpowiadanie na pytania.

– Dobra, Tobiasz, ale ja nie o tym – rzuca możliwie nonszalancko. – Sprawę mam. Tylko od razu powiem, że bardzo nietypową.

– Dawaj.

– Muszę wiedzieć... tylko naprawdę to może być bardzo dziwne pytanie, a nie będę miał teraz czasu, żeby wyjaśniać...

– Pytasz albo nie – niecierpliwi się Ornowski. – Mam za sobą trudną rozmowę i ogólnie czas. Pytaj, ja odpowiem i zamykamy temat. Gra?

– Gra – zgadza się dziennikarz, a mimo to wciąż się waha. – Czy istnieje szansa, że... Albo nie, inaczej. Czy od naszej rozmowy na temat Chrasta widziałeś się może z... Maćkiem Łosiem?

– Mać... A co on ma nagle do rzeczy?

– Tak lub nie, Tobiasz – przypomina Błaszkwicz. – Widziałeś się z nim?

– Nie, nie widziałem się z Maćkiem Ło... – Ornowski nagle urywa, by zaraz podjąć nieco głośniejsze. – Ty, czekaj, ale on miał być w radiu dzisiaj! W sensie dzwoniła jego żona, ona jest menadżerką, i umawiała go na jakieś pilne spotkanie.

I znowu ten szum w uszach. Błaszkwicz czuje, że palce zaczynają go swędzieć. Dwie bomby w samolocie. Statystyka. Chrzanić statystykę! To się dzieje!

– O której to spotkanie? – pyta, czując, że zaschło mu w gardle. – I z kim konkretnie się widział?

– No właśnie z nikim, bo ponoć nie dotarł – odpowiada Ornowski. – Co jest dziwne, bo na pewno był w budynku. Grażka z marketingu go nawet wpuściła do środka. Gdy byłem w kuchni, to słyszałem, jak się potem

dziwiła, co go tak nagle wywiało. Powiesz mi, dlaczego akurat o niego pytasz?

– Później tak – obiecuje Ornowski. – Ale teraz muszę coś załatwić. Dzięki.

Rozłącza się i szybko wybiera numer Edyty.

Zamiast sygnału słyszy jednak komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny.

## Rozdział 81

Zestaw głośnomówiący w aucie ma jakieś opóźnienie, przez co Edyta najpierw widzi imię Artura na wyświetlaczu, a dopiero potem słyszy dźwięk telefonu. Przez moment zastanawia się, czy ten cholerny Łukasz nie zamontował tu też podsłuchu, ale po namyśle uznaje, że walić to. Odbiera.

– I co, masz coś? – pyta.

– Nic, cholera, nie mam szans się do niej dobić – mówi Artur, a jego głos ledwo przebija się przez szum. – Myślałem, że ją złapię u was, na Żurawiej, ale nie. Potem zdobyłem nawet jej adres, ale w domu też jej nie ma. Pewnie przeniosła się do rodziców albo gdzieś. Raczej nic związanego z ochroną policyjną, bo po mieście ponoć chodzi. W radiu była na przykład, rozmawiała z redaktorem Ornowskim, ale ten chyba ją spławił.

– Jak to spławił? – Edyta podkreśla głośność.

– No nie wiem jak, to ty tam pracujesz, ty masz tam przyjaciół. Ja z tym facetem rozmawiałem parę razy w życiu, nie wiem, jaki jest. Generalnie dowiedziałem się tylko, że była, rozmawiali o czymś i wyszła niezadowolona.

– Ale co to znaczy niezadowolona?

– Nie wiem, Edyta, nie miałem okazji przeprowadzić cholernej ankiety! – Artur podnosi głos i teraz nareszcie dziennikarka dobrze go słyszy. To niewątpliwy plus, ale już jego aktualny ton zupełnie jej się nie podoba.

– Nie podnoś na mnie głosu z łaski swojej. Pytam tylko, tak?

Zatrzymuje się na światłach i wykorzystuje ten moment, by poprawić ułożenie telefonu w uchwycie.

– Masz rację, przepraszam – reflektuje się Artur. – Tylko, cholera, czuję, że to ważne jest.

– Żebyś się z nią spotkał?



– Żeby się dowiedzieć, czy było więcej piosenek albo co jeszcze chciał i planował przekazać – wyjaśnia pisarz. – Żeby ta historia nie uciekła.

Światło się zmienia i Edyta rusza.

– Nie ucieknie. Sprawca nie żyje.

– Jeden ze sprawców, słyszałaś Błaszkwicza. I o tym też chcę z nią porozmawiać. Co wie na temat drugiego sprawcy. I o zdjęciach. Jesteśmy blisko rozwiązania tej całej zagadki, Edyta, ale jak teraz odpuścimy, to wszystko się rozmyje.

– Nikt nie mówi nic o odpuszczaniu – zauważa Edyta – ale tej dziewczynie należy się teraz chwila spokoju, nie sądzisz?

Przez chwilę pisarz nic nie mówi i dziennikarka jest już pewna, że zerwało połączenie albo straciła zasięg. Okazuje się jednak, że nie. Artur po prostu milczy.

– Nie ma znaczenia, co sądzę – odzywa się w końcu. – Liczy się to, że z czasem zacierają się szczegóły i detale.

– Dobra, Artur, rozumiem, co chcesz powiedzieć, naprawdę. Mam tylko jedną prośbę, dobra? Nie rób niczego głupiego.

– Co masz na myśli?

– Gdybym wiedziała, co dokładnie, tobym doprecyzowała – mówi. – Chodzi mi o to, żebyś nie szarżował. Nie chciałabym, żeby coś ci się stało, jak temu Chrastowi. Albo żebyś niechcący ściągnął na piosenkarkę jakieś dodatkowe kłopoty.

– W jaki sposób miałbym...

Edyta zerka na siebie w lusterku, jakby chciała powiedzieć własnemu odbiciu: widzisz, z czym muszę się użerać? Odbicie przewraca oczami na znak, że rozumie.

– Ogólnie mówię, tak? Jeżeli ta piosenkarka się teraz ukrywa na przykład, a ty zaczniesz jej szukać, używać jakichś kontaktów, to możesz kogoś na nią naprowadzić.

– Nie jestem głupi, Edyta.

W jego głosie brzmi pretensja obruszonego dziecka i jest to z jakiegoś powodu tak zabawne, że Edyta przygryza policzek od środka, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie trzeba być głupim, by popełniać błędy, Artur.

Przez chwilę skupia się na groteskowo wielkim pick-upie, któremu zebrało się na wyprzedzanie akurat na częściowo remontowanym odcinku w zabudowanym terenie. Edyta dobija jak najbliżej do chodnika i zwalnia, czekając, aż spieszący się idiota ją wyprzedzi. Co to się mówi o typach w wielkich autach?

– Gdzie jesteś? – pyta Artur.

– Już w wiosce. Właśnie mijam naszych wspaniałych znajomych.

Dziennikarka macha pijaczkom, ale ci są zajęci rozmową i zupełnie jej nie zauważają.

– Mówisz o tych dwóch ochlaptusach? – upewnia się pisarz.

– O tych samych – odpowiada Edyta. – Są tu tak wpisani w krajobraz, że dziwię się, że Google Maps ich nie uwzględni na zdjęciach. A może uwzględni? Nie sprawdzałam w sumie.

– Pamiętasz, o co ją zapytać? Tę sąsiadkę znaczy?

– Nie jestem głupia, Artur – mówi, celowo parafrazując jego słowa i złośliwie naśladowując ton.

– Nie trzeba być głupią, by o czymś zapomnieć, Edyta – odcina się pisarz.

Edyta raz jeszcze zerka w stronę lusterka i tym razem uśmiecha się do odbicia. Uśmiech jest w jakiś sposób przyznaniem, że chyba jednak lubi tego faceta. Bystry, z dystansem, z podobnym spojrzeniem na wiele spraw. Fajny jest. Tak po prostu.

Tymczasem za zakrętem asfalt pod kołami przechodzi w żwirówkę. W oddali widać już dom Budzikowskich.

– Dobra, kończę powoli – postanawia. – Jestem prawie na miejscu. Jak załatwię tutaj i wrócę do Warszawy, to podejść do radia i spróbuję się

czegoś więcej dowiedzieć o Maggie, okej?

– Jasne – mówi pisarz i po krótkiej pauzie dodaje: – Dzięki.

– Nie masz za co mi dziękować, to nasza wspólna sprawa jest. Poza tym nie chcę, żeby cały ten skomplikowany temat skończył potem jako spisany na kolanie piętnastominutowy odcineczek podcastu.

Pisarz wybucha śmiechem.

– Zawsze będziesz mi wypominać, co?

– Zawsze to bardzo długo, Artur. Jeszcze nie wiem, ile będziemy się znali – odpowiada Edyta, siląc się na powagę, której jednak nie wystarcza na zbyt długo. – Ale dobra, pogadamy później, tak? Bo właśnie dojechałam i pani sąsiadka wyszła mi naprzeciw.

– Ma sztucer?

Edyta wybucha śmiechem.

– Zadzwoń w powrotnej, pa!

Rozłącza się, zatrzymuje i odpina pas. Nagle zawiesza się przy tej czynności, czując, jak dopadają ją wspomnienia spod domu Ziemka. To jak niespodziewane zanurzenie w mętnej czarnej wodzie. Edyta przymyka oczy. Liczy do dziesięciu. Otwiera oczy. Wysiada.

## Rozdział 82

Maciek siedzi w pokoju. Zajął miejsce na skraju łóżka, tyłem do drzwi i bokiem do dużego lustra, tak by w razie potrzeby móc przybrać maskę, ale i skontrolować, jak leży. Mógłby co prawda zamknąć się w łazience i wtedy zupełnie nie przejmować się maskami, przynajmniej przez chwilę. Ale z tego rozwiązania wyjątkowo nie chciał korzystać. W tej chwili odrzucała go wizja jakiegokolwiek zamknięcia.

Siedzi i oddycha wolno, odtwarzając sobie wszystkie zajścia od momentu, gdy usłyszał w radiu tamtą cholerną audycję. Analizuje wydarzenie po wydarzeniu i właściwie nie umie stwierdzić, czy faktycznie wszechświat mu sprzyja czy wręcz przeciwnie. Czuje gniew, frustrację, bo nie umie oszacować w głowie przeszkody przed sobą ani nawet dookreślić, w jakim punkcie teraz się znajduje. Czego powinien się obawiać i na co zareagować.

I nagle słyszy za sobą ruch. Jest pewien, że to Zuzanna staje w drzwiach, pewnie opiera się o framugę i przygląda jego plecom. Maciek więc odruchowo się prostuje i wolno nakłada na twarz uśmiech. Sprawdza w odbiciu i stwierdza, że leży jak ulał.

Mimo to milczy. Czeka, aż ona pierwsza się odezwie.

– Wszystko w porządku, Maciek? Rozumiem, że słyszałeś już wiadomość o tej Maggie?

– Tak, słyszałem.

– Jak się czujesz? – pyta go żona.

I to jest dobry moment, by się odwrócić. By spojrzeć na nią i uspokoić ją uśmiechem. Tak właśnie robi.

– Dobrze, rybko. Trochę odetchnąłem. Gdzie są chłopcy?

– Dzisiaj po lekcjach mają jeszcze angielski. Potem po nich pojedę.

– A, to dobrze, tak. – Uśmiecha się. Szeroko, ale nie za bardzo, jeszcze troszkę. O tak, jest idealnie. – I dziękuję, że to załatwisz.

Już wypowiadając te słowa, zdaje sobie sprawę, że brzmią głupio. Ściąga więc uśmiech i kryje je za szybko przywdzianym roztargnieniem.

Zuzanna oczywiście łapie się na to od razu. Kocha ją, ale rany, czasami jest tak prosta w obsłudze.

– Na pewno wszystko dobrze? – upewnia się i zaraz płoszy, uciekając wzrokiem w bok. – Przepraszam, głupie pytanie, zważywszy na to...

– Nie, kochanie, to ja przepraszam. – Łoś wchodzi jej w słowo. – Sam trochę nie rozumiem tego, jak się zachowuję. No i uświadomiłem sobie, że nie powinienem był trzymać takich rzeczy w tajemnicy przed tobą. I powiem ci, rybko, nie chcę mówić, że to wszystko, co się wydarzyło... że dobrze się stało, ale teraz, kiedy wiesz wszystko, czuję nawet pewną ulgę.

Każde słowo w punkt. Każde idealnie wymierzone. Efekt spodziewany i Maciek cieszy się, bo przynajmniej tu, na tym polu wie, że odzyskał kontrolę.

– To świetnie, naprawdę – mówi Zuzanna. – Ale myślę, że poza wszystkim powinieś to przepracować z jakimś terapeutą. Jak chcesz, znajdę kogoś dyskretnego...

Łoś marszczy czoło, udaje, że to rozważa, ale w końcu lekko kręci głową.

– Sam nie wiem – mówi. – Pomyślę o tym, dobrze?

– Pewnie. – Zuzanna uśmiecha się. To piękny uśmiech z delikatną nutką ulgi. Zaraz potem pyta: – Masz może ochotę na kawę? Parzona na zimno.

– Macerowana – poprawia ją odruchowo. – Nie można parzyć na...

Przerywa, a widząc jej minę i figlarne błyski w oczach, grozi jej palcem.

– O, ty prowokatorko.

Oboje wybuchają śmiechem, któremu dają czas wybrzmieć.

– I dzwoniłam do radia – mówi potem Zuzanna. – Załatwiłam tę sprawę, więc nie musisz się denerwować. Nadal uważają cię za najmilszego człowieka w kraju.

Pytanie jak długo, zastanawia się Maciek, ale szybko tłumi tę myśl. Takie chwile zwątpienia najtrudniej jest ukryć.

– Świetnie, dziękuję ci bardzo – mówi na głos. – I przepraszam jeszcze raz.

– Daj spokój. – Zuzanna macha ręką. – A swoją drogą słyszałeś, że Maggie wypuściła do sieci tę piosenkę?

Tego się nie spodziewał. Jego twarz mimowolnie tężeje, gdy Łoś patrzy na żonę w skupieniu.

– Jaką piosenkę? – pyta.

– No tę, którą podobno pisała razem z porywaczem. Wrzuciła do internetu i...

Łoś podrywa się gwałtownie. Zbyt gwałtownie, cholera. Ruch, którego nie zamaskuje już byle uśmiechem. Zresztą wcale nie chce tego robić.

– Można tego posłuchać? Gdzie jest laptop?

Zuzanna przygląda mu się z zaniepokojeniem.

– Jesteś pewien, że to dobry...

– Gdzie jest laptop?!

Mija ją w progę, wchodzi do salonu i uruchamia komputer. Wybudza go i szybko wpisuje słowa, które uznaje za kluczowe. Utwór znajduje bez trudu. Już ma kilkaset tysięcy wyświetleń.

Wciska play.

Nie słyszy słów. Słyszy śmiech. Śmiech cholernego wszechświata. Zdrajcy, który właśnie wyciął mu numer.

Wstaje i rusza do przedpokoju, czując na sobie spojrzenie żony. Słyszy jej głos:

– Maciek, proszę cię. Gdzie ty idziesz? Maciek?!

Nie odwraca się. Jeśli to wszystko zamknie, potem jakoś jej wytłumaczy. W przeciwnym razie... to nie będzie miało znaczenia.

## Rozdział 83

Siedzą w salonie, jedna obok drugiej, jak najlepsze przyjaciółki. Gospodyni pachnie świeżym potem, który mimo wszystko przebija spod wyjątkowo ciężkich perfum. Na stole leży keks, obok dzbanek z wodą i dwie szklanki. Edyta dostrzega, że ta przeznaczona dla niej ma smugi po płynie, więc choć chce jej się pić, nie sięga po nią.

Sąsiadka Budzikowskich najwyraźniej nie ma takich oporów, bo jednym haustem opróżnia swoją szklankę, odstawia ją i ociera usta.

– Proszę wybaczyć ciekawość – zwraca się do Edyty. – Ale właściwie po co pani znowu przyjechała?

Głos ma spokojny, lecz w jej oczach daje się dostrzec zarówno zdziwienie, jak i zaskoczenie. Może też drobinę niepokoju, choć ten jest akurat zrozumiały w takiej sytuacji.

Edyta dochodzi do wniosku, że ze zdenerwowanej kobiety za wiele nie wyciągnie, więc postanawia ją uspokoić.

– Wie pani, tamto nasze spotkanie... Można chyba powiedzieć, że byłam dość zdenerwowana na początku, a potem ten telefon, musiałam wyjść... – Urywa, jednocześnie szukając w głowie właściwej myśli, właściwego wyjaśnienia. – Chodzi mi o to, że mój kolega nie zadał wszystkich pytań. Dlatego bardzo się cieszę, że znalazła pani jeszcze chwilę...

Sąsiadka uśmiecha się półgębkiem, ale nie mówi ani słowa. Edyta decyduje się więc na niewinne kłamstwo. Trik dziennikarski polegający na zbudowaniu w rozmówcy przekonania o jego wyjątkowości.

– Próbowalam rozmawiać z innymi mieszkańcami wioski, ale... proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę atakować pani sąsiadów. Rzecz w tym, że nie byłam pewna ich intencji.

Sąsiadka mruży oczy.

– Oczekiwali pieniędzy?

– To też, ale na to byłam przygotowana. Chodzi raczej o to, jak mnie traktowali.

-Jak?

Edyta porusza ustami, jakby coś żuła, po czym potrząsa głową.

– Powiem tylko, że póki co pani jedna okazała nam serce i zrozumienie.

Tym razem uśmiech na twarzy gospodyni jest szerszy i jakby bardziej szczery. Czyli chyba się udało.

– Proszę pytać – mówi w końcu starsza kobieta.

– O tę śmierć Budzikowskich chciałam... – zaczyna Edyta. – Powiedziała pani, że to były jakieś porachunki gangów, tak?

Kobieta kiwa głową, nagle znowu czujna, niespokojna.

– A napastnik był jeden i używał noża, nie broni palnej – ciągnie dalej dziennikarka.

Sąsiadka potwierdza skinieniem i zaraz również słowami:

– Tak, wszystko się zgadza.

– Jak pani myśli, dlaczego tak? – chce wiedzieć Edyta. – Przecież porachunki gangów w tamtych czasach zwykle wyglądały inaczej. To znaczy więcej napastników, broń palna, najczęściej maszynowa...

Przygląda się starszej kobiecie. Ta nie odpowiada od razu. Sprawia raczej wrażenie, jakby układała sobie w głowie słowa do wypowiedzenia.

Edyta myśli, że starsi ludzie często dużo mocniej cenią sobie wagę słowa. Czeką więc cierpliwie na odpowiedź.

– Nie wiem, może chcieli udawać, że to było coś innego? – rzuca w końcu starsza pani. – To znaczy... jak to się mówi? Upozorować?

– To znaczy zasugerować wszystkim, że to był jakiś szalenciec, tak? – podpowiada reporterka. – Albo coś innego niż gangsterskie porachunki? To pani ma na myśli?

Sąsiadka aż klaszcze w ręce.

– Aha! Właśnie tak!



– Rozumiem, w sumie ciekawe spostrzeżenie. – Edyta udaje, że notuje je w telefonie. – A pamięta pani może, czy taka hipoteza była w ogóle rozważana?

– Nie rozumiem.

– No czy policja brała pod uwagę, że to jakiś szaleniec? – rozwija Edyta.

– Wie pani, zwykle jak się coś pozoruje, to nadaje się temu odpowiednią wiarygodność. Gdybym ja była szefem takiego gangu i chciała coś upozorować, to pozostawiłabym mnóstwo śladów. A tu chyba nie było nic takiego, prawda?

Sąsiadka sięga dłonią do ust, jakby właśnie czknęła.

– No bo on, znaczy Budzikowski... – zaczyna, ale Edyta lekceważąco macha dłonią.

– Tak, wiem. Budzikowski pracował z gangsterami, więc to było logiczne. Ale wtedy po co cała ta szopka?

– Nie wiem...

– Proszę się nie stresować – uśmiecha się Edyta. – Ja bardziej siebie pytam niż panią. Choć przyznaję, liczę, że może się coś pani przy okazji przypomni.

Zdecydowanie nie uspokaja to sąsiadki, która siedzi coraz bardziej spięta, już prawie na krawędzi kanapy.

Edyta wie, że musi być teraz ostrożna. Żyłka jest naprężona najmocniej jak się da. Jeden fałszywy ruch i rybka się zerwie. A wątpi, by ktoś inny w wiosce był tak rozmowny.

– A pamięta pani może coś jeszcze z tamtego czerwca? A może z lipca? – sugeruje. – Ludzie skarżyli się na jakieś kradzieże żywności czy włamania...

– To było dawno temu, przepraszam. – Starsza pani robi skruszoną minę.

– Nie pamiętam takich szczegółów. Wiem tylko, że wszyscy bardzo żyli tą sprawą.

– Zrozumiałe. Ale chciałam się tylko dowiedzieć, czy...

– Napije się pani herbaty? – pyta nagle sąsiadka. Robi to bardzo stanowczo, więc Edyta robi krok w tył. Nie ma co cisnąć na siłę. Uśmiecha się.

– Właściwie to wie pani co? Chętnie.

Widzi ulgę malującą się na twarzy kobiety i gdzieś w środku słyszy, jak ta wredna wersja jej samej szepcze, żeby gospodyni tak się nie cieszyła. Bo to jeszcze nie koniec. Reporterski zmysł mówi jej bowiem – nie, nie mówi, krzyczy – że ta kobieta coś wie. Że kryje jakąś tajemnicę.

Dzwoni telefon i Edyta spogląda na wyświetlacz. Widzi, że to Błaszkwicz. Dostrzega też, że zasięg w jej telefonie to jedna kreska. Wstaje więc i podchodzi bliżej drzwi tarasu i tej skrytej w cieniu ściany, na której wiszą zdjęcia. Odbiera.

– Cześć, mam słaby zasięg i jestem na spotkaniu. Pogadamy później, okej?

– Wolałbym teraz – odpowiada starszy dziennikarz. – Chodzi o Maćka Łosia...

Edyta przewraca oczami do szklanego odbicia. To, rozumiejąc ją doskonale, robi dokładnie tak samo.

– Jezu, znowu? Czuję się jak w jakimś cholernym memie. Maciek Łoś to przemiły człowiek i na pewno nie zrobił ci...

Urywa, orientując się, że stoi właśnie przy ścianie i patrzy na zdjęcia. W większości to zdjęcia rodzinne, na których widać dużo młodszą wersję gospodyni, wąsatego mężczyznę i małego chłopca, ale pośród nich jest także fotografia z autografem i nieczytelną, rozmazaną dedykacją.

Edyta ma wrażenie, że widzi ducha, bo na zdjęciu jest... właśnie ten cholerny Maciek Łoś.

– ...oddzwonię do ciebie, dobrze? – mówi, mając wrażenie, że jej własny głos dobiega teraz z bardzo daleka. – Za piętnaście minut.

– Ale, Edyta...

– Oddzwonię. Cześć!

Chowa telefon i ogląda się, widząc gospodynię w progu. Kobieta trzyma oburącz tacę, na niej parujący czajniczek i dwie filiżanki. Przygląda się Edycie w skupieniu.

– Coś się stało? – pyta.

– Nie, nic. Rozmowa z pracy – odpowiada Edyta. – Ale przyjrzałam się właśnie pani zdjęciom. Proszę mi powiedzieć... czy to jest Maciek Łoś?

– Zgadza się. Poznała go pani?

– Osobiście nie, ale zawsze chciałam – mówi Edyta zgodnie z prawdą. – Uwielbiam wywiady z nim. Ale pani Lucyno, to bardzo stare zdjęcie jest, prawda? Dedykacja jest w zasadzie nieczytelna.

Kobieta uśmiecha się szeroko. Przechodzi przez pokój i kładzie tacę na blacie.

– Mam jeszcze starsze, większość z gazet. Kolekcjonuję i jeśli chce pani zobaczyć albumy...

Edycie kręci się w głowie, ale nie chce dać po sobie poznać zaskoczenia, więc wciąż z uśmiechem pyta:

– Rozumiem, jest pani wielką fanką?

– Największą. – Starsza pani wzrusza chudymi ramionami. – Jak każda matka.

## Rozdział 84

Edyta czuje, jak uginają się pod nią nogi.

Przecież, myśli, to nie może być prawda. To jest tak absurdalne, nierzeczywiste, zwyczajnie nie może się wydarzyć. A jednocześnie ma wrażenie, że z chwilą, gdy sąsiadka Budzikowskich zdradziła jej swoją tożsamość, przez wszechświat poniosło się głośnie „klik” i niemal wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Starsza sąsiadka jest matką Maćka Łosia. Najślynniejszy kucharz w Polsce, ulubieniec tłumów wychował się w cieniu straszliwej zbrodni i teraz, z jakiegoś powodu, jest gotów krzywdzić ludzi, by prawda na ten temat nie wyszła na jaw.

Nagle dociera do niej z całą mocą, że Błaszkwiczowi nic się nie wydawało! Że faktycznie tam, w agencji, napadł na niego ten celebryta i sądząc po formie, w jakiej go zaatakował, uderzał, aby zabić. A teraz dziennikarz leży w szpitalu, obolały, osłabiony, pewnie też otumaniony lekami przeciwbólowymi. I przecież wcale nie tak trudno się do niego dostać!

Czuje na sobie wzrok gospodyni, widzi jej twarz w oparach gorącej herbaty, którą starsza kobieta właśnie przyniosła, widzi uśmiech, który wydaje się błogi, jakby rozmyty, a jednocześnie pełen wyraźnej matczynej dumy. Widzi to wszystko i uświadamia sobie w panice, że nie ma pojęcia, co mówi teraz jej własna twarz. Co się na niej maluje, co można z niej odczytać.

– Musi być pani strasznie dumna z syna – rzuca sztucznie.

Ale starszej pani chyba to nie przeszkadza.

– A któraś matka nie jest? – pyta.

Edyta myśli odruchowo, że owszem, pewnie nawet sporo. Jej podkast wręcz kipi od ludzi, których matki raczej nie są dumne ze swoich pociech.

– Pani ma dzieci? – pyta pani Lucyna.

– Myślę o tym, ale jeszcze się nie złożyło – odpowiada Edyta wymijająco, na co jej rozmówczyni wybuchają cichym, świdrującym umysł chichotem.

– A wiesz, złociutka, że dzieci to się nie biorą z myślenia, prawda? – pyta starsza kobieta. – Temu twojemu kawalerowi, co tu z tobą był, to chyba niczego nie brakuje?

Edyta otwiera usta, by odruchowo odpowiedzieć, że z Arturem nic jej nie łączy, ale wtedy uświadamia sobie, że to przecież dobra okazja, by przerwać na chwilę tę rozmowę. Wyciąga telefon.

– Dobrze, że mi pani przypomniała! – mówi. – Zadzwoń do niego, niech się o mnie nie martwi.

– A pewnie! Dzwon, dzwon, niech się biedaczysko nie troska. Odstawię to tylko, bo mnie już w palce parzy.

Idzie wolno ku stolikowi, a Edyta rusza w stronę przeszkłonych drzwi tarasu. Łapie za klamkę, ale ta stawia opór, więc dziennikarka szarpie mocniej.

– Tam jest taki przycisk – słyszy podpowiedź. – Trzeba go nacisnąć.

– Dziękuję – odpowiada.

Uważniej przygląda się klamce, gdy nagle uświadamia sobie, że głos, który słyszała, był za blisko, jakby tuż za nią. Unosi głowę i w szklanej tafli drzwi widzi, że staruszka jest niemal tuż za nią. Że z pogrzebaczem w ręku właśnie się składa do ciosu.

– Co...

Nie kończy tej myśli, rażona nagłym, mocnym i precyzyjnym uderzeniem w głowę. Pada nieprzytomna na ziemię.

Lucyna pochyła się nad Edytą i upewnia, że dziewczyna jest nieprzytomna, po czym z dolnej półki pod stolikiem bierze taśmę klejącą. Krępuje dziennikarce ręce i nogi. Odrywa też specjalny kawałek na knebel, ale po namyśle uznaje, że to zbędne. Tu nikt nie usłyszy jej krzyku.

Odstawia pogrzebacz na miejsce, sięga po telefon i wybiera numer zapisany jako AAAMaciuś.

– Tak, mammo? – odzywa się Łoś. Dawno go nie słyszała, więc teraz jego głos to czysta radość.

– Musisz przyjechać – mówi. – Jest u mnie taka dziennikarka, która zadaje dużo pytań.

– Poszła już?

Sąsiadka ogląda się na skrzępowaną dziewczynę.

– Na razie nigdzie nie pójdzie, synek.

Słyszy, że jej Maciuś wzdycha ciężko, i znowu zbiera się jej na chichot. Powstrzymuje się jednak i tylko czeka.

– Dobrze, mammo – mówi w końcu Maciek Łoś. – To poczekaj na mnie, jestem już w drodze.

## Rozdział 85

– Tak, słucham? – mówi Artur, mocniej dociskając telefon do ucha, bo przeszkadza mu gwar z ulicy wokół.

– Mówię, że z tej strony Błaszkwicz. Nie wiesz przypadkiem, czy Edyta już wróciła? Nie mogę się do niej dodzwonić.

– Nie wiem – odpowiada Artur. – Rozmawiałem z nią jakiś czas temu, ale wtedy jeszcze była w drodze. Coś się stało?

Błaszkwicz rozważa przez chwilę, co powinien powiedzieć pisarzowi, i uświadamia sobie, że chyba jednak woli rozmawiać z Edytą. Może to kwestia tego, o czym mówił Chrastowi i Ornowskiemu? Podobieństwa, jakie dostrzegł między sobą a młodą dziennikarką? Nie umie tego stwierdzić na sto procent, ale tak podpowiada mu przecucie. Instykt.

Edyta i tak pewnie powie Arturowi, w końcu ewidentnie ze sobą współpracują, ale jeżeli już, to powinni dowiedzieć się razem, równocześnie.

– Nie chcę się paniki ani nic, ale wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać. Pojawiły się nowe okoliczności, a...

– Możesz mówić nieco głośniej? – prosi Artur. – I być przy okazji bardziej konkretny? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak i nie. W sumie to nie wiem do końca. Na pewno coś mam, ale...

– Dobra, jak masz się tak z tym kręcić jak karp w wannie, to bez sensu – przerywa mu pisarz. – Spróbuję się z nią skontaktować, a jak nie, to po nią pojedę. Tylko... – Urywa i przez kilka sekund milczy, tak że gdyby nie wciąż słyszalne dźwięki tła, dziennikarz mógłby założyć, że się rozłączył.

– Co tylko? – pyta Błaszkwicz.

– Nic, auto właśnie mi siadło. Coś z chłodnicą chyba.

– Możesz wziąć moje – oferuje Jarek. Zaraz jednak przypomina sobie jak przez mgłę, gdzie i w jaki sposób je zostawił, i uświadamia sobie, że to

raczej nie jest opcja. – Dobra, nieważne, pewnie odholowali...

Myśli nad alternatywnymi opcjami, kiedy nagle odzywa się pisarz...

– Dobra, czekaj, mam chyba lepszy pomysł. Uważaj tam na siebie, a ja dzwonię do Edyty. A jak się nie dodzwonię, to i tak to załatwię. Trzymaj tę myśl, którą chciałeś powiedzieć. A najlepiej zapisz i schowaj pod materac.

Błaszkwicz uśmiecha się, uznając, że to nie taki głupi pomysł. Może ktoś by to w razie czego faktycznie znalazł.

– Jasne – mówi. – Tak zrobię.



## Rozdział 86

Łukasz stoi pod budynkiem radia i patrzy na palących, jedząc bułkę z kozim serem i burakiem. Miał ochotę na kurczaka, ale wie, że sam jest sobie winien, bo się zagapił, a kiedy wreszcie zszedł na dół, było już po obłożeniu, Pan Kanapka właśnie zwijał manatki i wszystkie inne opcje były już wyprzedane.

Ale nie jest źle, myśli, kanapka jest zjadliwa, a nawet pokusiłby się o stwierdzenie, że niezła. Oczywiście jak na wariant, którego sam z siebie nigdy by nie kupił.

Drugą, taką samą, ma w kieszeni dla Edyty, bo cały czas żywi nadzieję, że ta jednak zjawi się dziś w pracy.

Bierze kolejny kęs, kolejny raz obracając tę sprawę w głowie. Wie, że przegiął. Nie powinien był uderzyć tego flusia i za to akurat ma zamiar przeprosić. Chociaż Edyta też powinna...

– Łukasz, masz chwilę?

Łukasz obraca się i ku własnemu zaskoczeniu widzi zmierzającego ku niemu pisarza. Artur, idąc, unosi ręce tak, jakby chciał pokazać, że się poddaje i przychodzi w pokoju. Irytujący gest, wygląda jak jakiś żart.

– Co, już po obdukcji? – rzuca zaczepnie. – Przyszedłeś przynieść mi pozew od swojego fancy adwokata?

Artur uśmiecha się nieco krzywo, po czym potrząsa głową jakby w geście rezygnacji.

– Stary, jesteś niemożliwy. Powiedz, pomogłaby ci myśl, że jestem gejem?

– A jesteś?

Artur rozgląda się i ścisza głos do szeptu:

– Boję się mówić. Ci, co biją ludzi na ulicach, zwykle gejów też nie lubią, więc może być, że wpadłbym z deszczu pod rynnę.

Łukasz mimowolnie się uśmiecha. Docenia też to, że Artur, mówiąc o biciu ludzi, upewnił się, że palacze spod ławki go nie słyszą.

– Powiedzmy to sobie jasno i szczerze, okej? – mówi po krótkiej pauzie pisarz. – Nie jestem zainteresowany Edytą, okej? Ona mną też nie. Pracujemy razem, bo mamy wspólne hobby i...

– Daruj sobie.

Artur wzrusza ramionami, w geście „jak tam sobie chcesz”, po czym wskazuje na kanapkę wystającą z kieszeni Łukasza.

– Będziesz to jadł? – pyta. – Bo ja zupełnie zapomniałem o jedzeniu i chętnie odkupię. Chyba że ten koleś od kanapek...

– Pojechał już – odpowiada Łukasz, wyciągając z kieszeni kanapkę. – I jasne, masz. Była dla Edyty, ale nigdzie jej nie ma.

Artur sięga po podarunek i rozwija go z folii.

– No właśnie po to przyszedłem – mówi już po pierwszym kęsie, więc z pełnymi ustami. – Żeby zapytać, czy z nią ostatnio gadałeś.

I Łukasz natychmiast znowu się spina. W kontekście tego, co się ostatnio wydarzyło, takie pytanie brzmi wyjątkowo złowieszczo. Zaraz jednak, trzeba mu przyznać, odpuszcza, usiłując mimo wszystko jakoś nad sobą zapanować.

– Myślałem, że jest z tobą – przyznaje. – Że pojechaliście coś załatwić.

Artur wzrusza ramionami.

– No jak widzisz, nie jest. Znaczy tak, byliśmy razem, załatwialiśmy sprawy, ale potem ona pojechała w jedno miejsce sama i od tamtej pory nie mogę się do niej dodzwonić. Więc pomyślałem... No co, co się tak patrzysz?

Łukasz nie odpowiada, tylko dojada ostatni kawałek, zwija folię w kulkę i wrzuca do śmietnika.

– Pokłóciliście się? – pyta. – Jest jakiś powód, dla którego się do ciebie nie odzywa?

Artur potrząsa głową.

– Nie, raczej sądzę, że padł jej telefon albo przebywa w miejscu kompletnie bez zasięgu. A wyobraź sobie, tak się składa, że dla kogoś związanego z tym radiem bycie teraz poza zasięgiem to nie jest najbezpieczniejsza opcja.

Łukasz prychnął.

– Masz na myśli tę porwaną piosenkarkę? Przecież to już zamknięty temat. Ona jest wolna, a facet nie żyje.

Z miny Artura wyczytuje coś, co bardzo mu się nie podoba. Ogląda się na palących, po czym robi krok do przodu i tym razem to on ścisza głos do szeptu:

– Chcesz powiedzieć, że to nie koniec? Że dzieje się coś jeszcze?

– Przede wszystkim jeśli chcesz być dyskretny, to nie szepcz – odpowiada Artur. – Ja to zrobiłem dla wygłupu, ale szept słyhać równie dobrze co przyciszony głos, a dodatkowo zwraca uwagę. I tak, dzieje się coś jeszcze i Edyta może być w to wplątana. Dlatego przychodzę do ciebie. Bo może faktycznie padł jej telefon, ale znalazła jakiś inny sposób, żeby się skontaktować. Albo...

– Pojechała swoim autem? – przerywa mu Łukasz.

– Tak, a co?

Łukasz uśmiecha się, widząc zdziwienie na twarzy pisarza. To oznacza, że mu nie powiedziała. Nie żaliła się, że ją namierzał.

– Dowiem się, gdzie jest, i pojedę tam – stwierdza.

– Pojedziemy moim... – mówi Artur, a widząc, że Łukasz już chce się odezwać, kręci głową. – Nie, stary, naprawdę to nie jest sytuacja, gdy mierzymy, kto ma dłuższego. Jedziemy razem, a potem, gdy to się skończy, znikam z waszego życia. Pasuje?

Artur wyciąga rękę. Łukasz patrzy na nią przez moment, w końcu jednak ścisza wyciągniętą dłoń.

– Pasuje.

## Rozdział 87

Nad polami unosi się mgła. Maciek Łoś myśli, że to ten krajobraz go ukształtował. Dom nie był jeszcze wykończony. Ciepło uciekało przez ceglane ściany i dziury w niestarannie wmurowanych oknach. Wtedy były ciężkie czasy, brakowało im pieniędzy chociażby na węgiel. Oczywiście przez Budzikowskich. W piecu palili głównie drewnem i śmieciami. Maciek pamięta doskonale te wieczory, kiedy siedział na górze u siebie w pokoju, otulony w koc, starając się nie zwracać uwagi na burczenie w brzuchu i szczękające zęby. Wyglądał przez okno i dookoła widział tylko płaski mazowiecki krajobraz oraz wiszące nad nim szare wstęgi. Wyobrażał sobie, że w tych mgłach czają się duchy lub potwory. Albo wrogie armie. Lub po prostu bandy przestępców, którzy zaraz wpadną do ich domu, żeby wszystkich wymordować. Czasami fantazjował o tym, że tak naprawdę to nie mgła, a gazy bojowe. Takie, jakich używano podczas pierwszej wojny światowej. I już zaraz wpełzną one do ich domu przez te nieszczelne okna, zaatakują jego rodziców, którzy zaczną się dusić, krztusić krwią, wypluwać z ust kawałki płuc. Pierwszy umierał brat, którego matka nosiła w brzuchu. Potem ona. A na końcu ojciec, bo Maciek wyobrażał sobie, że on jest najsilniejszy z nich wszystkich. To, że koniec końców był najsłabszy, okazało się dopiero później. W tych marzeniach czasami przeżywał, bo siedział na piętrze, gdzie nie docierały trujące wyziewy, a czasami umierał, skręcając się z bólu, razem z rodzicami i nienarodzonym jeszcze bratem.

Miał też inne hobby. Potrafił godzinami przeglądać książkę kucharską. Potężne tomiszcze o pomarańczowych okładkach, wypełnione przepisami i zdjęciami smakowitych potraw. Czytał je uważnie, zapamiętywał, a kiedy przymykał oczy, potrafił sobie wyobrazić ich smak na koniuszku języka.

Ojciec kręcił nad nim głową. Powtarzał, że to było dobre, jak był dzieckiem, a teraz jest już dużym chłopem i powinien znaleźć sobie jakieś poważne zajęcie. Matka odpowiadała mu, żeby dał synowi spokój.

Maciek wyobrażał sobie potem, że trujący gaz zabija tylko ojca.

– To były dobre czasy... – mówi sam do siebie.

Przebija się samochodem przez pasma mgły. Dostrzega swój rodzinny dom. Teraz już starannie wykończony i zadbany, dzięki ludziom, których zatrudnił, i pieniądzom, które wysyłał matce. Na parterze palą się światła.

– Oglądanie książek kucharskich jednak się opłaciło, tato.

Jest pewien, że matka siedzi teraz przy oknie i niecierpliwie go wypatruje. Będzie musiała jeszcze chwilę poczekać. Na drodze są głębokie wertepy. Maciek jeździ co prawda SUV-em, ale nie chce rozwalić sobie zawieszania.

Jego wzrok wyławia w oddali ciemną bryłę na tle nocnego nieba i migoczącej odbitym światłem księżycą toni jeziora. Dom Budzikowskich. Zauważa go po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Bywa oczywiście u matki regularnie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Budynek tutaj przez cały czas stał, ale w jakiś sposób nauczył się go nie widzieć. To tam się wszystko zaczęło.

– Sami jesteście sobie winni – mruczy.

Przyciska pedał gazu. Samochód podskakuje na wyboju, pas bezpieczeństwa boleśnie wbija mu się w pierś. Brama wjazdowa na posesję jest otwarta. Wjeżdża tam szybko, drobne kamyki wyskakują mu spod opon. Niedaleko domu stoi inny wóz, obcy. Maciek domyśla się, że należy do tej wścibskiej dziennikarki. Zatrzymuje się i wychodzi z auta. Niemal w tej samej chwili z domu wybiega jego matka.

– Jesteś wreszcie! – krzyczy z ulgą.

– Jestem. Jestem – odpowiada matce Maciej Łoś. – Zaprowadź mnie do tej dziewczyny.

## Rozdział 88

Łukasz udaje obojętność, ale co pewien czas zerka to na nowoczesny wyświetlacz, to na deskę rozdzielczą i obszerne wnętrze samochodu. Może być obrażony na Artura, może go nie lubić i prawdopodobnie do końca mu nie ufać, ale jest facetem, który najwyraźniej lubi motoryzację. I wóz pisarza robi na nim wrażenie.

– Niecałe osiem sekund – odzywa się Artur.

– Co takiego?

– Niecałe osiem sekund do setki. Siedem przecinek siedem bodajże, tak pisało na stronie.

– Po co mi to mówisz? – dziwi się Łukasz.

– Bo wyglądałeś, jakbyś chciał zapytać.

– Nie chciałem.

– W takim razie przepraszam.

Łukasz lekko czerwienieje na twarzy i odwraca się do okna. Przez kilka sekund w milczeniu ogląda mijane domy. Artur żałuje, że się odezwał. Myślał, że opowiadając o samochodzie, rozpocznie bezpieczną, spokojną rozmowę na motoryzacyjne tematy. Pomylił się i rozzłościł tylko Łukasza. Czuje się teraz, jakby przebywał w pomieszczeniu wypełnionym gazem. Jeden nieostrożny ruch, jedna iskra, a nastąpi wybuch.

– Tak właśnie podrywasz dziewczyny? Na ekstrasfury?

– Nie wiem, czy jest aż taka ekstra – broni się pisarz. – Poza tym dziewczyny to się chyba podrywa na sportowe, nie? A to jednak zwyczajny pożyczony wóz. Mój jest w naprawie.

Próbuje zażartować, żeby rozładować atmosferę, ale znowu mu się nie udaje.

– A Edyta? Podobała się jej przejażdżka, na którą ją zabrałeś?

Artur wie, że musi być teraz ostrożny.

– Słuchaj... – zaczyna. – Nie wiem, co sobie myślisz, ale my tylko razem pracowaliśmy.

– Aha! A kolega, z którym mnie zdradzała, to był tylko znajomy ze studiów. Mieli wspólne zainteresowania. To najwyraźniej jej typ. Faceci, którzy mają takie same hobby.

– My nigdy nic...

– Mówiła ci o tym? Czy tylko robiła ze mnie furiata?

– Wspominała coś...

Nie zdąża ugryźć się w język. Widzi, że popełnił błąd. Łukasz cały się spina, tężeje, ale równocześnie całym jego ciałem, od stóp po czubek głowy, wstrząsają mikrodrżawki. Niby niewielkie, ale zwiastujące wybuch. Jest teraz jak wulkan tuż przed erupcją. A Artur znalazł się na miejscu nieszczęsnych mieszkańców Pompejów.

– Co takiego wspominała? – pyta przez zaciśnięte zęby Łukasz.

– Że cię zdradziła.

– Opowiedziała ci, co dokładnie zrobiła? Z kim? Ile razy?

– Nie.

– Mówiła pewnie, że to był tylko jeden wyskok, co? Jeden błąd. Nie. To trwało ponad trzy miesiące. Trzy miesiące!

– Nie opowiadała tak szczegółowo. Ale... wspominała, że to wszystko jej wina.

– Oczywiście, że to jej wina! Przecież nie wypchałem jej innemu facetowi do łóżka!

– Chodziło jej raczej o to, że to jej wina, że teraz taki jesteś...

Łukasz zaciska szczęki tak mocno, jakby próbował właśnie zmiążdżyć własne zęby.

– Niby jaki jestem? – pyta.

– Słuchaj... Ona cię kocha.

– To też ci niby powiedziała?! – wrzeszczy Łukasz. – To co? Jednak nie pracowaliście, a przez cały dzień zwierzaliście się sobie!!!

– Nie! Nie powiedziała mi tego! – broni się Artur. – Ale to widać! Jestem pisarzem! Znam się na ludziach! Ona cię kocha!

– I dlatego...

– Popęłniła błąd! I to już musicie wyjaśnić między sobą. Ale ona cię kocha. Bo jeśli by cię nie kochała...

– To co?

– To czy wytrzymałaby z tobą? Sam byś ze sobą wytrzymał?

Łukasz nie odpowiada. Kręci tylko głową, jakby chciał w ten sposób dać znać Arturowi, że ten nic nie rozumie.

– A my naprawdę pracowaliśmy – odzywa się Artur, kiedy temperatura w samochodzie nieco opada. – Edyta odkryła, że porwanie piosenkarki może mieć coś wspólnego z morderstwem Budzikowskich z połowy lat dziewięćdziesiątych. Pojechaliśmy tam, gdzie mieszkali, żeby sprawdzić ten trop. Ale znaleźliśmy tylko martwego prywatnego detektywa. A potem piosenkarka uciekła, ktoś zaatakował Jarka Błaszkwicza. Ten porywacz zginął. I niby cała historia się skończyła, ale Edyta postanowiła jeszcze raz pojechać do wsi Budzikowskich, bo coś jej w tym wszystkim nie grało. I teraz nie ma z nią kontaktu.

– Samochód ciągle tam stoi.

Dopiero teraz Artur zauważył, że w międzyczasie Łukasz wyciągnął komórkę i sprawdza położenie swojego i Edyty wozu w specjalnej aplikacji.

– Przyspiesz trochę – mówi Łukasz. – Boję się, że stało się coś złego.



## Rozdział 89

Matka prowadzi Maćka do domu. Zamyka za nim drzwi, wyglądając jeszcze na zewnątrz, jakby naprawdę obawiała się, że ktoś go śledzi. Kiedy wreszcie się do niego odwraca, z jej oczu lecą łzy. Tam na zewnątrz się jeszcze trzymała. Teraz emocje wylatują z niej z siłą fali tsunami. Zaczyna się cała trząść.

– Synek, synek, synek... – mówi z trudem. – Ja cię przepraszam... Ja nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale już nie wiedziałam, co mam robić. Bo ona tak na mnie patrzyła...

Widok matki słabej i bezbronnej budzi w Maćku coś mrocznego. Wie, że w domu jest broń. Stara strzelba, która należała do jego ojca, a której pewnego dnia użył, żeby strzelić sobie w łeb. Kusi go, żeby też z niej teraz skorzystać. Upozoruje włamanie do domu. Włamywaczką będzie ta dziennikarka, przez którą cały kłopot. Matka ją przez przypadek złapała na gorącym uczynku. Dziennikarka dźgnęła ją więc nożem. Kobieta zdołała jednak oddać jeden strzał ze strzelby i zabiła intruzkę. Sama zaś zmarła, nim przyjechało pogotowie. Dwie śmierci. Jedna to zabójstwo podczas włamania, druga to pozbawienie życia w samoobronie. Ciało znalazł syn właścicielki mieszkania, znany kucharz i celebryta Maciej Łoś.

Maciej czuje, że w tym pomysłe jest potencjał. Trzeba go oczywiście trochę dopracować. Znaleźć ewentualne luki i je wyeliminować. Niemniej... Waha się, ale zaraz przypomina sobie, co mama dla niego zrobiła i ile dla niego poświęciła. Czuje, że jest jej coś winien. Poza tym do tego pomysłu z włamaniem zawsze będzie mógł wrócić później.

Podchodzi do mamy. Chwyta ją delikatnie pod ramię, a potem prowadzi do kuchni. Usadza tam na krześle obok dużego bukowego stołu.

– Poczekaj chwilkę – prosi.

Nalewa wodę do szklanki i podaje ją mamie.

– Dziękuję – odpowiada kobieta.

Łoś czeka, aż mama się napije. Potem odbiera od niej szklanekę i odstawia ją na stół. Klęka naprzeciwko. Ostrożnie i czule ujmując jej dłonie.

– Opowiedz mi teraz, co się dokładnie stało – prosi.

Mama opowiada mu wydarzenia ostatnich godzin. Mówi chaotycznie. Maciej musi ją kilka razy zatrzymać, prosić, żeby wróciła do poprzedniego wątku. Dopytuje też o niektóre szczegóły. Pod koniec ma jednak, jak mu się wydaje, pełen obraz sytuacji. Jest dumny z matki. Nie spodziewał się, że jest zdolna do przemocy fizycznej. Teraz jednak zachowała się jak trzeba. Kto wie, co by się stało, gdyby ta dziewczyna powiedziała komukolwiek o tym, czego się tutaj dowiedziała.

– Gdzie jest ta dziennikarka? – pyta Łoś.

Matka prowadzi go do salonu. Tam na podłodze leży skrępowana srebrną taśmą dziewczyna. Na dźwięk ich kroków unosi głowę, na której wyrósł guz wielkości sporej figi.

– Dobry wieczór – odzywa się Łoś. – My się nie mieliśmy okazji poznać. Ale pani wie, kim jestem, prawda?

Dziewczyna po chwili zastanowienia potwierdza ruchem głowy. Chyba jest świadoma, że kłamstwo nic by jej nie dało. Oboje zdają sobie przecież sprawę, że nie wyjdzie z tego domu żywa.

## Rozdział 90

Edyta pamięta niedzielne przedpołudnia w swoim domu. Najspokojniejszy moment w całym tygodniu. Już po śniadaniu. Mieszkali w bloku, czteroosobowa rodzina, więc po prostu było słyhać, kto jest gdzie. Ojciec w kuchni już przygotowywał obiad, a z niewielkiej wieży wylatywały kolejne piosenki Edyty Bartosiewicz. Czasami zakłócone zresztą przez śpiew taty, który chętnie towarzyszył ulubionej wokalistce. Miał bowiem dwie pasje. Rock z lat dziewięćdziesiątych, ze „złotej dekady”, jak to lubił określać, i gotowanie właśnie.

Mama siedziała natomiast w dużym pokoju. Czytała książkę, najczęściej jakiś romans, z okularami, które zsuwały się jej do połowy nosa. W kącie pokoju grał cicho telewizor. Nikt go nie oglądał, ale miał być włączony.

– Jest już? – pytał jej tato z kuchni.

– Jeszcze nie – odpowiadała mama.

Starsza siostra Edyty zawsze była kujonką. Marzyła o studiach medycznych. Ostatecznie się na nie dostała. Skończyła na pielęgniarstwie. Ale już na studiach nauczyła się norweskiego, wyjechała natychmiast po dyplomie i nie narzeka. Twierdzi, że jako pielęgniarzka w Trondheim zarabia lepiej niż lekarz w Polsce. Czasami tylko marudzi, że słońca mało. Wtedy przygotowywała się do matury. Siedziała obłożona książkami do biologii, powtarzała cykle Crebsa czy inną budowę pantofelka.

– Jest już?

– Jeszcze nie.

Edyta natomiast wyciągała spod łóżka stare roczniki „Detektywa”. Pożółkłe, wydrukowane na kiepskiej jakości papierze. Łatwo było je uszkodzić, więc przewracała strony ostrożnie, powoli, jakby właśnie w dłoniach miała pierwsze wydanie *O obrotach ciał niebieskich* Kopernika. Zdobywała archiwalne numery podczas wizyt w antykwariatach,

wypożyczała z bibliotek i „zapominała” oddać (ale nikt nigdy się nie upominał), a dwa lub trzy razy znalazła jakieś, grzebiąc w stosach z makulaturą. Ale było warto. W te niedzielne poranki pochłaniała jedną makabryczną sprawę za drugą z wypiekami na twarzy.

– Już jest! – krzyczała mama.

To był sygnał. Cokolwiek robili, rzucali wszystko. Ojciec na wpół rozbite kotlety, które często potem padały ofiarą ich kota. Mama odkładała książkę, nawet jeśli to była nowa Grochola. Siostra na moment zapominała o zbliżającej się szybkimi krokami maturze. Edyta natomiast wsuwała roczniki „Detektywa” z powrotem pod łóżko. Wszyscy pędzili do dużego pokoju i zajmowali miejsca przed telewizorem, żeby oglądać pewnego wesołego, życzliwego ludziom kucharza, który podróżował po świecie, przeżywał tam różne przygody, a na koniec gotował.

– Państwo spojrzą teraz na tę wołowinę – mówił do nich radośnie Maciej Łoś z ekranu telewizora. – Jaką ma piękną barwę! Czerwona jak usta młodej dziewczyny! I prawie bez tłuszczu! Ledwo kilka pasków, jakby dla ozdoby! Prawdziwy rarytas! Owoc pracy pokoleń hodowców bydła! Żeby ją zdobyć, wędrowałem pampą, odwodniłem się i uciekałem przed pumą. Ale było warto! A teraz pokażę państwu, co można z takiej wołowiny zrobić.

Edyta, podobnie jak gustu muzycznego, nie podzielała kulinarnej pasji taty. Ale lubiła te niedzielne poranki, kiedy siedzieli wszyscy razem przed telewizorem. Były to jedne z jej najprzyjemniejszych wspomnień. I nieodłącznie wiązały się z głosem i śmiechem kucharza.

A teraz ten sam kucharz stał przed nią i zastanawiał się, jak powinien ją zabić.

## Rozdział 91

– Pozwoli pani, że pani pomogę – mówi Łoś.

Nie czekając na jej reakcję, ujmując ją pod pachami, podnosi i przenosi na kanapę. Robi to wszystko z trudem i wysiłkiem. Kiedy w końcu usadza ją na miejscu, oddycha ciężko, a jego twarz lśni od potu.

– Mamo, przyniesiesz nóż? – pyta, ocierając czoło.

Starsza kobieta, która do tej pory stała z boku i w milczeniu przyglądała się całej scenie, ledwo dostrzegalnie kiwa głową. Znika na chwilę. Wraca po kilkunastu sekundach. W dłoni trzyma ogromny lśniący tasak. Kucharz bierze go od matki. Waży go w dłoni. Potem przesuwa palcem po ostrzu i kiwa głową z uznaniem.

– Widzę, że używasz tej maszynki do ostrzenia, którą ci przywiozłem ze Szwajcarii – chwali matkę. – Cudowna sprawa. Powinnaś sobie taką kupić.

Edyta dopiero po chwili orientuje się, że mówił do niej. Zanim jednak udaje jej się wymyślić jakąś odpowiedź, kucharz znajduje się tuż przy niej. Dziennikarka przez moment widzi swoje odbicie w szarej stali noża. Zaciska szczęki, spina całe ciało. Zastanawia się, gdzie jest to życie, które właśnie miało jej przelecieć przed oczami. Nie pada jednak żaden cios. Dwoma sprawnymi ruchami Maciej przecina jej taśmę na nogach.

– Tak będzie pani wygodniej – stwierdza Łoś ze swoim firmowym uśmiechem. – Nie będę musiał też już pani nosić. Dla nas obojga to było chyba upokarzające, prawda?

Fala ulgi, która na nią spłynęła, była tak wielka, że przez chwilę nie potrafiła nabrać oddechu.

– To może jeszcze ręce? – pyta Edyta.

– Nie przesadzajmy z tą uprzejmością – odpowiada Łoś.

– To wszystko to wielkie nieporozumienie.

– Och, proszę! Nie! Nie przerabiamy tego teraz! – protestuje kucharz. – Żadnych nieporozumień, pomyłek i przejęzyczeń! Oboje jesteśmy na to zbyt inteligentni. Ja... Bo po prostu jestem. Pani, bo tutaj dotarła. I zadała pani takie pytania, które zdenerwowały moją kochaną mamę. Żadnych głupot, zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała Edyta, przelękając ślinę.

Maciej Łoś stoi przed nią, obraca w dłoniach nóż. Zupełnie nie przypomina tego wesołego kucharza z telewizji. Jest ponury, jego oczy są ciemne, straszne, groźne. Usta wykrzywia drapieżny grymas. Ale równocześnie wydaje się zadowolony z tej sytuacji. Jest jak kot, który bawi się złowioną myszą tuż przed jej zabiciem.

– To pan zaatakował Błaszkwicza – stwierdza Edyta.

– Kogo?

– Byłego dziennikarza. W biurze tego detektywa...

– A tak! – przyznaje Łoś. – Faktycznie, to byłem ja. Ale nie zrobiłem tego specjalnie. W sensie nie planowałem tego. Po prostu facet znalazł się w złym miejscu i w złym czasie. Sam jest sobie winien.

– I zabił pan tego detektywa.

– O nie! To nie ja!

Edyta natychmiast orientuje się, że kucharz mówi prawdę. Detektyw został zamordowany w tym samym czasie, kiedy Łoś zaatakował Jarka. Kucharz nie mógł być w dwóch miejscach równocześnie.

– Choć faktycznie. Ucieszyłem się, że nie żyje. Facet coś miał. Nie wiem, czy na mnie, ale pewnie tak. Skoro to się wszystko wiązało z tym porwaniem, piosenką... Nie mogłem pozwolić, żeby z powodu jakiejś drobnostki sprzed lat na zmarnowanie poszło wszystko to, nad czym pracowałem tak długo. Pani mnie rozumie. Sama pani robi w mediach. Pani wie, jak tam jest ciężko.

Sprawa sprzed lat, piosenka, atak na dziennikarza. Edyta szybko kojarzy fakty. Wszystko ułatwia fakt, że wyglądając przez okno, widzi ciemną bryłę

opuszczonego domu. Ile to jest stąd? Sto metrów, dwieście?

– To pan zabił Budzikowskich – stwierdza Edyta.

Łoś macha lekceważąco ręką.

– Wolę myśleć, że sami to sobie zrobili – mówi. – Oczywiście, jakby wykonałem pewne czynności, ale to oni zaczęli. Pani rozumie: jeśli się potrząsa butelką od szampana, to trzeba liczyć się z tym, że korek w końcu wystrzeli. Zresztą ostrzegałem ich! Zabiłem im kota i podrzuciłem truchło pod dom! Ale nie posłuchali!

– Dlaczego pan ich zabił?

– Nie słyszałaś?! – Jego głos zaczyna drżeć od tłumionej latami złości. – Bo to oni zaczęli! Kupili od nas ziemię, żeby się tam wybudować. A potem, kiedy już ich dom stanął, to mieli do nas żal. Że ich oszukaliśmy! Że ziemia podmokła, że dom się zapada, że wszystko się przekrzywia! A czego się spodziewali, budując się nad samym jeziorem?! Podali nas do sądu! Ale to im nie wystarczyło! Doprowadzili do zwolnienia ojca z pracy! A potem jeszcze straszili nas swoimi znajomościami! Jakimiś gangsterami, Łysymi, Sebami, Grubymi i innymi Wujami! Ktoś to musiał uciąć i to byłem ja! Ale sami na siebie to sprowadzili!

– Zabił pan kobietę i małe dziecko!

– Seweryna?! Dzieciak sam utonął w jeziorze!

Edyta nie rozumie, w jaki sposób nigdy, badając tę sprawę, nie dowiedziała się o tym sąsiedzkim zatargu. Przede wszystkim dlaczego nie zajęła się tym policja. Maciek Łoś i jego rodzina byli przecież oczywistymi podejrzanymi. Mieli motyw! Co sprawiło, że nikt nie zwrócił na to uwagi?

– Jakim cudem uszło ci to na sucho? – pyta z niedowierzaniem.

Łoś głośno klaszcze.

– A to akurat zasługa mamusi. Widzisz...

– Nie mów jej! – przerywa mu matka.

– Mamo... Przecież i tak ją będziemy musieli zabić. Co to za różnica?

– Nie mów jej tego!

Łoś zdaje się nie zwracać już uwagi na kobietę.

– No więc był taki policjant...

– Maciek!!!

– Do cholery jasnej, mamó! – wydziera się nagle na kobietę Łoś. – Ja zająłem się Budzikowskimi, ja wszystkiego dopilnowałem, ja pochowałem tatę, ja się też zajmę tym! Po swojemu! A teraz mordą w kubę!

Kobieta opiera się o ścianę. Kładzie dłoń na piersi. Oddycha głęboko. Patrzy na syna tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– No więc jak mówiłem... Był taki policjant. Starszy facet. Tragiczna historia, ale nie mógł się doczekać potomka. Dziedzica, jak to się mówi. Jego żona była jałowa, jak ta ziemia z poematu T.S. Eliota. – Łoś chichocze. – Rodzice zadzwonili do niego, kiedy powiedziałem im, co zrobiłem. Początkowo chcieli, żebym się przyznał. Przepraszam, ojciec chciał. Mamusia zawsze stała po mojej stronie. Facet przyjechał do nas. Wszystko usłyszał. Chciał mnie zabrać do więzienia, ale tak jak mówiłem... Wybudował dom, zasadził drzewo, ale syna brak. A tak się składa, że tych u nas w domu było w nadmiarze.

Matka Łosia powoli osuwa się na ziemię. Chowa twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsają spazmy.

– O mój Boże... – wydusza z siebie Edyta.

– Bez przesady – mówi lekceważąco Łoś. Wydaje się rozbawiony reakcją dziennikarki i rozpaczą swojej matki. – Po prostu zawarliśmy pewną umowę. I facet świetnie się wywiązał ze swojej części. Tak poprowadził śledztwo, że wszyscy skupili się na powiązaniach Budzikowskich z półświatkiem. Nas może z raz przesłuchano i to było na tyle. A potem facet spakował żonę, dzieciaka i tyle go widzieli! A szkoda, bo czułem, że nadajemy na tych samych falach, jak to się mówi. Facet był niezły. Stary wyga. Na każdego miał haki. Wiedział, kogo przycisnąć, kogo przekupić, żeby się wszystko w papierach zgadzało. W jednej rubryczce znika dziecko, puf, w drugiej się pojawia, puf, i nikt nie zadaje pytań. Magia...



– Co wyście zrobili... – mówi Edyta.

Starsza kobieta klęcząca z boku gwałtownie podnosi głowę. Twarz zasłaniają jej strąki siwych włosów, pomiędzy którymi tylko wściekle błyskają białka oczu.

– Milcz – warczy.

– Oddałaś swoje dziecko, żeby chronić mordercę. Człowieka, który zabił bezbronną kobietę i małego chłopca.

Łoś krzywi się, kiedy słyszy, jak go nazywa.

– Sam się utopił!!! – krzyczy. – Mówiłem przecież!

– Oddałam jedno dziecko, żeby ratować drugie! Nie zrozumiesz, bo nie jesteś matką! Nie zrozumiesz! Nikt nie zrozumie!

Kobieta podrywa się z ziemi. A potem wybiega z pokoju, zatykając rękoma uszy. Maciek Łoś patrzy za nią, lekko przekrzywiając głowę.

– Te matki... Takie emocjonalne... No ale kochać trzeba.

Odwraca się do dziennikarki i celuje w nią ostrzem noża.

– No cóż... Mam nadzieję, że zaspokoilem twoją ciekawość. Ale chyba czas kończyć to nasze małe spotkanie. Jak widzisz, mama źle znosi gości. Szczególnie takich, którzy zadają nietaktowne pytania.

Edyta strzela oczami w stronę drzwi. Jest teraz sama z kucharzem w pokoju. Zastanawia się, czy zdąży uciec z tego domu. Nogi ma przecież wolne. On jest od niej niższy. Na pewno nie ma takiej kondycji jak ona. Ale wtedy Łoś robi krok w jej stronę, dystans między nimi się zmniejsza, a ona nagle coś dostrzega przy brzegu oszklonych drzwi prowadzących na taras, po drugiej stronie, na dworze. Jakiś ciemny prostokąt. Dopiero po chwili dociera do niej, że to telefon komórkowy. Ktoś właśnie ich filmuje.

– Poczekaj! – krzyczy.

## Rozdział 92

Kropka na ekranie komórki, która pokazuje, gdzie znajduje się samochód Edyty, nie ruszyła się ani o milimetr w ciągu ostatniej godziny. Mimo to Łukasz wciąż wbija w nią wzrok, jakby chciał ją w ten sposób zmusić, by zmieniła położenie. Bo to by oznaczało, że nic złego się nie stało. Edyta po prostu zamarudziła. Straciła poczucie czasu. A może zwyczajnie nie chciała wracać do domu. Czemu nikt by się nie dziwił. Nawet Łukasz. Doskonale pamięta, co mu zrobiła. Wystarczy ledwie wspomnienie tej chwili, kiedy się dowiedział o jej zdradzie, by w jego sercu na nowo otwierała się ledwo co zasklepiona ziejąca rana. Ale też powoli dociera do niego, co on zrobił jej w odwecie. Każde złe słowo, każda kłótnia, każda scena zazdrości, to wszystko przewija mu się przed oczami. To nie było tak, że one przynosiły mu ukojenie. Wręcz przeciwnie. Raczej wzmagają ból, ale nie potrafił się powstrzymać, żeby nie wywołać kolejnej awantury. Z każdym dniem coraz bardziej zanurzał się w bagnie, doskonale wiedział, do czego to doprowadzi, a zarazem nie mógł się doczekać, kiedy gęste, śmierdzące błocko zakryje czubek jego głowy. Bo wiedział, że pociągnie Edytę za sobą.

Ale teraz się boi. O nią, o siebie, o nich. I modli się cicho, żeby ta cholerna kropka wreszcie się ruszyła. Drugą rękę wsadza do kieszeni i zaciska na pudełku z pierścionkiem zaręczynowym, który nosi przy sobie od tak dawna.

– Jesteśmy blisko – mówi Łukasz.

Coś jest nie tak. Początkowo nie potrafi powiedzieć co. Po prostu po plecach przebiega mu dreszcz niepokoju. Czuje się jak dzieciak, który musi znaleźć dziesięć różnic pomiędzy dwoma obrazkami, a nie dostrzega żadnej. Po sekundzie lub dwóch przychodzi nagłe olśnienie.

– Dlaczego zgasiłś światła? – pyta pisarza.

Artur nachyla się nad kierownicą. Mruży powieki, przebijając się spojrzeniem przez mrok wąskiej wiejskiej drogi.

– Przeczucie – odpowiada.

Brzmi to nieco upiornie. Pisarz jednak nie zamierza nic więcej tłumaczyć. Jest całkowicie skupiony na prowadzeniu samochodu, który mocno podskakuje na wybojach. Nie jadą za szybko. Około czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Łukasz jednak i tak sprawdza, czy na pewno jest zapięty, a potem zaciska palce na uchwycie pod sufitem.

– Ciągłe tam jest? – pyta pisarz.

– Tak.

– Już dojeżdżamy.

I faktycznie, zbliżają się do jednorodzinnego domu. Na parterze są zapalone światła, jedyny jasny punkt w okolicy. Artur zwalnia. Samochód toczy się jeszcze przez kilkanaście metrów, a potem się zatrzymuje.

– Nie podjedziesz bliżej? – pyta Łukasz.

Artur kręci przecząco głową.

– Sprawdźmy najpierw, czy wszystko jest w porządku – mówi pisarz.

– Chryste. To może po prostu zadzwońmy po policję? – rzuca Łukasz.

– Jak chcesz, to dzwoń. Ja idę sprawdzić, co z Edytą.

Potem wysiada z samochodu. Łukasz przez chwilę waha się, nie wie, co ma zrobić. Chce zadzwonić pod sto dwanaście, ale w jego głowie pojawiają się dwie myśli, które go powstrzymują. Po pierwsze, boi się, że się wygłupi. Wezwie policję, a okaże się, że Edyta po prostu ucięła sobie z kimś dłuższą pogawędkę. Druga wizja jest jeszcze gorsza. Że Edycie naprawdę grozi niebezpieczeństwo i to pisarz będzie tym, który przyjdzie jej z pomocą. Łukasz nie mógłby sobie tego darować. Dlatego wyskakuje z wozu. Zamyka za sobą drzwi z głośnym trzaskiem. Artur odwraca się w stronę Łukasza.

– Ciszej! – warczy. – Chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że tutaj jesteśmy?

– No nie.

Artur tylko kręci głową, a potem macha na Łukasza, żeby szedł za nim. Pisarz jest lekko przygarbiony, chowa głowę między ramionami. Porusza się szybko, ale bardzo ostrożnie stawia kroki, jakby nie chciał wydać najmniejszego dźwięku. Co chwila spogląda w stronę domu. Łukasz mimowolnie zaczyna naśladować jego ruchy. Serce bije mu mocniej, choć przy tym ma wrażenie, że obaj się wygłupiają. Nie rozumie, dlaczego nie mogliby po prostu podjechać pod sam dom, zapukać do drzwi i zapytać, co z Edytą.

Artur ostrożnie otwiera furtkę. Wślizguje się na podwórze i przytrzymuje ją dla Łukasza. Potem cicho za nim zamyka. Przed domem stoją trzy samochody. Jeden z nich należy do Edyty. Dopadają do niego. Artur zerka do środka, a potem obaj chowają się za autem.

– Co teraz? – pyta Łukasz.

– Trzeba by się rozejrzeć – odpowiada mu Artur. – Ty pójdziesz od prawej, ja od lewej. Spotkamy się na tyłach domu.

Łukaszowi nie podoba się, że mają się rozdzielić, ale nie protestuje. Nie chce wyjść na tchórza. Artur kiwa jeszcze chłopakowi głową, a potem biegnie w stronę domu. Łukasz drapie się po karku i rusza na prawo. Dobiega do pierwszego okna, kuchennego. Zerka ostrożnie do środka, ale nikogo tam nie widzi. Światło pali się dalej, w głębi. Przesuwa się wzdłuż boku domu w tamtym kierunku i wkrótce dociera do drewnianego tarasu i dużych oszklonych drzwi. Zerka przez nie do środka i od razu się cofa, przywiera do ściany budynku. Musi spojrzeć jeszcze raz, żeby upewnić się, że nie zwariował. W środku na kanapie siedzi Edyta. Ma związane z tyłu ręce. Przed nią, tyłem do Łukasza, stoi Maciek Łoś. Chłopak nie ma pojęcia, skąd słynny kucharz się tutaj wziął. Trzyma jednak w dłoni nóż i grozi nim Edycie. Jest z nimi jeszcze jakaś starsza kobieta.

– Sam się utopił!!! – krzyczy Łoś. – Mówiłem przecież!

– Oddałam jedno dziecko, żeby ratować drugie! – wtóruje mu kobieta. – Nie zrozumiesz, bo nie jesteś matką! Nie zrozumiesz! Nikt nie zrozumie!

Kobieta podrywa się z podłogi i wybiega z pokoju. Łukasz widzi to kątem oka i wyciąga z kieszeni telefon. Włącza szybko opcję nagrywania i przykłada telefon do szyby. Wie, że będzie potrzebować dowodów.

– Te matki... Takie emocjonalne... – mówi Łoś. – No ale kochać trzeba. No cóż... Mam nadzieję, że zaspokoilem twoją ciekawość. Ale chyba czas kończyć to nasze małe spotkanie. Jak widzisz, mama źle znosi gości. Szczególnie takich, którzy zadają nietaktowne pytania.

Nagle Łukasz uświadamia sobie, że to, co robi, jest pozbawione sensu. To tylko głupi odruch przedstawiciela generacji Instagrama. Jeśli dzieje się coś ciekawego, to natychmiast to nagraj, a potem wrzuć na swój profil, zgarnij lajki i szery. Zamiast tego powinien wzywać już pomoc albo kombinować, jak uratować Edytę.

Cofa rękę z komórką. Kończy nagrywanie i wbija numer sto dwanaście. Zanim naciska zieloną słuchawkę, słyszy za sobą kroki. Jest pewien, że to Artur. Myśli, że to dobrze. Razem mają większą szansę, żeby pokonać uzbrojonego Łosia. Odwraca się, żeby powiedzieć mu, co się dzieje, i wtedy widzi przed sobą starszą kobietę ze strzelbą w rękach. Nawet nie zauważył, kiedy wyszła z domu.

– Ktoś tu jest! – krzyczy kobieta i wykonuje zamach. Kolba trafia Łukasza w głowę i chłopak zamroczony pada na ziemię.

## Rozdział 93

– Poczekaj! – krzyczy Edyta.

– Na co? – odpowiada jej Łoś.

– A twój ojciec?

Przez ciało Łosia przebiega dreszcz, jakby przypomniała mu coś nieprzyjemnego i wstydliwego.

– Co z nim?

– Powiedziałaś, że zaspokoisz moją ciekawość. Chcę wiedzieć, co się stało z twoim ojcem.

– Nic takiego nie mówiłem, ale jeśli już musisz wiedzieć, to tato był jeszcze bardziej wrażliwy niż mamusia. Ciężko to wszystko przeżył i pewnego dnia wyciągnął strzelbę i... No niech tylko powiem, że było sporo sprzątanania. Tchórz. Jakby nie rozumiał, że wszystko to zrobiłem dla niego! Że zrobiłem to, co było konieczne, a na co on nie miał odwagi!

Twarz Łosia wykrzywia grymas czystej pogardy. Edyta tymczasem zerka na szklane drzwi. Przed chwilą widziała tam komórkę. Jest tego pewna. Ktoś tam jest. Ktoś przyjechał tutaj za nią, żeby jej pomóc. Musi tylko zyskać trochę czasu!

– Ktoś tu jest! – dobiega ich z zewnątrz krzyk matki Łosia.

Sekundę później na taras upada męskie ciało, w którym Edyta rozpoznaje Łukasza. Jest zdumiona. Nie ma pojęcia, skąd wziął się tutaj jej chłopak. Brak jednak czasu, by to roztrząsać, ponieważ ten moment, kilka sekund, kiedy Łoś opuszcza rękę z nożem i zamiast na nią patrzy na nieprzytomnego chłopaka, to jej jedyna szansa na ucieczkę. Podrywa się z kanapy. Wbiega barkiem prosto w brzuch kucharza. Popycha go z całych sił do tyłu, tak że oboje uderzają w tarasowe drzwi. Szkło pęka pod ciężarem ich ciał. Edyta chowa twarz, jakby się wtulała w Łosia. Mimo to czuje, jak odłamki szyby tną jej ramiona. Celebryta potyka się o leżącego

po drugiej stronie Łukasza. Upada na taras, a Edyta na niego. Turla się od razu w bok i podrywa niezgrabnie w górę. Związane z tyłu ręce sprawiają, że potrzebuje aż trzech prób, żeby wstać.

– Stój, ty flądro! – syczy matka kucharza.

Edyta zastyga w połowie ruchu i przypomina teraz woskową rzeźbę. Kilka metrów przed sobą ma starszą kobietę. Ta trzyma mocno strzelbę i celuje do dziennikarki. Nie ma szans, żeby z tej odległości nie trafiła. Edyta zerka na Łosia. Kucharz oberwał dużo gorzej od niej. Jest cały zakrwawiony. Ale ciągle zachowuje przytomność. Teraz próbuje niezgrabnie się podnieść.

– Nie powinnam wzywać tutaj mojego synka – mówi kobieta. – Nie powinnam zawracać mu głowy. Mogłam przecież sama cię zabić, ty mała szujo. Mój synek potrafi to zrobić, więc ja też! To przecież krew z mojej krwi, ciało z mojego ciała!

Gdzieś znad ramienia kobiety wyłania się cień, ludzka sylwetka. Wykonuje jeden gwałtowny ruch. Edyta słyszy elektryczne bzyczenie i starsza kobieta osuwa się na ziemię bezwładnie. Cień chowa do kieszeni płaszczka paralizator. Potem nachyla się nad matką Łosia i niespiesznie wyjmuje jej strzelbę z dłoni. Zanim się wyprostowuje, robi coś dziwnego. Gładzi ją po policzku. W tym czasie kucharz staje na chwiejnych nogach. Ociera sobie krew z twarzy. Porusza ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobywa się ani jedno słowo.

– Wnieście ją do środka.

– Artur?

Cień podnosi lufę do góry i naciska spust. Rozlega się przerażający huk. Edyta mimowolnie się kuli.

– Wnieście ją do środka! – krzyczy Artur.

Przerażona Edyta odwraca się, żeby pokazać, że ma związane ręce.

– Do diabła...

– Dam radę sam – odzywa się Maciej Łoś i wstaje z ziemi. Kucharz nachyla się nad kobietą, która powoli wraca do przytomności. Z ogromną czułością najpierw zarzuca sobie jej ramiona wokół szyi, a potem podnosi. Wraca do środka domu i kładzie ją na kanapie. Artur daje lufą znać, żeby Edyta poszła za nimi. Dziennikarka wykonuje polecenie, chociaż nic z tego nie rozumie. Przecież razem prowadzili to śledztwo. Są współnikami. Może nawet przez te kilka dni stali się przyjaciółmi. Dlaczego teraz traktuje ją jak wroga?

Nie ma jednak czasu zadać tych pytań. Staje po przeciwnej stronie kanapy. Byleby z dala od Łosia. Jako ostatni wchodzi Artur. Edyta patrzy to na pisarza, to na kucharza i teraz, kiedy obaj są wyraźnie oświetleni i kiedy stoją tak blisko siebie, wszystko już rozumie.

– Co... Co się stało? – pyta nieprzytomnym głosem Lucyna.

– Nic się nie stało – odpowiada z fałszywą beztroską pisarz. – Po prostu wpadłem się przywitać. Cześć, mammo. Cześć, brat.



## Rozdział 94

Od zawsze wiedział, że coś jest nie tak. Pomiedzy Arturem a jego rodzicami była jakaś bariera, z której istnienia zdawał sobie sprawę, nawet wtedy, kiedy nie potrafił jej jeszcze nazwać ani opisać. Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień jest przedszkolna akademka z okazji Dnia Matki i Dnia Ojca.

Pamiętał, jak wypatrywał swoich rodziców i jak się zdziwił, kiedy przyszli. Nie dlatego, że w ogóle się pojawili, ale że po raz pierwszy mógł ich zobaczyć w otoczeniu rodziców swoich kolegów i koleżanek. Ci wszyscy mężczyźni, te wszystkie kobiety byli przede wszystkim dużo młodszy. Jego ojciec w zapiętej pod szyję koszuli i z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, jego mama w skromnej sukience w kwiaty, z podkrążonymi oczami i twarzą przeoraną głębokimi zmarszczkami wyróżniali się tak, jakby on wyróżniał się na oddziale dla noworodków. Wyglądali bardziej na jego dziadków (których zresztą nigdy nie poznał, słyszał tylko, że patrzą na niego z nieba) niż na rodziców. I tak pewnie byli traktowani przez innych ludzi na widowni.

Samego przedstawienia nie pamiętał. Deklamował jakiś wierszyk. Śpiewał z resztą dzieci piosenkę. A po wszystkim pobiegł do mamy, żeby się do niej przytulić. Uścisnął ją mocno, najmocniej, jak potrafił, poczuł zapach mydła i płynu do płukania. Ale ona nie odwzajemniła uścisku. Stała sztywna, wstrzymując oddech, ledwo go dotykając, jakby się go brzydziła. A on nie chciał jej puścić, bo wiedział, że wtedy będzie musiał spojrzeć na jej twarz i bał się tego, co wtedy zobaczy. Potem poczuł, jak ojciec klepie go po plecach.

– No już, już – powiedział mężczyzna. – Pójdziemy chyba na lody.

Lody pomagają. Przynajmniej do czasu.

Z ojcem było mu łatwiej. Może dlatego, że oczekiwał od niego mniej czułości niż od mamy? Był policjantem, co prawda na emeryturze, i Artur chętnie się tym chwalił kolegom w przedszkolu i na podwórku. A oni dopytywali się, ilu złodziei złapał, jakich przestępców aresztował, czy do kogoś strzelał albo czy prowadził pościg ulicami miasta zupełnie jak bohaterowie oglądanych ukradkiem filmów. Niestety ojciec nie chciał się z nim dzielić takimi opowieściami. A ponieważ zależała od nich pozycja chłopaka na podwórku, więc Artur zaczął wymyślać je sam. W ten sposób odkrył, że potrafi tworzyć historie. I że inni w nie wierzą. Uznał, że ma pewien dar, i później chętnie z niego korzystał.

Nie pamiętał natomiast, kiedy odkrył, że został adoptowany. Prawdopodobnie to nie była jedna chwila olśnienia, ale raczej pewien proces. Mozolne składanie w całość różnych, porozrzucanych to tu, to tam elementów. Przeszedł oczywiście całą emocjonalną ścieżkę związaną z tym odkryciem. Od zaprzeczenia, kiedy godzinami stał przed lustrem, przypatrywał się swojej twarzy i wyszukiwał na niej jakiegokolwiek śladu podobieństwa do ojca lub matki. Przez gniew, kiedy wściekał się na nich i za to, że ukrywali przed nim prawdę, i za to, że nie jest ich prawdziwym dzieckiem. Wreszcie po akceptację, kiedy zrozumiał, że najwyraźniej tak być musiało. I choć mama nigdy nie powiedziała mu, że go kocha, i kiedy tylko mogła, trzymała się od niego z daleka, jego los był lepszy, niż gdyby go nie przygarnęli.

– Wiem, że nie jestem waszym prawdziwym dzieckiem. Że mnie adoptowaliście – powiedział wprost ojcu. Ale to było później. Wiele lat później. Już po śmierci mamy, kiedy Artur zebrał się na odwagę i postanowił porozmawiać z ojcem. A ten, gdy tylko usłyszał, co syn ma do powiedzenia, poderwał się i spoliczkował go z całych sił.

– Nie jesteś adoptowany! Rozumiesz?! Nie jesteś! – krzyczał.

Nigdy już nie wrócili do tego tematu.

Czasami w dzieciństwie, kiedy czuł się wyjątkowo samotny, fantazjował o tym, kim są jego prawdziwi rodzice. Zazwyczaj nie miał złudzeń. Podejrzymywał, że jest dzieckiem pary pijaków z marginesu, którym opieka społeczna zabrała syna. Ale lubił sobie wyobrazić, że być może było inaczej. Że jego matką była dziewczyna, która urodziła go w bardzo młodym wieku i nie mogła go wychować. Dlatego oddała go ludziom, co do których była pewna, że dobrze się nim zajmą. Ale potem stanęła na nogi i go odszuka. A kiedy go znajdzie, przytuli go mocno i powie, że jest z niego bardzo dumna.

Próbował również zdobyć akceptację ojca. Zaczął się interesować sprawami kryminalnymi. Dużo o nich czytał. Zbierał informacje. A potem przychodził z nimi do taty, żeby zacząć pogawędkę, sądząc, że to go zainteresuje, bo przecież dotyczy rzeczy, którym poświęcił kawał życia. Za każdym razem czekało go rozczarowanie.

Dopiero po latach zrozumiał, że zbierając te wszystkie informacje, grzebiąc w kryminalnych sprawach, tak naprawdę ćwiczył umysł, żeby rozwiązać największą zagadkę w życiu i odkryć tajemnicę swojego pochodzenia.

## Rozdział 95

Pokój w hospicjum jest niewielki, ale czysty i schludny. Okna wychodzą na mały park. Można obserwować rosłe drzewa i skaczące wśród gałęzi ptaki. Artur siedzi na krześle i wpatruje się w leżącego na łóżku ojca. Najważniejszym sprzętem medycznym w pomieszczeniu jest kroplówka, która dozowała mężczyźnie środki przeciwbólowe. Ale i tak co chwila jęczał z bólu.

Jest słaby. Stracił połowę swojej wagi. Rak odbiera mu siły i rozum. Ojciec zawsze palił, ale po śmierci matki zupełnie przestał o siebie dbać. Do papierosów doszedł alkohol, i to w dużych ilościach. Ilekroć Artur go odwiedzał, nie potrafił uwierzyć, że mężczyzna o tak surowych zasadach i dużych wymaganiach mógł tak szybko, tak bardzo się zapaść. A potem przyszła diagnoza i kilka miesięcy później są tutaj, czekając na koniec.

– Chcę się wypowiedzieć – odzywa się ojciec.

Artur prostuje się gwałtownie. Nie zorientował się, że ojciec już nie śpi. Poza tym zaskakuje go jego prośba. Ojciec nigdy nie był religijny.

– Poszukam księdza – mówi pisarz.

Ojciec kręci głową.

– Chcę się wypowiedzieć przed tobą.

Artur czeka z bijącym sercem. Widzi, że ojciec zbiera siły. Pomaga mu, podsuwając kubeczek z wodą. Mężczyzna pije dosłownie kilka kropel. Więcej nie jest w stanie.

– Twoja matka nie mogła mieć dzieci – zaczął swoją opowieść. Mówi tak cicho, że ledwo da się go zrozumieć. Artur nachyla się, żeby lepiej słyszeć.

– Bardzo cierpiała z tego powodu. Kiedyś była taką żywą kobietą, taką szczęśliwą... A potem... Jakby jakiś zły duch ją dopadł. Zabrał całą miłość. Całe serce. Opętał ją. Opętał ją tutaj...

Ojciec podnosi powoli chudą dłoń. Jego skóra jest blada i cienka jak papier. Najpierw stuka się palcem w głowę, potem w klatkę piersiową.

– Myśleliśmy, że może inaczej... Staraliśmy się o adopcję. Przygotowaliśmy wszystko. Dom. Dokumenty. Rekomendacje. Ale wtedy... ci ludzie od adopcji... odkryli, że twoja mama była chora. Że się leczyła na depresję... że miała myśli samobójcze... Nie chcieli nam dać dziecka... Mimo że tyle ich czekało... że mogliśmy im dać dom... Mimo że to by ją uzdrowiło...

Przerywa na moment i daje palcem znać Arturowi, by znowu dał mu się napić. Ale pisarz się nie rusza. Czeką, aż ojciec podejmie przerwana opowieść.

– Myślałem, że kiedy ciebie weźmiemy, wszystko się zmieni... Odzyskam moją żonę... Odzyskam kobietę, którą kochałem... To było egoistyczne... Przepraszam... Wziąłem cię dla siebie... Nie, żeby ci pomóc... Ale to nic nie dało... Widziałeś mamę... Starła się... Przysięgam ci, że się starała... Próbowała cię pokochać... Ale nie potrafiła... Jak by się nie starała, czego by nie robiła... Nie udawało jej się to... Bo wiedziała, skąd cię wzięłem... To ją zabiło, Arturze. Ty ją zabiłeś... Jestem pewien, że gdyby nie ty, ciągle by żyła.

Artur z trudem oddycha. Przypomina sobie matkę. Jaka zawsze była sztywna. Jak unikała przebywania z nim sam na sam w jednym pomieszczeniu, nawet kiedy był mały. Jak na niego patrzyła. W jej spojrzeniu można było wyczytać wiele emocji: strach, wzgardę, obrzydzenie, a czasami lodowatą obojętność. Ale nie było tam miłości.

– Skąd mnie wzięłeś? – pyta.

– Na strychu... – szepcze ojciec, przymykając równocześnie powieki. – Jest zielona skrzynka... W kącie... Zamknięta na kłódkę... Tam znajdziesz odpowiedzi.

Artur wstaje. Wychodzi bez słowa z pokoju i natychmiast jedzie do rodzinnego domu. Na strychu odnajduje zieloną skrzynkę, o której mówił

ojciec. Nigdzie nie ma kluczyka do kłódki, więc po prostu wyłamuje skobel. W środku znajduje pisma, raporty, zdjęcia, gęsto zapisane notatniki ojca. Całą dokumentację.

I w końcu poznaje prawdę.

Kilka dni później odbiera telefon.

– Przepraszam, czy pan Artur? – słyszy kobiecy głos.

– Tak.

– Dzwonię z hospicjum. Z przykrością pana zawiadamiam, że pana ojciec zmarł tej nocy.

– Dobrze – odpowiada po prostu.

Nie pojawia się na pogrzebie.

## Rozdział 96

Odnalezienie tego domu zajmuje więcej czasu, niż się spodziewał. Notatki ojca, a przynajmniej mężczyzny, którego nazywał tak całe życie, są bardzo dokładne. Artur jest zdumiony, że miał na to wszystko czas. Że pomimo tych wszystkich lat i słabnących sił wciąż trzymał rękę na pulsie. Pewnie chronił w ten sposób żonę. Bał się, że błąd sprzed lat przyniesie niemiłe konsekwencje. Wolał być przygotowany.

Tak. Dokumentacji nie można nic zarzucić. Po prostu do tego domu trudno trafić, nawet jeśli człowiek wie, gdzie się znajduje. Samotny budynek ukryty gdzieś w środku lasu. Porzucony przed laty przez dawnych właścicieli, którzy jeszcze w czasach PRL wyjechali szukać szczęścia za granicą. Słuch o nich zaginął. Może spotkało ich coś strasznego. A może urządzili się po prostu w tym lepszym świecie i nie widzieli powodu, żeby upominać się o jakąś ruderę w starym kraju. Budynek w każdym razie niszczał, aż kilka lat temu zamieszkał w nim pewien mężczyzna.

Artur zatrzymuje samochód. Nowy. Niedawno go kupił za tantiemy ze sprzedaży debiutanckiej powieści, która okazała się wydawniczą sensacją. Sam nie uważa, żeby była specjalnie odkrywczą. Ot, kolejna opowiadka o seryjnym mordercy, który morduje kobiety gdzieś na Pomorzu. Ale dorobił się sporej grupy wiernych słuchaczy swojego podcastu, którzy dosłownie rzucili się na powieść. I dobrze. Dzięki temu ma pieniądze, żeby zacząć planować zupełnie inną, znacznie ciekawszą opowieść.

Wysiada z wozu i staje przy bramie. Na podwórku widzi stojące rzędem kojce z psami. Zwierzęta są ogromne, muskularne. Wyglądają tak, jakby tylko czekały na okazję, żeby rzucić się komuś do gardła. Szczekają wściekle.

Za budynku wyłania się mężczyzna. Jest w roboczym stroju. Wysoki, z lekką nadwagą, ale muskularny. Wyciera dłonie w brudną szmatę.

Przygląda się podejrzliwie Arturowi.

– Pan po pieska? – rzuca.

– Nie – odpowiada mu Artur. Jest zaskoczony swoim spokojem, pewnością w głosie. – Wie pan, jestem pisarzem. I przyjechałem, żeby opowiedzieć panu pewną historię. O Macieju Łosiu. O tym, co nam zrobił. Ale przede wszystkim o tym, co my możemy zrobić jemu.



## Rozdział 97

Edyta zaczyna chichotać. Po prostu nie potrafi się powstrzymać.

– Z czego się śmiejesz? – pyta ją Artur. Jest równocześnie wściekły i zdziwiony.

– Bo to już drugi raz – wyrzuca z siebie pomiędzy spazmami wesołości dziennikarka.

– Jaki drugi raz?

– Drugi raz ktoś mnie chce zabić w tym domu. Bo ty mnie będziesz chciał zabić, prawda?

– I to jest takie śmieszne?

– Nie jest... To z nerwów...

Nie potrafi przestać się śmiać. Zagryza wargi, ale nic to nie daje. Macha głową, jakby chciała dać reszcie znać, żeby nie zwracali na nią uwagi. Artur marszczy czoło. Wydaje się zirytowany jej zachowaniem, ale po chwili kąciki jego ust unoszą się delikatnie w górę. Przenosi lufę strzelby na Maćka Łosia, uznając najwyraźniej, że w tym stanie Edyta nie jest dla niego żadnym zagrożeniem.

– Krystian? To ty? – pyta starsza kobieta.

– Krystek? Tak mam naprawdę na imię?

– Tak chcieliśmy ci dać na chrzcie.

– Nie podoba mi się – rzuca, prychając, Artur.

Edyta w końcu opanowuje nerwowy śmiech. Oddycha głęboko. Orientuje się, że z rany na głowie spływa jej strużka krwi. Ciągle związana, nie ma jak jej wytrzeć.

– Codziennie o tobie myślałam... – mówi kobieta.

– Codziennie?! Myślałaś?! Ha! – wybucha Artur, a jego twarz czerwienieje. – I niby co z tego wynika?! Czy próbowałaś mnie odszukać?

Czy próbowałaś mnie odebrać? Nie! Oddałaś mnie tym ludziom, oddałaś przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Żeby ratować Maćka!

– Właśnie! Maćka! Wspaniałego Maćka! Ulubieńca całej choleralnej Polski! Bo on był ważniejszy! Bo tylko jego kochałaś! Mimo że zabił tych ludzi! Ale co tam! Lepiej oddać małe dziecko obcym, byleby tylko ratować mordercę!

– To mój syn!

– Tak jak ja! – wrzeszczy pisarz, z każdym słowem wyrzucając z siebie kropelki śliny. – A nawet mnie nie poznałaś, kiedy stanąłem tu przed tobą parę dni temu! Patrzyłaś mi prosto w oczy i nie miałaś pojęcia, kim jestem!

Kobieta nie wie, co ma odpowiedzieć. Przejęta podnosi palce do ust. Zagryza je mocno, niemal do krwi. Przypomina teraz zaszczute zwierzę, które wie, że zbliża się koniec.

– Jak się dowiedziałeś? – pyta Edyta.

Artur przymyka powieki. Przez moment wydaje się bardzo zmęczony. Dziewczyna jest pewna, że zaraz coś się stanie. Ktoś wykorzysta ten moment i spróbuje mu odebrać broń. Ale żadne z nich się nie poruszyło. Jakby pisarz wszystkich zahipnotyzował.

– Po co ci to? – pyta Artur. – Myślisz, że potem nagrasz kolejny odcinek swojego nudnego podcastu? „Mordercze Fiołki”. Co to jest w ogóle za nazwa?!

Edyta ignoruje zaczepkę.

– Ja tego nie potrzebuję. Ale myślę, że ty tak. Że chcesz mi to opowiedzieć.

– Niby dlaczego?

– Bo tym się zajmujesz. Opowiadasz historie. Sam mi to powiedziałeś. Tylko to potrafisz.

– Nie czuję się dobrze. Mogę usiąść?

Kucharz chwieje się na nogach. W jego lewe ramię wciąż wbity jest sporej wielkości kawałek szkła. Jego koszula i spodnie są mokre od krwi.

Twarz ma białą, oczy matowe, a na czole lśnią krople potu.

– On jest ranny! – krzyczy matka Łosia. – Trzeba zadzwonić po pogotowie.

– Nikt nie będzie nigdzie dzwonił! – odpowiada jej Artur.

– Ale trzeba!

Artur obraca strzelbę w dłoniach, robi zamach, jakby zamierzał uderzyć kobietę. Ona zasłania twarz dłońmi w obronnym geście, ale pisarz w ostatniej chwili się powstrzymuje. I podejmuje decyzję.

– Siadaj, brat – mówi przez zaciśnięte zęby. – I umieraj.

Łoś, podtrzymując się kanapy, przesuwa się powoli, krok za kroczkiem, żeby wreszcie stracić równowagę i dosłownie upaść na skórzane poduchy.

– A ty pytaj... – zwraca się Artur do Edyty. – Jesteś w końcu dziennikarką. Przeprowadź ten ostatni wywiad w swoim życiu.

Edyta wzdryga się, kiedy słyszy oczywistą groźbę zawartą w słowach Artura. „Ostatni wywiad w życiu”. Nie tak to miało wyglądać, myśli. Ale cholera, tym właśnie jest. Dziennikarką. Jej zawód polega na zadawaniu pytań. Na tym się teraz skupi w nadziei, że w międzyczasie coś wymyśli.

– Jak się dowiedziałaś?

– Mój ojciec... przybrany ojciec... prowadził bardzo dokładne notatki. Nie wiem po co. Może chciał mieć dowody na wszelki wypadek, a może po prostu ze względu na jego policyjną naturę. Wiesz, oni tam tylko siedzą i piszą te raporty. On najwyraźniej też nie potrafił inaczej. Znalazłem je tuż przed jego śmiercią. Było tam wszystko. O tym, co zrobił mój kochany braciszek. O tym, jak zafałszowali śledztwo. O umowie, którą zawarła moja kochana mamusia. Jak sprzedała swojego syna...

– Zrobiłam to... – odzywa się kobieta, ale Artur nie pozwala jej dokończyć.

– Zabiję cię, jak jeszcze raz powiesz, że zrobiłaś to dla niego! Zabiję cię teraz, bez zastanowienia!

– Myślałam, że będziesz mieć dobre życie.

– Dobre życie?! Dobre życie?! Z kobietą, która udawała moją matkę i nigdy mnie nie pocałowała, ani razu mnie nie przytuliła?! Która nie mogła na mnie patrzeć?! Z facetem, który mnie wziął jak jakiegoś szczeniaka, żeby poprawić humor swojej żonie, a kiedy zobaczył, że to nie zadziało, znienawidził mnie całym sercem?! Także dlatego, że każdego dnia przypominałem mu, na co się zgodził? Jaką zbrodnię zatuszował? Kto dzięki niemu chodzi wolny po ulicach i robi karierę w wielkim świecie?! Czy sobie zdajesz sprawę, że gdyby tylko mógł, gdyby pozwalała mu na to reszta jego sumienia, to wsadziłby mnie do wory i utopił w najbliższym jeziorze?! To właśnie było to dobre życie, które mi zapewniłaś! A wiesz, kto miał dobre życie?! Wiesz kto?! Mój brat! Człowiek, za którego mnie poświęciłaś! Co nie, brat?! Brat?!

Łoś siedzi ze spuszczoną głową. Oczy ma zamknięte. Artur robi krok w jego stronę. Szturcha go lufą strzelby, ale kucharz nie reaguje. Szturcha go mocniej i ciało opada bezwładnie na bok. Jego matka, kiedy to widzi, wydobywa z siebie przeciągły, przeraźliwy jęk. Jakby właśnie pękało jej serce. W oczach pisarza pojawia się natomiast rozczarowanie.

– Myślałem, że to dłużej potrwa. Hmm... Obrabował mnie nawet z tej chwili. Bo on mnie obrabował, Edyta. Ze szczęśliwego życia. Z dzieciństwa. Zabrał mi to wszystko. Wyrwał mi serce, zmiażdżył je i zostawił pustą skorupę. Tylko Seweryn to rozumiał.

– Chłopak Budzikowskich. On przeżył? To on był tym porywaczem, prawda? Pracowaliście razem?

– Ojciec go odnalazł tuż po zabójstwie – wyjaśnia Artur. – Wahał się, co z nim zrobić, ale skończyło się na tym, że go zastraszył. Oddał jakiemuś dziadowi na wychowanie, płacił nawet pieniądze, które dziad przepijał i bił Seweryna. Na szczęście szybko zmarł. Ojciec jednak wciąż obserwował chłopaka. Chciał mieć go na oku. Odszukanie go było łatwizną.

– Skąd to porwanie?

– Nikomu nie miała się stać krzywda, wiesz? Po prostu obaj chcieliśmy...

– Zemsty.

– Nie! – protestuje pisarz. – Żeby świat usłyszała, kim jest Łoś! Żeby dowiedział się, co zrobił. Za co jest odpowiedzialny.

– Dlaczego nie poszliście na policję? Dlaczego nie opowiedziałaś o tym w swoim podkaście albo książce?

– Na policję! – prychnął Artur. – Mój ojciec był policjantem i co, jak to się skończyło!? Łoś jest... przepraszam... był kimś. Bałem się, że zna ludzi, którzy potrafią ukreślić sprawę łeb. A mój podcast? Jasne, to nie są „Mordercze Fiołki”, trochę ludzi go słucha, ale to wciąż za mało. Książki? Jeszcze mniej osób je czyta. Potrzebowaliśmy prawdziwej widowni. Milionów ludzi, którzy będą słuchali naszych słów.

– Radio Zet – mówi Edyta. Wszystko zaczyna nagle mieć sens.

– Och! Od tego mieliśmy zacząć! – mówi Artur. – Bo wiadomo było, że w pewnym momencie wyrzucą nas z anteny. Chociaż nie spodziewałem się, że stanie się to tak szybko. Ale wtedy temat robi się głośny, podchwycą go inne media. Cokolwiek byśmy wrzucili do internetu, rozlałoby się po całej sieci. Ale tak, od radia mieliśmy zacząć. To ja przyszedłem do nich z pomysłem na powieść w odcinkach. Seweryn miał porwać Maggie.

– Dlaczego właśnie ją?

– A to cię rozbawi. Bo lubił jej piosenki. Prawdziwy fan. No i w ten sposób chcieliśmy zrobić szum wokół audycji. Sprawić, żeby ludzie nas słuchali, żeby usłyszała o nas cała Polska. Zrobilibyśmy z tego prawdziwe show, jakiego w tym kraju, a może nawet na świecie jeszcze nie było. I dobrze nam szło, chociaż śmierć tego całego Ziemka to była wtopa. Ale potem? O sprawie było głośno, udało mi się wciągnąć cię w to całe śledztwo...

– Byłam elementem twojego planu?

– Nie schlebiaj sobie. Nawet nie wiedziałem, że istniejesz. Ale wiedziałem, że jakoś będę musiał zwrócić uwagę na sprawę Budzikowskich. Ty pierwsza załapałaś, o co chodziło w zmianach

w piosence, pracowałaś w Zetce, marzył ci się hitowy materiał. Pomyślałem sobie, że mogę to wykorzystać! I udało mi się chyba ociupinkę za dobrze. Stąd ta nieszczęśliwa sytuacja, w której się znaleźliśmy.

– A detektyw?

Artur się krzywi.

– Mój błąd. Zatrudniłem go na samym początku akcji. Chciałem zebrać informacje na temat ludzi z Radia Zet i Maćka Łosia. Gdzie mieszkają, jak wygląda ich dzień i takie tam. Sprzedałem mu bajeczkę, że sprawdzam potencjalnych kontrahentów, ale chyba nie uwierzył. Pewnego dnia zorientowałem się, że mnie śledzi! Mnie! Wyobrażasz sobie!? Zwolniłem go natychmiast. A kiedy radio wyznaczyło nagrodę za informacje na temat porywacza, chyba dodał dwa do dwóch.

Edyta przypomina sobie tamten dzień i nagle pewne rzeczy stają się oczywiste.

– To dlatego zaprowadziłeś mnie najpierw na cmentarz, prawda? – pyta dziennikarka. – Chciałeś zyskać czas...

– Żeby Seweryn mógł się nim zająć. I się zajął. A potem Maggie... Za sprytna była. Trzeba było porwać kogoś mniej rozgarniętego.

Edyta przypomina sobie ich wspólne śledztwo. Wszystkie rozmowy, pierwsze spotkanie. Zastanawia się, czy były jakieś znaki ostrzegawcze, które przegapiła. Ale żadnych nie widzi. To marne pocieszenie: jeśli tutaj zginie, to nie ze swojej winy.

– I co teraz? – pyta, przetykając ślinę. – Bo wiesz, że nie wywiniesz się z tego.

– Och... Jeszcze zobaczymy. Przyjechałem tutaj wynajętym samochodem. Komórkę zostawiłem w Warszawie. Nikt nie wie, że tu jestem. Zabiję was obie. Przepraszam, Edyta, ale za dużo już wiesz. Będzie to kolejna masakra w Jusze Mazowieckiej. Może nagram nawet podcast o przeklętych domach? Pewnie się będzie dobrze słuchać.

Wtedy nagle coś słyszą w oddali. Dopiero po chwili dociera do nich, co to takiego – syreny policyjne. Zbliżają się w ich stronę. Artur otwiera szeroko oczy. Ani ona, ani on nie wiedzą, skąd się tu wzięły radiowozy. Pisarz celuje na przemian w Edytę i w swoją matkę. Do dziewczyny dociera, że ma on tylko jeden nabój. I musi wybrać, kogo zabije. Jego oczy lśnią nienawiścią jak dwa krwawe diamenty.

Artur naciska spust.

## Rozdział 98

– Będzie miał pan ogromnego guza, ale czaszka jest cała – mówi pielęgniarz. – Zaraz pojedziemy jednak do szpitala. Zrobimy badanie na tomografie. Z takimi urazami nigdy nie wiadomo.

– Jasne. Dziękuję – odpowiada mu Łukasz.

Pielęgniarz jeszcze raz ogląda opatrunek. Kiedy odchodzi, zza jego pleców wyłania się Edyta. Ma jedną rękę w temblaku, pełno plastrów na twarzy i bandaż na głowie. Przez chwilę patrzą na siebie, a potem dziewczyna nieśmiało siada obok niego. Drzwi stojącej obok karetki są otwarte. W środku drzemie kierowca. Z radia płynie nocna audycja Zetki.

– Jak się czujesz? – pyta dziewczyna.

– Nieźle. A ty? – odpowiada Łukasz.

– Fatalnie.

– A oni?

Edyta przypomina sobie tamtą chwilę. Artur wybrał swoją matkę. Zabił kobietę na miejscu. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Łoś, o którym myśleli, że jest martwy, nagle poderwał się z rykiem. Wpadł na pisarza. Oboje się przewrócili. Łoś znalazł jakiś kawał szkła, zaczął nim dźgać Artura. Ten jednak był silniejszy. Zdołał z siebie zrzucić kucharza, który nie miał już siły na kontynuowanie walki. Podobnie jak pisarz, który teraz leżał na ziemi, trzymał się za krwawiące obficie ramię i wyciągał dłoń w stronę dziennikarki. Kilkanaście sekund później do domu wpadli funkcjonariusze policji.

– Łoś i jego matka nie żyją – mówi Edyta. – Artur jest w szpitalu. Są duże szanse, że z tego wyjdzie i stanie przed sądem.

Łukasz kiwa głową.

– Dziękuję – odzywa się dziewczyna.

– Za co?



– To ty zawiadomiłeś policję, prawda?

Chłopak uśmiecha się lekko.

– Leżałem tam na ziemi. Odzyskałem przytomność. Wy byliście zajęci sobą. Odczołgałem się na bok i po prostu wykręciłem właściwy numer. To chyba pierwszy plus tego, że nikt nigdy nie zwraca na mnie uwagi.

– To nieprawda.

– Ty nie zwracasz na mnie uwagi. Po prostu tak jest. I tyle... Poczekaj...

Chłopak grzebie w kieszeni bluzy. Wyciąga z niej niewielkie pudełeczko. Otwiera je, w środku znajduje się pierścionek z brylantem.

– Łukasz...

Chłopak nie przejmuje się jej reakcją. Chwyta ją za rękę. Klęka. Wsadza pierścionek na palec. Pasuje idealnie. Przez chwilę mu się przygląda. Potem zdejmuje pierścionek. Zajmuje to więcej czasu niż jego założenie, ale w końcu się udaje. Wrzuca go z powrotem do pudełka, a pudełko do kieszeni. Wstaje, otrzepuje kolana.

– I już – mówi pozornie obojętnym tonem. Edyta jednak za dobrze go zna, żeby nie dostrzec smutku w jego oczach. – Będziemy mogli mówić, że zerwaliśmy zaręczyny. To brzmi poważniej i bardziej dojrzałe, niż gdybyśmy się po prostu rozstali.

Edyta pociąga nosem i uśmiecha się łagodnie. Łukasz siada obok.

– A zostaniemy przyjaciółmi?

– Raczej nie... – odpowiada po namyśle chłopak. – Ale może kumplami?

– Mi pasuje.

Przez chwilę przyglądają się pracującym wokół policjantom, którzy zabezpieczają ślady.

– Czy oni nie powinni nas jakoś odseparować? – pyta Łukasz. – Wiesz, żebyśmy nie mogli uzgodnić wspólnej wersji wydarzeń?

– Powinni – przyznaje mu rację dziewczyna. – Ale jakoś akurat ten element nie wychodzi im za dobrze. Skąd wiesz takie rzeczy?

– Z twojego podcastu.

– Słuchałeś go?

– Każdego odcinka.

Patrzą na siebie i ta jedna krótka chwila jest jak ze starych dobrych czasów. Edyta chce to nawet powiedzieć, ale wtedy z radia w karetkce dochodzi do nich charakterystyczny dzingiel Zetki:

*Minęła właśnie...*

KONIEC

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska

Redakcja: Joanna Kłos  
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Hanna Trubicka

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Paul Campbell/iStock/Getty Images Plus

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-8318-287-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**